

HILARY

NORMAN

**w ślepej
uliczce**

przypadek nr 5/040573

BOLSOVER L.F

analiza/ocena

zawieszono

akcja

rozwiązano X

1

Przez cały ostatni tydzień lutego zwłoki leżały pod warstwą worków w opuszczonej szopie, na posesji koło Claris Green w Londynie, w dzielnicy Barnet. Jeszcze niecały rok temu ta malutka działka rodziła śliwki, pomidory, truskawki i sezonowe kwiaty, ale potem dzierżawca zmarł, zaniedba-ne rośliny zwiędły, ziemia zarosła chwastami i gdzieś tam pokryła się pajęczynami, a jedną ścianę szopy doszczętnie zburzyli dla zabawy miejscowi wandale. Nastąpiła zima, a że nie było widać chętnych do wydzierżawienia działki, zwłoki odnaleziono dopiero po ośmiu dniach, chociaż jeden z rzuconych przez chuliganów kamieni przebił spróchniałą deskę i wylądował dokładnie na lewym udzie zabitej kobiety. Makabryczne odkrycie, kiedy wreszcie do niego doszło, zaszokowało i doprowadziło do torsji wszystkich, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na miejscu. Mimo znacznie posuniętego rozkładu, udało się błyskawicznie ustalić tożsamość ofiary jako Lynne Frances Bolsover, której zaginięcie zgłosił tydzień wcześniej jej mąż. Ponieważ od tej pory nikt kobiety nie widział, nikt też nie posłużył się jej kartą płatniczą, z dnia na dzień rosły obawy o jej życie. Wprawdzie nigdy by nie odnaleziono czarnej skórzanej torebki od Marksa i Spencera (którą morderca wrzucił do pojemnika na śmieci przy Franklin Road, ponad kilometr od posesji), ale Lynne wciąż miała na sobie czerwony sweter firmy Next i niebieskie dżinsy z naszywką z syjamskim kotem na tylnej kieszeni. Zarówno to ubranie, jak zapis stanu uzębienia mogły znacznie

usprawnić działanie policji.
Ale oczywiście nie rodziny Bolsover.
Patolog mógłby potem potwierdzić, że
dwudziestodzie-więcioletnia żona Johna Bolsovera,
matka sześciolatniej Kylie i czteroletniego Aleksa,
zmarła wskutek rozległego wylewu krwi do mózgu,
który nastąpił po roztrzaskaniu czaszki trzema
uderzeniami. Dochodzenie wszczęte przez Terenową
Specjalną Brygadę Śledczą Policji Miejskiej i okręgu
północno-zachodniego* (AMIT NW) ruszyłoby
wówczas pełną parą i szybko zostałoby zakończone.
Detektywi s AMIT NW wkrótce by się dowiedzieli, że
lekarzka Lynne, doktor Deirdre Miller, rozpoznała u
niej przewlekłą depresję po przebytej rok wcześniej
aborcji i niedawno wypisała jej receptę na prozac.
Personel pobliskiej apteki zeznałby zapewne, że
denatka często zaopatrywała się u nich w maść z
arniki na siniaki, a według Pam Wakefield (siostry
Lynne) i Valerie Golding, jej najbliższej sąsiadki,
mąż Lynne John regularnie ją bił i w ogóle się nad
nią znęcał. To on (zdaniem Pam) miał zmusić żonę
do aborcji, która wpędziła ją w depresję.
Prawdopodobnie Bolsovera przesłuchano by kilka
razy, po czym oskarżono i skazano za morderstwo.
Ale on nigdy nie przyznałby się do popełnienia tej
zbrodni.
Ponieważ był niewinny.

* *Area Major Investigation Team (wszystkie przypisy
pochodzą od tłumaczki).*

2

Wszyscy w kółko powtarzali, że Lizzie Piper Wade ma kupę szczęścia w życiu.

- Oczywiście oprócz problemu z biednym Jackiem - dodawali szybko ci, którzy wiedzieli o dystrofii mięśniowej młodszego syna Wade'ów - chociaż i tak musi jej być łatwiej niż innym kobietom.

„Inne kobiety” to te, które nie miały szczęścia wyjść za Christophera Wade'a.

Życie nauczyło Lizzie cieszyć się z każdego dobrodziejstwa i pomimo okrutnej diagnozy dotyczącej Jacka, być

wdzięczną losowi. Choćby za dzielność synka, jego inteligencję, poczucie humoru i własnej wartości, a nade wszystko za niewzruszoną wiarę w miłość, jaką darzyła go cała rodzina. Za to, że dwunastoletni Edward i siedmioletnia Sophie byli zdrowi, chociaż dopiero czas i odpowiednie testy, przeprowadzone w wieku dojrzewania, wykażą, czy córka nie jest nosicielką defektu genetycznego, który wykryto u Jacka. Poza tym była wdzięczna za swoją pracę.

- Jakie miejsce zajmuje w pani życiu kariera zawodowa? - zapytała ją kiedyś w wywiadzie dziennikarka jednego z niedzielnych dodatków.

- Wiem, że mam szczęście pod tym względem - przyznała Lizzie. - Cieszę się, że mogę gotować, jeść, pić, pisać o tym i jeszcze dostawać za to pieniądze.

Dalej mówiła jak zawsze o swojej dobrej gwieździe, o tym, że chociaż czasem naprawdę ciężko pracuje, to wciąż trudno jej myśleć o tym, co robi, jako o prawdziwej „pracy”. Nie udzieliła jednak odpowiedzi, która nasuwała się jej jako oczywista i najbardziej zgodna z prawdą. Praca trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Dziennikarka, wiedząc o chorobie Jacka,

uznałaby, że pani Wade to właśnie miała na myśli. Ale Lizzie nie wypowiedziała tych słów ani do niej, ani do nikogo innego. Nawet do swojej matki, Angeli Piper, czy Gilly Spence, która pomagała jej w opiece nad Jackiem i pozostałymi dziećmi, wykonując przy tym inne drobne prace domowe i stanowiąc tym samym jeszcze jedno dobrodziejstwo losu. Praca trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Żadna z nich nie zrozumiałaby, o co w gruncie rzeczy jej chodzi. Uznałyby, że jeśli od czasu do czasu siły emocjonalne Lizzie ulegają lekkiemu zachwianiu, dzieje się tak z powodu Jacka i ciągłego napięcia przy utrzymywaniu

równowagi priorytetów. Ale nawet biorąc to wszystko pod uwagę, do szczerego współczucia dodawałyby w duchu klauzulkę: Lizzie i tak jest łatwiej niż większości ludzi.

Cała rodzina, przyjaciele i koleżanki, każdy, kto czytał kobiece magazyny czy tabloidy, na temat zasadniczego aspektu jej życia miał to samo zdanie: że największym darem losu, bijącym na głowę wszystkie inne w jej życiu -zwłaszcza (jak niejeden myślał w duchu) że przy miłym dla oka wyglądzie niebieskookiej blondynki nie należała do wielkich piękności - było małżeństwo z Christopherem.

Christopherem Edwardem Julianem Wade'em. Oto on: utalentowany, sławny, a zarazem przystojny chirurg plastyczny, który nieustannie służył swymi zdolnościami potrzebującym w Europie i krajach Trzeciego Świata; założyciel i oś napędowa dobroczynnej organizacji HANDS, poświęconej fizycznej i psychologicznej pomocy zdeformowanym mężczyznom, kobietom i dzieciom.

Przez niektóre tabloidy pasowany na świętego. Swoje życie rodzinne Wade'owie dzielili między wielki, wczesnowiktoriański dom ze zdobionym stiukami frontonem, położony nad Tamizą,

nieopodal Marlow w hrabstwie Buckingham, a mieszkanie z ogrodem przy londyńskim Holland Park. Obie siedziby kilka lat temu przeszły gruntowny remont - praktycznie zostały urządzone od nowa - tak aby mogły sprostać specjalnym potrzebom Jacka, które rosły, w miarę jak chłopiec tracił siły. Zainstalowano w nich podjazdy, wewnętrzne windy, poszerzono drzwi, zmodyfikowano łazienki, w obu też znalazło się miejsce na robocze kuchnie dla Lizzie i osobne gabinety dla obojga małżonków.

Dodajmy do tego bogactwo.

Lizzie dawno już straciła rachubę fanek, które ustawicznie zapewniały ją w listach o swej zazdrości nie tyle z powodu bestsellerowych książek czy regularnych występów w kuchennych spotach telewizji śniadaniowej czy na kanale Food and Drink, ile właśnie życia z legendarnym Christopherem.

Żadna z nich nie знаła prawdy.

Wiedziały tylko to, co Lizzie zechciała im wyznać, bo wszystko inne na nic by się nie zdało. Nie mogłyby nawet myśleć o odejściu od Christophera, gdyż bez względu na wszystko, musiała brać pod uwagę dzieci. Zwłaszcza Jacka. Bo mimo swych wad, jej mąż był najczulszym ojcem, jakiego można sobie wymarzyć.

A Jack czcił go jak boga.

Znając statystyki, Lizzie zdawała sobie świetnie sprawę, że mimo nadziei na kurację genetyczną czy inną w przyszłości, jej ukochany syn i tak będzie miał szczęście, jeśli dożyje dwudziestu paru lat.

Rzadko kiedy jednak dopuszczała do siebie myśli o jego śmierci. Na razie Jack żyje i dlatego ona, Lizzie, nie powie nikomu ani słowa. Niech sobie rodzina i reszta świata wierzą całym sercem w mit o świętym Christopherze Wadzie.

Ze względu na Jacka.

3

Robin Allbeury nie u wszystkich budził całkowite zaufanie.

Życie tego zamożnego radcy prawnego, zwolennika Labour Party, stanowiło jedno pasmo sukcesów, czego wyrazem były zarówno kancelaria przy Bedford Row, jak imponujący penthouse w Shad Tower, eleganckim budynku przy Bermondsey Riverside, koło St Saviour Dock i Butler Wharf na południowy wschód od Tower Bridge. Uważał się też za całkowicie ukontentowanego.

Wytworny czterdziestodwuletni kawaler, może niezbyt przystojny, ale bezsprzecznie interesujący, o ciemnych, przetykanych srebrnymi nitkami włosach i ciepłych piwnych oczach, wspierał sztukę, kierując się w tym osobistymi upodobaniami. Przedkładał kino nad teatr, thrillery nad literaturę piękną, jazz nad operę, a także: ciszę nad jazz, kameralne kolacyjki nad wytworne bankiety oraz swój kawalerski stan nad małżeństwo.

- Nie wiesz, co tracisz - przekonywał go kiedyś David Lerman, jeden z jego współników, totalnie szczęśliwy z drugą żoną. - Julia odmieniła moje życie.

- Julia jest cudowna - zgodził się Allbeury - ale zanim ją poznałeś, wiodłeś pożalowania godny żywot, podczas gdy ja jestem szczęśliwym człowiekiem.

- To ty tak uważasz. - Lerman nadal miał

wątpliwości.

- Owszem - uśmiechnął się Allbeury.

Specjalizował się w prawie małżeńskim, chociaż ostatnio, jako szef własnej firmy, stał się niezwykle wybredny w wyborze spraw, które podejmował się prowadzić. Teraz większość przypadków małżeńskich przekazywał Lerma-nowi albo komuś z pozostałych wspólników, sam natomiast zajmował się nadzorem oraz tak zwaną inną pracą, której poświęcał także swój prywatny czas.

Polegała ona na niesieniu pomocy kobietom, które uwikłane w głęboko nieszczęśliwe małżeństwa, ze względów finansowych lub innych nie widziały dla siebie drogi wyjścia. Rzadko kiedy przychodziły do niego same. Zwykle to Allbeury dowiadywał się na różne sposoby o ich sytuacji i proponował swoje usługi.

W ciągu wielu lat dorobił się całej sieci zaufanych informatorów rozsianych po całym Londynie.

Należała do nich telefonistka z pogotowia, pozbawiony złudzeń pracownik opieki społecznej, kurator sądowy, policjant, sanitariusz, właściciel pubu oraz pastor z zachodniej części Londynu.

- Niech tylko ktoś wykryje, że ci przekazuję te wiadomości, to jestem udupiony - denerwował się przedstawiciel opieki społecznej na jednym z pierwszych spotkań.

- Ode mnie na pewno nikt się nie dowie - zapewnił go Allbeury.

Sprawa dotyczyła kobiety, nad którą mąż znęcał się psychicznie z wyjątkowym okrucieństwem. Sąsiedzi, nie mogąc znieść jej ustawicznych głośnych łkań, zawiadomili w końcu służby socjalne, jednak przy braku jakichkolwiek widocznych śladów w postaci siniaków czy krwi, a także wobec odmowy złożenia skargi przez ofiarę, pracownikowi nie pozostało nic innego, jak się wycofać.

- Czuje, że opuściłem kogoś pogrążonego w najczarniejszej rozpacz.

- Nie ma szans, żeby odeszła od tego drania?

- Zbyt głęboko w tym tkwi, żeby chociaż spróbować

- odrzekł miody człowiek. - Facet przejął kontrolę dosłownie nad wszystkim. Nie pozwala jej samodzielnie wypisać czeku ani mieć karty płatniczej, decyduje, z kim może się spotykać, a z kim nie...

- Jest groźba samobójstwa?

- To wysoce prawdopodobne. Allbeury milczał przez chwilę.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Zwykle tak właśnie pracował: wyciągał z informatora wszystko, co ten miał do powiedzenia, potem własnymi metodami weryfikował sytuację kobiety, wreszcie, jeśli uznał, że może pomóc, kontaktował się z ofiarą przemocy za pośrednictwem osób trzecich. Pierwsze spotkanie odbywało się na ogół w miejscu publicznym, z dala od jej mieszkania. Niektóre kobiety w ostatniej chwili panikowały i wycofywały się, ale przeważnie udawało się je na tyle zaintrygować, że podejmowały przynajmniej ten pierwszy krok.

Większość z nich przekonywała się szybko do Allbeury'ego, łagodnego interlokutora o zdolnościach dyplomatycznych,

część jednak odnosiła się do niego podejrzliwie, zwłaszcza po zapewnieniu, że nie muszą się martwić o pieniądze.

- Nie mogę zapłacić panu w żaden inny sposób - mówiła niejedna.

- Wcale tego nie oczekuję.

Jedyną rzeczą, jaką im proponował, była droga wyjścia. Ucieczka. Koniec ich małżeństwa, jeśli się na to definitywnie decydowały. Koniec z zastraszaniem, bezbronnością, lękiem.

- Ale dlaczego? - dopytywała się któraś nieufnie. - Skoro nie chce pan pieniędzy, a ja nie zaryzykuję podjęcia prawnych środków, to czemu chce mi pan pomagać?
- Może to pani nazwać moim kompleksem misjonarza - odrzekł z uśmiechem.
- Misjonarze są od nawracania ludzi, czyż nie?
- Jedyną rzeczą, na którą chcę panią nawrócić, jest wolność.

4

Mike Novak, prywatny detektyw z podupadłej agencji, która mieściła się w zrujnowanym magazynie przy New Smithfield, zapuszczonej ślepej uliczce na tyłach Dock Street w pobliżu starej mennicy królewskiej, spiknął się po raz pierwszy z Robinem Allbeurym pięć lat wcześniej, po tym jak Allen Keith, młodszy wspólnik kancelarii przy Bedford Row, zlecił mu sprawdzenie niewiernej rzekomo żony bogatego klienta. Novak przekonał się, że rzecz ma się dokładnie odwrotnie, i złożył stosowny raport. Rozwścieczony klient kazał Keithowi wywalić Novaka bez zapłaty, ale dwa dni później starszy wspólnik Robin Allbeury pofatygował się do agencji z przeprosinami.

- Wolałbym swoją kasę - odpowiedział mu Novak. Nienagannie ostrzyżony prawnik w wytwornym garniturze i rozczochrany, zadziorny blondyn o wrogim spojrzeniu niebieskich oczu mierzyli się

przez chwilę wzrokiem.

Allbeury uśmiechnął się i z miejsca wypisał czek.

- Oto wynagrodzenie plus premia. Z podziękowaniem za dobrą robotę.

- Pański klient by się z tym nie zgodził.

- Nie szkodzi.

Kilka miesięcy później Novak przeczytał w „Mirror”, że przy orzekaniu rozwodu owego klienta wyjątkowo uczciwie potraktowano jego żonę. Zastanowiło go, czy

przypadkiem nie miał na to wpływu jego raport i czy sam Robin Allbeury nie przyłożył do tego ręki.

Tymczasem następnego dnia po wizycie prawnika na Novaka napadło w pobliżu jego mieszkania przy Lamb's Conduit Street dwóch osiłków. Poradzili mu, żeby na przyszłość okazał się cwańszy i zachował swoje raporty dla tych, którzy mu płacą, po czym wbili mu tę prawdę do głowy paroma kopniakami. Kurując się później w domu z ran za pomocą mocnego drinka, Novak doszedł do wniosku, że warto uświadomić temu galantowi Allbeury'emu, z jakimi ludźmi ma do czynienia. Zadzwoił więc do niego i już po kilku godzinach miał prawnika u siebie pod drzwiami.

- O Boże! - jęknął Allbeury, porażony widokiem twarzy gospodarza.

- Nie musiał pan przyjeżdżać.

Allbeury nie przejął się napastliwym tonem Novaka.

- Mogę wejść? - W lewej ręce dzierżył flaszkę Jamesona. - To lepsze od aspiryny.

Novak po chwili wahania wpuścił go i pokazał, gdzie są szklanki

- Przejdźmy do rzeczy, okej? - zaproponował prawnik, nalewając trunek.

- Czemu nie?

- Ma pan moje słowo, a zapewne niebawem przekona się pan, ile jest ono warte, iż nasza firma

od jutra zerwie wszelkie stosunki z owym klientem.
- Sądząc po tych dwóch - Novak pomacał się ostrożnie po żebrach - może mu się to nie spodobać.
- Trudno.

- A co na to Allen Keith?

- Jeśli pan Keith będzie miał jakiś problem z moją decyzją, to może poszukać innej kancelarii.

Novak zmarszczył brwi.

- To zabrzmiało, jakby pan mówił na serio.

- Nigdy nie rzucam słów na wiatr.

Jeśli prawdą jest, że tamte opryszki niechcący zainicjowały długotrwałą współpracę Novaka z Robinem Allbeu-rym, to dały również początek miłości jego życia.

Clare Killin była pielęgniarką dyżurną w ambulatorium pogotowia, kiedy przywłókł się tam owego popołudnia, by założono mu szwy na paskudnie rozcięte czoło. Jak sam wyznał, mógł znieść konfrontację z zaciśniętą pięścią czy twardym butem, ale igła to zupełnie inna para kaloszy.

- Postaram się najlepiej, jak potrafię - zapewniła go miękkim głosem z edynburskim akcentem.

- Jaja sobie robisz, tak?

- A to pomoże?

- Ani trochę.

- Tak myślałam. - Okręciła się. - Zamkniesz oczy?

Novak obejrzał sobie dokładnie spokojne, orzechowe oczy, śliczne usta i kręcone rude włosy, szesane gładko z twarzy, z wyjątkiem kilku wymykających się kosmyków.

- Raczej nie, jeśli ci to nie przeszkadza.

Dwa tygodnie po pierwszej wspólnej kolacji Clare wpro-wadziła się do jego mieszkania, a po trzech miesiącach wzięli cichy, radosny ślub. Praktycznie nie mieli w bliskim zasięgu nikogo z krewnych: rodzice Novaka - ojciec pochodzenia czeskiego i matka Angielka - zginęli w katastrofie lotniczej sie-

dem lat wcześniej, a owdowiały ojciec Clare, Malcolm Killin, mieszkał w Szkocji, ale państwo młodzi i tak nie odczuwali potrzeby obecności ani rodziny, ani kogokolwiek innego.

W tych pierwszych ekstatycznych dniach Novak zaledwie kilka razy doświadczył czegoś w rodzaju napięcia -z powodu wyjątkowo upierdliwego klienta czy bieżących kłopotów zagrażających płynności finansowej agencji Novak Investigations. Natomiast stesy Clare od tamtych drobnych przykrości dzieliła przepaść. Novak wolał nie wyobrażać sobie nawet tych wszystkich rodzajów nieszczęść i bólu, z jakimi dzień w dzień miała do czynienia jego żona. Kiedy wreszcie doszła do ściany - zdaniem koleżanek powodem jej wypalenia się była nadmierna empatia, uniemożliwiająca długoterminową pracę w ambulatorium pogotowia - Novak zaczął się poważnie obawiać, czy w jakimś stopniu jej nie zawiódł.

Kiedy z pełną determinacją pomagał żonie odzyskać pełnię sił, sprawy agencji zeszły na drugi plan, co oczywiście odbiło się na stanie interesów. Clare do pogotowia już nie wróciła i Novak całkowicie poparł tę decyzję. Zarząd szpitala, chcąc jej pomóc, proponował wprowadzić przejście na inny oddział, a Novak wpadł na pomysł, by zajęła się pielęgnowaniem chorych na własną rękę, Clare jednak odrzuciła obie sugestie.

- Albo pogotowie, albo nic - powiedziała stanowczo. - Przyczyną mojego złego samopoczucia są rzeczy, które kocham. - I obrzuciła go dziwnym, badawczym spojrzeniem.

- Ale konkretnie co? - pytał Novak, którego zaniepokoił wyraz jej oczu.

- Musisz być bardzo mną rozczarowany. - Było to suche stwierdzenie faktu.

Fala przerażenia niemal zwała go z nóg.

- Na miłość boską, skąd ci to przyszło do głowy?
 - Ożeniłeś się z pielęgniarką, silną, rozumną kobietą, która potrafi sprawować opiekę nad tymi, którzy jej potrzebują.
 - Ożeniłem się z ludzką istotą. Z wrażliwą, czującą dziewczyną.
 - Więc nadal mnie kochasz?
- Obojętny ton zniknął, ale wróciła bezsilność, co mocno go zmartwiło.
- Bardziej niż kiedykolwiek - zapewnił ją niemal szorstko. - Bardziej niż wszystko na świecie.

Wkrótce po tej rozmowie zapytał ją, czyby się nie zastanowiła nad przystąpieniem do agencji. Zapał, z jakim się zgodziła, oraz późniejszy wkład pracy nie tylko go zaskoczył, ale także uszczęśliwił. Clare miała wrodzone zdolności organizacyjne, okazała się też prawdziwym asem w namierzaniu źródeł wpływów. W ciągu niecałych dwóch tygodni nabrała takiej pewności siebie, że mogła przejąć większość czynności administracyjnych i księgowość, pozostawiając Novakowi przekonywanie przynajmniej kilku dawnych stałych klientów - dwóch adwokatów od spraw rozwodowych, jedną dużą agencję oraz Robina Allbeu-ry'ego - że znów złapał wiatr w żagle. Zapisawszy się do szkoły wieczorowej, Clare ukończyła kurs obsługi komputerów, księgowości i adiminstracji biznesowej. Lubiała się uczyć, cieszyło ją wykorzystywanie nowo nabytych umiejętności do reorganizacji agencji, dzięki czemu nie tylko udało się jej zmniejszyć koszty, ale po raz pierwszy uzyskać jakiś dochód. Nadal pełna entuzjazmu, namawiała także męża do podjęcia dodatkowych studiów, aby z czasem mógł zostać członkiem Stowarzyszenia Detektywów Brytyjskich.

- Prestiż i kontakty nie zaszkożą - przekonywała.

- Robin też tak mówi - przyznał Novak.
- No i świetnie. Skoro sam Robin tak mówi...
Nigdy jakoś nie mogła przekonać się do końca zarówno do samego Robina, jak do jego niezwykle, niekonwencjonalnych i na oko całkowicie altruistycznych poczynań. Czują, że gość ukrywa przed nimi swoje prawdziwe motywy. Jeśli nawet, powiedział jej Novak, to on jak dotąd ich nie odkrył, i szczerze mówiąc, nie miał ochoty na dalsze dociekania, dopóki Allbeury pomagał ludziom.
- Kobietom - sprostowała Clare.
- Dzięki niemu płacimy rachunki - wytknął jej mąż. Na to nie miała argumentu.
- I w dodatku uważa cię za nieprzeciętną osobę.
- Dlaczegoż to?
- Bo jest mądry - odparł Novak.

Dwa lata później ból ponownie ścisnął im serca, gdyż wy-tęsknione pierwsze dziecko umarło zaraz po przyjściu na świat. Clare, będąc sama w domu, brała kąpiel i straciła przytomność, zanim zdołała wezwać pomoc. Synek, który urodził się z przerażającą szybkością, miał kłopoty z oddychaniem i nie przeżył. Tragedia spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Przez tydzień po powrocie Clare ze szpitala żadne z nich nie ruszyło się z domu, nie mogli jeść ani spać. Robin Allbeury, zaniepokojony brakiem odpowiedzi na nadsyłane wiadomości, przyjechał w końcu sam i natychmiast wszystkim się zajął: robił zakupy, gotował, zawiadomił o nieszczęściu ojca Clare (choć Malcolm Killin sam w tym czasie chorował na zapalenie płuc i nie był w stanie pomóc), wreszcie razem z Novakiem zorganizował pogrzeb. Po makabrze śledztwa małżonkowie długo nie mogli się pozbierać. Zmusili się nawet do odwiedzenia

terapeutki, ale ta niewiele im pomogła. Ostatecznie najskuteczniejszymi lekarstwami okazały się praca i czas. Mijały miesiące i stopniowo odzyskiwali zapał do pracy w agencji, do budowania życia na nowo.

Ale nic już nie było takie samo, wszystko zatruwał smutek, żal i strach. Jeśli nawet coś ich rozśmieszyło, zaraz mieli wyrzuty sumienia, bo jak można się śmiać, skoro ich dziecko jest w grobie. Nawet kiedy się kochali, przywierali do siebie kurczowo jak broniący się przed zatonięciem pływacy, a na widok niemowlaka w wózku zazdrość po prostu zapierała im dech. Z czasem jednak i to minęło.

- Co byś powiedział - spytała Clare pewnego ranka, niecały rok po bolesnej stracie - gdybym podjęła znów pracę pielęgniarki? Nie na etacie, tylko dwa albo trzy wieczory w tygodniu.

Novak osłupiał.

- Nie przypuszczałem, że nawet myślisz o pielęgniarstwie.

- Bo nie myślałam, ale w zeszłym tygodniu zadzwoniła Maureen...

Maureen Donnelly, dawna koleżanka Clare, dwa lata wcześniej przeniosła się do szpitala Waltham General w Essex, aby być bliżej cierpiącego na chorobę Parkinsona ojca. Dawniej specjalnie uważała, aby w rozmowie nie poruszać zbyt często tematów zawodowych, ale ostatnio zauważyła, że Clare z wielką uwagą słucha nowinek z pogotowia i wręcz interesuje się przypadkami leczonymi na jej dawnym oddziale.

Jednym z takich pacjentów był Nick Parry, dwudziesto-ośmioletni paraplegik, który znalazł się w szpitalu po wypadku swojego specjalnie przystosowanego samochodu na obwodnicy północnej. Maureen polubiła go za niezwykle poczucie humoru i dzielność, z jaką znosił swoje

kalectwo, toteż gdy usłyszała, że jeden z jego ulubionych opiekunów ma być deportowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do Nowej Zelandii, obiecała mu rozejrzeć się za ewentualnym zastępstwem.

- Maureen uznała, że możemy się dogadać, więc postanowiłam go odwiedzić.

- Czemu nic mi nie powiedziałaś?

- Bo pomyślałam, że za bardzo się przejmiesz, jeśli to nie wypali, a jeśli wypali, to się zmartwisz.

- No i najwyraźniej wypaliło.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Popatrzył na nią przeciągle.

- Czy naprawdę tak mało mnie jeszcze znasz? Czy ja kiedykolwiek próbowałam powstrzymać cię od czegoś, na czym ci zależało? - Umilkł na chwilę, po czym szybko zadał jej pytanie, które samo mu się nasunęło: - Chcesz odejść z agencji?

- Ależ nie! Nigdy. To agencja mnie uzdrowiła. - I po chwili dodała: - I ty, oczywiście.

- Sama się uzdrowiłaś.

Pocałowała go wtedy; przysunęła się bardzo blisko i dotknęła delikatnie wargami jego ust.

- Jesteś najlepszy na świecie, Mike, wiesz? - Po prostu cię kocham.

5

- Więc co o tym sądzisz, Lizzie?

Był drugi poniedziałek marca - dwa dni po przyjęciu z okazji siódmych urodzin Sophie. Andrew France,

agent lizzie, zatelefonował do Marlow z wiadomością, że wydawnictwo Vicuna Press wystąpiło właśnie z bardzo interesującą ofertą w imieniu własnym oraz kanału Food and Drink. W związku z nową książką Lizzie oraz opartym na niej serialem telewizyjnym chcieliby - o ile Lizzie się zgodzi - wysłać ją w trasę po Europie, podczas której przygotowywałyby osobiście dania na podstawie swoich nowych przepisów.

- Co za cudowna propozycja! - Lizzie odchyliła się w skórzanym obrotowym krześle w swoim gabinecie. - Nie wierzę własnym uszom!

- Rzeczywiście zapowiada się to niezwykle ekscytująco - przyznał Andrew, wyraźnie usatysfakcjonowany jej reakcją.

- Ale chyba nie wyraziłeś jeszcze zgody?

- Oczywiście, że nie. - W tonie agenta pojawiła się nutka podejrzliwości. - Ale muszę przyznać, że uznałem sprawę za niemal przesadzoną. Przecież chcesz tego, Lizzie, prawda? Christopher sądził, że będziesz skakać pod sufit z radości.

Lizzie milczała przez chwilę.

- Kiedy rozmawiałeś o tym z Christopherem?

- Niecałe dwie godziny temu, kiedy ty byłaś jeszcze na szkolnej wycieczce. Wprawdzie prosiłem, żeby ci nic nie mówił, bo chciałem, żebyś dowiedziała się ode mnie, ale byłem pewien, że nie oprze się pokusie

- tłumaczył wyraźnie zdziwiony Andrew.

- Wezwano go do Londynu, zanim wróciłam. Pewnie gdzieś leży karteczka.

- Tak, to wyjaśnia sprawę.

- No więc co właściwie Christopher powiedział na tę ofertę?

- Niewiele, poza tym, że bardzo się cieszy ze względu na ciebie. Ale ty, jeśli wolno mi zauważyć, wcale nie wydajesz się zachwycona.

- Ależ jestem! - Lizzie postarała się o radość w głosie.

- Oczywiście, że jestem!
- Więc mogę to przyklepać? Zawahała się lekko.
- Daj mi trochę czasu, Andrew, dobrze? Nie chcę z marszu godzić się na tak wielkie, a w każdym razie czasochłonne przedsięwzięcie, muszę omówić to z całą rodziną. Mógłbyś postarać się o jakieś szczegóły? Na przykład kiedy, jak długo, w jakich krajach?
- Oczywiście, chociaż to kwestie podlegające dyskusji. Nikt nie oczekuje, że rzucisz wszystko i polecisz.
- Na to nie mogę sobie pozwolić.
- Tak, wiem. I Howard także wie.

Lizzie wiedziała, że Andrew ma rację co do Howarda Dunna, jej wydawcy, ale nie wiedziała, czy ludzie z telewizji też okażą się tacy wyrozumiali i życzliwi.

- Dobrze, że byłaś ostrożna, kochanie - powiedział jej Christopher po powrocie z Londynu, kiedy pili w salonie wieczornego drinka. - Chociaż spodziewam się, że raczej wyjdą ci naprzeciw. Przecież wyraźnie chcą cię zadowolić.

Dzieci leżały już w łóżkach. Lizzie była pewna, że Edward i Sophie śpią kamiennym snem, ale z Jackiem to mało prawdopodobne. Chłopiec często miał kłopoty z zasypianiem, ale radził sobie z nimi dzięki dwóm walkmanom - w jednym miał muzykę, w drugim audiobooki - musiał tylko założyć słuchawki i nacisnąć odpowiedni guzik.

Nie przepadał w tym czasie za ciągłymi nocnymi wizytami ojca albo matki.

- Jeśli będę miał jakieś problemy, dam wam znać.
- Vicunie rzeczywiście zależy na mojej satysfakcji - tłumaczyła teraz Christopherowi. - Ale w telewizji mają sztywne zasady. Muszą brać pod uwagę związki zawodowe, pogodę i tak dalej, a ode mnie

oczekują, że się dostosuję.

- I na pewno ci się uda, jak zawsze, kochanie.

Poradzisz sobie doskonale ze wszystkim.

~ * ~

Christopher, czarujący jak zawsze, służył zwykle żonie

co Lizzie była mu szczerze wdzięczna.

To właśnie wdzięczność odegrała główną rolę w pierwszym stadium ich znajomości i wpłynęła na dalszy jej rozwój. Trzydziestoparoletniej Angeli Piper zostały po wypadku samochodowym paskudne blizny na lewej piersi i brzuchu. Z początku lekarze musieli skupić się na utrzymaniu jej przy życiu, a potem nikt jakoś nie umiał postawić się w sytuacji ładnej brunetki, która okropnie przeżywała te skazy na urodzie. Nawet jej mąż Maurice za bardzo cieszył się, że nadal ma żonę, a jego dziewięcioletnia córka matkę, by przywiązywać wagę do jakiejś tam blizny. Ale Angela nie mogła się pogodzić z tym, co uważała za poważne oszpecenie, a ponieważ jednocześnie wstydziła się swej niewdzięczności, popadła w końcu w głęboką kliniczną depresję. Lizzie wyrastała w tym czasie na osamot-

nioną nastolatkę, która nie mogła się doczekać, kiedy uda się jej wyrwać z domu na uniwersytet.

Dziesięć lat później Maurice zmarł na atak serca i stan Angeli gwałtownie się pogorszył. Lizzie poczuła się w obowiązku porzucić studia oraz wolność, jaką cieszyła się w Sussex, i wrócić do domu. Ogarnęła ją fala zwątpienia -zamiast przyszłości miała przed sobą tuman gęstej mgły: koniec z nauką, przyjaciółmi, rozrywkami... Dopiero psycholog Angeli, Stuart Bride, zasugerował, że gdyby jakiś chirurg poprawił wygląd blizn, które uprzykrzały życie jego pacjentce, dałoby to lepszy skutek niż lata

terapii.

Christopher Wade - wysoki, imponujący, o rozwichrzonej blond czuprynie i przenikliwych szarych oczach za okrągłymi okularami w drucianych oprawkach, mężczyzna, który nosił kapelusze i zwykł uchylać ich przed paniami - zawojował dom Piperów porażającą dobrocią i po pewnym czasie przynajmniej częściowo uzdrowił Angelę. Działo się to na oczach Lizzie (wówczas młodszej o trzynaście lat), która była świadkiem zarówno jego delikatności, trzeźwego podejścia i zdolności, jak uroku osobistego. Toteż kiedy po drugiej pomyślnie zakończonej operacji chirurg zaprosił ją na lunch, zgodziła się z ogromną radością.

- Bądź ostrożna - ostrzegła ją matka.

- To tylko lunch.

- Nie ma „tylko”, gdy chodzi o przystojnego dojrzałego mężczyznę i śliczną niewinną dziewczynę.

- Nie tak znowu niewinną, mamó, i bynajmniej nie śliczną. - Lizzie nawet lubiła swoje niebieskie oczy i jasne włosy, ale nos wydawał się jej za ostry, a nogi zdecydowanie za krótkie. - Weź pod uwagę, z czym on się styka na co dzień.

- Z wybrakowanymi towarami - rzuciła lekko, lecz kąśliwie Angela. - Właśnie do tego przywykł.

Lizzie i Christopher pobrali się w następnym roku.

Świeżo upieczona mężatka wróciła na studia - tym razem na Lon-

don University. Pan młody, dumny i szczęśliwy, prosto z katedry St Paul zawiózł żonę do swego wielkiego mieszkania z wyjściem do ogrodu przy Holland Park, gdzie rozpoczęli nowe życie. Niemal niezmałowane szczęście trwało aż do ukończenia trzech lat przez ich pierwszego syna Edwarda. Drugi syn Jack miał wtedy zaledwie rok, rodzina zdażyła też dorobić się własnego domu, a jedyną skazą na

tym bliskim ideału życia Lizzie była wykryta u Edwarda alergią na psy i koty.

Inna - o wiele mniej przyjemna - strona natury jej męża, ta, z której Lizzie aż za dobrze zda sobie sprawę w miarę upływu czasu, objawiła się po raz pierwszy jako smuga ciemności, słaby, ostrzegawczy wyciek płynu hamulcowego, sygnał zbliżających się kłopotów.

Zdarzyło się to w lecie 1993 roku, w następstwie wieczoru, na którym celebrowano przyjęcie przez Vicune Press pierwszej książki Lizzie „Wyglupy w kuchni”, napisanej po kilku latach publikacji wyłącznie artykułów prasowych.

Christopher wrócił właśnie do domu z Londynu, wypompowany po wielogodzinnych operacjach w klinice Beauchamp (której był dyrektorem) i w szpitalu St Clare. Mimo to przywiózł z sobą bukiet białych róż, nie omieszkał też powiedzieć żonie, jak bardzo jest dumny z jej mądrości i jaką wspaniałą karierę ma jeszcze przed sobą. Nie bacząc na swoje zmęczenie, uparł się, by uczcili ten fakt kolacją w eleganckiej restauracji Bray, gdzie spędzili razem fantastyczny wieczór.

Okolo trzeciej nad ranem Christopher obudził Lizzie, zapalając nocną lampkę po swojej stronie łóżka, podciągnął jej koszulę i dotąd pieścił ją między udami, aż nabrał pewności, że jest całkowicie rozbudzona.

- Daj spokój, spać mi się chce - poskarżyła się, odsuwając jego rękę.

- Nie szkodzi - odparł i dalej robił swoje. Pierwszym zgrzytem był pocałunek - wyjątkowo brutalny, chociaż już po paru sekundach ta intensywność rozpałała w niej pożądanie i sama także zaczęła go całować.

- O Boże, Lizzie... - westchnął i natychmiast wszedł w nią z nieznaną jej dotąd brutalnością.

- Nie tak ostro, kochany - zaprotestowała po chwili.
- Cicho! - warknął, nie zwalniając tempa.

Lizzie powiedziała sobie później, że nic wielkiego się nie stało, ot, zwykły incydent, o którym postara się jak najszybciej zapomnieć. Po prostu jej mąż odrobinę (nie, wcale nie odrobinę) przesadził.

I ten ton: „Cicho!”. Nigdy tak do niej nie mówił.

Poruszyła tę sprawę rano przy śniadaniu:

- To w nocy było dość niezwykle, wiesz?
- Niezwykle? - powtórzył ze zdziwieniem.
- Nie chodzi o sam seks, było mi bardzo miło.
- Ja myślę.

- Tylko...

- Tylko co?

- Tylko trochę zbyt brutalnie.

- Przepraszam, Lizzie! Naprawdę mi przykro!

- Już dobrze, po prostu mnie zaskoczyłeś, i tyle.

Przez twarz Christophera przemknął cień... jakby rozczarowania?

- Miałem nadzieję... - zaczął i urwał.

- Na co?

- Nic, nic. Nieważne.

Sześć ksiązek i jedno dziecko później, kiedy Lizzie wciąż usiłowała się uporać z logistycznymi szczegółami na tyle, żeby móc przyjąć ofertę przedstawioną przez Andrew France'a (zawsze bardzo niechętnie rozstawała się z dziećmi nawet na krótko), Christopher najzwyczajniej w świecie uznał rzecz nie tylko za możliwą, ale wręcz nieuniknioną.

- Pojadę z tobą - obiecał. - Zabierzemy dzieci i Gilly.

- Jak to możliwe? - zdziwiła się Lizzie, mając na myśli jego codzienne obowiązki.

- Właściwie już wszystko zorganizowałem. - I dodał szybko na widok jej miny: - Oczywiście tylko teoretycznie. Przy założeniu, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Był przyjemny dzień jak na marzec. Siedzieli na ka-

miennym tarasie nad ogrodem w ciepłych swetrach i pili kawę.

- Po pierwsze - ciągnął - w mojej obecności nikt nie ośmieli ci się naprzykrzać z jakimiś szczególnymi żadaniami.

Było to tak oczywiste, że nawet jej przez myśl nie przeszło komentować.

- A poza tym będzie to fantastyczna wiadomość dla organizacji dobroczynnych. - Spojrzał na nią wyzywająco znad okularów. - Zwłaszcza jeśli rozważysz odstąpienie im części tantiem.

- Co? - zdumiała się Lizzie.

- Co? - zdumiała się Lizzie.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, prawda, kochanie? Dalia wpadła w zachwyt, kiedy wspomniałem jej o tej możliwości.

Jeśli istniał jakiś sposób na wytoczenie z kamienia nie tyle krwi, ile gotówki, to Dalia Weinberg, jeden z filarów kwatery głównej organizacji HANDS przy Regent Street, nadawała się do tego jak nikt na świecie. Miała około sześćdziesięciu lat, ale nie mniej energii i entuzjazmu niż osoba o połowę młodsza.

- Powiedziałeś już Dalii? Bez porozumienia ze mną?

- Przepraszam, poniosło mnie. - Umilkł na chwilę. - Nie musisz się zgadzać na tę darowiznę, to tylko pomysł.

- Postąpiłabym po świńsku, gdybym się teraz wycofała, nie sądzisz?

- Niekoniecznie.

- Hm. - Lizzie obserwowała parę wróbli w ptasiej waniencie Sophie parę kroków dalej.

- Abstrahując od HANDS, twoja zgoda na to przedsięwzięcie miałaby jeszcze jeden wielki plus. Zwłaszcza z mojego punktu widzenia. - To znaczy? - My.

Lizzie nie odpowiedziała, chociaż treść ukryta za tym

pojedynczym słowem dosłownie ją zmroziła. Bo mimo niewątpliwie szczerych motywów Christophera wyczuwała ja-

kiś fałsz w wykorzystywaniu darowizny dla HANDS jako pretekstu do rodzinnej podróży. A jego wcześniejsza rozmowa na ten temat z Dalią po prostu odcinała jej jakąkolwiek drogę odwrotu. Faktem jest, że pewnie tak właśnie by postąpiła. Poprosiłaby Andrew, aby powiedział w jej imieniu Howardowi Dunnowi i ludziom z Food and Drink, że jest jej przykro,

ale absolutnie nie da rady wybrać się w tę trasę. A teraz już na to za późno. Lizzie wcale by się nie zdziwiła, gdyby Christopher zasugerował Dalii, że nie zaszkodo-

dziłby mały przeciek do prasy na temat owego przedsię-wzięcia - to całkiem w jego stylu, kiedy mu na czymś naprawdę zależy. Dlatego zresztą odnosił takie sukcesy -determinacja w połączeniu z pewną dozą bezwzględności, dobrze ukrytą pod płaszczkiem czarujących manier i galanterii, działała cuda.

Teraz więc nie tylko Dalia, ale także Vicuna i ludzie z telewizji będą mieli dodatkowy powód do radości: zrzeczenie się części tantiem oznacza bowiem większą przychylność prasy i innych mediów.

Wkrótce dzieci oraz Gilly ogarnie fala podniecenia. Może nawet Angela, która niedawno zaręczyła się z Williamem Archerem, emerytowanym maklerem giełdowym, zechce przyłączyć się do nich na którymś etapie podróży. Liz-zie przypuszczała, że Andrew spróbuje zdobyć dla nich stół w The Ivy albo The Caprice, żeby mogli to należycie uczcić.

Ale zamiast o rozkoszach podróży, o nowych wyzwaniach związanych z twórczością, komplementach, którymi zasypały ją wydawnictwo Vicuna i kanał Food and Drink, Lizzie była w stanie myśleć tylko o

pułapce, jaką stanowiły dla niej te wszystkie hotelowe apartamenty, ciągły nadzór męża, otoczenie rodziny, a to wszystko pod taksującym wzrokiem kolegów.

O tak, to naprawdę ją przerażało.

Dawno nie czuła się tak osaczona.

6

W słoneczne kwietniowe popołudnie pod koniec lat dziewięćdziesiątych Joanne Patston - do niedawna asystentka w dziale obsługi klienta Savers Mutual Building Society* - oraz jej mąż Tony, mechanik, a zarazem właściciel jednoosobowego warsztatu samochodowego w okolicach Walthamstow, przywieźli do swego szeregowca w Clingford Hatch nową córeczkę.

Miała na imię Irina i była trzymiesięczną rumuńską sierotą. Przybycie do domu maleństwa celebrowali wspólnie uszczęśliwieni przybrani rodzice, najbliżsi sąsiedzi Paul i Nicola Georgiou oraz rozpromieniona świeża babcia, Sandra Finch.

- Czy widzieliście kiedy śliczniejszą kruszynę? - szcze biotała Sandra zza pleców córki, która kołysała Irinę w ramionach. - Oczka ma jak czarne wisienki!

- Nawet ciemniejsze od moich - zauważył Paul Georgiou.

- I co za inteligentne spojrzenie! - zachwycał się Tony Patston.

- Jakie maciupieńkie rączki - dziwiła się Joannę.
- I delikatne paluszki - wtórował jej Tony. Irina wierzgała nóżkami w pantofelkach.

** Rodzaj spółdzielni budowlanej.*

- Może zostanie baletnicą? - zastanawiał się świeżo upieczony ojciec.
- Albo piłkarką - zażartował Paul.
- Tony, któremu Joannę powiedziała kiedyś - patrząc zakochanymi oczami - że jest podobny do Willa Carlinga*, rzucił swemu sąsiadowi nieprzychylnie spojrzenie, dopił szampana, po czym wyciągnął z kupionego w Ikei bufetu puszkę piwa Fosters.
- Nie obchodzi mnie, co Irina robi - oświadczyła Joannę - dopóki jest zdrowa i szczęśliwa.
- No pewnie - poparła ją Nicola.
- Aż mi się wierzyć nie chce - westchnęła Sandra. - Moja pierwsza wnuczka! - Pogłaskała Irinę po ciemnych włoskach. - Joannę, tak się cieszę twoim szczęściem!
- A co ze mną? - upomniał się Tony. - Chyba mam z tym coś wspólnego?
- Oczywiście, że tak - zapewniła go teściowa. - Cieszę się za was oboje.
- To może wzniesiemy toast? - zaproponował Paul, podnosząc szklankę z piwem.
- Tony? - Joannę przynagliła męża wzrokiem.
- Daj mi ją. - Tony odstawił piwo i wyciągnął ręce po dziecko.
- Podtrzymuj główkę - przypomniała odruchowo Nicola.
- On wie - powiedziała Joannę.
- Oczywiście, że wiem. Ćwiczyłem dostatecznie długo.
- Toast - powtórzył Paul. Tony odchrząknął.
- Za naszą córkę! - Głos łamał mu się z emocji.

- Doprawdy? - mruknął Paul, ale Tony udał, że nie słyszy.
- Kosztowało nas to wiele czasu i mnóstwo kłopotów.

** Znany angielski rugbista.*

A jednak „kłopot” to raczej nie jest właściwe słowo, prawda, Jo?

Joannę pokręciła w milczeniu głową, bo czuła wzbierające łzy.

- Nic na świecie nie liczy się bardziej niż ta chwila, w której mogliśmy przywieźć naszą kruszynę do jej własnego domu, gdzie od dziś jest jej miejsce. -

Umilkł i nabrał tchu. - Za naszą Irinę!

Owszem, złamali prawo nie tylko swojego kraju, ale również ojczyzny Iriny. Złamali też bezsprzecznie stosowne przepisy prawa międzynarodowego, ale dawno przestali się tym przejmować. Dbali tylko o to, by ich nie nakryto i by móc wychowywać Irinę jak własne dziecko. Do diabła z prawem.

Motywacje Joannę były jasne. Od lat marzyła o macierzyństwie, które udaremniała bezpłodność męża, i doszła

już do takiego stadium rozpacz, że zrobiłaby niemal wszystko. Z Tonym sprawa nie wyglądała tak prosto. Mimo zapewnień Joannę, że nie ma w tym jego winy, miał do siebie pretensje o to, co uważał za defekt, a rozpacz żony napawała go ciągłym poczuciem winy. Pomysł skorzystania z banku nasienia uznał za obraźliwy, a kiedy w końcu, po długiej walce wewnętrznej, zgodził się na adopcję, zbiły go z tropu dociekliwość i obcesowość pytań natury osobistej, jakimi zasypały ich władze.

- Nigdy nie pozwolą nam na adopcję - powiedział głucho żonie po kolejnym spotkaniu. - Niech no tylko dorwą moją kartotekę...

- Ale to przecież było wieki temu!

- Thukłem ludzi po pijaku - przypomniał jej zadziwiająco zgodnie z prawdą Tony.

- Mnie nigdy nie uderzyłeś.

- I pewnie byłbym cholernie dobrym ojcem. Ale ta kartoteka...

- A może po prostu uprzedźmy pytanie i sami im powiedzmy - zaproponowała Joannę. - Zanim się do tego do-kopią. Możemy śmiało ich poinformować, że od lat nie tknąłeś alkoholu.

- To byłoby kłamstwo.

- Nie przeszkadza mi to.

- Mnie także - przyznał Tony - ale wystarczy, że pofatygują się Pod Koronę i Kotwicę i zaczną węszyć. W końcu dali za wygraną, ale kilka miesięcy później widzieli w telewizji powtórkę programu o losie rumuńskich sierot po rządach Ceausescu. Już w trakcie oglądania Joannę zaskoczył fakt, że Tony nie tylko nie zmienił kanału, ale nawet nie wstał po piwo.

Dopiero po zakończeniu otworzył puszkę, wypił wszystko duszkiem, a potem usiadł na sofie obok Joannę i wziął ją za rękę.

- Dlaczego nie my? - spytał.

- My - co?

- To. - Wskazał jej głową telewizor. - To jest właśnie coś dla nas. Wreszcie mogłabyś mieć to, o czym marzysz najbardziej na świecie. I ja także.

- Ale te wszystkie formalności, uzgodnienia i w ogóle... Przecież nie znosisz tego.

- Tym razem może być inaczej. Pomogliśmy jednemu z tych maluszków, wyrwalibyśmy go z tego pieprzonego koszmaru. Może tam na miejscu nie byłiby tacy cholernie wybredni.

- Sama nie wiem...

- Pomyśl o tym, kochanie. Mielibyśmy własne dziecko. Pomogliśmy. - Umilkł na chwilę. - Może wreszcie poczułbym się znowu prawdziwym facetem.

- Zawsze nim byłeś - zauważyła miękko Joannę.

~*~

Możliwości zaczęła szukać już następnego dnia podczas przerwy na lunch w bibliotece obok swojej pracy i natych-

miast odkryła (łatwość, z jaką to nastąpiło, wskazywała wyraźnie na słusność tego, co później powiedział Tony: że chyba jakieś fatum kazało im obejrzeć tamten program) Międzykontynentalną Linie Pomocy Adopcyjnej.

- tylko uważaj z nimi. - Tony wolał zachować ostrożność. - Powiedz, że na razie chcesz zadać kilka pytań... - Urwał na widok jej miny. - O co chodzi? - O nic - spłoszyła się Joannę. - Chociaż... mówiłeś o mnie, nie o nas obojgu.

- Bo w tej sprawie ty rządysz - wyjaśnił Tony z uśmiechem. - Przynajmniej na razie. Chyba to nie przekracza twoich możliwości?

- Oczywiście, że nie.

Wzięła go za słowo. Zaczęła stawiać pytania, uzyskiwać więcej odpowiedzi i pomocy, niż mogła oczekiwać, chociaż każdej wiadomości towarzyszył istny zalew materiałów informacyjnych.

- Tyle tego czytania... - poskarżyła się kiedyś w weekend Tony'emu.

Zerknął na stosy ulotek, fotokopii i wydruków komputerowych zdobytych przez Joannę podczas przerw w pracy w kafejce internetowej.

- Nie dam rady tej makulaturze.

- To nie makulatura, tylko nasza droga do rodzicielstwa.

Roześmiał się na te słowa i powiedział jej, że gada, jakby połknęła którąś z tych książek, które ciągle wertuje.

- A mnie interesuje tylko ostatnia linijka.

Tak więc Joannę robiła dalej swoje, dopóki nie uzyskała odpowiedzi na wszystkie wstępne pytania. Kiedy głowę miała już nabitą do granic możliwości setkami szczegółów na temat praktycznych i etycznych aspektów „międzypaństwowej” adopcji, tysiącami faktów, ostrzeżeń przed ewentualnymi konfliktami i wpadkami, nadszedł czas ostatecznej decyzji.

Trzeba było wypełnić formularze.

- No nie! - zaprotestował Tony. - Mamy znów przechodzić przez to samo?

- Musimy, Tony. To oczywiste.

- Dla mnie oczywiste jest tylko to, że będziemy świetnymi rodzicami.

- Ale musimy jeszcze przekonać o tym władze - zauważyła.

- A wtedy dokopią się znów do mojej kartoteki i wrócimy na zasrane pierwsze pole. - Tony poczerwieniał na twarzy. - Myślałem, że wyraziłem się jasno, Jo. Jesteśmy gotowi pomóc jakiemuś nieszczęsnemu dzieciaczekowi z przeklętego przez Boga kraju, i koniec na tym.

- To nie jest takie proste. - Joannę z trudem wstrzymywała łzy.

- Musi być proste. Albo nie będzie dzieciaka. - Wstał, jeszcze bardziej czerwony, i spojrzał na nią twardo. - Ty tego chciałaś, więc ty masz znaleźć sposób. - Szedł do kuchni, ale w połowie drogi jeszcze się obejrzał. - Poszukaj w Internecie. Znajdź kogoś, kto zrozumie, czego chcemy. Powiedz... - zawahał się lekko. - Powiedz, jeśli chcesz, że jesteśmy gotowi zapłacić.

- Zapłacić? - zdumiała się Joannę. - Za dziecko? To makabra!

- Jeśli podziała, to nie żadna makabra.

- Nie mamy tyle pieniędzy. - Joannę nie wierzyła własnym uszom.

- Dowiedz się, ile to kosztuje. - Tony otwierał już drzwi. - Jeśli nie za dużo, to zapłacę. Nie jestem nędzarzem, Jo.
- Wiem, ale...
- Dowiedz się, Joannę. Albo daj sobie spokój.

Mało brakowało, a poddałaby się wtedy, ale nagle trafiła na stronę, która doprowadziła ją do „kogoś”, kogo Tony tak beztrąsko kazał jej wyszukać. Pewien „praktyk adopcyjny” utrzymywał, że ma legalne powiązania z agencjami na trzech kontynentach i specjalizuje się w pomocy małżeństwom odrzuconym przez system z racji wieku, klasy czy innych bezsensownych i często nieistotnych powodów.

Za łatwe, pomyślała Joannę, starając się zbytnio nie podniecać, ale wstukała adres ze strony. Obiecała sobie solennie, że tylko umoczy stopy w tej wodzie. „Woda” okazała się ciepła, a objawiła się w postaci skandynawskiej lekarki, sympatycznej okularnicy w średnim wieku. Marie Jenssen powiedziała Joannę, że kieruje „naborem” do Wielkiej Brytanii z ramienia międzynarodowego sztabu ludzi i zależy jej tylko na tym, aby zadośćuczynić potrzebie ich serc, a zarazem ofiarować dziecku w potrzebie nowe życie. Doktor Jenssen nie urządzała żadnych długich przesłuchań, a wypełnianie formularzy ograniczyła do niezbędnego minimum. Wystarczyło jedno spotkanie w kawiarni hotelu w okolicach Russel Square, dwustronna umowa, no i kasa - suma tak zatrważająco wielka, że Joanne wciąż się obawiała, co jej mąż na to powie.

Ale w końcu znaleziono im dziecko.

Irina Camelia Karolyi. Pięciotygodniowa sierota z domu dziecka w Bukareszcie. Bez krewnych, bez perspektyw, bez nadziei na przyszłość.

- Jaka śliczna! - westchnęła Joanne, wpatrując się w przysłaną przez doktor Jenssen fotografię malutkiej dziewczynki o wielkich czarnych oczach. Wyglądała tak, jakby naprawdę uśmiechała się ze swego łóżeczka.

- Jest cudowna - orzekł Tony. - Naprawdę mógłbym ją pokochać, wiesz?

Od tej chwili stał się tak samo niezmordowany jak Joanne. Podczas gdy ona przygotowywała Sandrę, sąsiadów, nieliczne grono przyjaciół i swoje środowisko w pracy na pojawienie się w ich życiu adoptowanego dziecka, zatrzy-

mując przy sobie prawdę na ten temat, Tony pracował jak wariat w Patston Motors, uzupełniając płynące szeroką rzeką dostawy gotówki, nawet jeśli charakter tego, za co płacił, stał się dość niejasny.

- Powinieneś zmusić ją, żeby wystawiła dokładny rachunek - powiedziała Joanne, kiedy wręczył Marie Jenssen kolejne pięćset funtów.

- Dobrze wiesz, że się na to nie zgodzi. Chyba poznałaś zasady gry.

Rzeczywiście poznała i przerażały ją jeszcze bardziej niż kolosalne koszty. „Gra”, jak określił to Tony, polegała na nielegalnej adopcji. Pieniądze, jak obawiała się Joanne, szły na kupowanie wiz, łapówki dla urzędników cholera wie jakich krajów. Czytała o nielegalnym handlu dziećmi i słabo jej się robiło na myśl, że ktoś może być tak zły albo tak zrozpaczony, aby sprzedawać własne dziecko, a cóż dopiero je kupować.

- Myślisz, że naprawdę jesteśmy tacy podli? - spytała Tony'ego pewnej nocy.

- Nie, ani trochę. - Rozgniewało go samo podejrzenie.

- My to dziecko ratujemy, rozumiesz?

Wszelkie wątpliwości rozwiały się w jednej chwili, gdy w ostatni piątek kwietnia na dworcu King's Cross zobaczyli Marie Jenssen z Iriną na ręku.

Wprawdzie Joanne przeżyła chwilę grozy, wyobrażając sobie brygadę policyjną rzucającą się na nich, gdy tylko lekarka przekaże im dziecko, ale nic takiego nie nastąpiło.

Nie było żadnej policji, tylko malutka trzymiesięczna dziewczynka z ogromnymi oczami, które z wielką uwagą przyglądały się nowym rodzicom.

- Witaj, księżniczko - powiedział miękko Tony.

Joanne wstrzymała oddech, a Irina się uśmiechnęła.

- Szczęśliwa? - spytała ją Marie Jensen.

- Brak mi słów - odparła zduszonym głosem.

- A ty, Tony?

- Tak samo. Aż trudno uwierzyć.

- A jednak to prawda.

Chwilę później zaczęła się żegnać, wprawiając tym Joannę w panikę.

- Muszę wiedzieć o niej coś więcej - prosiła.

- Wiesz wszystko, co trzeba - przekonywała ją Marie.

- W tego rodzaju adopcjach tak to wygląda. Zresztą dla dobra wszystkich.

- Marie ma rację, kochanie - poparł ją Tony. - Teraz Irina jest nasza i to nam powinno wystarczyć.

- A jeśli zachoruje? - Dziecko w jej ramionach poruszyło się niespokojnie. - Przecież musimy mieć możliwość dotarcia do historii jej rodziny...

Ale знаła odpowiedź, bo poruszała ten temat już wcześniej.

- Irina jest zdrowym dzieckiem - zapewniła ją lekarka. - Waszym dzieckiem, jak zauważył Tony.

Joannę pochyliła głowę i zamknawszy oczy, chłonęła zapach swojej nowej córeczki.

Kiedy je otworzyła, Marie Jensen już nie było.

7

Helen Shipley, trzydziestotrzyletnia detektyw inspektor z AMIT NW, aktualnie na kacu, odbierała właśnie rzeczy z pralni chemicznej w czasie przerwy na lunch, kiedy odezwał się sygnał jej pagera. Godzinę po odnalezieniu ciała na działce, walcząc z falą mdłości, obrzuciła długim spojrzeniem to, co leżało pod białym namiotem, razem ze swym szefem, nadinspektorem Trevorem Kirbym. Wkrótce przyłączyła się do nich Stephanie Patel, dyżurna patolożka z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. niecałych trzech godzinach na miejscu był już John Rolsover, asystent menedżera supermarketu, który ponad tydzień wcześniej zgłosił zaginięcie żony, a teraz miał pomóc w identyfikacji zwłok. Chociaż wydawał się pogrążony w bólu i zrozpaczony losem dzieci, szybko został głównym podejrzanym, ponieważ zarówno siostra, jak i sąsiadka Lyn-ne oskarżyły go o regularne znęcanie się nad żoną. Załamana i podobnie jak siostra zależna od męża, Pam Wakefield zeznała, że Lynne od czasu do czasu zbierała się na odwagę, by mu się sprzeciwić, ale wszystko kończyło się, gdy zaczynał krzyczeć i okładać ją pięściami.

- Pam, o czym pani właściwie mówi? - spytała Helen Shipley zdruzgotaną kobietę w jej salonie.

- Czy to nie oczywiste?

- Muszę usłyszeć to od pani.

- Mówię, że prawdopodobnie tym razem posunął się za daleko. - Pam Wakefield, nie kryjąc łez, patrzyła prosto w szare oczy krótko ostrzyżonej policjantki. -

Mówię, że John Bolsover - nazwisko szwagra w jej ustach zabrzmiało jak coś trującego -

prawdopodobnie rozwalił mojej siostrze głowę, a

potem ukrył ją na tej działce pod stertą worków.
Prawdopodobnie. Wolne żarty.

- Przyduś tego cwaniaczka - powiedział Helen nadinspektor Kirby, krępy, siwowłosy kawaler z Wolverhampton.

Łatwo powiedzieć. Jak dotąd Bolsover nawet nie drgnął, a co dopiero mówić o przyznaniu się do winy. Po trzech długich przesłuchaniach w obskurnym ceglany budynku nieopodal Claris Green, gdzie mieściła się tymczasowa siedziba AMIT NW (siedziba ta, podobnie jak sama jednostka, była tymczasowa, niemniej po upływie roku czuli się tam coraz bardziej u siebie), adwokat

podejrzanego nalegał, aby jego klientowi albo przedstawiono zarzuty, albo puszczono go do domu, by wraz z rodziną mógł przeżywać żałobę.

- Wciąż tkwimy w martwym punkcie - oznajmiła Shipley ekipie, kiedy po pięciu dniach śledztwa zebrali się na naradzie. - Kazali mi albo się zesrać, albo zejść z nocnika, a tu, kurna, ani cienia dowodu. Brak świadków, brak konkretów z sądówki, brak narzędzia zbrodni, dosłownie nic.

Denatce wymierzono trzy potężne ciosy, ale doktor Pa-tel poinformowała Shipley, że już pierwszy mógł spowodować śmierć, a pozostałe mogły być zadane w ataku furii. Zdaniem patolożki, narzędziem zbrodni był prawdopodobnie niewielki kamień z ogrodu czy parku, znaleziony w pobliżu miejsca, gdzie ukryto zwłoki, ale poszukiwanie odcisków palców nie wykazało nic oprócz zamazanych śladów na potłuczonych butelkach po piwie. Działkę zaśmiecały poza tym puszki po napojach, zmięte opakowania po chrupkach, kilka zużytych strzykawek, nawet odciski butów okazały się nieprzydatne.

Było tego do diabła i trochę. Mimo tak silnych podej-

rzeń przeszukanie domu Bolsovera, jego hondy, biurka i skrytki okazało się bezowocne. A ponieważ od śmierci Lynne do odkrycia jej ciała upłynęło sporo czasu, szanse na zebranie potencjalnie obciążających śladów z odzieży czy ciała Bolsovera zniknęły, zanim jeszcze Shipley ze swą ekipą po raz pierwszy mu o tym wspomniała.

- Od najbliższych sąsiadów też nic jak dotąd - rzekł komisarz Geoff Gregory.

- I nikt nie udowodnił, że Bolsovera nie było w domu - dodała konstabl Ally King, ładna brunetka, dokooptowana z Oddziału Dochodzeń Kryminalnych (CID).

W czasie morderstwa Lynne (wtorek, kiedy dzieci były w szkole) jej mąż, na zwolnieniu z powodu bólu krzyża, rzekomo drzemał w domu przed telewizorem i nawet Valerie Golding, która przyznała, że nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności, jak zdyskredytowanie bajeczki są-

siada, nie mogła temu zaprzeczyć, ponieważ sama większość tego dnia spędziła w Bent Cross.

Shipley westchnęła ciężko i po raz setny przyjrzała się tablicy, z której bił w oczy brak alternatywnych podejrzanych. Nie ujawniono żadnych kochanków - ani po stronie Johna, ani Lynne. Nikogo, kto miałby do Lynne poważne pretensje. Nie było śladu zatargu z rodzicami innych dzieci ze szkoły, żadnych skarg, że ktoś ją śledzi, żadnych włamań do domu.

Nikt też nie donosił o kłótni małżonków w dniu poprzedzającym zbrodnię. Zresztą nawet gdyby sąsiedzi słyszeli jakieś krzyki, nie byłby to żaden dowód przeciwko Johnowi Bolsoverowi w sprawie o morderstwo.

Z fotografii uśmiechała się do mej Lynne.

Inna twarz, koszmarna w swej krwawej śmiertelnej masce, to też ona.

Lynne Frances Bolsover, lat dwadzieścia dziewięć.

Matka dwojga małych dzieci.

Zgłodzona przez osobę lub osoby nieznane.

- Ale przecież i tak wiemy, że to on, prawda? -
spytała Ally King.

- Gównu wiemy, Ally - odparta inspektor Shipley.

Komisarz Gregory, osobnik w średnim wieku z
nadwagą, wstał.

- W takim razie lepiej tam wróćmy i poszukajmy czegoś,
żeby dorwać skurwiela.

- Im prędzej, tym lepiej - zgodziła się Shipley.

8

Przez pierwszych kilka miesięcy w nowym domu Irina zadziwiająco dużo się uśmiechała i prawie nigdy nie płakała. Później jednak, jakby dotąd nie zdawała sobie sprawy, że ma prawo żądać czegoś od życia, zaczęła nie tyle płaczem, ile dzikim wrzaskiem domagać się, by ją nakarmiono, zmieniono pieluszkę czy wzięto na ręce.

- Nie możesz zrobić czegoś, żeby przestała? - spytał Tony żonę.

- Oczywiście, że nie - odparła z roztargnieniem Joannę. - Gdybym potrafiła, toby już nie płakała, prawda? - I przyjrząwszy się zaczerwienionym policzkom córeczki,

dodała: - Zaczynam się o nią martwić, wiesz? Trzeba ją za-brać do lekarza.

- Myślałem, że jeszcze zaczekamy?

Wcześniej uzgodnili, że z wyjątkiem normalnych przeglądów i szczepień u rejonowego lekarza

rodzinnego, będą raczej korzystać z usług prywatnego pediatry, niż ryzykować z państwową służbą zdrowia. W porównaniu z tym, co już musiał wybulić, jeden rachunek więcej nie zrobi różnicy, oświadczył Tony beztrasko.

Ale jak przyszło co do czego, nie był już taki przekonany.

- Nie przesadzaj, Jo.
- Przecież nie będziemy jej narażać.
- Mówiłaś, że nie ma temperatury?
- Jest bardzo ciepła.
- Jakbyś ty się tak darła, też byłoby ci ciepło.
- Nie drze się tak sobie. Coś jej przeszkadza.
- Może ty?
- Jaaa?

Tony spojrział w pełne strachu oczy żony.

- Hmm. No dobrze.
- Do prywatnego? - spytała z nadzieją Joanna.
- Jasne, czemu nie? - I po chwili dodał: - Ten jeden raz, okej?
- Oczywiście.

W tej chwili zgodziłaby się na wszystko. Koszmarny dźwięk dziecięcego płaczu przewiercał jej głowę na wylot, a przy tym miała wrażenie, jakby małe ciało sztywniało przy każdym jęku. Wiedziała, że Tony nie mówił serio i jeśli będzie potrzebna jeszcze jedna wizyta, na pewno nie będzie chciał narażać zdrowia córki.

Zdaniem doktor Anny Mellor z Wimpole Street, Irina cieszyła się doskonałym zdrowiem.

- Śliczna dziewczynka - oznajmiła lekarka po gruntownym badaniu, przy którym Irina zademonstrowała siłę swoich płuc. - Mocne struny głosowe, owszem - tu uśmiechnęła się promiennie. - Ale taka widać jej natura.
- Chce pani powiedzieć, że ona dalej będzie tak krzy-

cześć?

Anna Mellor mrugnęła do Joannę.

- Szok dla tatusia, co?

- Jeszcze parę tygodni temu była taka cichutka - usprawiedliwiała męża Joannę.

- Może dopiero teraz odkryła, że ma głos - zażartowała lekarka. - Tak czy inaczej, nie widzę tu żadnych problemów zdrowotnych, a chyba o to przede wszystkim wam chodzi

- To cudownie - ucieszyła się Joannę, której kamień spadł z serca.

Jak na dany znak Irina znów się rozkrzyczała.

- Wyrośnie z tego, prawda, pani doktor? - dopytywał się Tony.

- Oczywiście, że wyrośnie - zapewniła go lekarka. - Już niedługo. - Uśmiechnęła się do Iriny i wstała. - Najwyraźniej wasza córeczka ma dobry, silny charakter.

- To super - rzekł Tony.

- Niech się pan rozchmurzy, panie Patston. Na pewno pan przywyknie.

Podbudowana zapewnieniami lekarki, Joannę zaczęła lepiej sobie radzić z krzykami Iriny. W końcu na tym właśnie polega macierzyństwo, to jego integralna część, coś, za czym tak długo tęskniła.

- Nie zniosę tego dłużej - powiedział Tony dwa tygodnie po wizycie u doktor Mellor, wchodząc do dziecinnego pokoju.

- Zaraz przestanie. - Joannę siedziała w bujanym fotelu, który podarowała jej matka, i kołysała małą.

- Nie, Jo, ja mówię serio. Nie zniosę tych cholernych wrzasków ani sekundy dłużej.

Podniosła na niego zaskoczony wzrok.

- Spokojnie, Tony.

- Po prostu łeb mi pęka. - Przyłożył dłonie do skroni,

chodząc tam i z powrotem. - W życiu nie słyszałem, żeby jakiś dzieciak tak się wydzierał. To nie jest normalne.

- Oczywiście, że ona jest normalna! - Joannę poczuła się w obowiązku bronić małej. - A jeśli dotąd nie słyszałeś, to dlatego, że nigdy nie mieszkałeś z niemowlakiem.

- I chyba wolałbym, żeby tak zostało! - Tony wyszedł ciężkim krokiem z pokoju.

To był zaledwie początek. Wycie Iriny, jak utrzymywał jej ojciec, świdrowało mu uszy i rozsadzało czaszkę, więc w miarę upływu czasu, gdy tylko dziecko zaczynało płakać, Tony zostawiał je całkowicie pod opieką Joannę. Jeśli działo się to w nocy, zatykał sobie uszy watą, naciągał po-duszkę na głowę i wysyłał żonę, by małą uciszyła. Wieczorami i w weekendy wychodził do ogrodu, do Paula albo, co gorsza, do pubu Pod Koroną i Kotwicą.

- Nie możesz wychodzić za każdym razem, gdy dziecko zapłacze - upominała go Joannę.

- Nie? Zobaczymy - odgryzał się i zniknął.

W pewien niedzielny poranek w końcu sierpnia Irina rozkrzyczała się w chwili, gdy jej matka ledwie zdążyła wejść do wanny.

- Joanne! - ryknął z dołu Tony.

Już miała wstać, ale po namyśle zmieniła zdanie i wyciągnęła się wygodnie, zamykając oczy. Może to błąd, że biegnie do dziecka na każdy krzyk, może powinna dać To-ny'emu szansę, by naprawdę poczuł się ojcem.

Irina nie przestawała płakać.

- Joanne!

- Jestem w kąpielni! - zawołała, otwierając oczy.

- Kurwa mać!

Wrzaski stawały się coraz głośniejsze. Na schodach rozległy się kroki Tony'ego, więc Joannę wzięła

mydło i starała się rozluźnić.

Krzyk przeszedł teraz w rozpaczliwy pisk. Joannę odłożyła mydło.

- Tony?

Krzyk wzniósł się do granic hysterii.

- O mój Boże!

Joannę wyskoczyła z wanny, wychlapując potoki wody, porwała ręcznik i pobiegła do dzieciennego pokoju. Tony stał z dzieckiem na rękach. Potrząsał Iriną!

- Tony! - Nie bacząc na ręcznik, który opadł na podłogę, wyrwała mężowi małą i spojrzała na jego czerwoną ze złości twarz. - Co ty robisz?! - Przytuliła mocno córeczkę, czując, jak przywiera do niej całym rozedrganym ciał-

kiem. Małe ramionka ześlizgiwały się z jej mokrej skóry. - Co chciałeś zrobić?

- Chciałem, żeby się zamknęła. Po prostu.

- Potrząsałeś nią! To niebezpieczne, przecież wiesz o tym!

- Nie przychodziłaś - wyjaśnił - więc musiałem coś zrobić.

~*~

Od tej pory, im bardziej Tony się niecierpliwił, tym głośniejsze Irina zawodziła, gdy choćby zbliżył się do niej. Czując się pokrzywdzony, albo w ogóle nie reagował na jej płacz, albo brał ją na ręce ze złością, co tylko bardziej małą denerwowało.

- Nie jest już wcale taka ładna, jak na początku - narzekał.

- Dla mnie jest piękna.

- Ani taka bystra.

- Tylko dlatego, że płacze? To nie ma żadnego znaczenia.

- Mam nadzieję, że ta baba Jenssen nie wrobiła nas

w jakąś debilkę.

- To nie jest używany samochód, tylko nasza córka - zaprotestowała Joannę. - i jeśli będzie miała jakieś problemy, to tym mocniej będę ją kochać.

- Romantyczka się znalazła!

- Jestem matką.

- Ale nieprawdziwą.

Przez cały pierwszy rok macierzyństwa Joannę najbardziej się obawiała, że Tony zechce się pozbyć Iriny. Pocieszała się wprawdzie, że jest to niewykonalne, ale jednocześnie postanowiła otoczyć dziecko jak najlepszą opieką, aby nie prowokować męża, a już na pewno nie zostawiać go ani na chwilę sam na sam z córką. Wystarczyło, że Irina zakwiliła, a Joanne natychmiast pędziła na pomoc. Jeśli musiała gdzieś wyjść bez małej, zostawiała ją u matki w Edmonton.

W godzinach pracy Tony'ego w Patston Motors Joanne spędzała miło czas z Iriną, podobnie jak wieczorami, kiedy to jej mąż coraz częściej przesiadywał Pod Koroną i Kotwicą. Niestety, alkohol zawsze podsycił jego agresję i Joanne z czasem zaczęła bać się jego powrotów z pubu. Te stany napięcia przechodziły na Irinę, dlatego nieodmiennie na trzask frontowych drzwi, zwiastujący powrót ojca, dziecko uderzało w płacz.

Kiedy Tony po raz pierwszy Irinę uderzył (trzy dni po jej pierwszych urodzinach, dniu, w którym dał jej zakupione osobiście prezenty i zajmował się nią jak każdy kochający tatuś), rozplakał się sam z upokorzenia, przysięgając, że nigdy więcej nie zrobi czegoś tak okropnego. Ale krzyki córeczki wzniosły się wkrótce na taki poziom, że złość wróciła.

Jeśli jeszcze raz tkniesz ją choćby palcem, przysięgam, że złożę skargę!

- Ach, tak? Ciekawe gdzie.
 - Na policji, w opiece społecznej, wszystko jedno.
 - I co potem? Nawet jeśli cię nie obchodzi, że narobisz sobie kłopotów, to wiedz jedno: zaczną od zabrania Iriny, a wtedy nigdy już jej nie zobaczysz. Prawdę rzekłszy, specjalnie bym się tym nie przejął.
 - Ale się przejmiesz - głos Joannę drżał - jeśli cię wsadzą za kratki, jak się dowiedzą, coś zrobił.
 - Zamknij się wreszcie! Tym razem mu się postawiła.
 - Wszyscy wiedzą, co się dzieje w więzieniu z facetami, którzy znęcają się nad małymi dziećmi. Natychmiast spuścił z tonu.
 - Nie masz co tak rozdmuchiwać wszystkiego.
 - Uderzyłeś naszą córkę.
 - To był tylko jeden lekki klaps.
 - Ona jest niemowlęciem!
 - Wiem. I naprawdę żałuję, to się więcej nie powtórzy.
 - Radzę ci dotrzymać słowa.
 - Od ciebie też dużo zależy. Pilnuj jej lepiej, to i mnie nie będzie ponosić.
- Joannę bardzo chciała mu wierzyć.

9

W szóstym roku małżeństwa, kiedy pewnej nocy kochali się w sypialni przy Holland Park, Christopher nagle ugryzł Lizzie w pierś, i to tak mocno, że aż krzyknęła z bólu, ale także z szoku.

- Mój Boże, Christopher! - Odepchnęła go obiema rękami, tak że omal nie spadł z łóżka. - Co ty

wyprawiasz, do diabła?

Dwie godziny wcześniej wyszli z Groucho Club, gdzie firma Vicuna Books urządziła bankiet z okazji wydania „Wyglupów w kuchni”. Przez cały wieczór Christopher trzymał się skromnie z tyłu i tylko raz zabrał głos, żeby powiedzieć, jaki jest dumny ze swej pięknej i mądrej żony.

- Przepraszam - rzekł teraz, jeszcze na kolanach i zdyszany, chociaż w oczach nie miał ani krztyny skruchy.

Nawet w przyćmionym świetle lampki Lizzie widziała czerwone ślady na piersi.

- Odbiło ci?

Przysunął się do niej ostrożnie.

- No wiesz... trochę mnie poniosło i...

- I co? - Chwyciła brzeg kołdry i zakryła się po szyję, przejęta nagłym chłodem.

- Myślałem, że ci się to spodoba.

- Dlaczego miałabym lubić, jak mnie gryziesz? Skąd ci to przyszło do głowy?

- To tak z miłości, Lizzie...

- Z jakiej miłości, do cholery? Ugryzłeś mnie z całej siły - wybuchnęła. Na szczęście chłopcy byli w Marlow z Gil-ly Spence, swoją opiekunką z Maidenhead, którą Wa-de'owie zatrudnili na godziny, kiedy Lizzie zaczęła prace nad drugą książką.- Ty durniu, wiesz, jak to boli?!

Znów przez jego przystojną twarz przemknął ten sam wyraz rozczarowania, który widziała osiem miesięcy wcześniej, kiedy zaskoczył ją brutalnym seksem.

- Przepraszam - powtórzył odrobinę chłodniej.

- Tamtej nocy też byłeś taki zimny.

- Której nocy? O czym ty mówisz?

- Po prostu przypominam ci, że już raz wypróbowałeś na mnie ostry seks. To było po oblewaniu oferty Vicuny.

- Ostry seks? - Christopher wyglądał na ubawionego. - Nie pamiętam.
- Ja nie żartuję. - Niepokój Lizzie rósł z każdą sekundą. - Zastanawiam się, czy moje sukcesy wydawnicze nie odgrywają roli katalizatora takich zachowań.
- Co za absurd! - Wyraz rozbawienia zniknął. - To nie tylko piramidalna bzdura, ale poważny powód do obrazy. Przecież wiesz, jak bardzo jestem z ciebie dumny!

Lizzie zawstydziała się nagle; to niemożliwe, aby nietypowe zachowanie męża mogło się wziąć z jakiejś podświadomej potrzeby potwierdzenia jego dominacji w małżeństwie.

- Owszem, wiem.
- No więc? - Zrobił ruch w jej stronę, ale się zatrzymał. - Widzisz? Boję się nawet zbliżyć do ciebie.
- Nie gadaj głupstw.
- Dureń, głupol... Naprawdę można wpaść przy tobie w kompleksy.
- Przepraszam.
- Nie, to moja wina. Nie powinienem tego robić.
- Rzeczywiście, nie powinienesz.
- Mogę zerknąć?

Zawahała się; kołdra wciąż przykrywała jej piersi.

- Proszę, Lizzie. Nie chciałem sprawić ci bólu. Nadal nie mogła się zdobyć na żaden ruch, ale Christopher ściągnął ostrożnie kołdrę. Jego ręce i wyraz twarzy były teraz samą delikatnością.

- Dobry Boże! - wyszeptał na widok śladów. - Naprawdę ci to zrobiłem?

Lizzie nie odpowiedziała.

- Mogę to pocałować?
- Żeby się lepiej goiło? - Ironia w głosie Lizzie też była subtelna. Ożyły stare wspomnienia, jak matka na długo przed swoim wypadkiem całowała jej

podrapane kolana i guzy na głowie.

Christopher bardzo delikatnie dotknął ustami jej piersi, a potem spojrzał jej w oczy.

- Wiesz, że za bardzo cię kocham, bym chciał cię doprowadzać do płaczu.

- Miło mi to słyszeć.

Miał teraz minę skruszonego chłopca.

- Jestem rozgrzeszony?

- Oczywiście. Dopóki nie zrobisz tego ponownie.

- Obiecuję.

- A w ogóle, jak mogłeś nawet przez chwilę myśleć, że odpowiadałaby mi brutalność w jakiegokolwiek formie? Myślałam, że zdażyłeś mnie na tyle poznać?

- Masz rację.

- Chociaż - ciągnęła Lizzie - ja też myślałam, że cię znam.

- W tym też się nie mylisz, ale... - Ale co?

- No może nie do końca mnie znasz.

Oczywiście zdarzyło się to znowu. Teraz, patrząc z doświadczenia kolejnych kilku lat Lizzie wiedziała, że

Christopher nie był w stanie powstrzymać swoich skłonności.

Zrobił to ponownie jeszcze tego samego lata.

Konkretnie - osiemnastego lipca, podczas kolejnej nocy bez chłopców w Londynie. Wcześniej Lizzie uczestniczyła w spotkaniu z Andrew France'em i Howardem Dunnem z Vicuny; dyskutowali nad jej drugą książką, natomiast Christopher większość dnia spędził przy stole operacyjnym.

Obiad zjedli w UEscargot przy Greek Street, a kiedy opuszczali restaurację, do Lizzie podszedł jakiś człowiek z prośbą o autograf. Zmieszało ją to, ale i ucieszyło, w drodze powrotnej zaś Christopher żartował sobie na ten temat w taksówce. Te żarty,

dość łagodne zresztą, przeciągnęły się aż do chwili, gdy znaleźli się w łóżku i niemal natychmiast zaczęli się kochać.

- Moja osobista celebrytka - mówił, obsypując pocałunkami jej brzuch.

- Nadal jesteś gwiazdą w tej rodzinie - zapewniła go Lizzie, przesuając mu dłoń po plecach.

- Zawsze chciałem pierdolić gwiazdę - powiedział, rozsuwając jej uda.

Już samo to słowo zabrzmiało jak ostrzeżenie, gdyż Christopher nigdy się tak nie wyrażał, szczególnie w czasie seksu.

- Przestań.

- Co mam przestać, gwiazdo?

- Używać takich wyrazów.

- Jak „pierdolić gwiazdę”?

- Christopher, proszę! - Lizzie wywinęła się spod niego.

- Dokąd to, pierdolona gwiazdo?

- Gdziekolwiek byle z tego łóżka.

- O, nie! Nic z tego, moja mała niedoruchana celebrytka!

Obrócił się na bok, zagradzając jej drogę, a kiedy próbowała wydostać się drugą stroną, chwycił ją za ramiona i unieruchomił.

- To nie jest zabawne - stwierdziła, patrząc na niego ze złością. - Puszczaj!

- O Boże! O Boże, Lizzie, jak ty cudownie wyglądasz!

- Puść mnie w tej chwili! - zaczęła mu się wrywać.

- O tak! - wykrzyknął, siadając na niej okrakiem. - O tak, moja Lizzie!

Próbował ją pocałować, ale odwróciła twarz. Wtedy ugryzł ją w szyję.

- Auu! - Kopnęła go, ale on tylko się uśmiechał, więc spróbowała jeszcze raz, mocniej. Skutek był taki, że jeszcze bardziej się rozpalil i znów zaczął rozsuwać jej uda kolanem. - Jeśli mnie zaraz nie puścisz...

- To co zrobisz?

Błyskawicznym ruchem uwolnił jej lewe ramię, przycis-

nął całym ciałem do materaca i ścisnął za gardło.

Patrzyła na niego, starając się za wszelką cenę zachować spokój. Nagły gniew, jaki ją ogarnął, pozwolił opanować strach.

- Poczekam, aż skończysz - wykrztusiła - a potem wezwę policję i każę cię zamknąć. - Prawie nie mogła oddychać. - W tej chwili mnie puść!

Przez kolejną długą chwilę palce Christophera nie ruszały się z jej szyi. Kiedy pomyślała, że zaraz ją udusi, puścił ją nagle i podniósł się, siadając w kucki.

- Lepiej?

Wzięła długi, urywany oddech.

- A teraz się wynoś - powiedziała cicho.

- Nie ma co robić dramatu. To tylko gra.

Lizzie nadal patrzyła mu w twarz, nie ruszając się z miejsca.

- Wyjdź z tego pokoju, Christopherze.

- Spróbuj się trochę rozluźnić.

Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech. - Wyjdź.

Wstał w końcu i nago ruszył do drzwi. Kiedy wyszedł, Lizzie odczekała dziesięć sekund. I dopiero wtedy się rozplakała.

10

Zaledwie Helen Shipley wyszła z gabinetu nadinspektora Kirby'ego na najwyższym piętrze

budynku AMIT NW, nadal zgnębiona uwagami swego zwierzchnika na temat braku postępów w sprawie morderstwa Lynne Bolsover (minęły już trzy tygodnie od znalezienia zwłok), Geoff Gregory zawiadomił ją, że na dole czeka Pam Wakefield.

- Jeszcze jedna do przeproszenia - westchnęła Shipley, idąc po schodach z Gregorym.

Obudziła się tego ranka z silnym bólem głowy, którego tyrada szefa bynajmniej nie uleczyła.

Kolejna potyczka ze słusznie zagniewaną siostrą ofiary też pewnie niewiele pomoże.

- Nie sądzę, aby chciała zrobić ci awanturę - pocieszał ją Geoff.

- Ciekawe, co ją powstrzyma.

Na pierwszym piętrze skręcili korytarzem w lewo, po czym Gregory, człowiek o staroświeckich manierach, otworzył przed Shipley drzwi do pokoju przesłuchań.

- Oto pani inspektor.

- Dzień dobry, pani Wakefield - powiedziała Shipley, ściskając jej rękę.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? - spytała nerwowo Pam Wakefield.

- Oczywiście, że nie. Mówiłam pani przecież: o każdej porze.

- Może kawy? - zaproponował Gregory.

- Nie, dziękuję - odrzekła pani Wakefield.

- Ja także dziękuję, Geoff.

Komisarz Gregory cicho zamknął za sobą drzwi. Trzydziesięcioletnia siostra denatki była równolatką Shipleys ale tego dnia wyglądała na czterdzieści pięć. Każda żałoba zbiera swoje żniwo, ale dodatkowe dramatyczne okoliczności rujnują człowieka jeszcze bardziej, pod względem zarówno fizycznym, jak psychicznym. Od ich ostatniego spotkania w kasztanowych włosach Pam pojawiło się więcej siwych nitek, piwne jak u Lynne oczy były podkrążone, a usta zaciśnięte.

- Znalazłam coś.

Puls Helen Shipley gwałtownie przyśpieszył.

- To było w torbie Lynne. - Pam Wakefield położyła na stole małą białą wizytówkę.

- Można?

- Oczywiście, po to przyniosłam.

Shipley wstała i pochyliła się niżej nad karteczką, starając się jej nie dotykać.

- Śmiało, to przecież nie jest żaden dowód - zachęcała ją Pam.

Była to firmowa wizytówka niejakiego Michaela Nova-ka z Novak Investigations z adresem w New Smithfield we wschodniej części miasta.

- Wie pani, kto to jest?

- Nie mam pojęcia. Jak mówiłam: znalazłam to w jej torbie... właściwie nawet nie jej; pożyczyła ją ode mnie dawno temu.

Shipley usiadła.

- Spokojnie, pani Wakefield. Mamy czas.

- Ale ja nie mam już nic do powiedzenia. To zwykła płócienna torba na zakupy, parę miesięcy temu - nie pamiętam dobrze kiedy - pożyczyłam ją na krótko Lynne. Potem używałam tej torby sama, ale aż do ubiegłej nocy nie

opróżniłam jej do końca. Wizytówka leżała na samym dnie, zaklinowana w rogu, przy szwie.

Dzwoniłam nawet do tego Novak Investigations, to jest, jak nazwa wskazuje, agencja detektywistyczna. Odebrała jakaś kobieta i zaczęła mnie wypytywać, skąd się o nich dowiedziałam, czego chcę i tak dalej, więc odłożyłam słuchawkę. Nie powinnam chyba tego robić.

- Nie rozumiem dlaczego, skoro nie miała pan ochoty na rozmowę.

- Sama nie lubię, jak ktoś rzuca słuchawką, jak się źle połączy. Ja zwykle przeproszam za pomyłkę, zanim się rozłączę.

- Czy ma pani pojęcie, po co Lynne mogła dzwonić do takiej agencji?
- Nie, z wyjątkiem tego, co samo się narzuca.
- To znaczy?
- Może chciała sprawdzić Johna.
- Ale sama pani mówiła, że siostra nie podejrzewała go o takie rzeczy.

W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Cóż, o tym, że ją bije, też nigdy wyraźnie nie mówiła. Zresztą nie musiała, i tak swoje wiedziałam.

- No tak - zgodziła się Shipley.
- Może ktoś jej po prostu dał tę wizytówkę. Może nigdy z niej nie skorzystała.
- Może, ale na pewno spróbuję to sprawdzić.
- Więc jednak na coś się przyda?

Shipley zobaczyła w jej oczach nieme błaganie.

- Nigdy nic nie wiadomo - rzekła ostrożnie, nie chcąc rozbudzać fałszywej nadziei. - Czasem wystarczy nawet drobiazg...

New Smithfield było szybko rozwijającą się dzielnicą nowych domów, dlatego wąska, ciemna ślepa uliczka z kocimi łbami, przy której mieściły się same opuszczone

magazyny, wywarła na Shipley wyjątkowo przykre wrażenie.

W końcu znalazła: numer dwadzieścia dziewięć, z prawej strony drzwi zardzewiała tabliczka z sześcioma guzikami, obok mała plakietka - w porównaniu z tamtą błyszcząca nowością - z napisem Novak Investigations Ltd.

Shipley nacisnęła dzwonek, a ponieważ nie usłyszała brzęczyka, pchnęła ciężkie, skrzypiące drzwi, które jednak otworzyły się bez trudu. Klatka schodowa była obskurna i źle oświetlona, z obszerną starą windą, służącą zapewne dawniej zarówno do przewozu osób, jak towarów, teraz jednak miała wywieszkę „Nieczynna” i solidną kłódkę na żelaznej

bramce.

- Piąte piętro - zawołał z góry dźwięczny damski głos z lekkim szkockim akcentem. - Przepraszam za te schody!

- Nie szkodzi.

Shipley regularnie musiała wspinać się po stromych schodach i zawsze wtedy żałowała porzuconych dwa lata wcześniej ćwiczeń na siłowni. Miała ją bardzo blisko - zaledwie półtora kwartału od swego mieszkania w Finsbury Park, trudno o większą wygodę, ale Shipley, tłumacząc się brakiem czasu, mówiła, że bardziej by jej odpowiadał klub gimnastyczny blisko pracy, bo tam spędzała większość swego życia.

- Wszystko w porządku? - spytał ten sam głos, kiedy dotarła do trzeciego piętra.

- Trochę tu ciemno - sapnęła Shipley.

- Przepraszam - głos brzmiał raczej pogodnie. - Wciąż zamierzamy coś z tym zrobić.

Shipley była już na ostatnim podejściu.

- Czy to nie jest obowiązek właściciela?

- Hmm.

Na górze powitał ją niemal oślepiający blask z trzech żarówek oraz ciepły uśmiech kobiety o rudych, kręconych włosach sięgających do podbródka.

- Clare Novak - przedstawiła się, wyciągając rękę.

Uścisk jej dłoni był mocny i zdecydowany. -

Inspektor Shipley, prawda?

Shipley, która telefonowała niecałą godzinę wcześniej, podała jej legitymację służbową. Clare Novak przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, po czym zaprosiła Shipley do biura.

- Dość ciasno, ale nam się podoba.

Biuro składało się z jednego pokoju z dwoma biurkami. Całą ścianę zajmowały szafy na akta, prócz tego stał tam jeszcze wysoki, całkowicie wypełniony regał na książki, bladożółta sofa i tani

stolik do kawy. Jedno z biurków było gęsto obłożone papierami i folderami, ułożonymi w stos z trzech stron komputera, z tego bałaganu wystawał ledwie widoczny telefon. Drugie stanowiło przeciwieństwo tamtego - panował na nim doskonały porządek, posegregowane dokumenty leżały na oddzielnych tackach. Całość biura mimo wszystko robiła wrażenie schludnego.

Clare Novak wskazała Shipley miejsce na sofie i zaproponowała kawę.

- Mamy całkiem przyzwoitą, więc może się pani skusi.

- Czyżby próbowała pani kiedyś naszej?

- Nie, ale pracowałam jakiś czas w szpitalu.

- Jeszcze gorzej! Z przyjemnością się napiję. Czarna, bez cukru.

Ruda otworzyła drzwi za szafami i zniknęła na kilka minut. Wróciła, niosąc dwa niebieskie kubki, które ustawiła na stoliku, po czym usiadła obok Shipley na sofie. Poruszała się sprężysto, nogi miała smukłe i długie. Shipley po zaniechaniu gimnastyki dorobiła się czegoś więcej niż za-dyszki na schodach; półsiedzący charakter jej profesji, za dużo paczków i piw z chłopakami po pracy dodały jej ładnych parę kilogramów, chociaż nie można było nazwać jej grubą. Miała jasne jak u ojca, bardzo krótko, chociaż wcale nie po męsku, ostrzyżone włosy i ładne, szare oczy matki. Uważała, że charakter jej pracy wymaga pewnej odporności, zarówno pod względem fizycznym, jak mentalnym, dlatego wykraczała nieco poza granice swojej kobiecości. Gare Novak za to była kobieca, niemal eteryczna, najwyraźniej bardzo kompetentna i na pierwszy rzut oka nadzwyczaj miła.

- Naprawdę mi przykro, że Mike'owi nie udało się jeszcze wrócić. Wyjechał w jakiejś małżeńskiej sprawie w okolice Bayswater, ale jeśli ja się pani na

nic nie przydam, zawsze można zadzwonić do niego na komórkę.

Shiplej piła kawę - rzeczywiście tak dobrą, jak obiecywała Clare - udzielając jednocześnie lakonicznych wyjaśnień co do celu swojej wizyty.

Zauważyła, jak na wieść o morderstwie Lynne Bolsover orzechowe oczy rozmówczyni najpierw pociemniały z obrzydzenia, a potem rozbliły znowu, kiedy Clare uznała, że jest w stanie pomóc.

- Z całą pewnością pamiętam to nazwisko. - Już była na nogach i zmierzała do komputera przy tym uporządkowanym biurku. - I niestety, niewiele więcej.

- Ale pani mąż miał z nią do czynienia?

- Zaraz zobaczymy. - Clare usiadła, wklepała nazwisko i czekała. - Tak, miał. W lecie zeszłego roku, dość krótko.

- Mogę zobaczyć?

- Ależ proszę - Clare zrobiła jej miejsce. - Może mam to pani wydrukować?

- Tak, proszę. - Shiplej, nie siadając, pochyliła się, żeby odczytać informację z ekranu. - Niewiele tego. Drukarka już szumiała, z jej paszczy wysuwała się pojedyncza strona wydruku. Clare wręczyła ją Shiplej.

- Spróbujemy namierzyć Mike'a?

- Koniecznie. I to jak najszybciej.

Spotkali się w kafejce przy Queensway, blisko miejsca pracy Novaka, i zamówili dwie wody mineralne. Shiplej przez chwilę mierzyła detektywa wzrokiem. Ubrany w dżinsy, niebieską koszulę bez krawata i skórzaną kurt-

kę, mimo lekko poturbowanego nosa wyglądał na miłego spokojnego faceta.

- Żałuję, że nic o tym nie wiedziałem. Inaczej na pewno bym się z wami skontaktował.

- Oczywiście.

Nie umknął mu suchy ton tej odpowiedzi.

- Była jakaś relacja? - Tylko w lokalnej prasie. I jeszcze wzmianka w wiadomościach telewizyjnych jednej z południowo-wschodnich stacji, ale jeszcze przed identyfikacją.

- No, to zmniejsza moje poczucie winy - rzekł Novak z ulgą.

- Czemu w ogóle je pan ma?

- Bo wiem, jakie ważne jest na początku tego rodzaju śledztwa zebranie jak największej liczby faktów. - Uśmiechnął się lekko. - Naprawdę nie mam innego powodu.

- Więc proszę to teraz nadrobić.

- Postaram się, jak tylko potrafię.

W zeszłym roku, latem pewien stały klient poprosił go o skontaktowanie się w jego imieniu z Lynne Bolsover i zaoferowanie jej pomocy, jeśli takowej potrzebuje.

- Jakiego rodzaju pomocy? - spytała Shipley.

- Tego nie mogę powiedzieć.

- To jest śledztwo w sprawie morderstwa.

- Nie mogę, ponieważ nie wiem. - Umilkł na chwilę. - Mój klient jest prawnikiem, ale nie wiem, czy to, co robi, jest legalne. Powiem tyle: skontaktowałem się z tą panią, umówiłem się z nią w knajpie Asda w Southgate - to taka wielka stodoła, bardzo anonimowa, tego właśnie sobie życzyła.

- I?

- Powiedziałem jej, że jak rozumiem, ma pewne problemy i jeśli pozwoli sobie pomóc, to mój klient jest gotów to zrobić. Była bardzo roztargniona, bała się, aby czasem nikt nas razem nie zobaczył, pamiętam, że cały czas rozglądała się nerwowo. Wzięła wizytówkę i po paru dniach zadzwoniła. Oświadczyła, że jeśli nawet potrzebuje pomocy, to i tak nie ma pieniędzy na honoraria. Ja na to, że z tego, co wiem, pieniądze nie grają roli. Wtedy, po

dłuższej chwili wykrztusiła, że jeśli kiedykolwiek odważy się porozmawiać z moim klientem, jej mąż nie ma prawa się o tym dowiedzieć.

Shipley odczekała kilka sekund.

- I?

- Powiedziałem, że to oczywiste, i podałem jej numer klienta. Z tego, co wiem, spotkała się z nim raz, ale nic z tego nie wynikło. - Novak napił się wody, zerknął za okno i wrócił do tematu: - Zapamiętałem ją jako sympatyczną, ale bardzo nerwową osobę z dużym siniakiem, nieudolnie zamaskowanym makijażem, po lewej stronie twarzy i szyi.

- Zapytał ją pan o to? - Nie.

- Jakiego rodzaju sprawami zajmuje się pański klient? Rozwodami?

- Tak.

- On ma jakieś nazwisko? Novak się uśmiechnął.

- Robin Allbeury. Dzwoniłem do niego przed pan przyjsciem. Teraz jest w Brukseli, ale polecił mi powie dzieć pani wszystko, co wiem. Sam gotów jest po powrocie odpowiedzieć na każde pytanie.

- Kiedy to nastąpi? - W głosie Shipley pojawiła się nuta irytacji.

- Pod koniec tygodnia. - Novak uprzedził następne pytanie. - Będzie wdzięczny, jeśli wstrzyma się pani do tego czasu, bo musi sprawdzić swoje notatki.

- Czy pan Allbeury ma zwyczaj oferowania nieoficjalnej pomocy obcym ludziom w kłopotach? A może wyłącznie kobietom?

- W rzeczy samej, ma - odparł Mike Novak z uśmiechem.

11

Po tym, jak Christopher omal jej nie udusił w imię seksualnych rozkoszy, resztę nocy Lizzie spędziła bezsennie. Leżała na łóżku w dresie, zastanawiając się, czy wyjść, gdyż nie miała pewności, gdzie jest Christopher: opuścił mieszkanie czy wciąż gdzieś na nią czyha? Nie chciała ani narażać się na ewentualne spotkanie, ani krażyc bez celu samochodem po mieście czy udać się do hotelu. Na pewno odpada jazda do Marlow - nie zamierza ryzykować pytań ze strony dzieci czy Gilly. O siódmej zastała go w kuchni, ubranego w granatowe sztruksy i biały T-shirt. Na stole stała kafetierka i kubek, obok nakrycia leżały nieprzeczytane gazety. Kiedy Lizzie weszła, wstał i zaproponował jej kawę. Odmówiła i napełniła elektryczny czajnik wodą, żeby sobie sama zaparzyć. Powiedz coś.

Postawiła czajnik na podstawie i włączyła go. Teraz.

- Nie mogę tak żyć. Christopher usiadł.

- O Boże. - Oczy napełniły mu się łzami.

- Wzywaj Go, ile chcesz. - Poczowała, że słabość męża ją wzmacnia. - I choćbyś sobie oczy wyplakał, i tak nie zmienisz tego, co mi zrobiłeś.

- A co ja takiego zrobiłem? - Zdjął okulary i rzucił je na stół, ukazując wylęknione oczy. - Lizzie, kochanie, co ja ci zrobiłem?

- Doskonale wiesz.

- Nie. - Kręcił przecząco głową, trzymając się oburącz krawędzi stołu. - Nie!

Strach Lizzie - zarówno o siebie, jak o dzieci - wzrósł o kilka poziomów. Usiadła naprzeciw męża.

- Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz, co mi zrobiłeś nie dalej jak sześć godzin temu?

Odpowiedział dopiero po chwili:

- Niedokładnie.
- Więc jednak pamiętasz? - Przepelniona obrzydzeniem, zaczęła się podnosić.
- Nie, Lizzie, poczekaj. Nie rozumiesz.
- Rzeczywiście - przyznała. - Nie rozumiem.
- Nie zawsze tak do końca wiem, co się ze mną dzieje w takich chwilach. Nie to, żebym tracił świadomość, ale... umykają mi szczegóły.
- Na przykład takie, że kładziesz mi rękę na szyi i...
- Ale przecież przestałem. - Christopher obracał w palcach okulary. Po chwili znowu je włożył.
- Dopiero jak zagroziłam ci policją. - Lizzie zrobiło się niedobrze na samą myśl. - To był atak, Christopherze. Skrzywdziłeś mnie i przestraszyłeś.
- Co mam powiedzieć poza tym, że naprawdę mi przykro?
- Przepraszam nie zamkną sprawy, nie tym razem. - Nabrała tchu. - Ani kłamstwa o rzekomym braku pamięci tego, co nazywasz szczegółami.
- Nic nie rozumiesz - powtórzył. - Jak możesz? Przecież to, że cię tak traktuję, stanowi swego rodzaju komplement.
- Komplement? - Z oburzenia aż się jej zakręciło w głowie. - Ty chyba oszalałeś!
- Wiem, że trudno pojąć, co naprawdę mam na myśli.

Zresztą nawet jeśli ci wytłumaczę, nie spodziewam się, że to zaakceptujesz.

Lizzie odjęło mowę. Siedziała w milczeniu przy kuchennym stole, czując się tak, jakby to wszystko działo się poza nią, w jakimś nierealnym świecie.

Później doszła do wniosku, że przynajmniej w niewielkim stopniu to właśnie ją uratowało.

Christopher nazwał swój postępek „komplementem”, ponieważ nareszcie odważył się zrobić to, na co od dawna miał ochotę: powierzył jej swój najgłębiej

skrywany sekret.

- Wiesz - powiedział - myślałem, że nigdy się na to nie zdobędę, że już zawsze będę musiał zachowywać te skłonności... te potrzeby dla obcych.

- Obcych? - powtórzyła jak echo Lizzie.

- Mam na myśli prostytutki. - Zobaczył na jej twarzy spustoszenie. - Lizzie, dla mnie to też było wstrętne.

- Bardzo wątpię - odparła drżącym głosem.

- Jak możesz wyobrazić sobie coś innego?

- W ogóle nie chcę sobie nic wyobrażać. Christopher próbował ją wziąć za rękę, ale odsunęła ją szybko, patrząc na niego tak, jakby nigdy dotąd naprawdę go nie widziała.

- Staralem się ze wszystkich sił, już od naszego pierwszego spotkania, zrobić co w mojej mocy, aby twoje życie było jak najbardziej szczęśliwe i spełnione. - Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że uważa to za coś zupełnie normalnego. - Ale już wtedy kiełkowała we mnie myśl, że może zechcesz mi się odwzajemnić.

- Jak? - Głos Lizzie stał się nagle niemal piskliwy. - Spełniając te twoje „potrzeby”? Zajmując miejsce tych nieszczęsnych kobiet, które nazywasz obcymi?

- Popeliłem błąd - rzekł głucho Christopher. - Okropny błąd.

- I przypuszczasz, że to wyznanie powstrzyma mnie od odejścia?

- Odejścia? - powtórzył ze zgrozą. - Lizzie, ty nie możesz ode mnie odejść.

- Nie mogę z tobą zostać. Nie mogę żyć z mężczyzną, który tak dalece nie panuje nad sobą, że jest gotów mnie zaatakować, gdy najdzie go taka potrzeba. Gdyby to nie było takie przerażające, to chyba bym cię wyśmiała.

- Nie śmieję się ze mnie, Lizzie! - Christopher znów był na nogach i uderzał w błagalny ton. - A zresztą, śmieję się, rób, co ci się podoba, tylko nie mów o

rozstaniu.

- Dlaczego miałabym zostać? Jak to w ogóle możliwe?

- Żeby pomóc swojemu mężowi. Ojcu swoich dzieci. Usiadł ponownie i zaczął ją przekonywać, jak bardzo, jak bezgranicznie kocha ją i dzieci, że są dla niego wszystkim. Nie wyobraża sobie bez niej życia. Kiedy wytknęła mu z niesmakiem, że jest żaloszny, przyznał jej rację. Owszem, jest właśnie taki, a do tego śmieszny i bardzo słaby.

- Niełatwo takiemu facetowi jak ja mówić w ten sposób o sobie.

Lizzie milczała.

- Miałem takie potrzeby, odkąd tylko sięgam pamięci. Próbowałem się opanować, naprawdę, ale nigdy długo ni wytrzymałem. To rodzaj uzależnienia.

- Czy to diagnoza? - spytała ironicznie.

- Owszem.

- Radziłeś się kogoś?

- Raz. Dawno temu.

- Dlaczego tylko raz?

- To zbyt upokarzające.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz, bo i skąd? To są całe lata poczucia winy i wstydu, szukania sposobów, by to ukryć, uciec przed tym, aby móc kontynuować tę wartościową część życia. Powiedziałem sobie, kiedy zabrnąłem naprawdę głęboko, że przynajmniej dobro, które świadczę, może przeważać moją słabość.

- I uwierzyłeś w to?

- Tak, uwierzyłem i nadal wierzę, że jeśli nawet nie jestem dobrym człowiekiem, to także i nie do końca złym. - Zamilkł na chwilę. - Chyba jestem dobrym ojcem... przynajmniej mam taką nadzieję.

- Tak - przyznała. - Rzeczywiście jesteś.

Później zdała sobie sprawę, że w tym momencie wciąż znajdowała się w stanie szoku. Kiedy siedziała tam i słuchała go, jakaś jej część nadal była zafascynowana samoponiżeniem człowieka, który zawsze dotąd wydawał się taki opanowany i godny.

- Potrzebuję cię, lizzie, ogromnie cię potrzebuję - mówił. - Tylko mając cię przy sobie, mogę kontynuować swoją pracę, służyć pacjentom, pomagać organizacjom dobroczynnym.

- Więc gdybym od ciebie odeszła, to by się skończyło? To właśnie chcesz mi wmówić?

- Jeślibyś mnie opuściła... to tak, chyba i cała reszta musiałaby się skończyć. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, co bym bez ciebie zrobił. Możesz mi wierzyć albo nie, ale to prawda.

Milczała dłuższy czas.

- Czy gdybym została - odezwała się w końcu - zgodziłbyś się na leczenie?

- Zgodziłbym się na wszystko.

- Nie chcę „wszystkiego” - powiedziała dość ostro. - Chcę twojego słowa, że poddasz się leczeniu, i to od zaraz. I że już nigdy nie będziesz napastował ani mnie, ani żadnej innej kobiety. Inaczej z całą pewnością od ciebie odejdę razem z naszymi synami i nic, co powiesz albo zrobisz, nie zdoła mnie przed tym powstrzymać.

Czekała przez chwilę na odpowiedź.

- I co ty na to? - spytała w końcu.

- Czy to wszystko?

- Tak, wszystko.

- Masz moje słowo.

Wstała na miękkich nogach i spojrzała na niego z góry.

- Robię to tylko dla Edwarda i Jacka. Daję ci szansę, bo przynajmniej w jednym masz rację: jesteś... zawsze byłeś dobrym ojcem.

- Dziękuję! - Christopher chwycił jej dłoń zimnymi

palcami. - Nie pożałujesz, zobaczysz.
- Mam nadzieję, a teraz puść mnie, proszę.
Usłuchał.
- Myślałem...
- Zabraniam ci mnie dotykać. Przynajmniej kiedy jesteśmy sami. Najpierw musisz odzyskać moje zaufanie, co być może nigdy nie nastąpi.
Wdzięczność, która rozbłysła wcześniej w jego oczach, przygasła nieco, stłumiona niezaprzeczalną cierpkością jej tonu.
- Nie wiedziałem, że umiesz być taka twarda.
- Wobec tego oboje nie znaliśmy się tak dobrze, jak myśleliśmy.

Kiedy wkrótce po tej rozmowie Lizzie zorientowała się, że jest w ciąży, rozważała aborcję, ale okazało się, że nie może się na to zdobyć.
Brat albo siostra dla Edwarda i Jacka.
Radość wyparła wstęrami.
Tak więc małżeństwo trwało. Lizzie wciąż miała się na baczności, cierpiąc z powodu utraty zaufania do Christophera, ale przyjmując z ulgą to, że mąż trzymał się umowy i zachowywał dystans. Od czasu do czasu pytała go, czy podjął terapię, a kiedy odpowiadał twierdząco, przestawała drażnić temat. Przede wszystkim nie chciała wiedzieć nic więcej, a poza tym, uważała, że dla resztek ich małżeństwa zdrowiej będzie zostawić mu pewien margines godności.
Miała chłopców, miała nienarodzone dziecko i to na nich skupiła teraz całą uwagę.
Sophie przyszła na świat wiosną. Filigranowa, rozkoszna córeczka o złotych włoskach i ciemnoniebieskich oczach urodzona w idealnej rodzinie. Christopher wpadł w zachwyt i oczywiście (Lizzie co do tego nigdy nie miała cienia wątpliwości)

nadal był czułym, oddanym i zrównoważonym ojcem.

We wrześniu, pół roku po urodzeniu Sophie, kiedy doktor Hilda Kapur, lekarka rodzinna z Marlow, wypisała jej receptę na pigułki, Lizzie znów pozwoliła Christopherowi na seks. Odbyło się to z wielką ostrożnością, niemal na poważnie, w porównaniu z tym, jak poczynali sobie w „czasach niewinności”, ale mimo to Christopher był tak wdzięczny i pełen optymizmu, że Lizzie uznała wybaczenie za słuszne. Szczęście, aczkolwiek nieco rozrzedzone, wydawało się znów osiągalne.

Pięć miesięcy później życie rodziny Wade legło w gruzach.

12

Obietnica, którą Tony Patston złożył Joannie po pierwszych urodzinach Iriny, okazała się gołosłowna. Przeciwnie, Tony zaczął więcej pić, składając swoje rosnące uzależnienie od alkoholu na karb tego, co uważał za źródło wszystkich kłopotów: małej kukułki, która zaległa się w jego segmentowym gnieździe. Bez picia czuł się ciągle rozdrażniony, nie potrafił stawić czoła problemom finansowym, a także nieustannym wrzaskom „kukułki”; po paru piwach był wprawdzie bardziej skłonny do wielkoduszności, ale nie potrafił już poprzestać tylko na tych paru. W niedługim czasie lepszy nastrój się ulatniał i znów zaczynała go ogarniać czerwona mgła gniewu.

Bił teraz dziecko regularnie.

- To tylko klapsy - tłumaczył. - Nie używam pasa, jak mój ojciec.

Dla Iriny i jej matki była to słaba pociecha. Od samego odgłosu i widoku tych klapsów Joannę skręcał się żołądek, miała chęć rzucić się na niego i wykrzyzczyć swoje uczucia, ale gdy dwa razy się na to zdobyła, złość Tony'ego zwróciła się znów ku dziecku: uderzył je pięścią.

- To twoja kara - powiedział żonie, kiedy Irina jęczała.

- Ty gnoju! - krzyczała Joannę wśród szlochu. - Ty wredny skurwysynu!

Ponownie podniósł rękę.

- Mam jej znowu przyłożyć?

- Nie! - krzyknęła. - Jeśli koniecznie musisz kogoś bić, to mnie!

Tony opuścił rękę.

- Ciebie nie chcę bić.

Joannę bardzo chciała złożyć skargę na policji albo przynajmniej komuś o tym powiedzieć - mamie albo sąsiadce Nicki, ale podobnie jak Tony, wiedziała, że nigdy się na to nie zdobędzie, bo wtedy prawda wyszłaby na jaw i odebrano by jej córeczkę.

Może, myślała, tak byłoby lepiej dla Iriny? Ale nie, odpowiadała sobie za każdym razem, to niemożliwe.

Irina kochała Joannę, gdyż ta była jej matką.

Nieprawdziwą matką.

Dostatecznie prawdziwą - wyklócała się z głosem w swojej głowie. Dostatecznie prawdziwą, by ją kochać

- namiętnie, desperacko - za oboje rodziców.

A jednak niedostatecznie. Ciągły strach, napięcie i ból zbyt mocno zaważyły na rozwoju Iriny między pierwszym a trzecim rokiem życia. Joannę o tym wiedziała, sama czuła to samo, ale z jeszcze większą

bezradnością patrzyła, jak córeczka cofa się do stanu, w którym trafiła do ich domu. Niedługo po drugich urodzinach przestała płakać.

- O do diabła - rzekł z podziwem Tony po kilku spokojnych wieczorach. - Jest super!

- Tak - odrzekła cicho Joannę.

- No i najwyższy, kurwa, czas - dodał.

Nic nie odpowiedziała, ponieważ od tej ciszy robiło się jej niedobrze. Doskonale wiedziała, czemu ją zawdzięcza. Podobnie jak bite zwierzę, Irina, dawniej żywe, pełne energii dziecko, uznała, że lepiej i znacznie mniej boleśnie jest siedzieć cicho.

„Dobry, silny charakter” - wspominała Joannę słowa doktor Mellor.

Z drzeniem serca zastanawiała się, co lekarka powiedziałaaby teraz.

Spokój nie potrwał długo. Wycofanie i brak reakcji Iriny zaczęły drażnić Tony'ego w tym samym stopniu co płacz.

- Ja tylko chciałem dobrego, kochającego dziecka - skarżył się żonie.

- Ona jest dobra - odparła trwożnie Joannę.

- Dla ciebie. Dla mnie nie.

- Może gdybyś... - urwała.

- Co? Co „gdybym”?

- Nic. Wiem, że się starasz.

- Bo staram się, do kurwy nędzy! Wykrwawiam się dla niej i co mam w zamian? Niewdzięcznego bachora, który mnie nienawidzi.

- To nieprawda - zaprotestowała Joannę. - Chciałeś, żeby była cicho, więc jest.

A potem, jak zwykle, Tony poszedł do pubu.

13

Jack miał dwa lata, kiedy jego skłonność do potykania się była już na tyle wyraźna, że Lizzie wspomniała o niej doktor Annie Mellor przy okazji rocznego przeglądu. Lekarka, żona Petera Szella, kardiologa i bliskiego przyjaciela Christophera, uspokoiła ją jednak, że częste upadki są w tym wieku całkowicie normalne.

Lizzie odłożyła więc sprawę na bok, ale nie zapomniała o niej do końca.

- Jest fantastyczny - mówiła babcia Angela (i nie tylko), zachwycając się ślicznymi szarymi oczami, jasnymi

wioskami i pogodnym usposobieniem wnuka.

Edward uwielbiał braciszka, ale żartował sobie z niego, w miarę jak obaj rośli.

- Za wolno się ruszasz - narzekał przy wspólnej zabawie.

- Jest jeszcze malutki - upominał go Christopher. - Musisz być cierpliwy.

- I jestem, ale on czasem jest taki niezdarny!

- Nie wszyscy rodzą się lekkoatletami, jak ty, Ed.

- Tatusiu, co to „lekkoatleta”?

- Ktoś, kto świetnie biega, skacze i tak dalej.

- Jack nie umie skakać - zauważył Edward.

- Oczywiście, że umie! - obruszył się Christopher.

Kiedy urodziła się Sophie, trzyletni Jack z zapalem wcielił się w rolę starszego brata, tulił siostrzyczkę przy

każdej okazji, lubił patrzeć, jak się ją kąpie i

przewija, z przyjemnością głaskał ją po buzi. Dobry chłopczyk.

Spontaniczny, dociekliwy, pogodny, czuły.

- Chyba nigdy dotąd nie widziałam tak bezproblemowo-

wego dziecka - chwaliła go Gilly.

- Wiem - odpowiadała Lizzie. - Mamy szczęście.

I nagle trzy miesiące po trzecich urodzinach, w ciągu kilku godzin pewnego lutowego poranka wszystko zmieniło się na zawsze. Kiedy Lizzie odwiozła właśnie synka do przedszkola, dyrektorka Christnie Connor poprosiła ją do gabinetu.

- Wie pani, martwię się trochę o Jacka.

- Czemu?

Lizzie rzuciła to pytanie lekkim tonem, jak kobieta, która aż dotąd skutecznie udawała szczęśliwą żonę i matkę. Ale już w tym momencie poczuła jakiś dziwny skurcz serca i nagle cała beztroska gdzieś się ulotniła.

- Myślę, że może mieć pewien problem.

- Jakiego rodzaju? Me słuchaj jej, Lizzie.

- Po pierwsze, on chyba nie umie skakać.

- Nigdy nie zapowiadał się na sportowca.

- Nie, pani Wade - tłumaczyła Christine Connor. -

Mnie chodzi o to, że Jack w ogóle nie jest w stanie podskoczyć. Obserwowałam go od jakiegoś czasu. To jest tak, jakby próbował, ale stopy nie chcą mu się oderwać od ziemi. Pani nic nie zauważyła?

Nie. Nie. Kryj się dalej.

- Owszem, zauważyłam. - I jeszcze jedno.

Lizzie poczuła się jak więzień, który tkwi w zawieszaniu, czekając na ogłoszenie wyroku. Chciała powstrzymać tę kobietę. Niech już nie mówi ani słowa, niech przestanie Jacka obserwować, to jest syn Lizzie, nie jej, i nic mu nie dolega.

- Chodzi mi o sposób, w jaki podnosi się z siadu na podłodze: najpierw pupa, ręce na nogach, wyprost.

- Tak - przyznała Lizzie.

- Więc i to pani zauważyła?

- Zauważyłam.

Wiedziała, że pani Connor czeka na coś więcej, może na jakieś pytanie albo sugestie ze strony

kompetentnej matki. Ale Lizzie w tej chwili nie mogła się na to zdobyć.

- Oczywiście może się okazać, że to nic poważnego - przyznała dyrektorka.

Nie ma gdzie się schować.

- Ale pani jest innego zdania.

- Proponuję pogadać z lekarzem.

Strach wypuszczony tego ranka na powierzchnię pozostał tam na zawsze.

Lizzie natychmiast wróciła do domu i odbyła rozmowę z opiekunką.

- Miałam nadzieję, że tylko ja to widzę - powiedziała Gilly.

- Dość już o tym - ucięła Lizzie i poszła prosto do telefonu, żeby zadzwonić do Christophera, który, tak jak się spodziewała, wszystko rzucił: dwie operacje przekazał innemu chirurgowi, zignorował zebranie w HANDS, wskoczył do swojego wielkiego bmw i, jadąc najpierw o wiele za wolno z powodu natężenia ruchu, a potem, na autostradzie, o wiele za szybko, dotarł do domu.

Jack po odebraniu z przedszkola był obserwowany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, z wyjątkiem może paru godzin snu. Oboje rodzice nie spuszczały z niego oka, czując, jak narasta w nich przerażenie.

- Czemu to robicie? - zainteresował się Edward, sześćioletni brunecik o ciemnych oczach dziadka ze strony matki.

- O co ci chodzi, kochanie?

- Bo tak się przyglądacie Jackowi...

- Wcale się nie przyglądamy - skłamała matka.

- Patrzymy na niego, bo uważamy, że może być chory - wyjaśnił ojciec naturalnym, rzeczowym tonem, doskonale przyjmowanym przez dzieci. Lizzie

musiała przyznać, że zawsze miał do nich znakomite podejście.

- Na przykład przeziębiony?

- Coś w tym rodzaju. - Christopher nie widział powodu, by obarczać starszego synka tym, co wciąż jeszcze mogło się okazać (modlił się o to) fałszywym alarmem.

- Okej - zgodził się Edward, tracąc zainteresowanie. To była ostatnia rzecz, która gładko poszła w ciągu bardzo długiego czasu. Z ich pierwszych własnych obserwacji, potwierdzonych potem w gabinecie wyjątkowo zasepionej doktor Mellor, wynikało, że mięśnie udowe Jacka są słabsze, niż być powinny. Dotyczyło to także pleców i miednicy.

- Co o tym sądzisz? - spytała Lizzie lekarkę po badaniu, gdy Jack w sąsiednim pokoju bawił się z pielęgniarką.

- Myślę, że powinien go obejrzeć specjalista.

- Dlaczego? Co to może być za choroba? Christopher rzucił Lizzie spojrzenie pełne litości i takiej osobistej rozpaczki, że aż krew się w niej zmroziła.

- Najlepiej poczekajmy na diagnozę, kochanie. Lizzie zrozumiała w tej chwili, że nawet Christopher, który codziennie przecina skórę do kości i nurza ręce w krwi obcych ludzi, gdy chodzi o własne dziecko, w niczym się od niej nie różni. Trzyma się ze wszystkich sił niewiedzy.

Następnych kilka dni zatarło się w jej pamięci.

Telefonowali w różne miejsca, starając się jednocześnie zająć Jacka i zapewnić mu spokój, wysiadali w poczekalniach lekarskich ze starymi magazynami razem z taktownymi współtowarzyszami niedoli. Odwiedzali różne gabinety i laboratoria, wykonywali zdjęcia rentgenowskie, biedny Jack bez skargi znosił opukiwanie, spełniał grzecznie polecenia - chodził, siadał, wstawał na rozkaz. Lizzie z

bezsilną złością śledziła poczynania kolejnych kobiet i mężczyzn w białych kitlach i garniturach. Spotkali się z neurologiem dziecięcym, zasięgnęli rady ortopedy i genetyka, odpowiadali na pytania i sami je zadawali, otrzymując odpowiedzi i rady, przedstawiono im dziesiątki faktów, danych statystycznych.

Gdzieś w środku tego wszystkiego pojawiła się diagnoza, na którą Lizzie czekała jak na wyrok już od pierwszej rozmowy z Christine Connor.

Dystrofia mięśni Duchenne'a. Winę ponosił wadliwy gen przenoszony przez chromosom X. Żeński chromosom.

Krótko mówiąc, podarunek od matki.

~*~

- Nie rozumiem - mówiła Lizzie znacznie później owego niekończącego się dnia w Marlow - jak to w ogóle możliwe? Chyba nie było takiego przypadku w naszej rodzinie, prawda?

To ostatnie pytanie zadała swojej matce, która przyjechała wcześniej z Londynu, żeby pomóc Gilly przy Edwardzie i Sophie.

- Z tego, co wiem, to nie - odparła Angela, czując się niesłusznie na cenzurowanym.

Cała trójka dzieci spała już na górze, Jack po prostu padł z wyczerpania, Gilly już jakiś czas wcześniej pojechała do swojego mieszkania w Maidenhead, a pozostali dorośli zebrali się w salonie przy kominku, gdzie jak zwykle buzował ogień, ale tym razem nie dawało im to ani poczucia bezpieczeństwa, ani ciepła.

- A co z twoim bratem?

Lizzie wiedziała od najdawniejszych czasów o wuju Jamesie, który zmarł młodo, ale Angela nie znała

przyczyny jego śmierci, ponieważ rodzice - też już nieżyjący - nigdy nie chcieli o tym rozmawiać.

- Czy to mogło być to?

- Nie wiem - powtórzyła Angela z pobladłą twarzą. - To całkiem możliwe.

- Dowiedz się, proszę. - Lizzie wiedziała, że zabrzmiało to szorstko, ale nic nie mogła poradzić.

- Naprawdę tego chcesz?

- Oczywiście, że tak.

- A co to za różnica? Coś ci da ta wiedza?

- Nie - odpowiedział Christopher. - Jackowi nic to nie da. Lizzie spojrzała na niego z rozpaczą.

- Ale może oni się mylą. Może James umarł na coś podobnego, ale jednak nie na to.

- Oni się nie mylą - przekonywał ją bardzo łagodnie.

- I chociaż może kiedyś pojawi się jakieś lekarstwo, to na razie go nie ma.

Na kilka najbliższych minut Lizzie znienawidziła go z całego serca.

Wcześniej taką samą nienawiść czuła do Anny Mellor.

- Byłam u niej dwa lata temu - opowiadała Christophe-rowski w poczekalni genetyka. - Pytałam, czy wszystko jest w porządku, i powiedziała, że tak, że nie ma żadnych powodów do niepokoju.

Christopher jednak przyznał, że nieco wcześniej, kiedy Lizzie była z Jackiem w łazience, telefonował do Anny i zadał jej to samo pytanie. Usłyszał, że Anna już wtedy pomyślała o DMD i sprawdzała, czy Jack nie ma powiększonych łydek, co często bywa pierwszym objawem.

- Ale nie miał, więc Annie ulżyło.

- Cieszę się, że Annie ulżyło - powiedziała Lizzie z przekąsem.

- Ona bardzo się o nas martwi. - I po chwili dodał z wielkim smutkiem: - Ja też nic nie zauważyłem, a jeśli nawet, to wolałem nie dopuszczać takiej myśli.

- Naprawdę? - krzyknęła z oburzeniem. - Widziałeś to?
- Widziałem naszego ślicznego synka, który nie wydawał się tak sprawny fizycznie jak jego starszy brat.
- Christopher starał się być szczery. - Zauważyłem, że zaczął później chodzić, że ma trudności z kopaniem piłki, bieganiem, skakaniem, że w ogóle jest niezdarny, ale wmawiałem sobie, że to nieważne, dopóki jest zdrowy i szczęśliwy.
- Ja także - szepnęła Lizzie.
- Tylko że ja mam uzdrawiać.
- Jesteś chirurgiem plastycznym - przypomniała mu z uprzejmości.

Niestety, wkroczyła w stadium nienawiści skierowanej pod różne adresy: do Anny Mellor, bo nie rozpoznała, do neurologa dziecięcego, bo rozpoznał, do spotykanych w poczekalniach rodziców, których synowie nie mieli DMD, do Christophera (wbrew własnym zapewnieniom), bo zlekceważył pierwsze oznaki, nawet do Angeli, bo nie zmusiła swoich rodziców, aby powiedzieli jej o Jamesie, bo nie wykryła, że ona, Lizzie, jest nosicielką.

Ale potem się zreflektowała: jeśli ktoś tu ma prawo do nienawiści czy obwiniania, to tylko Christopher wobec niej samej.

W końcu to ona ma wadliwy gen.

On jednak nie wypomnił jej tego ani tej nocy, ani nigdy później. Nawet podczas najczarniejszych godzin, kiedy koszmar choroby Jacka zaczął się rozwijać, Christopher pozostał najczulszym mężem. Rozumiejąc jej irracjonalne, choć może nieuniknione poczucie winy, okazywał jej bezgraniczną dobroć, troskę i miłość, którą obejmował także Jacka i pozostałe dzieci.

Jedyna rzecz, która się zmieniła, która znów się pomiędzy nich wkradła, chociaż na innych

warunkach, wydarzyła się trzy miesiące po diagnozie, kiedy to Christopher zupełnie otwarcie zażądał od niej zaspokajania swoich długo tłumionych, teraz za to jeszcze bardziej perwersyjnych potrzeb seksualnych.

- Każdy terapeuta kładzie nacisk na co innego, jak zresztą można się spodziewać, i już mi to wcale nie pomaga. Nie zamierzam więcej zwracać się do nikogo poza tobą. Próbowałam się powstrzymywać, ale nie jestem taki silny jak ty i ze wstydem przyznaję, że bardzo tego potrzebuję. Błagam cię, Lizzie, okaż i ty trochę zrozumienia...

I naprawdę go rozumiała. W pewnym sensie była to jedna z dziwniejszych oznak jej przemiany duchowej: zniknęła naiwność, priorytety radykalnie zmieniły swoje pozycje. Nie mogłaby ulec instynktom męża, gdyby wyobraźnia jej nie podpowiedziała, że zaspokojenie tych szczególnych potrzeb pomoże mu w ich nowym, pełnym smutku życiu; to taki ciemny kanał, przez który popłynie przynajmniej część jego spętanego cierpienia i bólu.

Dlatego zgodziła się spróbować. Zresztą zdążyła już trochę zapomnieć, udało się jej zatrzeć w pamięci obraz tam-tego drugiego diametralnie różnego Christophera. Widziała jednak, jak bardzo mąż się pilnuje, nawet w trakcie stosunku, żeby przypadkiem nie wyrządzić jej poważnej krzywdy, i to trochę pomagało. Sam ból, jak przekonała się teraz, był niczym w porównaniu z tym, co czuła z powodu Jacka. A poza tym traktowała to jako jeszcze jedną karę za przeniesienie choroby na dziecko.

Czasem, leżąc w łóżku z mężem i pozwalając mu na to, co jej robił, gardziła sobą i przysięgała, że już nigdy więcej się nie zgodzi. Ale wystarczyła jedna myśl o przyszłym losie Jacka, by podobnie jak ból, owa pogarda i nienawiść do siebie stały się czymś

bez znaczenia.

Ja się nie liczę, powtarzała sobie. W ogóle już się nie liczę.

Potem, w świetle dnia, z pełną premedytacją chowała cały nocny ból i upokorzenie do najniższej emocjonalnej szuflady. Zamiast pogardzać mężem, przypominała sobie w kółko, dlaczego się w nim kiedyś zakochała. Stawiała sobie przed oczyma jego prawdziwą dobroć i siłę. Rzeczywiście było tak, jak jej powiedział, kiedy po raz pierwszy ujawnił swoją słabość, swoją osobistą przypadłość: zalety, mimo wszystko, przeważały jego wady. A poza tym Jack go uwielbiał.

14

Chociaż Shad Tower była prawdopodobnie jedną z najmniej szacownych pod względem historycznym i (przynajmniej w jej oczach) raczej niewartą podziwu konstrukcją w nadrzecznym rejonie wokół Butler's Wharf, Helen Shipley, podając swoje nazwisko portierowi, musiała w duchu przyznać, że znalazła się w najelegantszym ze znanych sobie budynków. Kiedy poprzedniego dnia, czyli w drugi piątek kwietnia, zatelefonował do niej Robin Allbeury, żeby ją uprzedzić o swoim powrocie z Brukseli i jednocześnie powiadomić głębokim, miękkim głosem, że gotów jest na spotkanie choćby jutro o dogodnej dla niej porze, Shipley skwapliwie porzuciła swoje sobotnie plany (Tesco, pralnia, odkurzanie) i ruszyła na południe,

ku piętnastopiętrowej budowli w pobliżu Tower Bridge.

Tylko bez uprzedzeń, powtarzała sobie na wstępie, ale trudno było się ich wyzbyć na widok marmurowego, wyłożonego dywanami holu czy bezszelestnej windy (z własnym systemem wideofonicznym i kamerami) obsługującej tylko jednoosobowe mieszkanie, które bardziej przypominało Savoy niż prywatny apartament. Mieszkanko samej Shipley mieściło się na pierwszym piętrze domu bez windy, gdzie przy północnym wietrze cuchnęło rybą i frytkami smażonymi na zjełczalym tłuszczu. Dopiero niedawno zakryła linoleum w łazience bladoniebieską wykładziną dywanową, którą kupiła na wyprzedaży resztek w pobliskim sklepie. Jednak i tak, ledwie zamknęła drzwi wejściowe swego mieszkania, ogarniało ją poczucie, że jest w domu, u siebie. Czy w takim apartamencie jak tam w ogóle można czuć się w czymś takim jak w domu?

- Miło, że pofatygowała się pani tak daleko. - Robin All-beury w luźnych spodniach i niebieskim bawełnianym swetrze czekał na nią z wyciągniętą ręką przy wyjściu z windy.

- Miło, że zadzwonił pan tak szybko. - Shipley spojrzała milionerowi (ktoś, kto tak mieszka, musi być przecież milionerem?) w oczy, uświadamiając sobie boleśnie fatalny krój swojej garsonki, w której jeszcze rano czuła się dostatecznie elegancka, po czym ostentacyjnie przesunęła wzrok na wspaniałe kwiaty i znakomicie zaprojektowany hol.

- To nie w pani guście, co? Więc może chociaż filiżankę herbaty?

- Bardzo chętnie - odparta Shipley, unikając odpowiedzi na pierwsze pytanie.

- Już się robi. - Prawnik wprowadził ją do salonu i wyszedł, najwyraźniej zamierzając osobiście

zaparzyć herbatę.

- Cholera - mruknęła Shipley, rozglądając się po pokoju.

Fantastycznie urządzonego salon stanowił mieszanek stylów wschodnich i europejskich, ale główną jego atrakcją były szklane drzwi na całą ścianę, wychodzące na ogromny taras z imponującym widokiem na drugą stronę rzeki. Zarówno wewnątrz pokoju, jak na tarasie ustawiono po dużym teleskopie. Same ściany pomalowano na jasne, pastelowe kolory, zasłony o delikatnych wzorach wyglądały na chińskie. Do tego czarne lakierowane stoliki, na drewnianej posadzce bogato tkane dywany i wysmukłe wazony z jakimiś egzotycznymi kwiatami - Shipley, która ledwie odróżniała żonkila od róży, przypuszczała, że mogą to być lilie albo orchidee.

- Musiałem użyć herbaty w torebkach - sumitował się Robin Allbeury, wchodząc z tacą z dzbankiem, filiżankami na spodkach i talerzem herbatników, gdy tylko Shipley zdążyła opaść na wygodny fotel. - Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza.

- W porządku, dziękuję - odrzekła, spodziewając się jednak czegoś bardziej egzotycznego.

- Z ogromną przykrością dowiedziałem się o śmierci pani Bolsover. - Allbeury nalał herbatę i podał Shipley filiżankę.

- O morderstwie pani Bolsover - sprostowała Shipley.

- Tak zrozumiałem.

Podsunał jej talerzyk z herbatnikami. Shipley, widząc zwykle paluszki firmy Cadbury i dietetyczne ciasteczka firmy McVitie, które bardzo lubiła, wzięła jedno i czekała na przeprosiny, że nie ma nic bardziej wypasionego. Ale Allbeury po prostu pogryzał herbatnik, wyciągnięty wygodnie w fotelu.

- Jak mogę pani pomóc?
- Opowiadając mi wszystko, co panu wiadomo o ofierze. Co tylko przyjdzie panu do głowy, bez względu na to, czy uzna pan to za istotne.
- Dobrze. - Allbeury założył nogę na nogę. - Słowo „ofiara” w wypadku pani Bolsover znakomicie odpowiadało jej sytuacji na długo przed zabójstwem.
- Jak dawno pan ją znał? Rozumiem, że to raczej nie ma nic wspólnego z pańską firmą. Pan Novak wspomniał, że sprawa ma charakter nieoficjalny.
- Coś w tym rodzaju. - Uśmiechnął się lekko. - Poznałem ją w sierpniu, chociaż już miesiąc wcześniej zwrócono mi na nią uwagę. Gdyby nie Ust anonimowy, pani inspektor, pewnie nawet nie wiedziałbym o jej istnieniu. - I na widok sceptycznej miny swego gościa dodał: - Wiem, tak samo się czułem, kiedy go otrzymałem.
- Dostaje pan regularnie takie listy? - spytała podchwytliwie Shipley.
- Na szczęście nie. Przedtem tylko raz.
- I czego ten akurat dotyczył?
- Informował, że Lynne Bolsover jest głęboko nieszczęśliwą kobietą, ponieważ jej mąż John ma zwyczaj ją bić. Że mają dwoje małych dzieci i Lynne najchętniej odeszłaby od męża, ale jest zbyt zastraszona, by się na to zdecydować. - Allbeury zmarszczył z namysłem brwi. - Że tak czy inaczej brak pieniędzy uniemożliwia jej jakiegokolwiek działanie.
- List był napisany odręcznie czy wydrukowany? - Wydrukowany. Na drukarce atramentowej, czcionką arial na białym papierze. Bez odcisków palców, stempel pocztowy z centrum Londynu. Ani ja, ani Mike Novak nie mieliśmy cienia szansy, żeby namierzyć autora. Zresztą niespecjalnie nas obchodziło, kto to pisał.
- Bo was interesowała Lynne. - Tak.

- Dlaczego?

Allbeury przekrzywił lekko głowę.

- Czy to nie oczywiste? Kobieta w takich opałach, niezdolna do szukania ucieczki...

- Takich są tysiące.

- Tysiącom pomóc nie mogę.

- Ale kilku pan pomaga.

- Owszem, pomogłem paru osobom.

- Tylko kobietom?

- Jako adwokat dokładam wszelkich starań, by w ramach swoich możliwości pomagać zarówno kobietom, jak mężczyznom.

- Ale teraz nie mówimy o pańskiej działalności jako adwokata, prawda?

- Rzeczywiście, nie w tym przypadku. - Umiłkł na chwilę. - Mam ten list, pani inspektor, jeśli chciałaby pani go obejrzeć czy dać do zbadania.

Shiplej przyznała, że owszem, po czym zapytała o pierwszy anonim, jaki otrzymał. Allbeury zapewnił ją, że jest taki sam i też chętnie go udostępni.

Owszem, też dotyczy pewnej nieszczęśliwej kobiety. Kiedy dowiedział się o losie Lynne Bolsover, poprosił Mike'a Novaka, żeby sprawdził, co obecnie dzieje się z tą panią.

- Na szczęście żyje i ma się dobrze. Ku mojej radości, podobno rozstała się z mężem.

- Bez pańskiej pomocy?

- Zgadza się. I aby zaspokoić pani ciekawość, dodam, że i tej osobie proponowałem pomoc, ale powiedziała Mi-ke'owi Novakowi, iż jej nie potrzebuje.

- Najwyraźniej tak było.

- Tak. Bardzo mnie to cieszy.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - I bardziej oficjalnym tonem spytał: - Podobno interesuje panią moje spotkanie z panią

Bolsover.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.
- Jak pani wiadomo, poprosiłem pana Novaka o zorganizowanie pierwszego kontaktu. Głównie z powodu jego miłego charakteru i zdolności do wtapiania się w różne środowiska.
- Wygląda bardziej pospolicie - zauważyła Shipley, wspominając detektywa.
- Bynajmniej nie uważam Mike'a za pospolitego. Ale powiedział mi, że ja z kolei w niektórych kręgach odstaję od otoczenia jak spuchnięty kciuk od reszty palców.
- Więc ostatecznie poznał pan Lynne Bolsover w sierpniu.
- W McDonalddie, przy stacji metra Tottenham Court Road. Ona wybrała miejsce, ale okazało się zbyt zatłoczone i hałaśliwe, więc przenieśliśmy się do dużego, lecz źle oświetlonego pubu... niestety, nie pamiętam nazwy, chociaż to chyba nieistotne.
- Rzeczywiście.
- Niestety, nie mam zbyt wiele do opowiadania. Pani Bolsover bardzo się denerwowała, przypuszczam, że była w depresji. Odnosiła się do mnie nieufnie, może, chociaż nie mogłem tego sprawdzić, po prostu nie ufała wtedy nikomu, a cóż dopiero obcej osobie.
- Z obcymi czasem jest łatwiej.
- Czasem tak - zgodził się Allbeury - ale to nie był ten przypadek.
- Czy powiedziała panu coś o sobie? O swoim nieszczęśliwym małżeństwie?
- Tylko w odpowiedzi na moje pytania. Spytałem, czy boi się Johna. Odparła, że tak, ale w sumie nie jest tak źle i nie potrzebuje niczyjej pomocy.
- Wiedziała o tym liście?
- Mike Novak ją o nim poinformował. Zapytałem, czy domyśla się, kto mógł go napisać, ale wyraźnie nie miała pojęcia, bo się przestraszyła. Próbowałem z

niej wydobyć, czy wyczuwa jakieś zagrożenie dla dzieci. Kategorycznie zaprzeczyła, chociaż własnego bezpieczeństwa już nie była taka pewna.

- Jeśli nie zdecydowała się panu zaufać, to jak pan salki, czemu w ogóle zgodziła się na spotkanie?

- Może zrobiła to w chwili wyjątkowej rozpacz, a potem jednak spanikowała. Perspektywa, że mąż się dowie, bardziej ją przerażała niż samo spotkanie. -

Nagle Allbeu-ry coś sobie przypomniał. - Najpierw zamówiła brandy, ale potem zmiesiła zdanie i poprosiła o białe wino, żeby mąż nie wyczuł nic z jej oddechu,

Shipley kręciła nieznacznie głową.

- Jaki jest ten Bolsover? - zapytał teraz Allbeury. - Jeśli to nie tajemnica...

- Zniósł dobrze przesłuchania, mimo szoku i żalu. - Milczała przez chwilę. - Nie mam wątpliwości, że jest zdolny do przemocy, ale czy jest mordercą? Tego wciąż nie wiem.

- Dziękuję - rzekł i podjął swą opowieść: - Pani Bolso-ver wypiła trochę wina, ale została ze mną najwyżej piętnaście minut. Potem powiedziała, że sama nie wie, czemu przyszła, jest wdzięczna za zainteresowanie, ale nic nie mogę dla niej zrobić. I opuściła pub.

- I co? Nie próbował pan się z nią później kontaktować?

- Nie. Musiałem uszanować jej wolę, poza tym wiedziała, dokąd ma się zwrócić, gdyby zmieniła zdanie.

- Ale tego nie zrobiła. - Nie.

- Mówił pan, że była zdenerwowana i przygnębiona. Może coś jeszcze? Rozumiem, że w czasie tak krótkiego spotkania trudno coś zauważyć...

- Oczywiście, trudno kogoś poznać w piętnaście minut. Ale pierwsze wrażenie bywa czasem niebezpiecznie łatwe do sformułowania, nie sądzi

pani?

Shipley nie była pewna, czy w ciepłych brązowych oczach swego rozmówcy nie dostrzegła leciutkiej kpiny.

- Więc jakie było to pierwsze wrażenie?

- Że czuje się kompletnie osamotniona.

- I boi się o swoje życie? Z tego, co pan mógł zauważyć?

- Nie, tego akurat nie zauważyłem. Owszem, była bardzo smutna i przerażona, ale bardziej bała się fizycznego i psychicznego bólu niż utraty życia.

Shipley podziękowała za drugą filiżankę herbaty, za to wzięła jeszcze jedno ciasteczko oraz oba listy, które prawnik wsunął w oddzielne plastikowe koszulki.

- Pewnie przydadzą się pani moje odciski palców. Poprosi pani technika, żeby się ze mną skontaktował w tej sprawie?

- Tak, dziękuję.

- Nie ma za co.

- Czy wie pan - spytała Shipley, idąc w stronę windy - dlaczego autor tych anonimów wybrał akurat pana?

- Trudno powiedzieć, skoro nie wiem, kim jest.

- Ale widocznie on wie o pańskiej skłonności do pomocy nieszczęśliwym żonom.

Allbeury zatrzymał się o parę kroków od windy.

- Pani jest sceptycznie nastawiona.

- Może trochę.

- Mam panią przekonać?

- A potrafi pan? Uśmiechnął się smutno.

- Zapewniam panią, że wszystko, co dotąd zrobiłem dla w sumie garstki kobiet, polegało na służeniu im moim prawniczym doświadczeniem, bez opłaty, ale też bez kolizji z legalnym systemem pomocy.

- I naprawdę nic poza tym pan im nie proponował?

Robin Allbeury nacisnął guzik windy. Otworzyła się

gładko, niemal bezszelestnie.

- A cóż by to mogło być? - spytał z uśmiechem. Shipley zdążyła już zlecić Ally King przepuszczenie za-równo Allbeury'ego, jak Novaka przez system HOLMES*, ale obaj okazali się czyści. Pierwszy był człowiekiem sukcesu, renomowanym specjalistą w swojej dziedzinie, drugi - niezbyt wybitnym detektywem, ale na żadnym nie ciążyły ani wyroki, ani nawet pobyt w areszcie.

Mike Novak wydał się Shipley po namyśle facetem, jakim powinien być każdy prywatny detektyw - otwartym jak książka. Przez dwa lata służył w miejskiej policji, gdzie miał nieskazitelną opinię, chociaż z adnotacją, że mimo zapału i niewątpliwej inteligencji odznacza się nadwrażliwością i nadmiernym krytycyzmem wobec biurokracji. Zgadzało się to z wrażeniem, jakie wywarł na Shipley podczas pierwszego spotkania: szczery, chętny do pomocy, przygnębiony morderstwem Lynne Bolsover, szczęśliwy w małżeństwie z Clare.

** Home Office Large Major Enquiry System - Główny System Dochodzeniowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.*

Robin Allbeury intrygował ją znacznie bardziej. Kwalifikacje i przebieg kariery zawodowej miał dobrze udokumentowane, ale reszta była dość niejasna. Czterdzieści dwa lata, nieżonaty, ale prawie na pewno heteroseksualny, o czym świadczyło mnóstwo faktów - niektóre nawet opisywano w tabloidach na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to brał czynny udział w życiu towarzyskim i często widywano go na mieście z różnymi kobietami. Nie gustował jednak w tych najelegantszych i zdecydowanie unikał próżnych kokietek, wybierał sobie partnerki wprawdzie

atrakcyjne, ale także inteligentne i na ogół niezależne. Poza tym Allbeury'emu wyraźnie odpowiadało życie w pojedynkę, strzegł pilnie swej prywatności i stać go było na opłacanie jej z nawiązką.

- Na pozór mamy więc - mówiła Shipley do Ally King w poniedziałek po wizycie w Shad Tower - dwóch mężczyzn, którzy wiedzieli - a właściwie zostali przez kogoś poinformowani, co wciąż mnie niepokoi - o nieszczęśliwym

małżeństwie tej kobiety, próbowali jej pomóc, ale im się nie udało. - Wzruszyła ramionami. -

Raczej nie z ich winy. Niezwykła, wręcz dziwna relacja, ale przypuszczalnie zupełnie niewinna.

- FSU* nie ma nic wspólnego z tymi Ustami, sprawdziłam - dodała Ally King.

- Dziękuję.

Policjantka wyszła, a Shipley wróciła myślą do Johna Bolsovera. O trzy lata starszy od żony, włosy miał ostrzyżone tak krótko, że prawie nie było widać ich mysiego koloru. Sądząc z wyglądu, silny fizycznie, z nadwagą, ale muskularny, z imieniem żony wytatuowanym na lewym ramieniu i wyraźnymi żyłkami na skroniach. Shipley z łatwością mogła go sobie wyobrazić w stanie furii. Nawet

** Family Service Unit - Jednostka Pomocy Rodzinie.*

gdyby nie znała jego skłonności do przemocy wobec żony, raczej nie umiałaby go polubić.

Takich przedwczesnych koncepcji detektyw policyjny, prowadzący dochodzenie w sprawie o morderstwo, powinien się wystrzegać. Jednak nie tylko z tego powodu Shipley wstrzymywała się z postawieniem zarzutów Bolsoverowi. I nie dlatego, że jak większość detektywów na całym świecie, marzyła o dowodzie w postaci dymiącej strzelby, co

uczyniłoby jej raport niepodważalnym.

Był to inny element, wprawdzie wkurzający, lecz niewiarygodnie pewny: instynkt.

Coś w tym przypadku się nie zgadzało i należało jeszcze wielu rzeczy się dowiedzieć. Może to po prostu brak owej „dymiącej strzelby”, strzępka dowodu, który pozwoliłby jej pchnąć Bolsovera na drogę do dożywocia, a może coś zupełnie innego, ale tak czy inaczej, nie była jeszcze gotowa do zamknięcia sprawy.

Mimo tego, co przed chwilą powiedziała Ally King, Robin Allbeury wciąż tkwił jak zadra w samym środku jej świadomości i tylko miała nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z faktem, iż jest on niezwykle pociągającym mężczyzną.

Bóg jeden wie, jak bardzo w jej życiu brakowało interesujących mężczyzn - ostatnio wręcz jakichkolwiek mężczyzn... A przecież, czy się jej to podoba czy nie, detektyw inspektor Helen Shipley jest tylko człowiekiem.

Ale to raczej nie to. Nie, nie.

A więc co?

15

- Co tam u was słyszać, kochanie? - spytała Angela Pi-per córkę przez telefon w pewne niedzielne popołudnie pod koniec kwietnia.

- Wszystko w najlepszym porządku. - Lizzie, odchylając się wygodnie na oparcie skórzanego fotela przy biurku i wyciągając przed siebie nogi,

uświadomiła sobie, że tym razem mówi absolutną prawdę.

- Jack nie marudzi za bardzo?

- Jack czuje się całkiem nieźle. - Lizzie, podobnie jak jej matka, wiedziała, że pod nieobecność Christophera, który ostatnio miał wykłady w Niemczech, synek ma skłonności do marudzenia i ciągle dopytuje się o powrót ojca. - Wczoraj miał fizjoterapię i bardzo dobrze ją zniósł.

- A przeziębienie Sophie?

- Już jej lepiej. I nikogo z nas dotąd nie zaraziła.

- To dobrze.

- Edward wyjechał na jeden dzień z Markiem, to jego najlepszy przyjaciel, ale Gilly została na cały weekend, więc udało mi się złapać trochę czasu, by popracować nad nowym projektem.

- To pewnie ci przeszkodziłam?

- Niezupełnie, właśnie postanowiłam zrobić sobie przerwę,

- Wydajesz mi się bardzo zadowolona z życia - zauważyła Angela.

- Bo jestem. A ty? Jak się miewa William?

- Poprzytykaliśmy się wczoraj wieczorem.

- Poważnie? - Lizzie miała nadzieję, że nie. Od czasu swoich zaręczyn matka była taka szczęśliwa!

Wprawdzie para nie ustaliła jeszcze daty ślubu, co biorąc pod uwagę ich wiek, wydało się dziwne zarówno Lizzie, jak Christopherowi, ale romans zdecydowanie Angeli służył.

- Ale skąd! - obruszyła się wesoło matka. -

Powetowaliśmy to sobie w łóżku.

- No i bardzo dobrze.

- To wszystko dzięki Christopherowi.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz dlaczego. Podarował mi życie.

- To było dawno temu, mamó. Zresztą sama je odzyskałaś.

- Ale dzięki niemu - upierała się Angela.
Lizzie zgrzytnęła zębami; kiedy odłożyła słuchawkę,
dzień już nie wydawał się jej taki piękny.

Powinna się do tego przyzwyczaić.

Bóg wie, że zdążyła przywyknąć do wielu rzeczy. Na przykład nauczyła się cenić czas, kiedy jej mąż przebywał w podróżach (abstrahując od troski o Jacka). Uświadomiła też sobie, że często używa własnej pracy raczej do odsuwania problemów osobistych, zamiast dla swojej przyjemności.

„Podróże kulinarne Lizzie Piper” - taką nazwę nosił kolejny projekt, który mimo wszystko zaczynał ją wciągać. Gdy wreszcie umowy zostały podpisane, poczuła się znacznie pewniej. Zarówno Howard Dunn, jak producent serialu telewizyjnego Richard Arden przedstawili jej swoje uwagi co do cyklu podczas szeregu spotkań przy lunchu, ale zostawili jej wolną rękę w planowaniu podróży, co bardzo Lizzie odpowiadało. Rozważyła pewną liczbę koncepcji - jedne bardziej konwencjonalne, inne - dość złożone i pełne inwencji, ale ostatecznie na naradzie w siedzibie Yicuny przy Chancery Lane Howard Dunn przekonał ją, by wróciła do swojego zwykłego stylu: prostota zawsze i wszędzie wygrywa.

Faktycznie jednak otrzymała carte blanche w kwestii wyboru siedmiu planów, pod warunkiem że nie wyjdą poza Europę i będą na tyle malownicze, by zainspirowały zarówno ją samą, jak czytelników i widzów.

- Ty nie potrzebujesz żadnych sztuczek - mówił Dunn w swym uroczym gabinecie ze skośnym sufitem i belkowaniem.

- Może nie sztuczek jako takich, ale przydałby się jakiś rodzaj haczyka, który przyciągnąłby widownię.

- Ty jesteś tym haczykiem, moja droga. Bo inaczej po co ładowaliby w ten projekt taką kupę kasy?

- Naprawdę?
- Oczywiście.
- Ale dlaczego? Nie jestem taka solidna jak Delia ani taka ładna jak Jamie, no a od Nigelli dzieli mnie cała przepaść.
- Jesteś fantastyczna jako Lizzie - rzekł Howard Dunn.
- Nie gadaj głupstw.
- A ty nie bądź taka skromna. Zresztą tu nie chodzi o wygląd, tylko o osobowość.
- Po prostu jestem sobą.
- I dokładnie za to ci płacimy, i my, i telewizja. Masz być tylko Lizzie Piper.

Po tej rozmowie nawet zbieranie materiałów było przyjemnością: wertowanie książek podróżniczych, źródeł historycznych, studiowanie atlasu w poszukiwaniu miejsc, które najlepiej podziałałyby na jej kubki smakowe.

- Czuję się trochę jak oszustka - wyznała Christophe-rowski któregoś wieczoru. - To powinna być raczej ciężka praca niż rozrywka.
- Przyjdzie czas i na pracę - rzekł przewidująco.
- Pewnie masz rację.

Uśmiechnęła się wtedy do niego, przekonana o słuszności jego przewidywań o tym, że w miarę pisania zacznie wpadać w panikę, będzie miała dość i tej książki, i samej siebie, że straci natchnienie, wiarę w swój talent i chęć do pracy. Wtedy Christopher będzie wysłuchiwał jej żalów, pozwoli wyładowywać na sobie huśtawkę nastrojów, rzadko kiedy zgłaszając jakieś obiekcje, a na koniec chłodno i rozsądnie skieruje ją z powrotem na właściwą drogę. W takich chwilach Lizzie znów rozumiała nie tylko, dlaczego za niego wyszła, ale w pewnym stopniu dlaczego zdecydowała się z nim zostać. Ach, gdyby tak mogło być cały czas... Gdyby. Minęło już ponad sześć lat od diagnozy Jacka i

podjętej w konsekwencji decyzji pogodzenia się z „drugą stroną” Christophera. Szok, który popchnął Lizzie do akceptacji potrzeb męża, dawno minął, natomiast powróciła z nawiązką naturalna odraza. Nie robiło to jednak szczególnej różnicy. Zaczęła znów protestować, wręcz grozić, jeśli przekraczało to jej wytrzymałość, ale te groźby były puste i Christopher zdawał sobie z tego sprawę. Ten drugi Christopher Wade, który znajdował zaspokojenie za pomocą gwałtu na własnej żonie, który używał wulgarnych słów w trakcie brutalnego ruchania (bo nie sposób nazwać tego, co robił, uprawianiem miłości), który regularnie gryzł ją, sprawiał ból (pilnując się jednak, żeby nie zostawiać śladów w widocznych miejscach) i straszył, wiedział doskonale, że Lizzie, bez względu na cały swój gniew, ani go nie zostawi, ani nie odbierze mu dzieci, ani nawet nie złoży oficjalnej skargi.

- A zresztą - powiedział jej pewnej nocy - ty to lubisz.

- Nienawidzę! Brzydzę się tym!

- Jesteś silną kobietą. Gdybyś aż tak tego nienawidziła, nie byłoby cię tutaj.

- Wiesz, dlaczego tu jestem.

- Wiem, ze względu na dzieci, ale nie tylko dlatego.

Je-

steś tu, ponieważ wciąż mnie kochasz, a to jest częścią mojej natury.

- Owszem, ale tą, której nienawidzę.

- A jednak uczestnicząc, przyzwalasz.

- Tak, i sama sobą pogardzam. Szkoda, że nie starczyło ci sił, by to zwalczyć, chociaż przysięgałeś.

- To było przedtem.

- Nie rozumiem. W głowie mi się nie mieści, dlaczego człowiek takiej dobroci i siły, o takim umyśle ulega takiej...

- Deprawacji, tak? To chciałaś powiedzieć? Milczała.

- To moje przekleństwo, Lizzie.

- Nie tylko twoje. - Nie.

Gdyby tylko...

Teraz, po telefonie matki, grała w tę grę znowu.

Gdyby tylko życie zawsze układało się tak jak w tym tygodniu:

Christopher w podróży, dzieci pod opieką tylko jej i Gilly, wtedy mogłaby być bardziej tą Lizzie Piper, w jaką wierzył świat.

Rzeczywistość była tą drugą grą, której zawsze potrzebowała jako przeciwwagi do tamtej.

Rzeczywistość to fakt, że Jack czuł się względnie dobrze, gdyż jego poziom bólu został czasowo zredukowany, a ukochany tatuś wyjechał na krótko.

Rzeczywistością było to, że gdyby Christopher wyprowadził się na stałe, nieszczęście uwięzionego na wózku dziesięciolatka oraz jego brata i siostry stałoby się nie do zniesienia.

W rzeczywistości nie istniał ktoś taki jak „po prostu Lizzie”. Była matka, córka oraz całkiem niezła pisarka, która rewelacyjnie gotowała.

I jeszcze, czy jej się to podobało czy nie - żona.

Żona, która w ostatnich dniach lipca, zakończywszy wszystkie wstępne spotkania i plany, przekształciwszy

szczęśliwie ogólny zarys trasy w sensowny,

zatwierdzony i oddany do produkcji scenariusz

telewizyjny, szykowała się do wyjazdów z nieznaną

dotąd liczbą obcych ludzi. Do nich miał wkrótce

dołączyć jej wielce szanowany małżonek wraz z

pograżoną w błogiej nieświadomości trójką dzieci.

Interesy firmy Patston Motors mocno podupadły, głównie przez pijaństwo Tony'ego, które zaowocowało tyłoma błędami, że klienci zaczęli go opuszczać, a jeden nawet za-groził mu złożeniem skargi za fuszerkę. Co usłyszawszy, Tony natychmiast poszukał lekarstwa w trzymanej w szufladzie puszcze piwa.

Żeby chociaż Irina, ten worek bez dna, w który on, Tony, musi ładować ciężko zarobioną kasę, okazywała mu odrobinę miłości i wdzięcznością może wszystko dałoby się jakoś wytrzymać. Zresztą Joannę, dla której to wszystko zrobił, też ostatnio dawała mu nieźle w kość; wciąż patrzy na niego wilkiem, dając do zrozumienia, że jest jakimś potworem. Zapomina widzieć, że jeśli ktoś tu ponosił winę, to tylko ona sama. To wszystko przez jej hormony, jej potrzeby, jej pieprzoną niewrażliwość na jego daremne starania, by dać jej prawdziwe dziecko, a nade wszystko kompletną porażkę w uczeniu Iriny właściwego zachowania.

- Co się z tobą dzieje? - spytał go Paul Georgiou, kiedy siedzieli przy barze Pod Koroną i Kotwicą pewnego majowego wieczoru.

- Nic - Tony ze sto razy chciał się zwierzyć komuś ze swych problemów, ale nigdy nie przechodziło mu to przez gardło.

- A jednak coś jest nie tak - upierał się Paul. - Wyglądasz jak mokry śledź, kolego, i to od miesięcy.

- Biznes jest do dupy. - Przynajmniej tu nie musiał kłamać.

- I to wszystko?

- Jeszcze ci, kurde, mało? Rachunki wychodzą mi uszami, jeden klient grozi mi sądem albo mordobiciem...

- A co mu zrobiłeś? - zaciekał się Paul.
- Nic. Dał mi merca do serwisu, a potem miał wypadek.
- Ciężki?
- Niespecjalnie, ale robi z tego bóg wie co. - I ty dlatego...
- Co „dlatego”?
- Dlatego chodzisz taki wkurwiony?
- Taaa. Całkiem wystarczy, powiadam ci.
- Tylko...

- Co znowu?

Paul miał nieszczęśliwą minę.

- Bo widzisz, my z Nicki, chcąc nie chcąc, słyszymy czasem... Te pojebane ściany są takie cienkie, co nie?
- Tak? - Nadal przystojna, lecz ostatnio bardziej nalana twarz Tony'ego przybrała zacięty, wrogi wyraz. - I coście takiego słyszeli? Skrępowanie jego sąsiada rosło.
- Nic, tylko żeście się kłócili...
- I co z tego? Wszyscy się kłóca.
- Pewnie. My z Nicki drzemy z sobą koty cały czas.
- Więc widzisz. Co w tym strasznego? W końcu jesteście ludźmi, nie?
- Jasne. Nie chciałem się wcinać, stary. - I bardzo dobrze.

Życie Joanne upływało teraz w ciągłym strachu.

Klapsy, które Tony wymierzał Irinie - już cztery razy - doprowadzały jej matkę niemal do utraty zmysłów z gnie-

wu i rozpaczy, ale najbardziej przerażały ją ciosy pięścią. Bała się, że pewnego dnia Tony straci wszelką kontrolę i wyrzuci małej poważną krzywdę - na przykład uderzy ją w główkę albo w brzusek

zamiast po pupie czy po rękach, jak dotąd. Z drugiej strony kończyny dziecka były ostatnio tak posiniaczone, że tylko patrzeć, jak ktoś zwróci na to uwagę.

- Jesteś pewna, że nie powinna chodzić do przedszkola? - spytała Sandra kilka tygodni wcześniej.

- Absolutnie.

- Tylko... no tak, mówiłam ci już o tym.

- Mówiłaś, mamó.

- Wiem, że chcesz dla niej jak najlepiej, ale trzymanie jej przy sobie przez cały czas raczej się jej nie przysłuży.

- Robi się nerwowa.

- I będzie taka dalej, jeśli jej na to pozwolisz.

- Wiem, co robię - odparła Joannę, jej matka zaś, która zdążyła już zauważyć, że Tony jednak nie jest takim aniołem, za jakiego go miała, przestała nalegać.

Nie ustąpi tak łatwo, gdy nadejdzie czas na prawdziwą szkołę. Zdążyła jednak napomknąć - i to więcej niż raz - że jej zdaniem, Joannę umyślnie nie dopuszcza jej do dziecka.

- Nie rozumiem, dlaczego upierasz się, by osobiście zmieniać jej pieluszki, kiedy masz pod ręką babcię, która aż rwie się do pomocy - zauważyła jeszcze w dawnych czasach.

- Ona nie lubi, gdy ktoś inny to robi - skłamała Joannę.

- Ja nie jestem „ktoś inny”.

Oczywiście nic się nie zmieniło, gdy nadszedł czas przyuczania do nocnika i Sandra oświadczyła, że specjalnie kupiła ładny i kolorowy, żeby Irina mogła spędzać więcej czasu w jej domu.

- Ona lubi tylko swój - powiedziała Joanne.

- To go przynoście ze sobą - nie ustępowała Sandra. Ba, gdyby знаła prawdę, myślała Joanne. Gdyby

matka знаła choć ćwierć prawdy, pewnie by się już nigdy nie odezwała do własnej córki. I miałyby rację, przecież Joannę jest najgorszą matką na świecie. Bo bez względu na to, jak bardzo Irinę kocha i jak bardzo się boi ją utracić, tylko naprawdę zła kobieta mogła pozwolić, by to działo się dalej, by on wciąż robił swoje.

A jednak nadal nic nie mówiła, tylko modliła się do Boga, by położył temu kres.

By go powstrzymał.

~*~

Pewnego czerwcowego wieczoru Tony wrócił do domu w - jak to określili później - „świetnym humorze”, który Joanne popsowała, prosząc, by nie budził Iriny, bo dziecko cały dzień marudziło i właśnie przed chwilą zasnęło.

- Chcę tylko na nią popatrzeć.

- Tylko po cichu.

- Oczywiście, że po cichu. Nie jestem pojebanym kretyńcem, bez względu na to, co myślisz.

- Nic takiego nie pomyślałam. Po prostu jestem zmęczona i nie chcę, żeby się obudziła.

- Bo to ja zawsze ją budzę, tak?

- Ależ nie, skądże. - Wiedziała już, na co się zanosi. Miała ochotę udusić się za to, że nie trzymała gęby na kłódkę.

- Bo zawsze ja i tylko ja jej dokuczam, tak?

- Nie zaczynaj, Tony - powiedziała cicho Joanne. - Proszę cię.

- Jeszcze niczego nie zacząłem. Wróciłem tylko do domu w dobrym nastroju, chociaż raz w całym moim popier-dolonym życiu!

Był już w połowie schodów i Joanne wiedziała, że jest za późno, że teraz go nie powstrzyma. Chyba że rąbnęłaby

go w głowę czymś naprawdę ciężkim i Bóg jej świadkiem, niejedną raz w ciągu ostatnich paru lat rozważała taką możliwość.

Ale wykrztusiła z siebie tylko to jedno słowo:

- Proszę.

Ten raz okazał się najgorszy. Joanne nie pozostało nic innego, jak tylko owinać córeczkę w koc i zawieźć ją prosto do szpitala, żeby sprawdzić, czy Tony zbyt mocno jej nie zranił.

- Jesteś potworem - rzuciła mu w twarz przed wyjściem.

- Nie mogłem nic poradzić - tłumaczył z pobladłą twarzą, chwiejąc się lekko przy ścianie koło drzwi. - Obudziła się i ledwie mnie zobaczyła, zaczęła...

- Zamknij się, Tony - odparła, otwierając drzwi. - Nie chcę tego słuchać.

- Ona mnie nienawidzi, Jo, mówiłem ci.

- Idziemy, kochanie - powiedziała łagodnie do Iriny, niepokojąco cichej i bezwładnej w jej ramionach.

- Przepraszam - rzekł Tony do jej pleców. - Tak mi przykro...

- Idź do diabła, Tony.

- Jak się czujesz, kochanie? - spytała Joanne, jadąc ostrożnie swoją fiestą w stronę szpitala Waltham General.

- Dobrze, mamusiu. - Cichutki, smutny i wystraszony, ale dzielny głosik.

- Tak mi przykro, Irino. Bardzo cię kocham, wiesz?

- Ja też cię kocham, mamusiu.

Joannę otarła łzy ręką, zagryzła wargi i skupiła się na prowadzeniu, wypatrując znaku szpitala.

- Kochanie, posłuchaj, co ci teraz powiem.

- Tak, mamusiu.

- Lekarze i pielęgniarki w szpitalu na pewno cię zapytają, skąd masz te siniaki, tak?

- Tak, mamusiu.
- No więc zapamiętaj sobie: nie wolno ci powiedzieć nic o tatusiu...
- Irina, przypięta pasami w foteliku na tylnym siedzeniu, milczała.
- Kochanie? Wszystko w porządku?
- Tak, mamusiu. - Znow ten cichutki głosik. Joannę zacisnęła palce na kierownicy.
- Bo jeśli powiesz im o tatusiu...
- To znowu pogniewa się na Rinę - dokończyło dziecko. Joannę dalej połykała łzy.
- Gorzej, kochanie. - Próbowwała opanować drżenie głosu. - Ci doktorzy mogliby zabrać cię od mamusi. A tego mamusia by nie zniosła.
- Nie dawaj im Riny, mamusiu. - Tym razem w głosie małej zabrzmiał strach.
- Nie dam, skarbie. - Joannę zwolniła na widok znaku. - Obiecuję. Nikt mi cię nie odbierze. Nigdy, przenigdy. Tylko powiedz im, że upadłaś, dobrze?
- Okej.
- Kocham cię, skarbie.
- Ja ciebie też.

Joannę zerknęła w lusterko wsteczne, uchwyciła swój wzrok i doszła do wniosku, że nigdy bardziej sobą nie pogardzała.

Aż do momentu, kiedy już w izbie przyjęć opowiadała pierwszej pielęgniarce o rzekomym upadku Iriny i zobaczyła pusty wyraz oczu dziecka. Miała ochotę krzyknąć albo po prostu zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Uwierzono jej, a co najważniejsze, okazało się, że Tony nie wyrządził małej poważniejszej krzywdy. Nie miała obrażeń wewnętrznych, nie zadawano żadnych podchwytliwych pytań. Byli pełni współczucia dla nich obu.

Joannę zostawiła fiestę przed szpitalem i zamówiła taksówkę, żeby w drodze powrotnej móc siedzieć z

Iriną, tulić ją, pocieszać i po raz nie wiadomo który zapewniać o swojej miłości. Córeczka przywarła do niej kurczowo, ale aż do samego domu nie odezwała się ani słowem.

Żal i wstyd Joannę nie miały wprost granic.

17

Wzajemny podziw i serdeczna przyjaźń między Lizzie a Susan Blake zaczęły się kilka lat wcześniej, podczas pierwszej promocyjnej trasy z serią „Wyglupów w kuchni”. Susan, obecnie dyrektor w Vicunie, pracowała wtedy w dziale reklamy i miała za zadanie dbać o spokój i dobry humor Lizzie Piper, tak aby autorka wywiązała się ze swych zobowiązań programowych. Po pierwszym dniu owej trasy, dniu, w którym prawie wszystko wypadło źle, to Lizzie zabrała Susan - śliczną, szczupłą dwudziestodwuletnią brunetkę - do baru w manchesterskim hotelu i na-

r

poiła podwójną whisky malt, aby dziewczyna mogła zapo mnieć o programach i książkach.

- To tylko przechwalona książka kucharska - przekonywała ją Lizzie.

- To cudowna książka. - Susan zdobyła się na protest.

- Ale nie jakieś szczyty intelektu - odparła Lizzie i zamówiła jej kolejnego drinka.

- Na rachunek firmy.

- Nie, to dla ciebie ode mnie osobiście. Z

podziękowaniem.

- Za co? Wszystko wyszło fatalnie.
- Bez ciebie byłabym bełkoczącym wrakiem.
- To ja plotłam głupoty - wyznała mężnie Susan.
- Nikt się nie poznał - zapewniła ją Lizzie, rozkoszując się drugą whisky malt. - Spójrzmy prawdzie w oczy: obie byłyśmy wspaniałe.
- Jak wędrowną trupa. - Susan podniosła szklanekę.
- Jesteś gwiazdą, Lizzie Piper.
- Dziękuję! - Lizzie nagle poczuła się bardzo szczęśliwa. - Następna szklaneczka na rachunek Yicuny.
- Tylko żebyś koniecznie zjadła kolację - przypomniała jej Susan. - To jeden z moich obowiązków - pilnować autorów, żeby się kompletnie nie ubzdryngolili.
- Spokojnie, i tak konam z głodu.
- Ty naprawdę kochasz jedzenie, co?
- A czyż nie za to mi płacą?
- Poznałam autora książek o ogrodnictwie. Mówił, że marzy o przeniesieniu się do mieszkania w bloku, żeby już nigdy nie musieć kosić trawnika ani pielić. Lizzie zastanawiała się przez chwilę.
- Można żyć bez koszenia trawy i przycinania róż. Ale bez jedzenia się nie da.

Poważne zainteresowanie Lizzie jedzeniem zaczęło się od zwykłego podjadania „na pociechę” za szkolnych czasów, we wczesnym stadium depresji jej matki. Potem, w stanowczo za krótkim okresie swobodnego życia w Sussex, nasiliło się to tak bardzo, że zaczęła tyć. Wtedy właśnie poznała Denisa Caina, atrakcyjnego wykładowcę języka angielskiego, który był zwolennikiem dbałości o własne ciało. Dzięki Denisowi Lizzie zrozumiała, jak wiele przyjemności można czerpać z

przygotowywania potraw i luźniejszego, bardziej żartobliwego podejścia do kuchni. Wspólne zakupy na bazarach, a gdy ją było stać, w niektórych lepszych sklepach w Rottingdean i Brighton, nauczyły ją, jak wielki wpływ na ostateczny smak i konsystencję potrawy ma jakość składników. Później, kiedy stopniowo nabrała większej śmiałości i zaufania do

własnej wyobraźni, zaczęła odchodzić od przepisów drukowanych w książkach i magazynach.

W niedługim czasie wpadła w to z kretesem, chociaż była i druga strona medalu: im lepiej Lizzie gotowała, tym więcej namiętności Denis okazywał jej daniom, a mniej osobie. Seksualna strona ich związku rozwiązała się na długo przed powrotem Lizzie do domu po śmierci ojca, ale przez kilka lat jeszcze, aż do swego wyjazdu do Kalifornii, Denis zwykł wpraszać się do niej na obiady, bez względu na to, gdzie mieszkała.

- Powinnaś otworzyć restaurację - przekonywał ją.
- Żeby w środku nocy pędzić na targ?
- Mogłabyś być szefem kuchni.
- Musiałabym zacząć od najniższego szczebla i wszyscy by na mnie krzyczeli.
- Więc chociaż opublikuj swoje przepisy - upierał się Denis.
- To nie są prawdziwe przepisy - Lizzie znów uderzyła w ten sam negatywny ton - ja po prostu wygłupiam się w kuchni. Zresztą zamierzam zostać dziennikarką, a nie pisać książki kucharskie.
- A co złego jest w książkach kucharskich? To są duże pieniądze, ta cała Delia jest bogata jak Krezus.
- Pieniądze to nie wszystko.
- Oczywiście - zgodził się Denis. - Ale one nie boją. - Wsadził palec do jej belgijskiego musu czekoladowo--waniliowego. A ty jesteś najbardziej spektakularną kucharką, jaką znam.

~*~

Dopiero po kilku latach dość prymitywnych wysiłków na polu dziennikarstwa, kiedy z coraz większym trudem przychodziło jej płacenie rachunków, Lizzie przypomniała sobie tę rozmowę. Maurice zostawił wprawdzie Angelę dobrze zaopatrzoną, ale jak się okazało, nic tak szybko nie spłaszca poduszki finansowej jak leczenie chronicznej choroby.

Zaczęła od telefonu do Denisa w Venice Beach.

Powiedziała mu, że wprawdzie dość późno, ale jednak zamierza skorzystać z jego rady. Może przypadkiem pamięta jakieś jej danie, które najbardziej przypadło mu do smaku?

- Wszystkie!

- Ja mówię poważnie. Potrzebuję czegoś na dobry początek, a wiesz, że nigdy niczego nie zapisywałam, to była taka dłubanina...

- Wyglupy. Nawiasem mówiąc, dobry tytuł.

Mimo wszystko dość długo z niego nie skorzystała. Nadal pisywała artykuły, rozważając jednocześnie różne koncepcje książki, którą miała nadzieję ostatecznie napisać, ale gdy tylko wpadła na coś oryginalnego, wydawało się jej, że zabija w ten sposób świeżość i prostotę swoich pierwotnych zamysłów.

Kiedy wreszcie udało się jej nadać dziełu zadowalający styl, kompozycję i tytuł, w jej życie wtargnął Christopher Wade, zmieniając wszystko na zawsze.

- Taka jest kolej rzeczy, prawda? - powiedziała do Susan Blake tego pierwszego wieczoru przy (wbrew najlepszym intencjom Susan) mocno zakrapianym obiedzie. - I akurat w czasie, gdy już wcale nie musiałam tak desperacko starać się o wydanie tej

książki, kiedy miałam dostatecznie dużo pieniędzy, że nie wspomnę o dwójce dzieci, pojawiła się w moim życiu firma Vicuna.

- Ale jesteś z tego zadowolona?

- No chyba!

Teraz, wiele lat później, przy lunchu w Isoli przy Knightsbridge, Susan i Lizzie omawiały plany kolejnej trasy połączonej z pokazami kulinarnymi.

- Wszystko w porządku? - spytała Susan Lizzie, kiedy

czekały na kawę. Sama zdażyła już unicestwić sernik z sosem jagodowym, a Lizzie nadal skubała niespiesznie swoją porcję.

- Tak. Po prostu za bardzo się najadłam.

- Bo wydajesz mi się trochę... przygnębiona.

Lizzie wzięła kieliszek z winem i rozejrzała się po ruchliwej i bezwstydnie luksusowej restauracji.

- Nie to, że przygnębiona. Tylko trochę mnie przerażają te plany.

- To akurat rozumiem.

- Naprawdę?

- Jasne. To ogromne przedsięwzięcie. - Susan umilkła na chwilę. - Ale chyba nie martwisz się, jak dzieci to zniosą? Bo przecież Christopher wszystko znakomicie zorganizuje.

- Oczywiście.

Susan się uśmiechnęła.

- On jest naprawdę nadzwyczajny.

- Prawda?

~*~

- O co chodzi, mamó? - spytał później Jack, kiedy przygotowywała toad-in-the-hole*.

- Nic ważnego, kochanie.

Edward odrabiał lekcje w swoim pokoju, Sophie już spała, a Christopher, który z samego rana miał operować w Beauchamp, nocował w domu przy Holland Park. Gilly wyjechała na trzy dni, na co Lizzie chętnie się zgodziła, gdyż po powrocie o niczym tak nie marzyła, jak o kilku spokojnych dniach w towarzystwie dzieci.

- Jesteś jakaś nieswoja.

Lizzie przyjrzała się uważnie swemu młodszemu synowi, tak podobnemu do ojca. Miał identyczny kolor włosów,

** Potrawa tradycyjnej kuchni brytyjskiej: kielbaski zapiekane w cieście. Dosłownie: „ropucha w dziurze”.*

takie same szare oczy, tylko o znacznie łagodniejszym wyrazie, uśmiechał się też bardzo podobnie, i to bardzo często, mimo swoich cierpień. Na razie nic nie zapowiadało tego, co nieuchronnie musi nadejść. Jack przetrwał dzielnie etap aparatu ortopedycznego i kul, wiadomo też było, że z czasem nie będzie w stanie manewrować ręcznie napędzanym wózkiem i awansuje do elektrycznego. Wiedział o tym i nawet potrafił na ten temat żartować. Chętnie się przed Edwardem, że przekroczy dozwoloną prędkość na długo przed tym, jak starszy brat otrzyma prawo jazdy. Sam Edward uwielbiał młodszego braciszka i gdyby rodzice nie czuwali, stałby się jego pokornym niewolnikiem. Także o innych sprawach Jack miał znacznie rozleglejszą wiedzę, niż życzyliby sobie tego troskliwi rodzice. Zdobywał ją za pośrednictwem Internetu, podobnie jak Lizzie, której te sprawy, różne fakty, szczegóły nie dawały spokoju, dręczyły ją i wywoływały senne koszmary.

Zastanawiała się czasem, co by się działo, gdyby jej rodzina postanowiła nie ukrywać natury choroby

wuja Jamesa, a ona sama, wiedząc o niej, przeszła odpowiednie badania. Może nie byłoby na świecie Edwarda i Sophie - zdrowych i silnych, dzięki Bogu? Ani Jacka?

Czy tak byłoby lepiej? To pytanie stawiali sobie ciągle wszyscy - Lizzie, Christopher i Angela, chociaż wydawało się bezcelowe i jątrzące.

Dla mnie - na pewno nie, brzmiała za każdym razem odpowiedź Lizzie, pełna udręki i poczucia winy, ale zdecydowana. Jak mogła odpowiedzieć inaczej, skoro знаła swego ukochanego synka? Ta choroba nie była Jackiem. To jakiś intruz, napastnik, wróg odbiera mu dystrofinę, kluczowe białko komórek mięśniowych, podstępnie ukrywając i więżąc prawdziwego Jacka Wade'a, dzielnego, urodziwego, energicznego chłopca o silnych kończynach.

Kończyny mu wprowadzie słabną, ale choroba nie pozbawiła go jeszcze żadnej z tych zalet, a nade wszystko pozostawiła nietknięte jego poczucie humoru i inteligencję. Oraz uśmiech, który tak bardzo zjednywał mu serca całej rodziny.

Tylko, dobry Boże, co będzie dalej? Operacje, terapie, ból, otepiające znużenie, gorycz, jakiej żaden pełnosprawny człowiek nie potrafi sobie wyobrazić. Konieczność operacji kręgosłupa.

Koszmar walki o oddychanie, wreszcie tracheotomia, pielęgniarstwa do odsysania i płukania rurek, do karmienia i mycia...

- Jeszcze jest czas - przypominał Christopher Lizzie.

- Nie myśl o tym, patrz na niego teraz. - Ścisnął ją lekko za rękę, wskazując wzrokiem synka, a ona przyznawała mu rację, bo Jack właśnie grał w coś z Edwardem albo głaskał Sophie po włosach (co uwielbiał), albo czytał „Harry'ego Pottera”, oglądał film, słuchał płyty czy po prostu odrabiał lekcje.

Jeszcze nie, Boże, proszę... Nigdy.

- Jesteś jakaś nieswoja.

Oto cały Jack Wade, któremu w żaden sposób nie da się zamydlić oczu.

Więc, Lizzie Piper, lepiej weź się w garść.

- Trochę boli mnie głowa - skłamała. - Nic wielkiego.

- Na pewno?

- Na pewno. - I dalej przygotowywała toad-in-the-hole.

- Tylko mnóstwo bisto poproszę.

- Ależ proszę, panie Gourmet. - Lizzie uśmiechnęła się i po krótkim milczeniu zapytała: - Czy naprawdę podoba ci się ten pomysł wspólnego wyjazdu?

- Jasne - błysnął uśmiechem chłopiec. - Na pewno będzie super. - Zawahał się lekko. - Czy dlatego masz taką minę, mamó? Bo się martwisz o mnie, o tę podróż i w ogóle?

Lizzie uchwyciła się tego pretekstu.

- Chyba tak. Troszeczkę.

- Naprawdę nie ma powodu. Przecież tatuś wszystkim się zajmie.

Uśmiechnęła się i odwróciła do kuchni. Przez chwilę próbowała sobie przypomnieć, kiedy zaczął nazywać ją „mama” zamiast jak dawniej „mamusią”.

- Oczywiście.

18

Joanne w trakcie swojej ustawicznej walki o bezpieczeństwo Iriny regularnie rozważała różne opcje, zastanawiając się, czy jednak nie przeoczyła czegoś, co mogłoby uratować przyszłość jej i dziecka.

Rozwód nie wchodził w rachubę, Tony oświadczył

jasno i wyraźnie, że nigdy nie pozwoli im odejść. Joanne próbowała go przekonywać, że jest to dla niego najprostsze rozwiązanie: będzie miał ciszę i spokój, nie będzie musiał cierpieć z powodu niewdzięcznej córki czy żony.

- Kuszące - przyznał. - Ale nie na tyle, żebym miał zrezygnować z tego, co wybuliłem na was przez te wszystkie lata.

- Nie jesteśmy inwestycją - oburzyła się Joanne.

- A szkoda. Wtedy mógłbym na was zarobić i uzyskać coś w zamian.

Zostawiła ten temat, oczywiście. Zawsze tak robiła, wiedząc, że każda wzmianka o rozstaniu niesie z sobą groźbę razów; Tony zwykle wyladowywał swój gniew na dziecku, traktując to także jako karę dla Joanne.

- Czy Irina dobrze się ma? - spytała córkę Sandra Finch zaledwie w zeszłym tygodniu.

- Świetnie - odrzekła Joanne, czując ściskanie w dołku. Ostatnio bała się gdziekolwiek wychodzić z córką, nawet na króciutką wizytę u matki.

Irina, oczywiście, wcale się dobrze nie czuła. Po prostu wiedła w oczach swej coraz bardziej przerażonej matki. Jak obraz, który niepociągnięty werniksem, traci stopniowo swe żywe kolory.

- Ty naprawdę nie widzisz, co robisz? - zapytała Joannę męża dwa dni przed ową wizytą u Sandry. - Krzywdzisz nie tylko ją, także siebie samego.

Siedzieli właśnie przy śniadaniu - ranek zawsze był najbezpieczniejszą porą dnia na tego rodzaju wymówki, gdyż Tony nie zdążył jeszcze nic wypić.

- Pewnie, że widzę - przyznał beznamiętnie. Joanne nie wierzyła własnym uszom.

- Myślisz, że nie wiem, jaki ze mnie potwór?

- Więc... więc dlaczego...

- Nic na to nie poradzę. Wstał i poszedł do pracy.

Dwie soboty później, kiedy Joanne była na górze w łazience, a Tony oglądał Channel Four Racing, Irina wstała z kącika, gdzie cichutko oglądała książkę z obrazkami, i drepcząc po swojego ulubionego fioleto-białego pieska, potknęła się o długi kabel antenowy koło telewizora i upadła.

- Uważaj, gdzie leziesz, na miłość boską! - wrzasnął na nią Tony z fotela.

- Przepraszam, tatusiu. - Dziewczynka zaczęła się podnosić, ale bucik utknął jej pod kablem. Próbując się wyplatać, szarpnęła tak mocno, że wtyczka wysunęła się z gniazdka.

- Kurde!!! - Tony zerwał się na równe nogi. - Czy ty wszystko musisz sknocić?

- Rina prasza! - zawołało przerażone dziecko.

- Zostaw, ja to zrobię.

Widząc, że się zbliża, Irina znów próbowała uwolnić nóżkę. Kabel przesunął się na bok, mała metalowa wtyczka śmignęła w powietrzu, uderzając w ekran.

- Powiedziałem: zostaw! - ryknął Tony.

Na górze Joannę otworzyła drzwi i zamarła.

- Tony?

Potem usłyszała rozpaczliwe krzyki dziecka.

Musiały pojechać na pogotowie i Joannę robiło się niedobrze od pytań, jakie jej tam zadawano. Tym razem nie była to kwestia jej wyobraźni, tylko naprawdę wypytywano ją z przerażającą dokładnością, a cały personel - recepcjonistka, pielęgniarka, lekarz i nawet technik od rentgena - traktował ją i Irinę zupełnie inaczej.

- Potknęła się o kable i uderzyła o stolik i ścianę. A potem ojciec kopnął ją w żebra.

- Rina upadła.

Bajeczka, wiernie wspomagana przez lojalne,

wystraszone dziecko.

Boże, proszę, niech nic jej nie będzie.

- Rinie utknęła nóżka.

Boże, jeśli i tym razem nic jej nie będzie, znajdę sposób, by go powstrzymać.

Boże, jeśli mi uwierzą, przysięgam, że znajdę sposób.

- Czekamy na wyniki prześwietlenia, pani Patston.

O mały włos nie uciekła z Iriną tej nocy. W tym cudownym momencie, kiedy usłyszała „wszystko w porządku”, omal nie pojechała z nią prosto w noc, omal nie skręciła na autostradę M25 albo wszystko jedno jaką, byle dalej od człowieka, który skopał jej córeczkę i powiedział, że nic nie mógł na to poradzić. O mały włos.

Bóg ją wysłuchał, ale Joannę nie była pewna, czy to Jemu zawdzięcza tę wielką łaskę. I czy rzeczywiście zrobił tak wiele, by pomóc Irinie.

Wolna wola, Joanne.

To nie sprawa Boga, tylko twoja.

Ty masz pomóc swojej córce.

Nie skręci na autostradę. To bez sensu, skoro nie ma pieniędzy i nie wie, dokąd jechać. Obie karty - kredytową i płatniczą - kontrolował Tony i na pewno by je zablokował. Nawet gdyby zdecydowała się na ostateczność i wyjęła całą gotówkę, na jak długo by jej starczyło?

Mimo wszystko zatrzymała fiestę na poboczu drogi i zaczęła przeszukiwać torebkę.

- Mamusiu? - odezwał się senny głosik z tyłu.

- Wszystko w porządku, dziecinko. Śpij sobie. Karty zostały w domu.

Nici z pieniędzy, nici z autostrady. Do domu.

Zacząła fantazjować. Na temat ucieczki, miejsc, w których mogłaby się ukryć z Iriną, dalekich miejsc, gdzie Tony nigdy by ich nie odnalazł. Teraz nie puszczała dziecka od siebie na krok, nawet gdy szła

do toalety, nawet gdy To-ny'ego nie było w domu, na wypadek gdyby nagle wrócił.

- Mogę wpaść? - spytała Sandra przez telefon pewnego

- Właśnie wychodzimy.

- Więc może się spotkamy?

- To tylko drobne zakupy.

- Mogłabym przyjść, jak już wrócicie. - Sandra umilkła na chwilę. - Bo wiem, że jej do mnie nie przywieziesz, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

- Niedługo przyjedziemy, mamó.

- Sprawiasz mi przykrość, Joanne. Nic z tego nie rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Po prostu ostatnio byłam bardzo zajęta.

- Jasne - odparła zimno Sandra.

- Kocham cię, mamó.

- Ja ciebie też kocham. Podobnie jak moją wnuczkę.

- Wiem.

Joanne wiedziała, że rani matkę, ale nic nie mogła na to poradzić. Za bardzo się bała, że pewnego dnia Sandra wyciągnie od Iriny prawdę, a to byłoby zbyt niebezpieczne. Ryzykowała sporo już przez samo pozostawanie z To-nym pod jednym dachem i chyba nie zniosłaby jeszcze większego napięcia. Pewnego dnia, kiedy znajdzie jakieś wyjście, wyjaśni wszystko matce.

Dość tych fantazji, powiedziała sobie. Rób coś.

Zabrała Irinę do biblioteki South Chingford w Hall Lane, posadziła ją przy stoliku przy oknie z książeczką i nie spuszczać oka z małej, zaczęła przeglądać porozkładane ulotki. Nie pytała o nic, nie mogłaby tak po prostu podejść i zapytać o schroniska dla osób w jej sytuacji. Wzięła kilka numerów linii kryzysowych do budki telefonicznej kilka ulic dalej i porozmawiała z miłą, rozsądną kobietą, podczas gdy Irina usadowiła się między jej

nogami. Ale kiedy kobieta zaczęła opowiadać o pomocy prawnej, bezpiecznych miejscach i nakazach sądowych, Joanne zrozumiała, że to nie dla nich. Przecież ona sama jest przestępczynią. Sprowadziła dziewczynkę do kraju w nielegalny sposób, pomagała mężowi i podżegała go do wpłacenia pieniędzy za dziecko. Nic nie może się równać z tym, że stała z boku, kiedy bił i kopał Irinę. Nie ma dla niej kryjówki. Wszystko to tylko mrzonki. Nie ma nadziei.

19

- Człowiek nigdy się do tego nie przyzwyczaja, co? - powiedziała Maureen Donnelly do swojej przyjaciółki Gare Novak przy obiedzie w małej greckiej restauracji przy Charlotte Street.
- Ja się nie przyzwyczaiałam. - Gare zanurzyła mały kawałek pity w taramasalacie, przyjrzała mu się i odłożyła z powrotem.
- Przepraszam, nie powinnam o tym mówić.
- Owszem, powinnaś. Siedzi ci to w głowie, lepiej to z siebie wyrzucić.
- Masz rację, że siedzi mi w głowie. - Maureen upiła trochę retziny. - Ta jedna sprawa naprawdę nie daje mi spokoju. Niby nic konkretnego, rozumiesz. To naprawdę mogły być, jak powiedziała, obrażenia odpowiadające temu, co według nich się wydarzyło. Wiadomo przecież, że dzieci ciągle się przewracają.

- Ale ty w to nie wierzysz.
- Niezupełnie. Mimo wszystko dziwnie to wyglądało. Ja zwykle tylko zajmuję się dziećmi, ale mam gdzieś matki, które pozwalają, by to się ciągnęło.
- Z wyjątkiem tej jednej? - Łagodne, orzechowe oczy Clare patrzyły pilnie w jej twarz.
- Była taka... udręczona.
- Czuła się winna.
- Kurczę... no tak.
- Ale to nie jej robota?
- Zdecydowanie nie. Boże, jak strasznie żał mi było tej małej! I jej matki także.

~*~

- Może mógłbyś rzucić okiem na tych ludzi? - spytała Clare Novak męża, kiedy kładli się spać.
 - W jakim celu? - Novak dotknął nowej kołdry. - Jaka ładna!
 - Kupiłam na wyprzedaży u Johna Lewisa. - Clare zgasila lampkę przy łóżku. - Mike, mógłbyś to zrobić?
 - Po co? - Ułożył się wygodnie i objął mocno żonę ramieniem.
 - To może być przypadek dla Robina.
 - Przecież go nie znosisz, Clare - zauważył zaskoczony Novak.
 - Nigdy nie mówiłam, że go nie znoszę, ale raczej mu nie ufam. A przynajmniej nie wierzę w jego motywy.
 - Odsunęła się nieco i podparła głowę na łokciu. - Mike, chcę, żebyś w tej sprawie potraktował mnie poważnie.
 - Zawsze traktuję cię poważnie.
- Opadła na poduszkę, próbując się rozluźnić.
- No więc?
 - Przecież Maureen mówiła, że nie ma żadnych dowodów.

- Rzeczywiście tym razem nie ma. Ale właśnie dlatego ktoś powinien im pomóc.

- Zanim znów coś się stanie?

- No właśnie.

Novak wpatrywał się w ciemność, próbując wyobrazić sobie małą dziewczynkę o ciemnych udreńczonych oczach z siniakami na ciele.

- Kocham cię.

Clare odnalazła jego dłoń.

- Ja ciebie też. - Po chwili spytała znowu: - Więc spróbujesz?

- No nie wiem. Ona nie prosiła o pomoc.

- Masz na myśli matkę. Zresztą dziecko też nie prosiło.

- Bo nie mogło.

- Rzeczywiście.

Potem zasnęli, ale Novaka w nocy zbudziły pojękiwania żony, która widocznie miała zły sen. Kiedy zapalił lampkę, zobaczył na jej policzkach łzy, co go mocno zaniepokoiło.

- Dobrze się czujesz? - zapytał rano przy ubieraniu.

- Świetnie. Teraz jestem pewna, że pomożesz tej małej.

- Powiedziałem, że jeszcze nie wiem - odparł, zasuważąc zamek w spodniach.

- Nie rozumiem, co by ci szkodziło. - Clare nałożyła trochę szarego cienia na powieki. - Tylko sprawdź, co to za rodzina.

- Przecież właśnie z powodu takich przypadków uciekłaś ze szpitala.

Clare usiadła na krawędzi łóżka.

- Nie mogę o niej zapomnieć, Mike. Już się zaangażowałam w tę sprawę. Jeśli przynajmniej nie spróbujemy pomóc, będę się jeszcze bardziej martwiła.

- A jeśli się okaże, że jest bardzo źle, a my nic na to nie poradzimy?

- Wtedy zajmie się tym Robin.
- Novak usiadł obok i zobaczył w jej oczach wyzwanie.
- Czy nie tym właśnie się zajmuje? - ciągnęła. - Przecież sam mówił, że opiekuje się kobietami, które nie mają szans na pomoc.
- Nawet Robin nie pomoże wszystkim.
- Ale spróbować zawsze można. Wystarczy, że rzucisz okiem, Mike. Proszę!
- Nadal nie spuszczał z niej oczu. Wcale nie była taka krucha.
- Proszę, Mike!
- Podaj mi jakieś szczegóły - rzekł z uśmiechem.

20

Zbiórkę wszystkich osób zatrudnionych przy pierwszym pokazie z cyklu „Podróże kulinarne Lizzie Piper” wyznaczono na niedzielę, 28 lipca w Vienne. Z Londynu do Lyonu Lizzie i Susan poleciały samolotem, po czym zamówionym peugeotem dotarły do domu wynajętego przez Food and Drink Channel na obrzeżach miasta. Producent Richard Arden i jego osobista sekretarka Gina Baum przyjechali dwa dni wcześniej Eurostarem i z uśmiechami, z których dałoby się wyczytać wiele na temat dwóch upojnych nocy w Paryżu, przybyli tego samego dnia wynajętym citroenem. Ekipa - cała horda, jak w panice zauważyła Lizzie - zwała się wieczorem minibusem i lora, z której wyładowano tony sprzętu.

- Co to w ogóle za ludzie? - szepnęła Lizzie do

Susan.

- Nie mam bladego pojęcia.

- Zdawało mi się, że Richard obiecywał kameralną atmosferę.

- Może tak będzie. Może część z nich tylko pomaga przy rozładunku.

Godzinę później Lizzie zadzwoniła do Marlow.

Rozmawiała najpierw z Gilly, która zameldowała, że dzieci są zdrowe i nie mogą się już doczekać podróży. Miała wyruszyć z nimi za niecały tydzień, natomiast Christopher zamierzał przyłączyć się do rodziny w San Remo.

- Jest tutaj, poczekaj chwilę - powiedziała.

- Jak się ma moja gwiazda? - spytał kordialnie.

- Kompletnie przerażona. - Lizzie ściszyła głos. - Nie wiem, czy ściąganie tu dzieci to dobry pomysł. Co będzie, jeśli nie wytrzymają?

- Jack jest w siódmym niebie.

- O niego się nie martwię, chodzi mi o Sophie. Jest jeszcze stanowczo za mała.

- Sophie ma siedem lat i świetnie się adaptuje, jak wszystkie nasze dzieci. - Christopher mówił pogodnym, rzeczowym tonem. - Nie masz się czego obawiać, kochanie.

- Ja tylko chcę ci uświadomić, że może zajść konieczność wycofania ich z tej trasy.

- Nie będziemy niczego odwoływać. W najgorszym wypadku zatrzymam je w hotelu i urządzimy sobie wakacje tam, gdzie ty będziesz robić za niewolnicę.

- No i bardzo dobrze. - Panika Lizzie nieco osłabła. - Tylko nie wiem, czy sama dam sobie radę z tym wszystkim.

- Co za bzdury! Dasz radę, nawet stojąc na głowie.

- Miło, że tak myślisz.

- Tak właśnie jest.

I rzeczywiście dała radę. Gdy tylko ludzie z telewizji się rozlokowali - jedni w ogóle zniknęli, zgodnie z przewidywaniami Susan, inni wtopili się w tło - a Lizzie, Susan, Ar-den i reżyser Bill Wilson (przyjechał za ekipą na motocyklu, cały w czarnej skórze) przystąpili do układania dokładnego programu na najbliższych kilka dni, od razu poczuła się lepiej.

- Pół dnia - zarządził Arden - na złapanie atmosfery miejsca.

- Nie zdążymy obejrzeć wykopalisk - zaprotestowała Susan.

- I chwała Bogu - rzekła Gina Baum. - Nienawidzę ruin.

- Zapamiętam to sobie - powiedział Arden, starszy od

niej o co najmniej dwadzieścia lat, na co Bill Wilson skrzywił się nieco.

Wybierając Vienne na plan filmowy swego pierwszego pokazu, Lizzie tylko częściowo wzięła pod uwagę fakt, że znajdowało się tam jedno z najbardziej niezwykłych skupisk starorzemych budowli we Francji. Pierwotny projekt zakładał urządzenie kuchni ze starożytnymi (a raczej podstylizowanymi na starożytne) naczyniami w jednej z miejskich rezydencji, świeżo odkopanych w rejonie Saint-Ro-man-en-Gal, ale się okazało, że gdyby nawet jakimś cudem uzyskano zezwolenie, warunki ubezpieczenia byłyby nie do przyjęcia.

Niezależnie od znakomitych scenerii, Vienne odpowiadało Lizzie przede wszystkim z powodu bliskiej odległości od Lyonu, uważanego powszechnie za gastronomiczną stolicę świata, a także sławy, jaką to miasto zawdzięcza restauracji La Pyramide i jej legendarnemu właścicielowi, Fernandowi Point, którego filozofia smaku inspirowała legiony szefów kuchni na przestrzeni

dziesiątków lat.

- Za mało czasu - narzekała Lizzie pod koniec pierwszego z trzech dni przeznaczonych na zdjęcia. - Nie wiem, jak się z tym wszystkim wyrobimy.

- Nie zaczynaj znów panikować - prosiła Susan, nalewając jej koniak z butelki wspaniałomyślnie dostarczonej przez Ardena. - Wiesz, że sobie poradzisz.

- Przecież, jak dotąd, zdążyłyśmy tylko rzucić okiem na targi i wyposażyć kuchnię.

- Co oznacza, że gdy nas dobrze przycisną, jutro uda się nakręcić wszystko za pierwszym podejściem.

- Może gdyby, uchowaj Boże, kręcili to wszystko na żywo. Ale jeśli miałyby to wyglądać tak jak dzisiaj, mielenie każdego ziarenka pieprzu urosłoby do megaprodukcji.

Susan roześmiała się, bo wczesnym rankiem na place du marche widziała, jak Wilson, próbując zdobyć fory za pomocą małego wozu transmisyjnego, uparł się, by Lizzie

kupowała pięć razy tę samą brzoskwinię, zanim uzyskał zadowalający wynik.

- Pomyśl o tym w ten sposób, Lizzie. Kiedy przychodzi do pisania dziennika, wszystko, co w danym dniu źle poszło, wydaje się znacznie zabawniejsze od tego, co szło jak z płatka.

- Nie wiem, czy Richard będzie taki szczęśliwy, jeśli całe to przedsięwzięcie okaże się katastrofą. - Lizzie już usłyszała parę cierpkich słów od Ardena na temat marnowania dziennego światła i budżetu.

- Coś tam może się nie udać, ale na pewno nie wszystko - przekonywała ją Susan. - Wypij ten koniak.

- Oto lekarstwo Susan Blake na wszystkie smutki: alkohol.

Dom, w którym ich zakwaterowano, w normalnych warunkach można by uznać za przestronny, ale przy sporej liczbie kręcących się po nim ludzi i porozwlekanego

wszędzie sprzętu, z reflektorami włącznie, wkrótce stał się wręcz klaustrofobiczny. I chociaż na planie zewnętrznym, gdzie Lizzie miała do odegrania rolę wirtualnej turystki, czuła się znakomicie rozluźniona, gdy przychodziło do kręcenia kuchennej krzątaniny w dużym studio, jej nerwy napinały się natychmiast do granic wytrzymałości.

- Fernand Point uważał, że te gwiazdki odnoszą się zarówno do kuchni, jak stołu.

Odwróciwszy się od niewzruszonego oka kamery, spojrzała na wielkiego, oskubanego i w tej chwili przegrzanego już kurczaka oraz dwa kosze jarzyn ustawione przed nią na kamiennym blacie.

- Jeśli składniki odpowiadały jego wymaganiom, to znaczy były najwyższej jakości i świeżości, odczuwał jako przestępstwo wykorzystywanie sztuki kulinarnej do maskowania ich charakterystycznych zapachów i konsysten-

cji. Wszystko, czego monsieur Point dodawał do swych potraw, musiało...

Gdzieś w środku domu zadzwonił telefon.

- Kurwa! - wykrzyknął Bill Wilson.

- Cięcie! - zarządził ktoś inny.

Telefon umilkł i Lizzie czekała na znak od reżysera.

- Akcja!

- Wszystko, czego monsieur Point dodawał...

- Cięcie!

Lizzie osłoniła oczy przed reflektorem.

- Co ja zrobiłam?

- Trochę za bardzo się błyszczysz. Niech ją ktoś przypudruje! - zawołał głośno reżyser, po czym już ciszej zapytał: - Dobrze się czujesz, Lizzie?

- Trochę tu za gorąco.

- To normalka.
- Wiem. - Młody człowiek dotknął puszką do pudru jej twarzy, po czym wycofał się poza zasięg reflektorów. - Jestem gotowa, Bill.
- Od nowa!
- Och... Od „Fernand Point uważał...“?
- Od samego początku, proszę.
Lizzie popatrzyła na kurczaka, modląc się w duchu, by nie wysliznął się z jej mokrych od potu dłoni, i zaczęła po raz kolejny mówić tekst.

- Byłaś fantastyczna, skarbie - pochwalił ją Bill Wilson po godzinie albo - jak wydawało się Lizzie - po dwudziestu godzinach, całując ją w rozgrzany, wilgotny policzek. - I czyż ten kurczak nie wygląda bajecznie?
- Jest taki piperowski - zauważył Richard Arden, całując ją także.
- Tylko niech nikt nie waży się go jeść - ostrzegła ich Lizzie, kiedy reflektory zgasły, oślepiając ją na chwilę.
- Dlaczego? - Z mroku wynurzyła się twarz Susan. - Pachnie bosko!
- Bo po pierwsze, nie sędzę, żeby był specjalnie świeży, po drugie, za długo tkwił w żarze reflektorów, a poza tym nie piekł się tyle, ile powinien. Nie wydaje mi się, żeby zatrucie salmonellą było tym, czego nam trzeba najbardziej.
- Ale i tak zapach jest fantastyczny - upierała się Susan.
- Więc najwyraźniej zapachy potrafią kłamać. Mogę powiedzieć tyle, że Fernand Point musi przewracać się w grobie.

Po nakręceniu pierwszego odcinka Lizzie, Susan i Ar-den odlecieli z Lyonu do Nicei, skąd samochodem pojechali przez granicę do San Remo. Bill i Gina pokonali tę trasę pociągiem, reszta ekipy zaś wyruszyła do miejsca przeznaczenia autostradami przez Niceę i Ventimiglia.

Il Dottore- jak poinformowano Lizzie w recepcji hotelu Palazzo Grandę (Christopher wybrał go ze względu na doskonałe warunki dla osób na wózkach) - był już na miejscu razem z signołą Spence oraz ragazzi i czekał na nią w jednym z dwóch zarezerwowanych apartamentów, tym, który uznał za konieczne przeznaczyć wyłącznie dla ich osobistego użytku. Drugi, trzypokojowy, zajmowała Gilly razem z dziećmi.

- W ten sposób zapewnimy sobie więcej swobody - tłumaczył żonie przed wyjazdem.

Lizzie poczuła skurcz żołądka.

Seksualna powściągliwość Christophera w czasie gorączki przedwyjazdowej bynajmniej nie zmniejszyła jej obaw, przeciwnie, wprawiła ją w tym większe zdenerwowanie. Była pewna, że on tylko czeka na odpowiedni moment i bardziej sprzyjające warunki.

- W porządku? - spytała ją Susan, kiedy szły do windy.

- Trochę jestem zmęczona - odparła Lizzie i po raz kolejny upomniała się w duchu, by z niczym się nie zdradzić.

- Całe dwa dni wolnego - cieszyła się Susan. - Mamy basen z morską wodą i na pewno fantastyczne jedzenie. Pełny odlot!

- Przynajmniej dopóki nie będę musiała gotować.

Cały niepokój rozwiązał się w chwili, gdy zza zamkniętych drzwi usłyszała rozradowane głosy dzieci.

- Mamusia! - Sophie, prześliczna w bladoniebieskiej plażowej sukience i z bosymi nóżkami, zobaczyła ją pierwsza i od razu rzuciła się jej na szyję.

- Hej, mammo. - Edward, który jak przystało na dwunastolatka, wolał bardziej powściągliwe powitanie, podszedł do niej z nowiutkim modelem Canona Sureshot dyndającym na szyi.

Lizzie na moment przymknęła oczy, chłonąc żywe ciepło z ramion ich obojga, po czym rozejrzała się za Jackiem. Siedział przy drzwiach balkonowych, tyłem do widoku,

z twarzą częściowo pograżoną w cieniu, ale Lizzie od razu z wielką ulgą dostrzegła na niej „uśmiech numer jeden”, ten, który rozjaśniał każdy milimetr skóry i oznaczał, że jej syn jest naprawdę uszczęśliwiony. Ostatnio bowiem coraz częściej pojawiał się ten inny uśmiech, „numer dwa”, oznaka dyskomfortu czy nawet bólu, starannie skrywanego przed całym otoczeniem.

- Cześć, mammo! Jak podróż?

Lizzie dała Sophie jeszcze jednego całusa, zwichrzyła ciemną czuprynę Edwarda i przez pięknie urządzonego salon ruszyła do wyraźnie zadowolonego Jacka, siedzącego na wózkulce w koszulce w paski i denimowych szortach.

- Wspaniała - odrzekła, przytulając go mocno. - A wasza?

- Całkiem niezła, tylko Sophie porzygała się w samolocie.

- Tak? - Lizzie obejrzała się na córeczkę w momencie, gdy z sypialni wyszła Gilly z ręcznikiem na ramieniu. - Cześć, Gilly! Jak się miewasz?

- Świetnie, dziękuję. - Uśmiechnęła się do Jacka. - Już ci naopowiadał?

- Nienawidzę latania - burknęła Sophie.

- Ale już lepiej się czujesz, prawda? - Lizzie po rozpromienionej buzi córeczki poznała, że pytanie było

zbędne.

- Cudowne te pokoje! - Gilly podeszła do Jacka i położyła mu rękę na ramieniu. - I co za widok!

- Niesamowity - przyznał chłopiec.

- No, widzę, że wszyscy zadowoleni? - odezwał się z tyłu głos Christophera. - Witaj, gwiazdo!

Stał, wypełniając swą wysoką sylwetką framugę drzwi, ubrany w dżinsy i białego T-shirta, imponujący jak zawsze. Lizzie zapragnęła, jak często w takiej chwili, by jakimś cudem pozbawić go tamtej skazy i móc się skupić tylko na jego niezwyklej dobroci

- Cześć, Christopherze. - Pocałowała go w policzek.

- Pewnie, że wszyscy zadowoleni. Tym razem naprawdę nas rozpuściłeś.

- Gdzie reszta? - spytał, obejmując ją ramieniem.

- Susan - dwa piętra niżej. - Lizzie dyskretnie się odsunęła i usiadła na sofie. Spojrzała na córeczkę, która studiowała kartę room service'u. - Chodź, Sophie, opowiesz mi, co to się działo w samolocie. - Widząc, że dziewczynka jej nie słucha, zwróciła się znów do męża: - Richard także tu mieszka, a reżyser Bill Wilson i Gina, jego sekretarka, chyba niebawem zjadą, ale nie jestem pewna.

- A ekipa? - spytał Edward, który jeszcze przed rozpoczęciem podróży studiował pilnie materiały na temat produkcji telewizyjnej.

- Mają być w innym hotelu, nie pamiętam którym.

- Hotel Paradiso - podpowiedział Christopher.

- Dlaczego nie tu? - Edward wyraźnie był zawiedziony, gdyż marzyła mu się przyjaźń z kamerzystami.

- Tu za duży wypas jak dla nich - zasugerował mu Jack.

- Jeść mi się chce - odezwała się Sophie.

- Konam z głodu - zawtórował jej Edward. Sophie podeszła z kartą.

- Tatuś mówi, że teraz będziesz jeszcze bardziej sławna.
- Na razie w ogóle nie jestem - zaprotestowała Lizzie.
- Troszkę jesteś - sprzeciwił się Edward.
- Ale nie tak jak tatuś - dodał Jack.

Na planie w kremowej willi, która kiedyś, zdaniem Giny Baum, należała do rosyjskiego arystokraty, Lizzie z całą ekipą montowali pracownicy drugi odcinek serialu. Nakręcono już scenę robienia zakupów - jarzyny z mercato w La Pigna, starym miasteczku z malowniczymi zaułkami i stromymi schodkami, po których Lizzie na polecenie reżysera musiała nosić kosze pomidorów, karczochów, grzybów, bakłażanów i świeżych ziół; ryby z żółto-kremowego miasteczka Cervo; lokalne wino rossese z winnic otaczających Dol-ceacqua. Ekipa, już znowu w pełnej formie, odwiedziła też różne miejsca wybrane przez Lizzie w ciągu paru ostatnich miesięcy, filmując dokrętki, z których większość prawdopodobnie wyleci na etapie montażu: zamek Doria, rzekomo nawiedzony, cerkiew prawosławną z grobami błę-kitnokrwistych rosyjskich emigrantów, miasto zburzone podczas trzęsienia ziemi ponad sto lat temu, ogrody róż i goździków w Ventimiglia, a w samym San Remo Kasyno Miejskie.

- Teraz już sprawia ci to przyjemność, prawda? - zauważył Christopher po drugim kieliszku koniaku, który nareszcie sami popijali pod koniec drugiego dnia w barze.

- O tak - przyznała Lizzie mimo wyczerpania. - W Vienne tak pilnie zajmowałam się własnymi nerwami, że zapomniałam, jakim przywilejem mnie uhonorowano. Taka okazja trafia się tylko raz w życiu.

- Niekoniecznie.

- Ach, nie sądzę, by to się miało powtórzyć, a jeśli nawet, to i tak pierwszy raz najbardziej się przeżywa, prawda?

- Bardzo mnie to cieszy. Widziałem, ile napięcia kosztował cię rozbieg.

- Tak trudno było ze mną wytrzymać? Christopher upił trochę koniaku.

- Nie, ale gdyby nawet, czy miałbym prawo się skarżyć?

- Nie wiem.

- Ale ja wiem, że sam byłem jednym z powodów twojego stresu. - Rozejrzał się dookoła. -

Wtargnąłem w środek twojej trasy, zrobiłem z tego rodzinne wakacje...

- Cudownie jest mieć przy sobie dzieci.

- Ale ja też tu jestem. I tylko ci przytruwam, jakie to romantyczne...

- Bo to jest romantyczne - przyznała, wzruszona jego szczerością. - O ile filmowanie każdego kroku można uznać za romantyczne.

- Nic nie szkodzi, Lizzie. Nie martw się tym, przecież wiem, jakie to dla ciebie ważne.

- Christopher... - Nagle poczuła się winna. - Ja nie...

- Powiedziałem, że nic nie szkodzi - przerwał jej łagodnie. - Nie zamierzam ci tego psuć.

Po tej rozmowie doznała wielkiej ulgi i nawet zaczęła nieśmiało myśleć, że może naprawdę wszystko się jeszcze ułożyć. Jeśli dopisze jej szczęście, uda się jej wykonać kawał dobrej roboty, przy której w dodatku może się nieźle bawić. A co ważniejsze - może przy okazji zapewnić dzieciom naprawdę niezwykle wakacje, bez specjalnego wysiłku ze strony obojga rodziców.

Dzień trzeci nadszedł i minął.

- Idziemy całą naprzód - obwieścił Arden, który jako

wyjatkowo przesadny człowiek wystrzegał się nawet najdrobniejszych pochwał, zanim nie miał w torbie całego

urobku. Był wieczór i Lizzie wybierała się właśnie na spokojną kolację w rodzinnym gronie.

- Bill jest zadowolony? - Lizzie nie była pewna reakcji reżysera.

- Bardziej niż zadowolony. - Producent spojrzał na jej minę i uśmiechnął się szeroko. - Nie przywiązuj żadnej wagi do jego zmiennych nastrojów. W tej chwili zależą w dużej mierze od drogiej Giny i nie mają nic wspólnego z tobą.

Kolacja była przepyszna, rodzice i dzieci kończyli je-
dzenie w doskonałych humorach. Gilly wyszła na
cały wieczór z Rupe'em, przystojnym dźwiękowcem,
który całkiem stracił dla niej głowę. Christopher w
szczytowej formie, sypał żartami, a wysławszy
Sophie do łóżka, zarzekał się, że z przyjemnością
zostanie jeszcze z chłopcami, którzy nie chcieli
słyszeć o śnie, natomiast Lizzie, niemal mdlejąca ze
zmęczenia, udała się wcześniej na spoczynek.

W pełni zasłużony spoczynek. Zdrowy, niczym
niezakłócony sen.

Czwarty dzień spędziła w kuchni swojej willi Riviera
dei Fiori, w której chłód gliny ocieplały kwiaty i żar
bijący ze stalowego pieca. Gotowanie na czymś
takim było wielką przyjemnością, toteż połączywszy
tradycje liguryjskie ze starorusyjskimi, przygotowała
rodzaj kulebiaka - delikatnie marynowane
miejscowe ryby w otulinie ze złocistego ciasta,
podane ze śmietanowo-grzybowym sosem.

- A to pozwolisz nam zjeść? - spytała, przelękając
ślinkę, Susan.

- Jeśli Bill skończył filmować...

- Bill skończył - wtrącił się reżyser. - I mógłby zjeść
wielbłąda.

- Nigdy nie przyrządzałam wielbłąda - rzekła Lizzie,

przyglądając się z błyskiem dumy, jak jej danie znika w oczach.

Następnego ranka, w dniu przeznaczonym na wypoczynek, Lizzie obudziła się w pustym łóżku. Na poduszce Christophera leżała karteczka: „Masz wolne, gwiazdo. Będę z dziećmi przy basenie”.

Nie cierpiała, kiedy tak ją nazywał, chociaż starała się nie okazywać tego przy obcych, którzy uważali to za czułe pochlebstwo. Za każdym razem kurczyła się w sobie na wspomnienie tamtej nocy, kiedy wymawiał słowo „gwiazda” w zupełnie innym kontekście. Pierdolić gwiazdę. Jedno z jego ulubionych „czułych słówek”.

Oczywiście to tylko niewinna karteczka.

Nie popsuj tego dnia, lizzie.

Z początku zamierzała trochę się powylegiwać, może zjeść w łóżku śniadanie, ale potem doszła do wniosku, że najbardziej spragniona jest towarzystwa dzieci. Wzięła szybki prysznic, znalazła kostium kąpielowy, plażową sukienkę i sandały, przejrzała się w lustrze; mimo wielu godzin filmowania we wnętrzach była już nieźle opalona.

Najpierw zobaczyła Christophera - siedział okrakiem na leżance w granatowych spodenkach, ciemnych okularach i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Zawsze gustował w kapeluszach i chociaż zrezygnował w lecie z panamy, bo Lizzie jej nie lubiła, w mieście nosił fedorę, na wiejskie spacery wybierał miękki, filcowy, a od października do maja nie rozstawał się ze sfatygowanym tweedem, w którym wyglądał trochę jak Rex Harrison.

Pomachał jej z daleka kapeluszem, a potem w ten sam sposób próbował zwrócić uwagę nurkującego właśnie Edwarda.

Lizzie przypatrywała się przez chwilę najstarszemu synowi, po czym ruszyła w stronę leżanki

Christophera. Jack siedział nieco dalej na wózku w

białym T-shircie, szortach i szpanerskich włoskich okularach, kupionych z Lizzie w Londynie tuż przed wyjazdem.

- Cześć, kochani - przywitała ich, podchodząc.

Sophie siedziała pod parasolem dwie leżanki dalej, gawędząc z koleżanką w tym samym wieku. W różowym biki-ni i baseballowej czapeczce wyglądała wprost rozkosznie.

- Cześć, mamó. - Jack podjechał płynnie bliżej.

- Witaj, kochanie - rzekł Christopher. - Dlaczego już nie śpisz?

- Chciałam być jak najdłużej z wami.

Rzuciła torbę na stolik między mężem a synem, cmoknęła Jacka w policzek i obejrzała się na Edwarda, harcującego w basenie z grupą chłopców i dziewcząt.

- Tatuś powiedział, że zostaniesz dziś w łóżku. -

Sophie zmaterializowała się nagle przy matce.

- Cześć, ślicznotko! Posmarowałaś się dobrze?

- Jasne.

- Miła ta koleżanka - zauważyła Lizzie, patrząc na dziewczynkę, z którą rozmawiała Sophie.

- To Daniela. Włoszka, ale fantastycznie mówi po angielsku.

- Patrz, mamó, Ed znowu nurkuje - zawołał Jack.

Spojrzała, ale za późno. Już tylko rozprysnięta piana znaczyła miejsce, gdzie smukłe, opalone ciało starszego syna zniknęło pod wodą. Obróciwszy się z powrotem do Jacka, nie dostrzegła na jego twarzy ani śladu zawiści i ta wspaniałomyślność wzbudziła jej podziw.

- Mamusiu, idę popływać - oznajmiła Sophie. -

Chcesz pójść ze mną?

- Mamusia na pewno woli sobie odpocząć - uprzedził jej odpowiedź Christopher.

- Ależ z przyjemnością się zanurzę. - Lizzie szybko ściągnęła przez głowę sukienkę i zrzuciła sandały. -

A co z Danielą?

- Ona nie lubi pływać. No chodź już.

Matka z córką wynurzyły się z wody piętnaście minut później i poszły prosto pod prysznic, żeby zmyć z siebie sól. Wracając potem na swoje leżanki, minęły Edwarda.

- Idę po colę - powiedział. - Są chętni?

- Dla mnie lody - zawołała Sophie. - Gelato.

- Trochę za wcześnie na lody - zaprotestowała Lizzie.

- Och, mamusiu...

- Mają tu dobry sok z pomarańcz - zaproponował Edward. - Świeżo wyciśnięty.

- O, to ja poproszę. Przynieś mi, synku, dobrze?

- A dla mnie lody... proszę! Czekoladowe! - Sophie pobiegła naprzód, zostawiając na ziemi ślady mokrych jeszcze stóp.

- Masz dość pieniędzy? - spytała Lizzie.

- Tatuś powiedział, żeby podpisać rachunek.

Spojrzała w stronę leżanek, gdzie Christopher wycierał

już Sophie ręcznikiem. Dziewczynka śmiała się głośno i z daleka wyglądało, jakby ojciec ją łaskotał. W głowie Lizzie rozbłysło ostrzegawcze światełko.

- Nie! - krzyknęła tak głośno, że parę osób się obejrzało. Wcale się tym nie przejęła. W paru susach znalazła się przy leżance, chwyciła przestraszoną córkę za rękę i odciągnęła od Christophera.

- No co? - spytała Sophie. - Mamusiu, co ty robisz? Lizzie policzki płonęły. Puściła dziecko, zdając sobie sprawę, że z głupoty i desperacji wdarła się na terytorium, którego przysięgła nie tykać. Teraz musiała jakoś to zatuszować, póki nie będzie za późno.

- Robisz z siebie przedstawienie - syknęła. Sophie wytrzeszczyła na nią oczy.

- Ja się tylko śmiałam. - Obejrzała się na ojca, szukając u niego wsparcia. - Tatuś mnie rozśmieszał, co w tym złego?

Lizzie czuła na sobie wzrok Christophera, ale nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć. Teraz nie miała już wyjścia, musiała brnąć dalej.

- To taki przyjemny hotel - tłumaczyła, nienawidząc siebie - a ty przeszkadzałaś ludziom...

- Wcale nie! - Oczy Sophie napełniły się łzami. - Dlaczego jesteś taka wstrętna?

Nie czekając na odpowiedź Lizzie, dziewczynka zgarnęła sukienkę i torbę plażową, wsunęła nogi w sandaalki i uciekła.

- No ładnie - odezwał się spokojny głos Christophera. Tym razem na niego spojrzała.

Trzymał w ręku okulary słoneczne, a w oczach miał bynajmniej nie spokój, tylko przerażenie. Doskonale rozumiał, co działo się przed chwilą w jej głowie. Odwróciła szybko wzrok i zobaczyła córkę, mijającą pędem Edwarda, który niósł napoje i lody. Gilly -w niesamowitym czerwonym bikini i narzutce, z upiętymi wysoko ciemnymi włosami - bezskutecznie próbowała ją zatrzymać.

- Idę za nią - postanowiła Lizzie, zbierając swoje rzeczy.

- Świetny pomysł - rzekł bardzo cicho Christopher.

- Co się stało Sophie? - spytała Gilly, zbliżając się szybko, gotowa do natychmiastowej interwencji. - Wyglądała na zdenerwowaną.

- To przeze mnie - przyznała się Lizzie.

- Och - Gilly pokiwała głową ze zrozumieniem - kto tu ma siedem lat? Kto jest mamą?

Lizzie ze wszystkich sił wstrzymywała łzy.

- Nic jej nie będzie - powiedziała ze współczuciem Gilly.

- Mam nadzieję, bo zaraz ją przeproszę.
- Takiej to dobrze! Mało którą matkę stać na taki gest.

~*~

- Nie wierzę, że mogłaś nawet zastanawiać się nad czymś takim.

Christopher zaczekał nad basenem na powrót Sophie, po czym zostawił ją i chłopców z Gilly i ruszył do apartamentu, by odnaleźć żonę. Jego opalenizna wydała się nagle sztuczna, jak po nałożeniu kremu przyciemniającego, gdyż naprawdę twarz miał kredowobiałą, a dłonie zaciśnięte w pięści.

- Wiem. - Odwróciła się tyłem i podeszła do okna.
- Czy tego właśnie zawsze się obawiałaś?
- Nigdy przedtem o tym nie myślałam.

I rzeczywiście, nigdy nie przyszło jej to do głowy. Nie tylko dlatego, że było to zbyt odrażające, zbyt straszne, ale ponieważ wiedziała instynktownie (a przynajmniej tak się jej zdawało), że bez względu na to, co Christopher robił i może jeszcze zrobić z nią, nigdy nie skrzywdziłby dziecka.

- Nie wiedziałaś, że nigdy, przenigdy nie tknąłbym nawet włoska na głowie żadnego z nich?

Lizzie obróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Gdyby na początku naszej znajomości ktoś mi powiedział, że mógłbyś mnie skrzywdzić fizycznie...
- Nigdy tego nie zrobiłem - przerwał jej z oburzeniem. - Nie umyślnie.

- Regularnie sprawiasz mi ból. - Mówiła zupełnie spo-kojnie, sama się dziwiąc, jak potrafiła zachować zimną krew w takiej chwili.

- Więc dlaczego wciąż ze mną jesteś? - spytał nieco ciszej.
- Wiesz dlaczego.

- Myślałem... - Urwał i opadł ciężko na sofę.
 - Co myślałeś?
 - Czasem sprawiaasz wrażenie, nie tylko na innych, na mnie także... że wciąż mnie kochasz. Nie tylko jako ojca naszych dzieci.
- Lizzie zaczęło się robić niedobrze.
- Proszę cię, nie udawaj, że nie wiesz, jak się czuję, kiedy mi to robisz.
 - Ale tu nie o to chodzi, prawda? - Podniósł na nią wzrok. - A nawet jeżeli, to nie możesz zaprzeczyć, że od bardzo długiego czasu zachowuję się bardzo powściągliwie, wiedząc, jak bardzo denerwujesz się tą trasą.
- Lizzie też usiadła, ale na fotelu.
- Także tutaj - ciągnął. - Pewnie byłaś przekonana, że dorwę cię w czasie tej podróży, a przecież nie dotknąłem cię nawet palcem, prawda?
 - No nie. - Jeszcze nie.
 - To dlatego, że cię szanuję, Lizzie. Szanuję twoją pracę, to, kim jesteś. Przyjąłem do wiadomości, że straciłem prawo do takiego samego traktowania z twojej strony, naprawdę to wiem, ale może okazałabyś mi choć trochę wiary?
 - Ależ ja wierzę. Wierzę w tę pozostałą część ciebie.
 - Nie. Najwyraźniej nie wierzysz, bo inaczej nigdy byś nie zachowała się tak jak tam, przy basenie.
 - Przesadziłam. Bardzo mi przykro.
 - Prawie mnie oskarżyłaś o... - Kolory wróciły mu na twarz, pogłębione narastającym oburzeniem. - Nawet nie mogę tego wypowiedzieć!
 - To nie było oskarżenie, tylko... myśl. Zobaczyłam, że wycierasz Sophie, łaskoczesz ją, naszą śliczną dziewczynkę...
 - Naszą córkę! - Podniósł głos. - Moje własne dziecko!
 - Nie mogłam nic na to poradzić, Christopherze. Zobaczyłam cię z nią i nagle ogarnęła mnie groza.

Przemknęło mi przez myśl, co mogłoby się wydarzyć pewnego dnia... Czy to naprawdę takie absurdalne, gdy się weźmie pod uwagę twoją historię?

- Absurdalne? - krzyknął jeszcze głośniej. - To po prostu potworne świństwo z twojej strony! Przecież mimo wszystko nigdy nie podważałaś faktu, że jestem dobrym ojcem!

Zaczął ogarniać ją wstyd, ale nadal nie potrafiła cofnąć wypowiedzianych słów.

- Może napastowałeś mnie o jeden raz za dużo.

- Nawet cię nie dotknąłem.

- Przez jakiś czas nie, może...

- Od wielu miesięcy!

- I mam być za to wdzięczna? - Znowu wstała, czując narastający gniew. Nie mogła zrozumieć, czemu akurat teraz to wszystko wybuchło, skoro właściwie nic się nie stało. - Mam sobie zrobić lobotomie i wymazać z pamięci wszystko, co mi przedtem zrobiłeś?

- Lizzie, to są sprawy, na które nie mam wpływu.

- Dopiero co powiedziałaś, że udało ci się powstrzymać - odcięła mu się złośliwie. - Więc może się zdecyduj: masz na to wpływ czy nie?

- Przecież to nie ma nic wspólnego z tym, co się stało, a właściwie NIE stało, przy basenie.

- Oczywiście, że ma! - krzyknęła. - To kwestia zaufania, czy ty tego nie widzisz? Cały czas chodzi tylko o to samo!

Lizzie znów opadła na fotel.

- Owszem, wszystko sprowadza się do jednego. - Mówił teraz znacznie ciszej. - Do czegoś, czego nigdy tak naprawdę nie rozumiałem: dlaczego po tym, cośmy wspólnie przeżyli, fakt, że po prostu tak bardzo pożądam własnej żony, wydaje się taki straszny. - Umilkł na chwilę. - I nawet jeśli tak uważasz, jest to jedyna brzydka rzecz, jaką musisz raz na jakiś czas ode mnie znosić, więc chyba

przesadzasz z tymi skargami?

- Z powodu tego luksusu? - rozejrzała się po imponującym apartamencie. - A może masz na myśli nasze domy?

- Po prostu myślę, że gdybyś była nieco bardziej tolerancyjna, a mniej pruderyjna i... oziębła, to może byś zrozumiała, jak wiele mi zawdzięczasz, zamiast wymyślać jakieś ohydne, całkowicie bezpodstawne oskarżenia.

- Już ci powiedziałam, że o nic cię nie oskarżam - rzekła chłodno. - Zareagowałam instynktownie, bo zobaczyłam, że człowiek, który od lat regularnie mnie napastuje, laskocze moją półnagą siedmioletnią córkę.

- NASZĄ córkę! - krzyknął niemal piskliwie. - Którą kocham bez reszty!

- Wiem i jeszcze raz cię przepraszam za swoją przesad-

ną reakcję, w dodatku w miejscu publicznym. A przede wszystkim przy samej Sophie. - I Jacku.

- Ale nie przepraszam cię za mój odruch.

- Uważaj, abyś kiedy nie znalazła się w błędzie.

- Ośmielam się zauważyć, że ja cały czas żyję w błędzie.

- Bo nie odeszłaś ode mnie, tak?

W tym momencie zorientowała się, jak bardzo bezprzedmiotowa i przerażająca jest ta rozmowa. Gilly i dzieci lada chwila zaczną się zastanawiać, gdzie się podzieli, więc lepiej będzie, jeśli wróci do nich pierwsza, przed Christopherem. Ruszyła w stronę drzwi.

- Masz dość? - spytał.

- Więcej niż dość. - Odwróciła się by spojrzeć mu w oczy. - Ale na wszelki wypadek zapamiętaj sobie, że gdyby jednak moje przeczucia - uchowaj Boże - okazały się nie tak zupełnie bezpodstawne...

- To co wtedy? - W jego głosie brzmiała wielka

gorycz.

- A to, że jeśli naprawdę kiedyś skrzywdzisz Sophie czy którekolwiek z naszych dzieci, to cię po prostu zabiję.

21

Novak podzielał złe przeczucia, które trapiły Clare. Już od pierwszej nocy, kiedy opowiedziała mu o małej Irinie, było oczywiste, że ulegnie, ponieważ najbardziej ze wszystkiego kochał w żonie jej wrażliwość.

Dlatego posprawdzał to i owo, obserwując przez jakiś czas rodzinę Patstonów.

Mąż imieniem Tony, przystojny facet z jednym wyrokiem za uszkodzenie ciała, pracował w swojej jednoosobowej firmie Patston Motors w wąskiej uliczce niedaleko

północnej obwodnicy koło Walthamstow. Chodził do pubu na zakrapiane lunchy i wypijał stanowczo za dużo piwa jak na człowieka mającego do czynienia z potencjalnie niebezpiecznymi urządzeniami. Pracę kończył o wpół do siódmej, szedł na mniej więcej dwie godziny do domu przy Chingford Hatch, po czym udawał się na dłuższe posiedzenie do lokalnego pubu sam albo w towarzystwie sąsiada.

Joanne Patston, też niebrzydka, ale z wypisaną na twarzy udręką, zdawała się przemykać wszędzie jakby w popłochu, nigdy nie opuszczając domu bez córeczki, tej samej, o którą Clare i Maureen tak się martwiły.

Wreszcie sama Irina - prześliczne dziecko, bez zewnętrznych śladów złego traktowania, bez widocznych siniaków - chociaż Novak wiedział o ich istnieniu - zawsze kurczowo uczipiona ręki matki, zupełnie pozbawiona naturalnego u czteroletnich dzieci, zdrowego pędu do swobody.

Adoptowana. Tyle Novak dowiedział się bez trudu, ale potem szybciej, niż się tego spodziewał, zabrnął w ślepią uliczkę i jeszcze szybciej wycofał się ze swego śledztwa, żeby nie narobić zamętu.

- No więc co o tym myślisz? - spytał Robina Allbeury'ego w drugim tygodniu sierpnia, siedząc z nim na tarasie z obłądnym widokiem na Tamizę i pijąc zimne piwo, podczas gdy prawnik czytał jego raport.

- Mógłbyś coś zrobić?

- Ciężka sprawa. Przypuszczalnie ten znak zapytania w kwestii adopcji wystarczy, żeby powstrzymać kobietę od

porzucenia męża czy rozwodu, nawet jeśli tego pragnie. Muszę się liczyć z tym, że wszelkie moje starania w obrębie prawa nieodwołalnie skończą się odebraniem Iriny nie tylko ojcu, ale matce.

- Czyli w sumie jeszcze większą biedą.

- Możliwe.

- Nigdy przedtem nie wypytywałem cię - rzekł wolno Novak - bo nigdy nie chciałem wiedzieć zbyt dużo na temat twoich metod działania...

Allbeury się uśmiechnął.

- A o co chcesz mnie poprosić? Żebym przekroczył ramy prawa?

- Tylko o to, żebyś postarał się jakoś pomóc. Bo moje przeczucia są wprawdzie zgodne z przeczuciami Clare i Maureen Donnelly, ale daleko na tym nie zajedziemy. Nie widziałem, żeby Patston

krzyczał na córkę, a tym bardziej ją krzywdził.
- Czyli powtórzmy jeszcze raz. - Allbeury zerknął do notatek. - Nie widziałeś, żeby kiedyś z nią wychodził, nawet w weekendy, co samo w sobie niewiele znaczy.
- Zdecydowanie.
- A tym, co wyraźnie nas obu martwi - rzekł Allbeury znacznie posępniejszym tonem - jest to, że owe dwie wizyty w szpitalu Waltham General mogą być zaledwie wierzchołkiem góry lodowej.
- Pani Patston boi się nie tylko swojego męża, ale także utraty córeczki.
- I z tego strachu może nie zawieźć już Iriny na pogotowie, nawet jeśli będzie to konieczne.

~*~

- Robin prowadzi jakieś dochodzenie na własną rękę
- powiedział później Novak Clare. Zadzwoił do niej na komórkę, gdyż spędzała wieczór u swojego prywatnego pacjenta Nicka Parry'ego.
- A to dobrze? Czy on zawsze tak postępuje? Pacjent, młody człowiek o mizernej twarzy i wesołych oczach, skończył właśnie grać w internetowego pokera z partnerką z Fidżi i jeździł tam i z powrotem wózkem, przygotowując kawę.
- Powiedział, że niczego nie obiecuje. Ale chyba się przejął.
- Mam nadzieję, że nie traci czasu.
- To cdowiek ostrożny, kochanie. I dobrze wie, co robi
- No i świetnie. Dziękuję, że spróbowałaś.
- Chyba nie mieliśmy wyboru.
- Kawa gotowa! - obwieścił Nick Parry od progu.
Clare schowała telefon do torebki. - Ale coś mi się zdaje, że potrzebujesz czegoś mocniejszego.
Clare się uśmiechnęła.

- Czuję się doskonale.

- Nieprawda. - Poczekał, aż weźmie swój kubek. -
No? Gadaj, co ci leży na wątrobie. Wiesz, zawsze
potem jest ci lepiej.

Znowu musiała się uśmiechnąć. Parry powiedział jej
kiedyś, że jest lepszy od wszystkich śwkokologów, bo
po wy-

padku sam tkwił kawał czasu w tym bagnie. I nie
wyciągnął go z niego żaden terapeuta, tylko kilka
odkryć dokonanych na własną rękę: fakt, że wciąż
może, chociaż rzadziej, zaprawić się ze starymi
kumplami, zyskać przewagę nad opiekunkami i
wreszcie rozwijać swój nieustający romans z
komputerem i Internetem.

- Wysłuchiwanie cudzych problemów też jest bardzo
pomocne - wyznał szczerze Parry. - Pozwala spojrzeć
na to - wskazał swoje nogi - z dystansem. - I
krzywiąc się lekko, dodał: - Czasami.

przypadek nr 6/201074
PATSTON J.
analiza/ocena X
zawieszono
akcja
rozwiązano

22

- Rozumiem, że Christopher ma dołączyć do nas jutro - mówił Arden do Lizzie pod koniec pierwszego dnia zdjęć na Kefalonii. Ekipa pakowała już sprzęt, a Wilson z Giną wertowali notatki. - Pewnie się cieszysz, skarbie.

- Oczywiście.

- Dobrze się czujesz, Lizzie? - spytała Susan kilka minut później.

Susan zawsze... no, prawie zawsze umiała wyczuć, że coś ją gryzie.

Uważaj, Lizzie.

Byli na planie w Argostoli, stolicy wyspy, gdzie Lizzie szukała świeżych miejscowych produktów czy specjalności, jak zwykle gawędząc z kupcami.

Nabyła kilka butelek wina Gentillini, tutejszy miód, sprawdziła też składniki do dań, które miała przygotować w następnych dniach.

- Na pewno nie chcesz jechać z nami? - dopytywał się Arden.

Większość ekipy wybierała się na wspólną kolację w hotelu Boulevard Pyllaros mniej więcej o pół godziny drogi, gdzie mieszkali Arden, Wilson i Gina.

Ponieważ jednak hotel nie mógł zapewnić warunków odpowiadających szczególnym potrzebom Jacka, Christopher wynajął dla rodziny znacznie wygodniejszy dom bliżej Sami, na północy wyspy.

- Naprawdę chciałabym wrócić przed zapadnięciem zmroku, jeśli to możliwe - prosiła Lizzie.

- Dobry pomysł - poparła ją Susan. - Przy tych fatalnych drogach...

Lizzie uśmiechnęła się do niej.

- Mój dzisiejszy kierowca wydawał się całkiem rozsądny i obiecał mnie podrzucić. - Zerknęła na zegarek. - Pewnie już przyjechał.
Arden poczekał, aż zniknęła im z oczu, po czym zwrócił się przyciszonym głosem do Susan:

- Co się z nią dzieje?
- Nic. Przynajmniej z tego, co wiem. - Hm.
- O co ci chodzi? Producent wzruszył ramionami.
- Mężuś jutro wraca. Żonka promienieje, póki nie wykryje... Kłopoty w raju, powiedziałbym.
- Więc lepiej nie mów.
- Czyli jesteś tego samego zdania?
- Wcale nie - odparta Susan odrobinę za ostro. - Ani trochę.

Arden uniósł brwi i ponownie wzruszył ramionami.

- No i bardzo dobrze.

Gilly otworzyła drzwi, gdy tylko usłyszała warkot taksówki pod willą - budynkiem z różowego kamienia z kremowymi okiennicami i czerwoną dachówką. W przylegających ogrodach kwitły jaśminy i inne kwiaty o upajającym zapachu.

- Wyglądasz na wykończoną.
- Bo jestem.
- Chłopaki grają w jakąś okropną grę na komputerze, a Sophie już śpi.
- Nic jej nie dolega? Zwykle nie daje się zapędzić tak wcześnie do łóżka.
- Absolutnie nic. Tylko dość długo pływała, potem bez końca grała w siatkówkę z chłopcami, więc w końcu padła.
- A Jack?
- Bardzo zadowolony. Cieszy się na przyjazd ojca. Pokój Sophie był na piętrze, między sypialniami rodziców i Gilly. Jack z Edwardem mieszkali razem na dole, gdzie mieli też łazienkę.

- Skoczę najpierw na górę - powiedziała Lizzie. Weszła na palcach do śpiącej już córeczki, obserwowała ją przez kilka sekund - uwielbiała to robić bez względu na to, gdzie byli - potem pocałowała ją w jasne włoski i wycofała się po cichu. Jack i Edward siedzieli w dużym pokoju na dole.
- Umieram z głodu - zawołał Edward, gdy tylko stanęła w progu.
- Przykro mi, kuchnia dziś nie wydaje.
- Taaa, jasne - mruknął Jack. Podeszła i cmoknęła go w policzek.
- Gilly kazała nam czekać - poskarżył się Edward.
- W każdym razie na żadne prawdziwe jedzenie nie macie co liczyć.
- Co to znaczy? - zdziwił się Edward. Jack zmarszczył nos.
- Rany! - Znów pociągnął nosem. - Pizza?
- Chyba żartujesz! Myślałem, że może zrobisz tę mu... mus...
- Musakę - odpowiedziała mu Lizzie. - Po co miałabym ją robić, skoro wiem, że jej nie lubicie?
- Pizza - powtórzył Jack. - Paskudztwo!

- Z punktu widzenia mitologii to nudna wyspa - zauważył Christopher następnego wieczoru przy kolacji na tarasie z tyłu domu. Za pretekst do jego nagłego powrotu do Londynu posłużyła kryzysowa sytuacja w szpitalu, ale prawda była taka, że po incydencie w San Remo Lizzie poprosiła go - z poczuciem winy, lecz zdecydowanie - by, jeśli nie robi mu to różnicy, dał jej trochę oddechu. Christopher odrzekł, że owszem, robi mu to różnicę, ale jednak ustąpił, więc podróż z San Remo do Palermo, a potem na Kefalonię, największą z Wysp Jońskich, odbyła tylko z dziećmi i Gilly.

Wrócił tegoż dnia po południu i od razu, ku niezadowoleniu zaskoczonej Lizzie, zaprosił na obiad Ardena, Susan, Billa i Ginę.

- Nie będzie żadnego gotowania - uprzedził żonę, widząc jej minę. - Wszystko załatwiłem. Potrawy dostarczy jedna z najlepszych rybnych restauracji w mieście. Przyjadą trochę później.

- A co z dziećmi? Cieszyły się, że będą cię miały dla siebie.

- I to też przewidziałem. Gilly przygotuje coś lekkiego dla ciebie i dla mnie, coś w rodzaju przystawki, jeśli ci to odpowiada.

- Raczej nie. Przypuszczam, że to wszystko będzie bardzo męczące.

- A ja sądzę, że tego wymagają względy towarzyskie - zauważył cierpko Christopher. - I szczerze mówiąc, wpłynie to na nasz wizerunek, bo wszyscy na pewno snuli różne domysły w związku z moim wyjazdem. Zresztą nasi goście nie dotrą tu przed dziesiątą, w tej części świata nie jada się wcześniej.

- Bo większość ludzi nie musi się zrywać o świcie, żeby przez cały dzień kręcić filmy.

- No, no, czyżby gwiazda zaczęła stroić fochy?

- Miałem chęć nakręcić ten odcinek - mówił Bill Wilson kilka godzin później, kiedy dzieci poszły już na górę

- na jednej z bardziej dionizyjskich wysp, na przykład na Naxos, żeby Lizzie mogła się skupić na winie.

- Kefalonia ma jedno z najlepszych win w Grecji - zauważyła Lizzie, dłubiąc widelcem w rozmięklej rybie z grilla, dostarczonej z restauracji.

- Ale orgia nie wchodzi w rachubę - rzekł Christopher.

- Jest taka smutna historyjka o jeziorze, które mamy zobaczyć - wtrąciła Gina.

- Jezioro Melissani - podpowiedział Arden.

- Nimfa Melizanda utopiła się w nim, kiedy bożek Pan odrzucił jej zaloty - błysnął wiedzą Christopher.

- Choć niektórzy utrzymują, że to była zwykła pasterka, która próbowała uratować owcę.

- Widzę, że odrobiłeś lekcje - uśmiechnęła się Susan.

- Zawsze lubiłem grecką mitologię.

- Jest przeładowana seksem - mruknął Bill do Giny.

- Ojciec Pana, Hermes - Christopher wodził wzrokiem po wszystkich zebranych - podobno zgwałcił w przebraniu kozła jego matkę Penelopę.

- To dlatego Pan zwykle jest przedstawiany jako pół człowiek, pół kozioł? - spytała Gilly.

- Jego babką - ciągnął Christopher - była Maia.

- Bogini ognia - dodał Arden. Christopher patrzył teraz wprost na Lizzie.

- Znana jest także jako bogini seksualnej żarliwości. Bill ma rację, te mity rzeczywiście są przeładowane seksem.

- Czy to naprawdę było potrzebne? - spytała Lizzie, kiedy goście już wyszli, a Gilly była w kuchni.

- Co konkretnie?

- Ta monotematyczna konwersacja.

- Sama wybrałaś Kefalonię. Nie moja wina, że to poletko Pana.

Popatrzyła na niego przeciągle, po czym odwróciła wzrok.

- Idę pomóc Gilly, a potem chcę się położyć.

- A będzie mi wolno się przyłączyć? - spytał cicho.

- Oczywiście. - I po chwili dodała, nie mogąc się powstrzymać: - A mam inne wyjście? Przecież nie ma dodatkowego pokoju.

Wyprawę do Melissani, podziemnego jeziora w jaskini, zaplanowano na ostatni dzień pobytu na wyspie, ale przedtem Lizzie miała zrealizować najnowsze przepisy na grillu, ustawionym w innej pieczarze, w pobliżu Sami.

Drogarati - według miejscowej legendy dawna smocza jama - naprawdę imponująca, przepastna jaskinia z tysiącami różnokolorowych stalagmitów i stalaktytów, miała podobno około stu pięćdziesięciu milionów lat.

- Jest taka ogromna - opowiadała Lizzie dzieciom podczas podróży z Palermo - że urządzono w niej nawet salę koncertową na tysiąc osób.

- O kurczę! - wykrzyknął Jack.

- Mogę pojechać z wami? - zapytał Edward.

- No nie wiem...

- Obiecywałaś, że zabierzesz mnie kiedyś na zdjęcia!

- To zależy.

Arden uznał to za dobry pomysł, chociaż nie tylko ze względu na Edwarda. Grill w jaskini będzie, jego zdaniem, znakomitą scenerią odcinka poświęconego życiu rodzinnemu, który cały czas chodził mu po głowie.

- Tylko kompania może poprosić ciebie i Christophera o podpisanie rezygnacji z ewentualnych roszczeń i... - urwał na widok miny Lizzie. - Jakiś problem?

- Tak, ale nie z tym. Powiedziałaś, że ten odcinek będzie poświęcony rodzinie. Widzisz, Richardzie, Jacka prawdopodobnie nie da się tam zabrać, za dużo tych stopni do pokonania. Nawet nie uda mu się dotrzeć w pobliże.

- Oczywiście! Głupio to wymyśliłem.

- Wcale nie, pomysł był znakomity - zapewniła go szybko Lizzie.

- Czy Jackowi byłoby bardzo przykro, gdybyśmy nakrę-

cili to bez niego? On jest taki czuły na swoje ograniczenia...

- Rzeczywiście. Ja też nie znoszę, gdy się go czegoś pozbawia.

Niecałe dwie godziny później Arden zadzwonił z

hotelu, że kompania uwalila cały projekt.

- Nie z powodu zawirowań rodzinnych - wyjaśnił. - Im chodzi o całokształt: przygotowywanie potraw w takim miejscu uznali wyraźnie za zbyt niebezpieczne. Ale mam nie tylko złe wiadomości. Lizzie, znaleźliśmy inną jaskinię.

- Taką piękną jak Drogarati?

- Przeciwnie. Bardzo zwyczajną, nudną jak flaki z olejem.

- Więc co w niej takiego dobrego?

- To, że nadal możemy kręcić w oryginalnej scenerii, ale ponieważ naszych widzów interesuje przede wszystkim Lizzie Piper i jej pokazy kulinarne, sama jaskinia jest nieistotna. Teraz rozstawimy grill przed wlotem do tej małej jaskini, na małej, uroczej plaży, gdzie Jack będzie mógł śmiało wjechać wózkiem.

- Richardzie, to cudownie! - Lizzie była szczerze wzruszona. - Jak znalazłeś to miejsce?

- To nie ja. Gina z tą twoją kumpelą Susan udały się wczoraj na małe polowanie.

Czyli to sprawka Susan, uznała, może niesprawiedliwie, Lizzie. Bo jakoś nie umiała sobie wyobrazić, aby Gina przejmowała się zbyt czymś tak nieeleganckim jak DMD.

Wszystko szło jak z płatka - filmowanie tego odcinka okazało się najmilsze z całej trasy, przynajmniej z punktu widzenia Lizzie. Aż do chwili katastrofy.

- Akcja! - krzyknął Bill Wilson.

- Mamusi!

Sophie, która dotąd zachowywała się bez zarzutu, zauważyła o krok od siebie dość dużą jaszczurkę.

Trochę wy-

straszona, rzuciła się do matki i chwyciła ją za brzeg T-shirta, odwracając na ułamek sekundy jej uwagę od grilla. W tej samej chwili od Morza Jońskiego

dmuchnął niespodziewanie wiatr i płomień na wielkim kamiennym palenisku strzelił wysoko w górę. Sophie pisnęła i oparła się o Edwarda. Ten się potknął i zrzucił sobie na odsłonięte prawe ramię i nogę cały ruszt z rozgrzаныmi do białości owocami morza w oliwie.

- O Boże! - Lizzie odepchnęła Sophie z drogi.

- Woda! - krzyknął Jack i obróciwszy się na wózku, sięgnął po wiadro stojące za matką, ale Christopher go ubiegł.

I wtedy usłyszeli potworny krzyk Edwarda.

23

Joanne wieszała właśnie stos upranych koszul Tony'ego w ogródku z tyłu domu (mąż lubił, żeby jego bielizna schła na powietrzu, a nie w maszynie, bo jego zdaniem, miała wtedy przyjemniejszy zapach), kiedy Irina, bawiąca się dotąd na małym prostokacie trawnika, przestała odbijać swoją czerwoną piłkę, podbiegła do matki i uczepiła się jej dżinsów.

- Pan - powiedziała.

Joannę spojrzała najpierw w dół, na córkę, a potem przeniosła wzrok w kierunku wskazywanym przez dziecko.

Nagle serce zabiło jej gwałtownie, gdyż rzeczywiście po drugiej stronie ceglanego murku oddzielającego ich posesję od ulicy stał jakiś mężczyzna.

- Pani Patston - rzekł - proszę się nie bać.

- Idź do domu, kochanie - zwróciła się Joannę do Iriny. - No, szybciotko, biegnij.
- Mamusia też - ociągało się dziecko.
- Pani Patston, nazywam się Michael Novak i przychodzę, aby zaproponować pani pomoc.
Joanne wlepiła w niego wzrok. Głowa i ramiona przybysza (więcej przez mur nie widziała) wyglądały dość przyzwoicie. Co oczywiście nic nie znaczyło.

- Proszę odejść.
- Dobrze, ale najpierw przekażę pani wiadomość.
- Mamusia iiiiidzie. - Irina pociągnęła ją za dzinsy.
- Do domu, Irino - powtórzyła Joanne. - Mamusia zaraz przyjdzie.

- Ale mamusiu...

- W tej chwili!

Dziecko, wystraszone ostrym tonem matki, wbiegło przez kuchenne drzwi do domu. Joanne odczekała chwilę, po czym zrobiła dwa kroki w stronę murku. Przybysz nie łamał żadnego prawa i z niezrozumiałych do końca przyczyn jakoś nie czuła się na tyle zagrożona, by wzywać policję.

- Proszę, oto moja wizytówka. - Umyślnie bardzo powoli, żeby jej nie przestraszyć, położył bilecik na murku.

- Wezmę, jak pan odejdzie.

- Dobra myśl. Lepiej dmuchać na zimne.

- Czego pan chce? - Joanne obejrzała się na dom i zobaczyła, że Irina wygląda kuchennym oknem. - Proszę szybko, bo nie lubię zostawiać dziecka samego.

- Oczywiście. Jestem prywatnym detektywem.

- A co pana sprowadza akurat do mnie? - Joanne pociemniało nagle przed oczami i zrobiło jej się gorąco, jakby za długo przebywała na słońcu, chociaż dzień był pochmurny.

- Mój klient, prawnik, który wie to i owo o pani położeniu...

- Jakim położeniu? Kto mówi, że potrzebuję prawnika?

- Nikt. - Novak wolno, lecz niewzruszenie brnął dalej. - Mój klient ma wielką ochotę spotkać się z panią, żeby pomówić o możliwości wyrwania się z kłopotliwej sytuacji

- Wyrwania się? - Uczucie gorąca narastało coraz bardziej.

- Jeśli pani zechce. Wybór należy do pani

- Kim pan właściwie jest? Nie rozumiem, skąd pan o mnie wie, - Słowo „prawnik”, które miała teraz przed oczami, budziło w niej strach. - Co to za prawnik? Dlaczego pan czy on lub ona po prostu do mnie nie zadzwoni albo napisze?

- On myślał, że tak będzie lepiej dla pani. Bo może nie zechce pani mieszać w to swojego męża. Ta pomoc - mówił wolno, starannie dobierając słowa - dotyczy wyłącznie pani i Iriny, nie pani męża. Joanne nie odezwała się, po prostu stała jak przyrośnięta do ziemi.

- Proszę wziąć moją wizytówkę, pani Patston, i wszystko sobie przemyśleć. - Novak uśmiechał się łagodnie. - Wiem, że to niezwykła propozycja i ma pani pełne prawo do podejrzliwości, ale ta sprawa naprawdę będzie w pani rękach.

- Jaka sprawa?

- Wyjścia z sytuacji.

Joanne znów się obejrzała i widząc, że Irina nadal tkwi w oknie, rzekła:

- Muszę iść do domu.

- Bardzo słusznie. Gdyby zechciała pani nawiązać kontakt, to czekamy, ale jeśli nie, nie będziemy pani więcej niepokoić. Tak jak powiedziałem: wybór należy do pani. - Skinął głową w stronę leżącej na murku wizytówki. - Może lepiej jej tu nie zostawiać, co?

Jednym zwinnym ruchem, jak dzikie zwierzę, które

rzuca się na pokarm, Joanne chwyciła bilecik i znów się cofnęła.

- Super - ucieszył się Novak. - To ja już pójdę. Nagle, niczym cios w żołądek, błysnęła jej myśl:

- To szpital? Od nich pan się dowiedział? Novak wyczytał z jej oczu grozę.

- To nie ma oficjalnego charakteru, pani Patston. Nami naprawdę nie musi się pani martwić.

- Więc co to jest?

- Po prostu pomoc.

24

Przez kilka dni po wypadku - począwszy od zamieszania na pogotowiu w Argostoli, a skończywszy na ateńskim szpitalu, gdzie Edward spędził ostatnią noc przed lotem do kraju - Lizzie znów miała okazję podziwiać najwyższą klasę Christophera. Podczas gdy ona trzęsła się ze strachu i zamartwiała, trawiona różnymi wyrzutami sumienia, wymuszała na Ardenie zgodę na przerwanie trasy do bliżej nieokreślonego terminu, jej mąż operował Edwarda, łagodził mu ból i zapewniał wygody, znajdując przy tym czas także dla Sophie i Jacka.

Obserwując jego poczynania, Lizzie czuła podziw, wdzięczność i wstyd.

Tylko to, jak powiedział jej kiedyś, naprawdę się liczyło. Ten inny, odosobniony aspekt ich wspólnego życia był w porównaniu z tamtym o wiele mniej ważny. Człowiek, na którego patrzyła, był nie tylko

dobrym ojcem, ale wyjątkowym, genialnym, wartościowym mężczyzną, zdolnym przejąć pieczę nad najważniejszymi w jej życiu osobami. Tak więc teraz Lizzie zrobiła to, co zwykle robią matki, kiedy ich dzieci są chore albo nieszczęśliwe: zawarła pakt. Jeśli Edward całkowicie wyzdrowieje, jeśli zostanie mu oszczędzony ból i szpecące blizny, jeśli Sophie nie będzie czuła się winna wypadku, jeśli stan Jacka nie pogorszy wskutek szoku, to ona, Lizzie, przysięga, że dołoży wszelkich starań, by cierpliwie znosić to, co Christopher od czasu do czasu wyczynia z nią w łóżku. Już nigdy nie będzie narzekać. I nigdy nie zagrozi mu odejściem.

25

W niedzielne popołudnie pierwszego września, kiedy ojciec wyszedł gdzieś z kolegami, zostawiając dzieci pod opieką ciotki, Kylie Bolsover szukała w garażu klucza francuskiego, żeby dokręcić jedno z kółek w deskorolce. Znalazła coś, czego nie mogła zrozumieć. Ale przynajmniej wiedziała, co to jest. Kamień zawinięty w dużą szmatę nasączoną olejem silnikowym i jeszcze czymś innym, podobnym do oleju, tylko innym, nie tak czarnym. Przez kilka sekund próbowała rozwinąć kamień do końca, ale część szmaty, ta najbrudniejsza, okazała się sztywna, jak koszule tatusia, kiedy mama

krochmalila je przed prasowaniem. Te właśnie miejsca nie dały się oderwać od kamienia. Kylie nie rozumiała jednego: dlaczego kamień i szmata budzą w niej mdłości i strach. Ruszyła na poszukiwanie ciotki.

26

Clare podniosła słuchawkę.

- Czy zastałam Michaela Novaka?

Nieznany damski głos, wylekniony, nieśmiały. Clare w przyływie intuicji od razu domyśliła się, kto dzwoni.

- Pani Patston? Cisza.

Błąd!

- Przepraszam - rzekła Clare, usiłując zachować zimną krew - Mike jest...

- Tak, nazywam się Patston.

- Sama nie wiem, czemu pomyślałam, że to pani. - Życzliwie, na luzie, żeby jej nie wystraszyć. - Mike jest na lunchu, ale zaraz powinien wrócić. Jeśli zechce pani przez chwilę się nie rozłączać...

- Dobrze.

W tle rozległ się czysty dziecięcy głosik wołający mamusię, a potem coś jeszcze, czego Clare nie mogła zidentyfikować.

- To pani córeczka? - zagadnęła, chcąc za wszelką cenę nie dopuścić do rozłączenia.

- Tak. Długo to potrwa?

Novak wkroczył do biura z brązową papierową torbą w jednej ręce i „Standardem” w drugiej.

- Mike, Joanne Patston do ciebie - powiedziała Clare na tyle głośno, żeby kobieta w słuchawce usłyszała.
- Super. - Rzucił torbę i gazetę na jej biurko i wziął słuchawkę.
- Pani Patston, miło mi panią słyszeć.

27

- Mamy go!
W głosie Pete'a Jacksona, policjanta z wydziału śledczego, dźwięczał triumf. Wszedł właśnie do centrum koordynacyjnego i zatrzymał się w pół kroku, widząc Shipley ze słuchawką w ręku.
Szybko zakończyła rozmowę.
- Co?
- Przed chwilą dzwoniła doktor Patel. Nie mogła czekać, aż skończysz rozmowę. - Policzki rudowłosego policjanta przybrały niemal kolor jego włosów. - Zaraz powinien być faks.
- No gadaj, Pete - ponagliła go Shipley. - Nie nadymaj się tak.
- Wszystko się zgadza. Krew Lynne i odciski tego głupiego skurwiela na szmacie.
- Okej.
- Tylko tyle? - stropił się Jackson jej brakiem entuzjazmu.
- Nie. - Shipley ze zmarszczonymi brwiami patrzyła w szufladę biurka. - To fantastyczna wiadomość.
- Ale?
- Podniosła na niego wzrok.
- W jego własnym garażu? Jackson wzruszył

ramionami.

- Mówiłem, że to głupi gnojek.
- Nikt nie jest aż tak głupi, Pete. - Umilkła na chwilę.
- Przynajmniej nie my, do kurwy nędzy. Ten garaż był wcześniej przeszukany.
- Wiem. - Radość uchodziła z Jacksona jak z przekłutego balonu. - Pani Wakefield mówiła to na samym początku.

Tyle że jej postawa była oskarżycielska, a nie sceptyczna. „Myślałam, że wasi ludzie przeszukali to miejsce”. Zrozumiały. Przepuścili dymiącą strzelbę pod samym nosem. Jeśli to prawda, potoczą się głowy.

Nadinspektor Kirby - kiedy Shipley do niego poszła - czuł, że to prawda, chociaż daleko bardziej odpowiadał mu alternatywny scenariusz, zgodnie z którym Bolsover trzymał kamień i szmatę gdzie indziej aż do zakończenia przeszukania.

- Przecież mógł je po prostu wyrzucić - zasugerowała Shipley. - Na przykład do pojemnika na śmieci daleko stąd, albo zakopać w ziemi, albo spalić szmatę, opłukać kamień i podrzucić komuś do skalniaka.

- Albo schować w sprawdzone już przez nas miejsce - upierał się Kirby. - Helen, ludzie naprawdę robią różne dziwne i głupie rzeczy. Zwłaszcza spanikowany facet, który rozwalił żonie głowę i nie wie, co zrobić z sobą samym, a cóż dopiero z bronią.

- No nie wiem, panie nadinspektorze. Coś mi tu śmierdzi.

- Wpadasz w paranoję. Od początku wiemy, że to Bolsover, a teraz mamy sznurek, na którym zawiśnię.

Na szczęście niedosłownie, pomyślała Shipley z lekkim obrzydzeniem. Chociaż Trevor Kirby miał oczywiście rację. Kamień i szmata leżały dokładnie tam, gdzie już przedtem szukali. Idealny sposób na

powiązanie wszystkich sznurków, prezent dla prokuratora, gwarantowany zarzut morderstwa, podejrzany za kratkami, proces zakończony prawie na pewno wyrokiem skazującym.

Nie wspominając o powszechnym poczuciu triumfu.

- Jakkolwiek to ubierzemy - mówił Kirby później, kiedy Bolsovera ponownie zatrzymano i po odczytaniu zarzutów odstawiono do Belmarsh - wciąż nas to będzie prześladowało. Sześciolatka odwalająca robotę za policję!

- Ale czy teraz na pewno się nie mylimy? - Nie dawała za wygraną Shipley.

- W każdym razie nie wierzę w twoją koncepcję, że ktoś miałby podrzucić ten dowód. - Kirby'ego zaczynało już ponosić. - Kto, pytam, miałby to zrobić? I po cholere?

Natychmiast wyświetliły się jej w głowie nazwiska No-vaka i Allbeury'ego, ale wspomniała o nich już przedtem i kazano jej się zamknąć. Zwłaszcza prawnik, który poszedł na pełną współpracę, był poza wszelkim podejrzeniem.

Więc i teraz siedziała cicho.

- No właśnie: po cholere? - powtórzył Kirby.

- Czyli trafiony, zatopiony? - Shipley poczuła się nagle zmęczona.

- Tak, i to przez dziecko.

28

- Wszyscy byli tacy uprzejmi - powiedziała Lizzie do

Christophera po kolacji w pierwszy piątkowy wieczór września.

Dzieci leżały już w łóżkach, Gilly miała wolny wieczór. Małżonkowie pili kawę w salonie w Marlow - pięknym, wygodnym pokoju, utrzymanym w kolorze gołębim, z ciepłą terakotą wokół kamiennego kominka i wysokimi regałami pełnymi książek. Z wyjątkiem wysmakowanego dziewiętnastowiecznego pejzażu nad kominkiem, który kupili razem z domem, gdyż Christopher uznał, że usunięcie go zniszczyłoby nastrój pokoju, wszystkie obrazy reprezentowały współczesne malarstwo francuskie. Dzieła o tematyce Południa zdawały się nasączać powietrze słonecznym blaskiem i kolorami Prowansji oraz Cote d'Azur nawet w ciemne, zimowe dni.

- Andrew mówi, że Vicuna nie ma nic przeciwko zmianie planu wydawniczego, aby przyjść mi z pomocą.

- Ja myślę.

- Ale nie jest przekonany, czy ludzie w telewizji też są tacy niefrasobliwi, jak się wydają.

- Arden był bardzo wyrozumiały.

- O tak. - Lizzie wzruszyła ramionami. - Jeśli nawet ktoś się wkurzył, to nie zdradził się z tym ani przede mną, ani nawet przed Andrew. Ale faktem jest, że ich zostawiłam na lodzie.

- Każda matka w twojej sytuacji postąpiłaby dokładnie tak jak ty.

- Nikt temu nie zaprzeczył. Oczywiście wznowienie trasy nie pójdzie tak gładko, a przed zimą w ogóle nie ma o tym mowy.

- Tak bardzo cię to obchodzi?

- Ani trochę. Dolać ci kawy?

I rzeczywiście nic ją to nie obchodziło. Bóg dotrzymał swojej strony paktu: Edward nie mógł się doczekać, kiedy wróci do szkoły i będzie mógł się popisywać

„ranami wojennymi”, dzięki czemu Sophie wyzbyła się poczucia winy, a i po Jacku nie było widać złych skutków. Lizzie także mniej więcej wywiązywała się z danego słowa.

Oczywiście nie miała pewności, jak zareaguje, jeśli Christopher znów straci panowanie nad sobą, dlatego (tak często się zdarza) jeden pakt przeszedł w drugi przy lekko zmodyfikowanych warunkach z jej strony. Jeśli Christopherowi uda się powściągnąć chociaż trochę swoje potrzeby, ona naprawdę zrobi, co w jej mocy, żeby skupić się na wdzięczności za jego liczne, godne podziwu zalety.

29

- Tu Robin Allbeury.

Był następny poniedziałek, godzina dziesiąta trzydzieści. Allbeury siedział w swym gabinecie, patrząc przez wschodnie okno na rzekę, i czekał na telefon.

- Tu Joanne Patston.

Ostrożny, niepewny głos - jak zapowiedział Novak. Allbeury miał w swoim apartamencie dwa gabinety: jeden tuż koło sypialni, po prawej stronie (często zaglądał tam w nocy lub zaraz po przebudzeniu), drugi zaś bardziej okazały, utrzymany w kolorze niebieskofiołkowym, z czarną tapicerką i orzechowymi meblami. Trzymał w nim swoją kolekcję starych ksiąg prawniczych i wykonane na zamówienie biurko z blatem z czarnego granitu.

- Pani Patston, oczekiwałem pani telefonu - powie-

dział ciepło.

- Pan Novak mówił, że chce się pan ze mną spotkać.

- Tylko jeśli pani sobie tego życzy. Pani tu rządzi.

Krótkie milczenie.

- Nie mogę daleko jechać.

- To nie stanowi problemu.

- Przeważnie większość dnia spędzam w domu, z wyjątkiem zakupów i różnych codziennych spraw - mówiła nerwowo. - Poza tym mąż czasem wraca bez uprzedzenia, więc...

- Rozumiem, pani Patston.

- Z drugiej strony, gdybyśmy spotkali się za blisko domu, ktoś mógłby zauważyć... Ludzie zawsze zwracają uwagę na Irinę, ale będę musiała ją zabrać.

- Chyba mógłbym to pani ułatwić. - Allbeury przewi-
dział ten problem. - Kiedy już umówimy się na konkretny termin, potrafię sprawić, że pani mąż będzie musiał zostać w pracy przez kilka godzin.

- Och... - Joanne Patston była wyraźnie pod wrażeniem, chociaż zaraz dostrzegła kolejny problem: - Będziemy musieli wybrać jakieś zwyczajne miejsce, bo Irina czasem opowiada swojej babci, jak spędziła dzień.

- A są jakieś miejsca, do których regularnie zabiera pani córeczkę? - Znał z góry odpowiedź, bo Novak posprawdzał wszystkie cele ich wędrówek, ale wolał, żeby Joanne nie czuła się inwigilowana, a przede wszystkim, nie wpadła w panikę.

- Biblioteka. To jest przy Hall Lane. Nazwa brzmi South Chingford Library.

- W porządku.

- Zaraz koło supermarketu Sainsbury'ego - dodała. - Pewnie wiele to nie pomoże, ale...

- Znajdę tę bibliotekę, pani Patston, proszę się nie martwić.

- Wie pan, my często tam chodzimy. Mają całkiem dobry dział dziecięcy.

- Więc znajdzie się dla niej miłe zajęcie - zauważył prawnik. - Świetny pomysł.
- W następnym poniedziałek - zdecydowała się nagle Joanne, jakby chciała mieć to już za sobą. - Czy to będzie możliwe? Bo właśnie w poniedziałki Tony ma więcej pracy.
- Jeszcze nie wiem, pani Patston. - Allbeury zerknął w kalendarz. - Muszę posprawdzać kilka uzgodnień, ale nie przewiduję przeszkód.
- Co pan miał na myśli, mówiąc o zatrzymaniu męża?
- spytała nagle Joanne. - Chyba nie stanie mu się nic złego?
- Zatrzymają go interesy, pani Patston, nic ponadto.
- A jest pan pewien, że nie będzie zły po powrocie?
- Przeciwnie. Dopilnujemy, żeby to, czym będzie się zajmował w dniu naszego spotkania, wprawiło go w świetny humor. Czyli na razie mam pani zgodę?
- Tak, panie Allbeury. Bardzo dziękuję.
- Miejmy nadzieję, że uda się nam znaleźć dla pani jakieś wyjście.

30

Helen Shipley nie cierpiała chodzić do sądu nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Nawet jeśli abstrahując od wyroku, nie miała cienia wątpliwości, że racja leży po stronie policji, a oskarżony czy oskarżona w pełni zasługuje na swój los, zawsze żołądek się jej skręcał i ciarki chodziły po grzbiecie, kiedy widziała ich na sali.

- Jak na gliniarza, za bardzo się migasz od kibicowania wymiarowi sprawiedliwości - wytykał jej ojciec, a zarazem największy krytyk, Graham Shipley.

- Bo ich żałuje! - Matka, Patricia, raczej pokpiwała z córki, niż jej broniła.

Shipley nie do końca ich żałowała, a jednak miała w sobie ślad czegoś - może humanitaryzmu? - co przynajmniej pozwalało jej zastanowić się przez chwilę nad dwoma nurtującymi ją i budzącymi strach pytaniami: Dlaczego? Jak?

Pierwsze wystąpienie Johna Bolsovera przed sądem rejonowym w Hendon było z jej punktu widzenia gorsze od większości podobnych. Nie świadczyła w tej sprawie, wiedziała, że Bolsoverowi odmówią wypuszczenia za kaucją ze względu na wagę zarzutu, obserwując go zaś na ławie oskarżonych, uznała, że jest tak ohydny typem, za jakiego uważała go od początku, ale...

I to właśnie był problem.

Wciąż kołatało się jej po głowie to jedno słówko: ale.

31

Ponieważ urodziny Christophera - teraz czterdzieste piąte - przypadają w tym roku w sobotę, Lizzie postanowiła, że będą obchodzone w szczególnie sposób. Dzień miał być świętem rodzinnym - lunch z udziałem Angeli i Williama, potem, jeśli pogoda pozwoli, jakieś gry sportowe w ogrodzie przy Holland Park.

- Obawiam się tylko, że będę zmuszona wyprosić was przed wieczorem - tłumaczyła się Lizzie matce. - Ale na pewno się nie obrazisz, kiedy usłyszysz, dokąd się wybieramy.

- Do opery - zgadła natychmiast Angela, która nie znosiła wszelkich koncertów muzyki klasycznej i baletu, a najbardziej ze wszystkiego opery. - Co Christopher chce obejrzeć czy może usłyszeć, bo nigdy nie jestem pewna?

- On o tym jeszcze nie wie.

- Ach, niespodzianka! Jak miło. - I po chwili dodała:

- Oczywiście, że się nie obrażę.

Lizzie trzymała całą rzecz w sekrecie, zaprosiwszy tylko czworo najbliższych Christopherowi osób: jego brata Guya Wade'a, wiolonczelistę, wraz z żoną Moirą, skrzypaczką, i Annę Mellor z mężem Peterem Szellem, kardiologiem. Zarezerwowała łóżę w Covent Garden na spektakl „Ariadny na Naxos”, a potem wszyscy mieli się udać na obiad w La Gavroche. Tego rodzaju wieczór niezupełnie odpowiadał gustom Lizzie, ale z pewnością spodoba się Christopherowi.

- To jest jak rozciąganie kociaka - skomentowała pomysł Angela - ale Christopher bezsprzecznie jest wart takiego poświęcenia.

Lizzie przypomniała sobie przeraźliwy krzyk Edwarda, płacz Sophie, przerażoną buzię Jacka. Ojciec zaopiekował się nimi wszystkimi, a potem dowiózł bezpiecznie do domu.

- O tak - przyznała.

Zgodnie ze swoim przekonaniem.

Cały program obchodów okazał się bardzo udany. Christopher tryskał humorem od śniadania aż do zakończenia wieczoru przy Holland Park, dokąd przyprowadzili swoich gości na ostatni kieliszek -

dzieci już dawno spały w odległej od salonu części mieszkania.

- Przypomnijcie, że bym wam zamówiła taksówkę - poprosiła Lizzie, obserwując Christophera, który nalewał właśnie drugą kolejkę bardzo starego i wyjątkowego calvadosu - prezentu od Petera i Anny. Goście na początku wieczoru zostawili swoje samochody pod budynkiem, a Lizzie mgliście pamiętała, jak przed pierwszym aktem w barku z szampanem Anna i Moira wymówiły się od picia, gdyż zgodnie z umową, miały prowadzić, ale już po przerwie osłabły w swych zamiarach, by ostatecznie poddać się po przestudiowaniu listy win w restauracji.

- Chyba że wolicie przenocować - dodał Christopher.
- Jest tylko jeden gościnny pokój - przypomniała mu Lizzie.

- A ja jutro po południu mam wyznaczone dwie wizyty - rzekł Peter - więc muszę rano poświęcić na trzeźwienie w domowych pieleszach.

- Zresztą Moira ma próbę - powiedział Guy - prawda, kochanie?

Moira skinęła głową, więc Lizzie uznała, że moment jest odpowiedni, by zatelefonować po taksówkę. Pół godziny później, około drugiej piętnaście, stali z Christopherem objęci na progu, machając na pożegnanie odjeżdżającym.

Christopher zamknął drzwi i puścił żonę.

- Lizzie, nie umiem wprost wyrazić, ile znaczył dla mnie ten wieczór, a właściwie cały dzień. - Oczy miał lekko przekrwione ze zmęczenia i nadmiaru alkoholu, ale bezsprzecznie błyszczała w nich miłość. - Był bardzo, bardzo niezwykły i jestem ci nieskończenie wdzięczny.

- To była przyjemność - odrzekła cicho.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Bo jestem, ale w miły sposób, wiesz?

- Bardzo dobrze wiem.

Lizzie spojrzała w stronę salonu.

- Chyba zostawię te kieliszki do rana i pójdę od razu spać.

- Sam zajmę się kieliszkami. I zajrzę do dzieci, a potem wypiję w samotności jeszcze jednego drinka i padnę. Mam trzydzieści sześć godzin wolnego.

- Jeszcze raz wszystkiego najlepszego. I powlokła się do sypialni.

Pisk zawiasów drzwiowych osłabił nieco jej głęboki sen, skrzypnięcie podłogi przeniosło ją w stan bliższy świadomości. Ale na dobre się obudziła, kiedy poczuła obok siebie jego ciężar. I odór alkoholu, i żar ciała.

- Co...?

Ręka na jej ustach zatamowała dalsze słowa.

Przygniatał ją całym ciałem, wolną dłonią odnalazł piersi, chwycił je, szczypał sutki, kolaniem rozwierając jej nogi.

- Popierdolimy się, gwiazdo! - I uderzył ją otwartą dłonią. - Nadchodzi - czas - ruchania - gwiazd!

Zaczęła się wyrywać, próbowała go kopnąć, zepchnąć z siebie, ale trzasnął ją znowu.

Beznadziejne! Czując, jak

zaczyna twardnieć, jak się w nią wdziera,

jednocześnie odcięła część swej świadomości i

skoncentrowała myśli na dzieciach śpiących w

swych pokojach przy tym samym korytarzu. Dłoń na

jej ustach była zbyt mocna; w każdej sekundzie owego

koszmaru Lizzie wiedziała z porażającą pewnością,

że tylko jedno może być gorsze od tego, co się dzieje:

gdyby któreś z dzieci choćby się dowiedziało, a cóż

dopiero zobaczyło, co ich ojciec potrafi zrobić matce.

Ale w duchu, o Boże, w duchu krzyczała ze

wszystkich sił, kiedy poruszał się w niej brutalnie,

dosłownie taranował ją, nie bacząc na jej suchość, raniąc ją, sprawiając jej straszny ból. Zanim na dobre straciła przytomność, przemknęło jej przez myśl, że Christopher musiał wziąć jakiś narkotyk. Po takiej ilości alkoholu, jaką wypił w ciągu dnia, poczynając od lunchu, żaden mężczyzna nie byłby zdolny do tak potężnego, brutalnego... szturmu bez pomocy środków farmakologicznych.

- Nic ci nie jest. Jego głos.

Ocknęła się gwałtownie, by zaraz poczuć najpierw szok, a potem ból. Okropny ból.

W pokoju było jasno, więc go widziała: czarny, jedwabny szlafrok, w przejętych oczach ani śladu okrucieństwa, samo z trudem skrywane przerażenie.

- Wszystko będzie dobrze, Lizzie.

Znowu troskliwy mąż. Lekarz. Nie - gwałciciel.

- Wynoś się. - Głos miała zupełnie pozbawiony mocy. Próbowwała się poruszyć, ale tak ją zabolalo, że jęknęła. I jeszcze coś innego się z nią działo, coś było grubo nie w porządku.

Krwawienie.

- O Boże...

- Zaraz się tym zajmę, Lizzie. Nie bój się, kochanie.

Kochanie.

Chciała krzyknąć, zawołać Gilly, błagać ją, by go stąd usunęła, zabrała z mieszkania dzieci, sprowadziła lekarza, INNEGO lekarza, ale wtedy chłopcy i Sophie usłyszeliby, więc nie mogła ani krzyknąć, ani w ogóle nic zrobić, bo była za słaba, i znów traciła przytomność.

Po raz drugi przebudziła się w jasnym, surowym, dziwnie pachnącym pokoju. Christopher w zielonym

kitlu i masce pochylał się nad nią i znów powtarzał, że wszystko będzie dobrze. Miała obolałe gardło, wyschnięte usta i nie była w stanie wydobyć głosu.

- Zatrzymałem krwawienie. Zlokalizowałem problem i go usunąłem, więc możesz już być spokojna... To ty jesteś problemem, powiedziała w duchu. W pobliżu stała pielęgniarka. To on jest problemem, poinformowała ją Lizzie bezgłośnie.

- Dzieci wiedzą, że było z tobą źle, ale niedługo wyzdrowiejesz, więc o nie także nie musisz się martwić. Teraz tylko leż spokojnie i wypoczywaj. - Pocałował ją w czoło. - Śpij, kochanie. Zasnęła.

Następnym razem ocknęła się na szpitalnym łóżku z igłą na wierzchu dłoni i rurką biegnącą do czegoś, co zwisało z jakiegoś urządzenia.

Ból.

- Boli - poskarżyła się Lizzie.

- Jeszcze trochę musi - odpowiedział damski głos. Lizzie poruszyła głową, zobaczyła przy łóżku pielęgniarkę - tę samą co przedtem w sali pooperacyjnej. Była ładna, o brązowych włosach i miłym, krzepiącym uśmiechu.

- Gdzie ja jestem? - spytała słabo.

- W szpitalu Beauchamp, pani Wade. - Pielęgniarka poklepała ją delikatnie po wolnej od wenflonu ręce. - Przeszła pani operację.

- Krew...

- Pani mąż sam operował, więc nie ma najmniejszego powodu do niepokoju. Lizzie wymamrotała coś niezrozumiale i pielęgniarka przez chwilę zastanawiała się, o co jej chodzi.

- W każdym razie, gdyby bolało panią za bardzo i akurat nikogo nie było w pobliżu, wystarczy

nacisnąć dzwonek, a zaraz ktoś się zjawi. Pan Wade prosił, żeby zapewnić pani jak najlepszą opiekę.

- Naprawdę?

- O tak!

Lizzie, wciąż otępiała po środkach znieczulających i operacji, mogła sobie tylko wyobrazić minę tej kobiety, gdyby ją poprosiła o telefon na policję i spowodowanie aresztowania męża.

Zrób to.

Ale oczywiście nie mogłaby zrobić tego Edwardowi czy Sophie, a już z pewnością nie Jackowi. Nie, nie, to wykluczone.

Zresztą ta młoda kobieta o życzliwym uśmiechu (przecież nikt inny się tu nie pokazywał?) musiała być jedną z podwładnych Christophera - w końcu to jego klinika, jego terytorium.

Poza tym Lizzie nie zniosłaby, gdyby jej nie uwierzono.

32

W poniedziałkowy poranek Tony Patston przerwał pracę w warsztacie przy motorowerze, aby odebrać telefon. Niejaki Eddie Black z Chigwell przedstawił się jako właściciel małej flotyli beemwic.

Powiedziano mu, że Tony jest odpowiedzialnym facetem, a nie żadnym kowbojem, więc gdyby zechciał rzucić wszystko i przyjechać do niego jeszcze tego samego ranka, aby zrobić mu jeden z samochodów, miałby później zagwarantowany cały

ciąg legalnych, dochodowych zleceń na dającą się przewidzieć przyszłość.

- Oczywiście jeśli będę zadowolony z pańskiej pracy
- zastrzegł Black.
- Mogę być mniej więcej za godzinę.
- Najwyżej za godzinę.
- Umowa stoi.

- Patston Motors. Nie możemy podejść do telefonu, ale proszę zostawić wiadomość. Oddzwonimy najprędzej, jak tylko się da.

Joanne odczekała kolejnych kilka sekund, po czym się rozłączyła, gratulując sobie w duchu, że pamiętała o wstukaniu 141, aby mąż się nie dowiedział, kto aż trzy razy wydzwaniał do warsztatu.

Dziwnych rzeczy człowiek się uczy, kiedy musi.

- Chodź, kochanie - powiedziała do Iriny, która przy kuchennym stole jadła banana. - Jedziemy do biblioteki.

- Bibloleki! - ucieszyło się dziecko. - Siązecki.

- Tak, jedziemy po książeczki. Moja mądra córunia! Minutę po tym, jak usadowiła Irinę przy stoliku pod oknem z kilkoma książeczkami, Joannę zobaczyła mężczyznę, który szperał w tanich wydaniach powieści obok biurka z komputerem. Od razu domyśliła się, że to on. Ubrany był zwyczajnie, wcale nie jak prawnik, w beżowe bawełniane spodnie i granatowy sweter, ale i tak wyglądał tu obco. Bogato.

Joanne rzuciła jeszcze raz okiem na Irinę, wyraźnie zainteresowaną książeczkami, a potem wolno podeszła trochę bliżej, zatrzymując się o parę kroków od nieznajomego.

- Pani Patston? - spytał cicho Allbeury.
- Tak.

Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Gdzie pani chce rozmawiać?

Przy wejściu był wolny stolik z trzema krzesłami, ale trochę za mocno wyeksponowany jak na wymagania Joanne, więc przeszła bez słowa do miejsca między dwoma stanowiskami, skąd mogły z Iriną widzieć się wzajemnie.

- Może tu?

Allbeury zerknął na tytuły - na lewo gady domowe, na prawo romanse - i uśmiechnął się znowu.

- Doskonale. - Po krótkim milczeniu przeszedł do właściwego tematu: - Chciałbym, żeby pani zrozumiała, że nie będę wywierał żadnych nacisków. Naszym celem jest pomóc pani w odzyskaniu całkowitej kontroli nad własnym życiem, które w tej chwili wydaje się pani przegrane.

- Skąd pan o mnie wie? Czy to przez szpital? -

Joanne musiała to wiedzieć, zanim zaczniesz jakąkolwiek rozmowę.

- Przepraszam - powiedziała Joanne, wracając do stolika. - Nie mogę długo tu zostać.

- Rozumiem. Pewnie ma pani pytania.

- Dlaczego pan to dla mnie robi?

- Bo mogę - brzmiała prosta odpowiedź. - Bo pani i jej córka potrzebujecie pomocy, a ja jestem w stanie ją zaoferować.

- Skąd mam wiedzieć, czy mogę panu zaufać?

- Tego się pani raczej nie dowie. Ale ma pani inne wyjście?

Nie odpowiedziała.

- Zaczynam sobie wyobrażać - ciągnął - jak musi się czuć osoba postawiona wobec takiego wyboru. Bo tak jak mówiłem na początku: ten wybór należy do pani. Pani tym kieruje.

- Ale to przecież nie może być prawda? Jeśli się zgodzę, to już nic nie będzie zależeć ode mnie?

- Z początku - nie. Dopiero później.

- Może. - Zastanawiała się nad czymś. - A co z moją matką?

Był na to przygotowany.

- Jeśli nie zechce pani zabrać matki ze sobą, co jest, oczywiście, trudne i skomplikowane, ale niewykluczone, no to w dającej się przewidzieć przyszłości nie będzie jej pani widywać.

- No nie wiem... - zawahała się Joanne. - Czy możemy się jeszcze spotkać? Trochę dłużej pogadać?

- Owszem, tylko będziemy musieli znowu zorganizować Tony'emu dodatkowe zajęcia, a nie chcielibyśmy, aby nabrał podejrzeń.

- Ale... jeśli Irina i ja tak nagle znikniemy, to on dostanie szału. Zacznie nas szukać i...

- Nie znajdzie was.

Joanne zerknęła znów na Irinę, która obróciła się na krzesło i teraz ich obserwowała.

- One z moją mamą naprawdę się kochają.

- Wiem, że będzie wam ciężko. Ale w takiej sytuacji jak wasza nie ma idealnych rozwiązań. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, tak będzie bezpieczniej. Dla Iriny.

- Och, Boże... - Znów była bliska łez.

- Uwaga - ostrzegł ją Allbeury.

- Wiem. - Zagryzła wargę, natychmiast się opanowując.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją.

- Muszę przemyśleć wiele spraw.

- Na pewno.

- Co będzie dalej?

- Jeśli pani odrzuci moją propozycję, to nic. A gdyby miała pani jakieś pytania albo zdecydowała na „tak”, to wystarczy telefon do Mike'a Novaka.

- A gdybym się zdecydowała?

- Wtedy podejmiemy kolejne kroki.

33

- Tylko małe rozdarcie pochwy - powiedział jej Christopher zaraz po operacji. - Niedługo się zagoi, zobaczysz.

Czyli wszystko w porządku, pomyślała Lizzie z ironią, ale wciąż jeszcze oszołomiona jego delikatnością najpierw w klinice, a kilka dni później w domu, w Marlow. Tak samo zresztą zachowywał się wobec Edwarda po wypadku, a jeszcze wcześniej wobec jej matki i oczywiście Jacka. O ileż łatwiej byłoby po prostu mu uwierzyć, w niego uwierzyć! Tylko że jeszcze nie zwariowała.

Rany i szwy nadal ją piekły, ale siły wracały, więc zmusiła się do konfrontacji z rzeczywistością. Nie miała innego wyjścia, jak tylko z całą energią stawić czoło Christophe-rowskiemu. Jeśli teraz się na to nie zdobędzie, to skończy jak te wszystkie regularnie bite żony, zbyt mocno zdołowana, by upomnieć się o swoje prawa.

Zaplanowała sobie całą rozgrywkę. Nie będzie żadnych sztuczek, żadnego kręcenia, po prostu powie mu, żeby przyjechał do Marlow w tygodniu, kiedy dzieci będą w szkole, a Gilly zajęta gdzie indziej.

Było to w środę, osiemnastego września. Dziesięć dni po operacji, dziesięć dni i kilka godzin po tym, jak Christopher ją zgwałcił, czuła się tak, jakby minęło całe życie - co brzmiało jak frazes, a jednak było prawdą.

Postanowiła, że rozmowa odbędzie się w jej

gabinecie -na jej, a nie jego czy wspólnym terytorium. Poprosiła go, by zajął miejsce w skórzanym fotelu, po drugiej stronie jej biurka.

- Czuję się jak na rozmowie kwalifikacyjnej - zauważył.

- Dużo czasu minęło - zaczęła Lizzie z wyschniętymi ustami - odkąd zagroziłam, że od ciebie odejdę. Ale po tym, co zrobiłeś w noc po swoich urodzinach, przekonałam się, że jestem to winna zarówno naszym dzieciom, jak sobie samej...

- Na pewno wiesz - przerwał jej zapalczywie - musisz wiedzieć, że nie miałem zamiaru cię skrzywdzić.

Nigdy z premedytacją nie zrobiłbym czegoś takiego! Dobry Boże, gdybym tylko mógł cofnąć wszystko, co się stało tej nocy, to natychmiast bym to uczynił!

- To, co zrobiłeś, nazywa się gwałt. Pobiłeś mnie i zgwałciłeś na tyle brutalnie, by mnie zranić. I tego już nie da się cofnąć. - Lizzie za wszelką cenę starała się zachować rzeczowy ton. - Ale przynajmniej dochodząc do siebie po operacji, miałam czas przemyśleć pewne sprawy. I podjęłam kilka decyzji.

- Przestań.

- Nadal jestem gotowa z tobą zostać ze względu na Jacka. Nie - Edwarda i Sophie, ponieważ oni z czasem by się z tym pogodzili, natomiast Jack raczej nie. - Nabrała powietrza. - Mimo to zostanę tylko pod pewnymi warunkami.

- Wszystko, co zechcesz.

- Łatwo ci obiecywać - zauważyła sucho. - Ale przerabialiśmy to już kiedyś, pamiętasz? Zanim się okazało, że oczekuję Sophie. Wtedy też powiedziałeś: „wszystko”.

- Tak. - Zdjął okulary, potarł nasadę nosa, zamknął na chwilę oczy. - Więc jakie są twoje warunki?

- Nigdy nie pozwolisz sobie wobec mnie na żaden intymny gest, z wyjątkiem pocałunku w policzek czy krótkiego uścisku, a i to wyłącznie w obecności

innych osób. Christopher wyraźnie spochmurniał, ale się nie odezwał.

- Przedstawiłam na piśmie wszystkie twoje brutalne wyczyny, obrażenia, jakich doznałam, a także twoje ostatnie poważne nadużycie zawodu lekarza...

- O Boże, Lizzie...

- ...i oddałam to w zapieczętowanej kopercie prawnikowi. Nie Davidowi Lermanowi ani nikomu od nich.

- Ler-man był współnikiem kancelarii Allbeury, Lerman, Wren, która od lat obsługiwała Christophera i HANDS. - Możesz jednak spać spokojnie, ten list pozostanie zapieczętowany, chyba że osobiście nakażę go otworzyć albo stanie się coś, co uniemożliwi mi występowanie we własnym imieniu.

- To już jest nie tyle melodramatyczne - przerwał gniewnie Christopher, wciskając z powrotem okulary na nos - ile wręcz obraźliwe! Jak śmiesz przypuszczać, że mógłbym w taki sposób powstrzymać cię od zabrania głosu?

- Po tym, co już zrobiłeś - głos Lizzie drżał, ale nadal panowała nad sobą - po koszmarze tego cyrku, który odstawiłeś w klinice, że me wspomnę o tym, co działo się przedtem, już nic nie wydaje mi się niemożliwe.

- Lizzie, proszę...

- Dobrze wiem, że nie od razu mi uwierzą, ale treść tego listu wystarczy aż nadto, by mój prawnik i moja matka podjęli wszelkie możliwe kroki w kierunku odebrania ci dzieci

- Nie wierze, że zrobiłabyś to Jackowi.

- To ostatnia rzecz na świecie, którą chciałabym zrobić - zgodziła się Lizzie. - Ale jeśli nie będziesz przestrzegał warunków, to nic innego mi nie pozostanie, więc lepiej mi uwierz.

- Co jeszcze? - spytał cicho.

- Mniej więcej to samo co przedtem. Wizyta u psychiatry. - Aż ją podrywało, by wstać i trochę pochodzić, ale nadal czuła ból, a za nic nie chciała okazać słabości. -I?
- Czy bierzesz narkotyki?
Zamrugnął oczami, ale nie odpowiedział.
- Mam silne podejrzenie, że tamtej nocy, kiedy mnie zgwałciłeś, brałeś jakieś prochy. Wiedz, że wspomniałam o tych obawach w swoim liście.
- Niczego nie zaniedbujemy, co, Lizzie? - Gniew wrócił.
- Jeśli mam rację - ciągnęła - i jeśli kiedykolwiek zbliżyłeś się do innego pacjenta, a zwłaszcza do stołu operacyjnego, pod wpływem narkotyku, to albo przysięgniesz zerwać z tym natychmiast i zacząć kurację odwykową, albo składam na ciebie skargę.
- Nie jestem uzależniony.
- Zrozumiałeś, co powiedziałam przed chwilą?
- Tak. Poradzę sobie z tym.
- Przysięgnij.
- Jeśli uważasz mnie za nałogowca, to niepotrzebne ci moje słowo.
Nie odzywała się.
- No dobrze, przysięgam. Na życie naszych dzieci.
- Nie! - krzyknęła. - Nigdy tak nie mów!
- Przepraszam. - Christopher znów zdjął okulary. - Przepraszam, przepraszam! Tak cholernie żałuję wszystkiego, co się stało! - Oczy nagle wypełniły mu się łzami. - Tego, co ci zrobiłem i wtedy, i przedtem, wszystkiego! - Ukrył twarz w dłoniach, ale po chwili znów ją uniósł. - Tylko proszę cię, błagam, nie mów dzieciom, nie niszczyć ich wiary we mnie, proszę, Lizzie!
- Już mówiłam, że zostaję.
- Dziękuję - wyszeptał.
- Jeszcze jedno.

- Wszystko! - powtórzył.
- Oddzielne pokoje. Tutaj i w mieszkaniu, i w ogóle wszędzie, gdzie się zatrzymamy. Nie martw się, wymyślę jakieś powody. Powiemy dzieciom i Gilly, że śpię niespokojnie i ciągle cię budzę. Sophie ucieszy się, że teraz będzie miała dwa pokoje do inwazji. Christopher zamyślił się głęboko.
- Czy myślisz - spytał wreszcie - że kiedyś będziesz mogła znowu mi zaufać?
- Nie. Nie wyobrażam sobie, aby to było możliwe.

34

W czwartek rano o dziewiątej czterdzieści pięć Clare była w biurze sama - załatwiała telefony, uaktualniała zapisy na komputerze, porządkowała bałagan Mike'a i generalnie wykorzystywała jego całodniową nieobecność - zajmował się nudną, lecz dochodową korporacyjną robotą w Dagenham - kiedy zadzwoniła Joannę Patston.

- No nie... - westchnęła, słysząc, że nie zastała Novaka.
- Wszystko w porządku, Joanne - uspokoiła ją Clare.
- Mogę ci mówić po imieniu?
- Oczywiście.
- Ja jestem Clare, dobra? - Nie czekała na odpowiedź, świadoma, że w mało stabilnym życiu jej rozmówczyni może liczyć się każda sekunda. - Słuchaj, Joannę, wiem, że raczej nie chcesz, aby Mike do ciebie dzwonił, więc wybieraj, co wolisz: złapać go przez komórkę teraz, ale on może nie być sam, albo ja załatwię, żeby, powiedzmy za pół go-

dziny, odebrał twój telefon gdzieś, gdzie będzie mógł swobodnie pogadać?

Chwila milczenia, wreszcie:

- To drugie. Za pół godziny.

Joanne pozmywała po śniadaniu, upuściła filiżankę na podłogę i wybuchnęła płaczem, ale zaraz przestała, bo Irina zaczęła płakać także, wreszcie, kiedy wszystko było już na swoim miejscu, usiadła z córeczką na sofie i zaczęła jej czytać „Kredka i pisklaka”. Co parę minut oczy zachodziły jej mgłą z absurdalnego wzruszenia tą historyjką, ale znacznie bardziej z powodu reakcji małej, która słuchała jak urzeczona.

Dziesięć po dziesiątej Joanne zamilkła.

- Mamusiu, jeszcze poczytaj!

- Za chwilę, kochanie.

- Teraz!

Joannę podniosła się z sofy i położyła Irinie książeczkę na kolanach.

- Obejrzyj sobie obrazki, skarbie. Mamusia zaraz przyjdzie.

Na parkingu w Dagenham Novak sprawdzał właśnie sygnał na komórce, kiedy telefon zadzwonił.

- Mike Novak.

- Tu Joanne Patston.

- Tak, Joanne? - Nawet na odległość wyczuwał napięcie w jej głosie. - Clare mówiła mi, że pani dzwoniła. Czym mogę służyć?

- Pan Allbeury powiedział, żebym przekazała panu swoją odpowiedź.

- Owszem. Ewentualnie zadała mi jakieś pytania.

- Zgadza się.

Novak omal nie podskoczył.

- To super!
- Naprawdę?
- Tak sądzę. - I po chwili spytał: - Jest pani pewna?
- Jak zauważył pan Allbeury, nie mam wyboru.
- Czy to ma być tylko dla pani i Iriny? Czy także dla pani matki?
- Tylko dla nas dwóch. - Ściszyła głos. - Wiem, że jeśli powiem mamie, to będzie próbowała mnie odwieść od tego zamiaru. Ona nic nie wie o...
- O Irinie - dokończył Novak. - Rozumiem.
- Ale ona nie zrozumie.

Od rozpaczki w jej głosie chciało mu się płakać. Takie smutne kobiety zawsze wytrącały go z równowagi. Clare nazywała go wielkim mięczakiem, ale Mike wiedział, że lubiła u niego tę cechę, gdyż działała w obie strony.

- Co teraz będzie? - spytała Joanne.
- Przez jakiś czas nic, co pewnie będzie dla pani dość trudne. Niestety musi pani siedzieć cicho i zachowywać się normalnie, dopóki Robin wszystkiego nie załatwi. Na pewno postara się działać jak najszybciej, ale takie sprawy wymagają czasu.
- Ile czasu?
- Do dwóch tygodni, może krócej.
- O Boże...
- Jak układa się w domu?
- Nie najgorzej. Ostatnio jest w lepszym humorze. Rzeczywiście odkąd Allbeury spełnił swoją obietnicę, Tony nieco złagodniał. Więcej pracy przy beemwicach Ed-diego Blacka oznaczało więcej gotówki, a mniej czasu na picie. Oczywiście Joanne wiedziała bez cienia wątpliwości, że ten stan rzeczy długo się nie utrzyma. Przeciwnie, kiedy źródło wyschnie, Tony znów będzie zniechęcony, wściekły, pewnie jeszcze gorszy niż przedtem.
- Jest bardzo istotne - tłumaczył jej Novak - żeby za-

chowowała się pani tak jak zawsze, dopóki nie dam pani znać. A nade wszystko nie wolno pani, podkreślam z całą mocą: NIE WOLNO pod żadnym pozorem wyjawić komukolwiek naszego planu.
- Nie wiem, na czym ten plan polega - zauważyła Joannę - więc z tym akurat nie będę miała większych trudności.

35

Pomijając okres przed świętami Bożego Narodzenia, październik był najaktywniejszym miesiącem w działalności charytatywnej Christophera. Po pierwsze, czekało go zamykanie roku finansowego, a zaraz potem doroczny obiad HANDS w Savoyu, wielka impreza mająca na celu pozyskiwanie funduszy. Siłą rzeczy Christopher spędzał wtedy niemal tyle samo czasu na spotkaniach z Dalią Weinberg oraz księgowymi i prawnikami organizacji charytatywnej, co na sali operacyjnej i w gabinecie lekarskim.

Prezentowanie wspólnego frontu, na co Lizzie milcząco wyraziła zgodę, okazało się męczące dla obojga małżonków. Przy dzieciach, które oboje jednakowo kochali, było to nieco łatwiejsze, tym bardziej że Lizzie miała za sobą całe lata praktyki w udawaniu - zarówno przed samą sobą, jak innymi - że wszystko w jej małżeńskim ogródku gra i śpiewa. Ale jej deklaracja spowodowała zmianę na stanowisku dowodzenia w małżeństwie i chociaż Christopher starał się prywatnie zachowywać wobec

Lizzie z największą pokorą, konieczność poddania się jej woli mocno go uwierała.

- Będziesz w tym roku w Savoyu? - spytał ją w kuchni domu w Marlow osiem dni po konfrontacji.

- A byłeś już u psychiatry? - Mimo późnego wieczoru Lizzie wałkowała ciasto na pieróg.

- Mam termin w przyszłym tygodniu - odparł, zerkając na drzwi.

- U kogo? - Lizzie posypała wałek mąką. - Mów śmiało, dzieci są już w łózkach, a Gilly się kąpie.

- To tylko wstępna rozmowa.

- Mimo to chcę znać nazwisko.

- Bo chcesz mnie sprawdzić? - Policzki mu poczerwieniały.

- Nie sędzę.

- Duncan Campbell. We wtorek o dwudziestej. - I po chwili dodał: - Przyjmie mnie po godzinach z zawodowej uprzejmości.

- To miłe z jego strony.

- Przepraszam, że musiałaś to ze mnie wyciągać. Wiem, że to należy do umowy.

- W porządku. - Lizzie przestała wałkować. - Nie chciałam cię wprowadzać w zakłopotanie.

-Masz do tego prawo.

- Dobrze, przyjdę na obiad HANDS.

- Dziękuję. Niestety, muszę cię prosić o jeszcze jedną uprzejmość.

- Jaka? - Wyjęła z szafki blachę do ciasta i zaczęła smarować ją masłem.

- Wiesz, że David Lerman jest po operacji wszczepienia endoprotezy stawu biodrowego?

- Oczywiście, posłaliśmy mu kwiaty.

- Teraz mam do czynienia ze starszym wspólnikiem, Robinem Allbeurym.

- Jakieś problemy?

- Przeciwnie. On się specjalizuje w sprawach małżeńskich, ale zgodził się nam pomagać z czystej

uprzejmości i jest w tym nadzwyczajny. A poza tym okazało się, że należy do twoich fanów.

- Bardzo to miłe, ale na czym polega prośba?
- Chciałbym zaprosić go na obiad, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- I mam być obecna?
- Tak naprawdę, to miałem nadzieję, że sama ten obiad przygotujesz.
- Zależy kiedy.
- Ale zasadniczo się zgadzasz?
- Zasadniczo.
- Dziękuję.

36

Tydzień już minął, dalsze czekanie było czystą męczarnią.

I tak pełna wątpliwości, poczucia winy i ogromnego strachu przed nieznanym, na które lada moment miała skazać córkę, Joanne przeżywała dodatkowe męki z powodu faktu, że Tony nadal zachowywał się wobec Iriny jak normalny ojciec. Nie wzorowy, ale też nie żaden potwór.

Mogłybyśmy zostać, myślała.

Gdyby tylko wiedziała chociaż odrobinę więcej o tym, jak ich zniknięcie będzie zorganizowane, może wtedy nie bałaby się tak bardzo.

A może jeszcze więcej?

Powierzyła przyszłość swoją i, co więcej, Iriny obcym ludziom, prywatnemu detektywowi o sympatycznej twarzy oraz bogatemu i przypuszczalnie bardzo

wpływowemu człowiekowi, który wiedział (przyznał to), jak nadać bieg sprawie.

Ale jak on to robił? Jak ktokolwiek mógł przenieść kobietę z dzieckiem z jednego życia w drugie, rzekomo szczęśliwsze i bezpieczniejsze? Za pomocą ogromnych sum pieniędzy, to oczywiste, i niewątpliwie z naruszeniem prawa.

I czemu, u licha, Robin Allbeury, ustosunkowany prawnik, miałby to wszystko robić dla niej i dla Iriny, wydawać

na nie tyle pieniędzy? Przypuszczalnie jednym z powodów było to, że miał ich tak dużo, że nie zauważy ubytku. Ale w gruncie rzeczy to też niewiele wyjaśnia. Dlaczego? Kiedy?

Bo jeśli to potrwa dłużej, Joanne chyba się załamie.

37

- Michael Novak cię szukał - powiedziała Ally King do Shipley, gdy ta wróciła z lunchu z siostrą Laurą, która przyjechała na jeden dzień z Manchesteru, gdzie mieszkała z mężem i dziećmi. - Właśnie przylepiłam ci karteczkę na biurku.

Shipley się zdziwiła.

- Czego chciał?

- Podobno był w pobliżu i chciał się dowiedzieć, co słyshać w sprawie Bolsoverów. - King wiedziała, że mimo nowej sprawy o charakterze narkotykowym, którą obecnie zajmował się zespół, Shipley wciąż nie dawało spokoju tamto morderstwo. - Wydawał się zainteresowany, co się dzieje z dziećmi.

- Ach, tak?

Suchość tonu Shipley nie uszła uwagi policjantki. Na jej gładkim czole pojawiła się zmarszczka.

- Ty nadal uważasz, że z nim i z Allbeurym jest coś nie tak, ale chyba ich nie podejrzewasz?

- O zbrodnię? Nie, nie, w końcu mamy swojego mordercę.

- Mówię serio - upierała się King. - Bo jeśli masz jakieś powody...

- Nie mam.

King wiedziała, kiedy temat jest zamknięty.

- Miło było na lunchu?

- Raczej nie.

Dziewczyna dała za wygraną i zajęła się pracą, a Shipley podeszła do biurka. Lunch z siostrą był prawdziwą udręką, gdyż Laura chciała rozmawiać wyłącznie o swoim nowym domu, o tym, jak bardzo dzieci się z niego cieszą, jakim fantastycznym mężem jest Gary i jak wiele Shipley traci.

- Szczerze mówiąc, Helen, nie masz nawet pojęcia - mówiła bynajmniej nie po raz pierwszy.

- Wiem. - Shipley próbowała skoncentrować się na spaghetti.

- Znaczy, wszystko to bardzo pięknie - ciągnęła Laura, której ton sugerował, że to „wszystko” znacznie odbiega od normy - ale jeśli nie zaczniesz myśleć o tej naprawdę ważnej stronie życia...

- To będzie za późno.

- No właśnie.

Shipley zastanawiała się, co by Laura pomyślała na widok ciała Lynne Bolsover na działce, w tym okropnym stanie upiornego rozkładu, nadal w swetrze z Next i dżinsach. Z całą pewnością nie była to Laury wersja „ważnej strony życia”, tylko cholerna konsekwencja piekła rodziny Lynne. I jej samej.

Poruszyliśmy każdy kamień... tak się zwykle mówi, a jednak jeden został, ten zakrwawiony, owinięty w

szmatę, odkryty przez Kylie (dziecięca zabawa!).

Prawo wydało triumfalny okrzyk i spoczęło na przysłowiowych laurach.

Oczywiście, nie podejrzewała ani Novaka, ani Allbeu-ry'ego o zamordowanie Lynne Bolsover. Ale bez względu na to, czy ci dwaj mieli coś wspólnego z zabójstwem czy nie, Shipley wciąż dręczyło przeczucie, że wiąże się ono z prywatną działalnością adwokata.

Bezinteresowną działalnością, przypominała sobie raz po raz. Co czyniło ją albo bardziej chwalebna, albo tajemniczą, zależnie od stopnia zblazowania patrzącego. A Bóg jeden wiedział, że u niej ten stopień był cholernie wysoki.

Telefon Novaka do niej nic nie znaczył.

Ale istniało dobrze udokumentowane zjawisko, że niektórzy mordercy czuli przymus pozostawiania w pobliżu osób prowadzących śledztwo w sprawie ich zbrodni.

Przesadzasz, Shipley.

Przyjrzała się pozostawionej przez Novaka wiadomości, a potem wzięła telefon i wystukała numer jego agencji.

Novaka w biurze nie było. Telefon odebrała jego żona, ale nie знаła żadnych szczególnych powodów, dla których jej mąż miałby szukać kontaktu z Shipley.

- Mam poprosić Mike'a, żeby zadzwonił jeszcze raz? - spytała Clare.

- Jeśli zechce, chociaż nie mam dla niego żadnych wiadomości, pora tym, że...

- Ze Bolsoverowi postawiono zarzuty.

- Tak jest, a rodzina jest nadzwyczaj chętna do współpracy.

Na tym Shipley zakończyła rozmowę i wróciła do swoich obowiązków.

38

- Już mówiłem, że jest mi przykro - powiedział Christopher w kuchni mieszkania przy Holland Park w niedzielne popołudnie, kiedy Lizzie odcedzała świeżo ugotowany rosół z kurczaka i starała się nie popadać w irytację. - Zwykle podchodzisz na luzie do proszonych obiadów, więc nie spodziewałem się takiej reakcji, poza tym uzgodniliśmy wcześniej, że go zaproszę...

- Ja natomiast spodziewałam się, że zawiadomisz mnie wcześniej niż na dwie doby przed terminem.

- Wiem i jeszcze raz przepraszam.

- Nie lubię w weekendy być z dala od dzieci.

Christopherowi stężała szczęka i zwięziły się oczy.

Poru-szył nieznacznie głową, nabrał tchu i spytał:

- Jak mogę ci pomóc?

- Nijak. Najwyżej zadzwoń do Gilly i ją przeproś.

- Myślałem, że już to zrobiłaś.

- Ale będzie jej miło, jeśli to wyjdzie od ciebie.

- Bo to moja wina, tak?

- Właśnie tak.

Przez większość dnia chodziła zła jak osa. W piątek - niecałych dwanaście godzin po rozmowie z nią na temat zaproszenia prawnika - Christopher zadzwonił do Robina Allbeury'ego. Ten napomknął coś o tym, że jego plany weekendowe spaliły na panewce, wobec czego Christopher zaprosił go do nich już na niedzielny wieczór, założywszy, iż Lizzie nie będzie miała nic przeciwko

temu. Niedzielną kolacją oznaczała zakupy w sobotę, a Lizzie zamierzała poświęcić ten dzień na pisanie. Poza tym Gilly na niedzielę zaplanowała swój wolny dzień, Sophie miała początki przeziębienia, Lizzie zaś nie znosiła być rozdzielona z dziećmi, gdy któreś z nich źle się czuło. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, najchętniej kazałaby Christopherowi odwołać wizytę, ale kiedy już chciała to zrobić, on zaczął jej tłumaczyć, jak bardzo wspaniałomyślny okazał się Allbeury.

- I zamiast policzyć nam swoją normalną stawkę, prawie dwa razy wyższą niż Davida, obiecał wystawić rachunek w dawnej wysokości, co naprawdę jest cholernie miłe z jego strony. Dlatego kiedy powiedział mi o tym, że jego plany weekendowe nie wypaliły...

- W porządku - poddała się Lizzie.

- Na pewno?

- Na pewno.

Rozpływał się potem z wdzięczności, przyniósł jej róże od Moysesza Stevensa, Gilly posłał bukiet z przeprosinami za popsute plany i nawet Sophie dostała od niego bukietek miniaturowych różyczek na osłodę w chorobie. Lizzie była zła na siebie, że te wszystkie gesty nie robią na niej wrażenia, ale pewnie Gilly i Sophie będą uszczęśliwione, poza tym musiała myśleć o HANDS, naprawdę nie wypadało jej zmuszać męża do odwołania zaproszenia.

Wprawdzie jadalnia w Marlow była bardziej imponująca, ale Lizzie lubiła i tę - dość kameralną, utrzymaną w kremowym i zielonym kolorze, ozdobioną na wieczór wysokimi liliami, które kupiła rano przy Holland Park Avenue. W Marlow każdy posiłek na mniej niż sześć osób jadło się przy dębowym stole w kuchni, jednak tutaj nawet przy dwójce gości nie było sensu się tłoczyć.

Propozycja zaproszenia także Susan wyszła od Chri-

stophera i tym razem Lizzie ochoczo jej przyklasnęła, założywszy, że prawnik nie będzie podejrzewał ich o jakieś swaty. I rzeczywiście, kiedy popijając bisque z langusty, obserwowała Robina Allbeury'ego słuchającego opowieści Susan (bardziej elokwentnej niż zwykle po potężnej dawce ginu z tonikiem, który Christopher nalał jej przed posiłkiem, i po kieliszku wyśmienitego montra-cheta, który wszyscy pili teraz) o jej ostatnim katastrofalnym romansie, Lizzie musiała przyznać, że jest to człowiek w każdym calu tak czarujący, jak opisywał go jej mąż, chociaż akurat ta cecha od lat budziła w niej nieufność.

- Nie powinnam w ogóle godzić się na spotkanie z nim

- zakończyła Susan.

- On zupełnie nie pasował do twojego dobrego gustu

- dodała Lizzie.

- To jakiś skończony jełop - zauważył Robin Allbeury i uśmiechnął się rozbrawająco. - Jeśli wolno mi tak się wyrazić.

- Masz absolutną słuszność - odparła Susan.

- Biedaczka! - westchnął Christopher.

- No nie wiem. Po takim upiornym wieczorze człowiek jest niewiarygodnie szczęśliwy, jak znajdzie się w domu.

- To zupełnie jak ucieczka w przerwie z opery Wagnera

- rzekł Allbeury.

- O tak! - zgodziła się skwapliwie Lizzie.

- Zawsze mówiłaś, że nie masz nic przeciwko Wagnerowi - zdziwił się Christopher.

- Kłamałam z uprzejmości.

- Ale ty, Christopherze, naprawdę go lubisz, prawda?

- spytał Allbeury.

- Ogromnie. Oraz Richarda Straussa.

Lizzie rzuciła mu chłodne spojrzenie, po czym

zwróciła się z uśmiechem do gościa:

- Kilka tygodni temu widzieliśmy „Ariadnę na Naxos”. To był mój urodzinowy prezent dla Christophera.

- Makabra!

Lizzie przemknęły przez głowę wspomnienia nocy po przedstawieniu.

- Rzeczywiście.

- Co za niesamowita zupa - zauważyła Susan.

- Ach, to mój „hołd dla Escoffiera” - odrzekła Lizzie. - Cieszę się, że ci smakowała, chociaż nie jestem pewna, co mistrz by na to powiedział. Jako podstawę wzięłam jego bisque de crevettes, ale zamiast prawdziwego fonds blanc zrobiłam zwykły bulion z kurczaka.

- Wolno wiedzieć dlaczego? - spytał surowo Robin All-beury.

- Bo tak jest łatwiej.

- Co za hańba! - wykrzyknął i zaraz uśmiechnął się szeroko. - Ale ta zupa smakuje mi bardziej niż Escoffiera.

- Właściwie to on lubił, kiedy ktoś korzystał z jego przepisów.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł Christopher - że ktoś jeszcze poza nawiedzoną kucharką zna się na upodobaniach Escoffiera.

- Lubisz gotować, Susan? - spytał Allbeury.

- W zasadzie nie. Ale książki Lizzie sprawiły, że polubiłam czytanie o kuchni. Leżę wieczorem w łóżku, czytam i ślinka mi leci.

- Bardzo to miłe - zauważył Christopher.

- No, czas sprzątnąć talerze po zupie - powiedziała Lizzie, wstając.

Telefon zadzwonił, kiedy była w kuchni. Gilly meldowała (zgodnie z umową, bez względu na to,

czym Lizzie lub Christopher zajmowali się w danej chwili, ważne informacje na temat dzieci miały absolutne pierwszeństwo), że Edward zaraził się od Sophie i teraz obojgu rośnie temperatura.

- Ile mają? - spytała Lizzie, gotowa zdjąć fartuch i natychmiast jechać.

- Trzydzieści osiem i cztery. Nie ma powodów do niepokoju. - Gilly zamilkła na chwilę, bo знаła dobrze Lizzie. - Absolutnie nie musisz rzucać wszystkiego i gnać na sygnale.

- Mogę z nimi porozmawiać?

- Śpią. Bolała ich trochę głowa i drapało w gardle, ale nie mieli torsji, zeszywnienia karku ani wysypki. Zwykła infekcja kataralna.

- A Jack? - Tb pytanie zawsze nasuwało się samo, czasem, jak sobie uświadamiała, kosztem pozostałych dzieci.

- Na razie nic mu nie jest. Ale pilnuję go cały czas, mimo że tego nie lubi.

- Jesteś wspaniała, Gilly.

Zawiadomiła Christophera, spytała go o zdanie i po namyśle przyznała mu rację: nie ma sensu pozbywać się gości z powodu głupiego przeziębienia, byłaby to gruba przesada. I zaczęła podawać filet de boeuf Saint-Germaine.

Atmosfera wyraźnie się potem popsowała, o co Lizzi mia-ła do siebie pretensje, ale nie potrafiła się przełamać. Przynajmniej jedzenie okazało się wyśmienite i w ciemnych oczach Allbeury'ego widziała błyski zadowolenia, nie mogła jednak oderwać myśli od dzieci; może to bez sensu, ale gdyby nie Christopher, siedziałyby teraz przy nich. W gruncie rzeczy, oczy Allbeury'ego, podobnie jak reszta jego osoby, były jedynymi (poza telefonem od Gilly) aspektami wieczoru, które wywarły na niej jakieś wrażenie. Christopher podkreślał już wprawdzie hojność ich gościa dla HANDS, nie

wspomniał jednak, jak bardzo przystojny jest prawnik i ile ciepłego zainteresowania kryje się w tych oczach koloru płynnej czekolady.

Zainteresowania mną, pomyślała nagle Lizzie i zrobiło się jej gorąco.

Wiedziała, że ma rację. Swobodny i uważny wobec wszystkich, Allbeury traktował ją z nieco większą delikat-

nością, jakby zdawał sobie sprawę, że Lizzie myślami jest daleko od gości, ale bynajmniej nie czuł się tym urażony.

- To był cudowny wieczór - rzekł później przy drzwiach, uparłszy się, że odwiezie mocno już zawianą Su-san do domu. - Ty to masz szczęście, chłopie!

- Wiem - przyznał Christopher i objął ramieniem żonę, która jedynie najwyższym wysiłkiem woli mu się nie wyrwała. Wydało się jej także - chociaż może to tylko wyobraźnia - że Robin Allbeury zauważył jej dyskomfort.

Mało co umyka uwagi tego człowieka.

- Czy znałaś Lizzie, jeszcze zanim trafiła do Vicuny?

- spytał Allbeury, prowadząc swojego jaguara XK8 w stronę mostu Battersea, - Pytam, bo wydajecie się bardziej przyjaciółkami niż zwykłymi znajomymi.

- Gdybym miała wybierać - odparła Su san z zapalem

- powiedziałabym, że ta przyjaźń jest dla mnie jednym z najcenniejszych doświadczeń edytorskich,.

- Wydaje się taka urocza!

- Och, bo jest!

- Ten telefon w sprawie dzieci wyraźnie wytrącił ją z równowagi.

- Nic dziwnego. Lizzie na ogół nie przesadza, ale nie potrafi się nie martwić o nich wszystkich.

Szczególnie gdyby Jack miał złapać wirusa.

- Dlaczego „szczególnie”?

Ponieważ choroba Jacka nie była trzymana w sekrecie, Susan nie widziała powodu, by nie udzielić mu wyczerpującej odpowiedzi. Potem w sposób naturalny rozmowa zesłała na pecha prześladowającego ostatnio rodzinę Wade'ów: najpierw fatalny wypadek Edwarda i przerwanie programu „Podróże kulinarne Lizzie Piper”, a potem, całkiem niedawno, choroba samej Lizzie.

- Chociaż Christopher rzucił wszystko, żeby opiekować

się nią w domu, więc właściwie można by to uznać za szczęście.

- A co jej było?

- Właściwie nie wiem. Dość niejasno wyrażała się na ten temat.

Allbeury poczuł, że jego ciekawość sięga zenitu.

- Pewnie jakaś odmiana grypy... - zasugerował na wabia.

- O, raczej coś poważniejszego. Gilly wygadała się, jak zadzwoniłam, że Lizzie jest w szpitalu Beauchamp, ale tam powiedziano mi, że nie mają takiej pacjentki.

- Dziwne - zauważył Allbeury od niechcienia.

- Boże - zaniepokoiła się nagle Susan. - Chyba nie chciałaby, żebym o tym mówiła. - Wszystko przez cholerny alkohol. - Ale w końcu nic konkretnego nie powiedziałam.

- Absolutnie - przyznał z uśmiechem Allbeury.

W poniedziałek rano, trochę później niż zwykle, Tony kończył swoje podsmażane śniadanie, kiedy zadzwonił telefon.

- Odbiorę - zawołała Joannę znad zlewu.

- Jeśli to Eddie Black, to mogę rozmawiać, dla wszystkich innych już wyszedłem.

Joanne wytarła ręce i zdjęła telefon ze ściany obok piecyka. - Halo?

Z pokoju Iriny na górze rozległa się seria głuchych dźwięków.

- Tak. - Joanne przechyliła głowę i nasłuchiwała przez-chwilę z niepokojem.

- Kto to? - spytał na migi Tony.

- Z tym mogą być pewne trudności - powiedziała Joanne do telefonu.

Tony usłyszał kolejny stuk, wzruszył ramionami i włożył do ust ostatni plasterzek bekonu.

- W porządku - rzekła Joanne. - Do widzenia.

Odłożyła telefon na miejsce.

- To Irina? - spytała męża.

- Któż by inny? - Dopił kawę. - Kto dzwonił?

- Dolać ci jeszcze?

- Nie. - Przyjrzał się jej uważnie. - Co jest z tobą, Jo?

Odwróciła się z powrotem do zlewu. - Nic.

- Pytałem, kto dzwonił.

- Znajoma z biblioteki.

Biblioteka. Joannę zagryzła wargę, zła, że chlapnęła o jedno słowo za dużo, ale nic innego jej nie przyszło do głowy.

Nie szkodzi, powiedziała sobie. On przecież i tak nigdy nie słucha.

- Czego chciała?

- Umówić się ze mną dziś rano. Na kawę.

- To co w tym trudnego?

- Trudnego? - powtórzyła.

- Powiedziałaś, że mogą z tym być trudności - przypomniał niemal dobrodusznie.
- Czasem jednak słucha. Puściła gorącą wodę.
- Mam prasowanie - odparła, siłąc się na naturalny ton. - I zakupy.
- Tony wstał i zaniósł swój talerz do zlewu.
- Dobrze ci zrobi, jak trochę się przewietrzysz i spotkasz z koleżanką. - Pogłaskał ją po głowie. - Zmizerniałaś ostatnio.
- Krew napłynęła jej do policzków z poczucia winy.
- To tak przed miesiączką. Kolejny łomot na górze.
- Lepiej sprawdź, co tam się dzieje - rzekł Tony.

40

Tuż przed wpół do dziesiątej Lizzie jechała do Marlow swoim sportowym japońskim coupe. Kiedy nie musiała używać przystosowanego do przewozu wózka inwalidzkiego rangę rovera, jazda sprawiała jej prawdziwą przyjemność. Nagle zadzwoniła komórka.

- Tu Susan. Możesz rozmawiać?
- Prowadzę, ale mam zestaw głośnomówiący.
- Fantastyczny obiad, chociaż chyba się wstawiłam. Jak dzieci?
- Gilly mówi, że nieźle. A jak twoja jazda do domu?
- To bardzo miły facet. I seksowny, chociaż wpatrzony był tylko w ciebie.
- Nie pleć głupstw - ofuknęła ją Lizzie.
- W każdym razie przez całą drogę do Clapham tylko o tobie chciał rozmawiać. - Susan wyraźnie

traktowała to z humorem. - Czy to aż takie dziwne, że kolejny facet ma na ciebie ochotę?

- Robin Allbeury wcale nie ma na mnie ochoty. - Zaczęło padać i Lizzie włączyła wycieraczki.

- Ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś atrakcyjna?

- Zejdź na ziemię, Susan. - Lizzie się roześmiała. - Jest parszywy poniedziałkowy poranek, czuję się niewyspana i mniej więcej tak atrakcyjna jak para mokrych butów.

- To witaj w klubie! A jeśli nie wierzysz mi w sprawie Robina, to spytaj męża.

- Susan, do czego ty pijesz?

- Założę się, że on też to zauważył.

- Bzdura!

- Ale musisz się chyba zgodzić, że facet jest przemiły.

- No owszem.

41

Podczas rozprawy przed sądem w Hendon Shipley usłyszała, że John Bolsover zostanie odesłany na drugi miesiąc do aresztu. Nie musiała tam być, ale czuła się w obowiązku zobaczyć go jeszcze raz. Chciała popatrzeć na tego człowieka i poczuć, że jest winien.

Tak się jednak nie stało.

Dodatkowym powodem jej obecności był fakt, że Mike Novak znów się z nią skontaktował i zgodziła

się pójść z nim po rozprawie na drinka.
Znaleźli narożny stolik w The Harp, gdzie detektyw zamó-

wił dla niej sok pomarańczowy, a dla siebie piwo z beczki. W ciągu dosłownie pięciu minut Shipley poczuła się odprężona, zadowolona podobnie jak Novak, że ma już za sobą przytłaczającą atmosferę sądu. Potem jednak napięcie powróciło.

- Co mogę dla pana zrobić? Za pierwszym razem, kiedy pan dzwonił, podobno przechodził pan w pobliżu. Potem po prostu odpowiedział pan na mój telefon.

- Jedno i drugie jest prawdą.

- Więc dokąd to „przypadkiem” wybierał się pan dziś rano? Pożeglować na Welsh Harp*?

** Rekreacyjny zbiornik wodny w pobliżu Londynu.*

Novak przez chwilę nic nie mówił.

- Ja tylko... - Urwał, zaczął znowu: - Czuję się związany z tą sprawą. - Wzruszył ramionami. - W pewnym stopniu jestem odpowiedzialny...

- Bo?

- Bo zawiodłem Lynne Bolsover.

- Raczej nie pan ją zawiódł. Jeśli kogoś można tu obwiniać, to chyba pana Allbeury'ego. On też się tak martwi jak pan?

- Nie rozmawialiśmy ostatnio na ten temat.

- Czyli z głowy.

Novak pochylił się do przodu, pokręcił głową i znów opadł swobodnie na oparcie krzesła.

- Co jest? - spytała Shipley. - Nic.

- Jest pan zły?

- Nie - zły, pani inspektor. Chciałem powiedzieć, że jak na swoje stanowisko, zbyt wiele rzeczy zakłada pani z góry.

Tym razem Shipley wzruszyła ramionami.

- W zasadzie staram się tego unikać.
- Ale na temat Allbeury'ego założyła sobie pani to i owo.

- Naprawdę?

Na kilka sekund zapadła cisza.

- Nie jest pani przekonana o winie Bolsovera, prawda? - spytał Novak, patrząc na nią uważnie.

- Jest oskarżony.

- A poza protokołem?

Shipley dopiła sok i spojrzała na zegarek.

- Na mnie już czas.

- Wiemy, że ją uderzył. Znaleźliście kamień...

- To żaden sekret. - Shipley wstała. - Dziękuję, panie Novak. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Ale nadal nie ma pani pewności, co?

- Do widzenia panu.

Włączając się do ruchu przy Staples Corner swą lekko dychawiczną starą clio, Novak nie przestawał myśleć o Helen Shipley. Allbeury proponował kiedyś, że kupi mu nowy samochód i Novaka nawet poważnie kusiło, by skorzystać z oferty, ale Clare nie była nią zachwycona. Uważała, że to krok w kierunku, którego nigdy nie popierała.

- On tylko chce, żebym jeździł w jego sprawach samochodem godnym zaufania - tłumaczył jej detektyw.

- W takim razie niech ci wypożycza dobre auto, kiedy dla niego pracujesz.

- Nie zamierza przejmować mnie na własność - bronił się dalej Novak.

- Ale z ciebie idealista!

Tu miała rację, oczywiście, myślał, wjeżdżając do tunelu. Ten idealizm stanowił poważny problem, kiedy Novak pracował w policji. Na początku mu to nie przeszkadzało, ale później siłą rzeczy musiał się go wyzbyć (przynajmniej częściowo) i albo zasilić szeregi cyników, albo nadal tkwić w okolicach dna.

Takim samym przypadkiem była detektyw inspektor Shipley. Ta inteligentna kobieta o wysokiej motywacji z całą pewnością (teraz Novak to widział) wątpiła w winę Bolsovera przynajmniej w kwestii morderstwa, ale nie miała innego wyjścia, jak dalej kroczyć po linii.

Novak w tych okolicznościach też byłby bezradny. Tak samo ten wyrafinowany Allbeury, chociaż uprawia tak cyniczny zawód.

Podobnie jak Helen Shipley, Clare także nie dowierzała Robinowi. Nawet teraz, kiedy ulegając jej, poprosił prawnika o pomoc pani Patston, nie wydawała się całkowicie przekonana.

Życie każdego człowieka jest pełne wątpliwości, myślał, wlokąc się w strumieniu aut.

Zarówno co do rzeczy, jak co do ludzi.

42

W kuchni w Marlow Lizzie wyciskała właśnie sok z pomarańcz, kiedy zadzwonił Allbeury z podziękowaniem za wieczór.

- Jest jeden szkopuł - dodał na końcu. - Teraz, kiedy spróbowałem oryginalnego wykonania, już nigdy nie odważę się wypróbować żadnego z „Przepisów Lizzie Piper”.

Głos miał zniewalająco ciepły.

- Christopher wspominał, że masz jedną z moich książek.

- Nawet trzy. Teraz nie mogę się doczekać tej z gotowania w trasie.

- Niestety, trasa została przerwana. - Lizzie wrzuciła skórki do kubła na śmieci.

- Susan mówiła coś o tym, kiedy ją odwoziłem.

- Tak? - Wlała sok do szklanego dzbanka. - Cieszę się, że dobrze się u nas czujesz. Po telefonie Gilly trochę się zdenerwowałam.

- To zrozumiałe. A jak się dziś mają chorzy?

- Nieźle, dziękuję.

- Pewnie są szczęśliwi, że odzyskali mamusię.

Trudno mieć o to pretensję.

- Na pewno niedługo wrócą do zdrowia.

- Musisz mieć pełne ręce roboty, więc cię nie zatrzymuję, ale gdybyście kiedyś z Christopherem znaleźli wolny

wieczór, chętnie bym się zrewanżował za gościnę. A może spotkamy się w którąś niedzielę na lunchu?

- Będzie nam bardzo miło. Prawnik jeszcze raz jej podziękował.

- Naprawdę czułem się winny, że przeze mnie nie mogłaś być przy chorych dzieciach.

- To tylko przeziębienie - odparła dość sucho Lizzie.

- Ale musiałaś się o tym przekonać na własne oczy, prawda?

- Tak, raczej tak.

Idąc z sokiem na górę, pomyślała, że Susan mogła mieć rację. To rzeczywiście przemiły człowiek.

przypadek nr 6/201074
PATASON J.
analiza/ocena
zawieszono
akcja
rozwiązani V

43

Krótko przed piątą po południu Sandra Finch zaczęła się niepokoić o córkę. Zatelefonowała do warsztatu zięcia, żeby zapytać, czy nie wie, co się dzieje z Joanne,

- A nie ma jej w domu? - Tony, którego od śniadania męczyła zgaga, uznał przed chwilą, że ma dość pracy na dziś, i właśnie doprowadzał się do porządku przed wymarszem do pubu.

- Nie ma. - Sandra w ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie dodać „oczywiście”. - Pytam, bo rano przywiozła mi Irinę.

- To dzieciak cały dzień jest u ciebie? - spytał nerwowo Tony.

- Joanne mówiła, że wróci w porze lunchu, i dotąd się nie odezwała, więc zaczynam się martwić. Próbowałam zadzwonić na komórkę, ale ma wyłączoną.

- Pewnie została w domu, Joannę ciągle zapomina ją zabrać. - Tony wepchnął sobie telefon pod brodę i wtarł w rękę trochę pasty czyszczącej. - Czemu nie zawiadomiłaś mnie wcześniej?

- Nie chciałam cię martwić.

- Wcale nie jestem zmartwiony.

- Może ta wasza sąsiadka coś wie?

- Nicki jest z mężem na Cyprze. - Tony podszedł do zlewu i odkręcił kran. - Jo pewnie robi zakupy czy coś... Na

twoim miejscu byłbym wściekły, jak mogła tak cię

urządzić?

- Mnie to w ogóle nie przeszkadza, kocham Irinę i cieszę się, że jest ze mną.

Tony splukał największy brud i wycisnął na dłonie trochę mydła w płynie.

- Ale i tak nas wykiwała. Zresztą sam jej poradziłem, żeby poszła spotkać się z koleżanką.

- Jaka koleżanką?

- Nie wiem. - Myśli Tony'ego krążyły już wokół drinka. - Możesz jeszcze przetrzymać Irinę?

- Oczywiście, tylko pamiętaj, żebyś zadzwonił do mnie od razu, jak Joanne się odezwie.

- Jasne. Chociaż do ciebie na pewno odezwie się najpierw.

- Mam nadzieję.

44

Chociaż w poniedziałkowe popołudnie powinien się zajmować wieloma innymi sprawami, Allbeury - niespodziewanie dla samego siebie - poświęcił je głównie Lizzie Piper i jej mężowi.

Spodziewał się - myślał teraz, nalewając sobie skromną dawkę scotcha z karafki w zaciszu swego gabinetu - znaleźć w interesującym domu, gdzie być może nie brakowało normalnych konfliktów; w małżeństwie ludzi sukcesu, z których jedno uprawia najbardziej arogancki zawód na świecie i jednocześnie jest poważnie zaangażowane w działalność dobroczynną, nie mogło być inaczej. Allbeury w ciągu wielu lat nauczył się nie przywiązy-

wać specjalnie wagi do pozorów; wiedział lepiej od innych, jak bardzo poobijane, wręcz poranione od wewnątrz bywają tak zwane porządne małżeństwa, jak nawet najpiękniej błyszcząca para potrafi się pokryć śnieżką. Tutaj od samego początku, mimo ciepłej serdeczności Lizzie i dobrego humoru Wade'a, miał wrażenie, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

I nie chodziło tylko o dzieci.

Wiadomość z Marlow nadeszła, jak sobie przypominał, już po pierwszym drobnym spięciu, dotyczącym opery. W ciągu dwóch sekund od Lizzie, wydawałoby się, uroczej, ciepłej kobiety, powiało takim lodem, że aż wzbudziło to jego ciekawość. Potem oczywiście dowiedziała się o chorobie dzieci, on zaś nie miał jeszcze wtedy pojęcia o dystrofii mięśniowej drugiego syna. Biedne dziecko! Takie nieszczęście z pewnością musiało być nieustającym źródłem cierpienia i strachu dla całej rodziny, zwłaszcza przy dodatkowym zagrożeniu infekcją. Biedna Lizzie!

Dopiero jednak gest, który zauważył przy pożegnaniu, dał mu naprawdę wiele do myślenia, chociaż nie był to w ogóle jego interes. Christopher otoczył Lizzie ramieniem i ona mu na to pozwoliła; stała obok męża w progu, uśmiechając się na pożegnanie do niego i Susan.

Interpretację języka ciała Allbeury uważał zwykle za mocno przesadzoną, ale czasem nie można było nie brać jej pod uwagę. Ta chwila na progu aż się o to prosiła. Lizzie wprawdzie nie odsunęła się od męża, lecz Allbeury głowę by dał, że ten uścisk był jej przykry. Pytanie, które odtąd nie dawało mu spokoju, brzmiało: Dlaczego? Przecież wszystko, co czytał na temat małżeństwa Wade'ów, krzyczało jednym głosem, że jest to „złota para”!

Mimo nawału pracy w kancelarii, a później i w

domu, gdzie musiał pilnie zająć się przypadkiem Joannę Patston, Robin Allbeury nie mógł przestać myśleć o Lizzie Piper.

I bardzo go to niepokoiło.

Ponieważ jeśli pani Wade naprawdę miała poważne problemy, co mocno podejrzewał, to z pewnością będzie go kusiło, aby jej pomóc.

A nigdy dotąd nie podjął się pomocy kobiecie, która go pociągała.

I to bardzo mocno.

45

Christopher wrócił z St Clare do kliniki Beauchamp krótko przed szóstą trzydzieści, po trzygodzinnej skomplikowanej operacji ofiary wypadku samochodowego. Od osobistej sekretarki Jane Meredith dowiedział się, że dzwoniła Lizzie: podobno Jack miał już objawy tej samej infekcji, która wcześniej zaatakowała Edwarda i Sophie.

Szybko wszedł do gabinetu i zatelefonował do domu.

- Jak on się czuje?
- Nieźle - powiedziała Lizzie. - Ma trochę gorączki.
- Hilda była?
- Godzinę temu. Nie zauważyła nic niepokojącego.
- To dobrze. Mam przyjechać?
- Jeśli możesz, to byłabym wdzięczna.
- Odwalę trochę papierkowej roboty z Jane i jadę.
- Tylko jedź ostrożnie. Jemu naprawdę nic nie jest.

Wiedząc, że mąż będzie koło ósmej w domu, od razu poczuła się lepiej. Pozostała dwójka dzieci najgorsze miała już za sobą i szybko dochodziła do zdrowia, jak to zwykle bywa w tym wieku. Jack, odpowiednio leczony i pod stałym nadzorem, też poszedłby w ich ślady, ale zarówno Liz-zie, jak Christopher wiedzieli, że dla dziecka z DMD każda infekcja związana z płucami, sercem czy drogami oddechowymi stanowi potencjalne zagrożenie. Lizzie miała nieograniczone zaufanie do Hildy Kapur, jednak pod nieobecność Gilly (która i tak zapewniłaby jej tylko moralne wsparcie) najbardziej ceniła sobie fachową wiedzę Chris-tophera.

- Rozmawiałaś z tatą? - spytał Jack, gdy tylko wróciła do jego pokoju.

- Tak. - Lizzie przyłożyła mu dłoń do czoła; wydało się jej za ciepłe. - Już kończy swoje sprawy w klinice i zaraz przyjeżdża.

- Nie chcę, żeby specjalnie przyjeżdżał! - Jack nie cierpiał tego, co nazywał „robieniem szumu” wokół swojej osoby, co zdarzało się zawsze, kiedy kichnął kilka razy z rzędu czy miał parę kresek temperatury.

- Zadzwoń i powiedz, że nic mi nie jest.

- I tak się wybierał do domu.

- Założę się, że nie!

Jack zakaszłał i Lizzie twarz stężała.

- Przesadzasz, mamó - rzekł, widząc jej minę. - Po prostu coś mnie podrażniło.

- Wiem.

Zakaszłał znowu.

- W porządku? - zapytała.

Kiwnął głową, ale nie przestawał kaszleć.

- Może zjesz trochę zupy? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Herbaty?

- Dobrze, poproszę.

- Byle tylko pozbyć się matki z pokoju, co?

- Jasne. - Opadł na poduszki.
Kiedy wychodziła, rozkaszał się znowu.

46

Tony wrócił do domu pijany, nie na tyle jednak, aby nie zauważyć, że jest tam pusto i ciemno, a na pewno nie do tego stopnia, by go to nie wkurzyło. Zapalił światło, zamknął za sobą drzwi i zataczając się, wszedł do salonu. Wziął bezprzewodowy telefon, lecz po dwóch nieudanych próbach przekonał się, że nie pamięta numeru teściowej. Wreszcie go olśniło: Joanne zapisała ten numer w pamięci aparatu.

Wcisnął właściwy guzik i opadł z ulgą na sofę.

- Halo? - usłyszał zdenerwowany głos Sandry.

- Nie ma jej tutaj. Jest u ciebie?

- Tony, gdzieś ty się podziewał?!

To już nie tylko nerwy, ona go oskarżała! Oczywiście dlatego, że się do niej nie odezwał wcześniej albo, co bardziej prawdopodobne, że język mu się trochę plątał. No ale kto by się nie napił, skoro w domu nie ma ani żony, ani dziecka, ani obiadu?

- No więc jest czy nie? - zapytał bardziej napastliwie, niż zamierzał.

- Nie! Nie odezwała się do mnie przez cały dzień i najwyraźniej do ciebie także. Teraz to już naprawdę się boję, Tony. Moim zdaniem powinieneś zadzwonić na policję.

- To chyba lekka przesada, co nie?

- Nie sądzę.

Wiercił się niespokojnie na sofie, próbując coś wymyślić. Teściowa naprawdę sprawiała wrażenie mocno wystraszonej... zresztą on także nie przypominał sobie, żeby podczas trwania ich małżeństwa Joanne gdzieś poszła i nie zostawiła żadnej wiadomości.

- Rozejrzę się po domu, może zostawiła karteczkę w jakimś nietypowym miejscu.

- Dobrze, Tony. Dziękuję.

Wstał z wysiłkiem, obszedł chwiejnym krokiem pokój, potem poczłapał do holu i do kuchni, zapalając po drodze wszystkie lampy.

- Nic nie ma - zameldował teściowej.

- Dzwon na policję.

Skierował się z powrotem do salonu.

- Chwileczkę, Sandro. Powiedz mi, co dokładnie powiedziała Jo, kiedy ci zostawiała Irinę. - Rozsiadł się wygodnie na sofie. - A przy okazji: z dzieciakiem wszystko w porządku?

- Tak, żadnych problemów. Śpi teraz w moim łóżku.

- To fajnie. Więc Jo nie mówiła, że idzie na jakieś spotkanie?

- Bardzo się śpieszyła. Powiedziałam ci już, że obiecała wrócić w porze lunchu. - Sandra umilkła na chwilę. - To ty mówiłeś o jakiejś koleżance.

- Jakaś kobieta dzwoniła do niej w czasie śniadania.

- Jo nie powiedziała, jak się nazywa?

- Nie. - Wyteżył pamięć, na ile się dało w zamroczeniu piwem i whisky. - Nie, ale nie bardzo miała ochotę iść. Mówiła, że ma prasowanie, a ja na to, że powinna się trochę rozerwać. I proszę, jak mi się odplaciła!

- Musiała coś wspomnieć o tej kobiecie! - upierała się Sandra.

Usilnie próbował się skupić, żeby wreszcie ta jędra się odczepiła i mógł walnąć się spać.

- Biblioteka! Mówiła, że poznała tę babę w

bibliotece... Ona ciągle taszczy dzieciaka do biblioteki.

- Ale nazwisko?

- No kurna, ile mam powtarzać?! Gdybym wiedział, że zamierza olać naszą córkę i wystawić nas do wiatru na cały dzień i pół nocy...

- Tony, jej coś się mogło stać! - Sandra też już traciła cierpliwość.

- Na przykład co? Bo o wypadku na pewno by zawiadomili.

- Nie było cię w domu. Przynajmniej zadzwoń do szpitala.

- Którego? - Złagodniał nieco. - Sandro, kochanie, byłem w pracy, a ty w domu, więc gdyby coś złego się stało, na pewno ktoś by się zgłosił.

- Też tak sądzę... A co z Iriną?

- Nie wiem. Może lepiej jej nie budzić?

- Pewnie, że nie.

- A mogłabyś przetrzymać ją do rana? Tylko że mam trochę zaległości w robocie...

- A co z policją?

- Jeszcze się wstrzymam. Słuchaj, ona pewnie wróci lada chwila. Wtedy razem jej nawrzucamy i jeszcze się wszy-scy uśmiejemy.

- Naprawdę tak myślisz? - Wyraźnie chciała, żeby ją przekonał.

- Tak, oczywiście - odparł zdecydowanie.

- Jest coraz później...

- A my wisimy na telefonie. I nie mamy opcji „połączenie sygnalizowane”, więc lepiej się teraz rozłączmy.

- Tylko zadzwoń, jak będziesz coś wiedział.

Cokolwiek, bez względu na porę. I jeśli nie wróci, to z samego rana zawiadom policję, dobrze?

- Wróci, Sandro, wiem, że wróci.

- Mam nadzieję.

W swoim domu w Edmonton Sandra Finch odłożyła telefon i natychmiast poszła na górę zajrzeć do wnuczki.

Irina poruszyła się we śnie.

- Wszystko w porządku, koteczku. - Sandra przysiadła ostrożnie na brzegu łóżka i pogłaskała ciepły, mięciutki policzek. - Śpij, śpij.

- Mamusia jest? - spytał zaspany głosik.

- Jeszcze nie, ale niedługo przyjdzie. Śpij już.

Irina otworzyła szerzej oczy w kolorze ciemnych czereśni.

- Tatuś idzie?

- Nie, kochanie, tatuś dziś nie przyjdzie, ale przesyła ci całuska. Zostaniesz u mnie na noc, dobrze?

Dziewczynka nie odpowiedziała, bo zdążyła już znowu pograżyć się we śnie. Zanim jednak zamknęła na dobre oczy, jej buzię rozjaśnił śliczny uśmiech.

Sandra rzadko widywała u Iriny taki uśmiech.

Wołali nie dociekać, dlaczego mała tak rzadko uśmiecha się w ten sposób, ale była więcej niż szczęśliwa, mając ją u siebie.

Gdyby tylko wiedziała, gdzie się podziewa Joanne i czy nic jej nie zagraża, po prostu położyłaby się przy Irinie, głaskałaby jej ciemne włoski i cieszyłaby się tą nocą.

Ale nie wiedziała.

Trzeba obdzwonić szpitale. To powinno jej przynieść ulgę.

Niecałą godzinę później, ustalwszy, że nikogo o nazwisku Joanne nie przywieziono ani do pogotowia, ani do szpitali Whipps Cross i Waltham General, Sandra zasiadła w fotelu z filiżanką mocnej, dobrze osłodzonej herbaty, w nadziei, że jej to przyniesie ulgę.

Niestety, było tylko gorzej.

Miała mdłości i coraz bardziej się bała.

Potwornie się bała.

47

Temperatura Jacka wzrosła do 38,9 stopnia.

- Marnie, co? - zapytał Christopher, trzymając go lekko za rękę. - Gorączka to paskudztwo, ale także mechanizm obronny.

Jack wiedział, że człowiek ma dreszcze, gdy temperatura mu rośnie, a poci się przy jej opadaniu. Nauczył się tego od ojca, który uważał, że niepokój często jest skutkiem lęku przed nieznanym, co tylko pogarsza stan chorego.

Rzeczywiście czuł się parszywie.

- Wszystko w porządku - odpowiedział.

- Dzielny chłopak! - pochwalił go Christopher.

- Dobrze, że tu jesteś...

- I zawsze będę, gdy zajdzie potrzeba. W miarę możliwości.

- Wiem. Mama panikuje, jak jestem chory.

- Naprawdę?

- Stara się to ukryć, ale poznaję po oczach. - Jack wciągnął z lekkim świstem powietrze, przełknął ślinę i skrzywił się, bo zabolalo go gardło. - Lepiej to znosi, jak tu jesteś.

- To dobrze.

Jack przyglądał mu się przez chwilę.

- A z tobą wszystko okej?

- Ze mną? Oczywiście.

- Wiesz, to tylko paskudne przeziębienie. Doktor Kapur mi powiedziała, jak mama wyszła, a ona zawsze

jest szczerą. Mam dużo pić i tyle.

- Trochę ciężko oddycha - powiedział Christopher do Lizzie, gdy przygotowywała mu w kuchni kanapkę. - Jeśli nie poprawi mu się do rana, to pogadam z centrum.

W całym kraju istniały tylko trzy specjalistyczne ośrodki założone przez Kampanię na rzecz Dystrofii Mięśniowej. Zatrudniano tam wysokiej klasy ekspertów od schorzeń nerwowo-mięśniowych, a Wade'owie byli w tej szczęśliwej sytuacji, że mieli łatwe dojście do dwóch z nich - jednego w Radcliffe Infirmary w Oksfordzie, a drugiego w szpitalu Hammersmith.

- Może powinniśmy poprosić Hildę, żeby załatwiła mu miejsce?

Christopher zobaczył w jej oczach strach.

- Na razie nie ma potrzeby. - Spojrzał na kromkę gru-boziarnistego chleba z kilkoma plasterkami rostbefu, przełożonymi jego ulubionymi korniszonami. - Wygląda apetycznie!

- Z musztardą? - spytała Lizzie. - Jasne, że z musztardą.

Patrzył, jak smaruje kanapkę ostrą angielską musztardą, przykrywa z wierzchu drugą kromką, lekko przyciska, wreszcie przekrawa na dwa trójkąty i kładzie na talerzu.

- Dziękuję, Lizzie.

- Proszę bardzo.

Do kuchni przywłókł się Edward w workowatym T-shir-cie i szortach, stroju, który wolał od piżamy.

- Z Jackiem już dobrze? - spytał.

- W tej chwili nie za bardzo.

- Czemu nie śpisz? - zainteresowała się Lizzie. - I gdzie masz kapcie? Przeziębisz się jeszcze bardziej!

- Czuję się o niebo lepiej, mamó. - Edward usiadł

przy

stole. - Sophie też się już obudziła i chciała do niego iść, ale jej zabroniłem.

- Może i dobrze, ale drugi raz się nie zarazi.

- A ona dobrze się czuje? - zapytała Lizzie.

- Martwi się Jackiem - rzekł Edward z zatkanym nosem.

- Nie ma powodu do zmartwienia. Dla ciebie także.

- Właśnie widzę ten pełny luz - zauważył złośliwie.

- Trzymamy rękę na pulsie, i tyle - odrzekł Christopher.

- Z czystego rozsądku - dodała Lizzie.

- Powiedziałem Sophie, że to nie przez nią - ciągnął Edward. - To ciągle ten sam katar krąży w kółko po całym kraju i kto ma pecha, to go łapie.

- To niezupełnie prawda - powiedział Christopher.

- A czy to takie ważne? - Lizzie usiadła między ojcem a synem. - Dobrze wiecie, że wszyscy czujemy się trochę jak Sophie, kiedy zdarzy nam się przywlec do domu jakiegoś wirusa.

- Nic na to nie poradzimy, prawda? - zauważył Edward. Christopher zwichrzył mu włosy.

- Chcesz gryza?

- Nie, dziękuję, Lizzie wstała.

- Pójdę pogadać z Sophie, a potem zajrzę do Jacka.

- On pewnie śpi.

- Nie obudzę go.

- Wiem. - Christopher spojrział na wychodzącą żonę.

- Jeśli Sophie nie może zasnąć, to niech tu zejdzie.

Sophie najwyraźniej dała się uspokoić Edwardowi, bo spała, pochrapując lekko przez wciąż zatkaną nos. Lizzie pogłaskała ją po głowie, uśmiechając się na wspomnienie Edwardowej wizji „narodowego kataru”, który krąży po kraju, wybierając na chybił trafił swoje ofiary.

Zostawiła córkę i przeszła do pokoju Jacka, otwierając bardzo ostrożnie drzwi. Zatrzymała się w progu, bo czasem wystarczyło skrzypnięcie deski w podłodze, by go obudzić. Christopher miał rację, chłopiec spał. Stała przez kilka sekund, wsłuchana w jego oddech - nieco chrapliwy, ale nie gorszy niż Edwarda w poniedziałek rano.

To było zaledwie wczoraj, a wydawało się tak dawno...

Jack poruszył się, chrząknął kilka razy i znów leżał spokojnie.

Lizzie odczekała jeszcze chwilę - może się obudzi? - Boże, proszę... - szepnęła.

48

- Mike, tu Robin.

We wtorek, tuż po wpół do ósmej rano Allbeury na swoim tarasie pił kawę i jadł croissanta - bez masła, które uważał za zbędne.

- Co tam? - Novak też jeszcze był w domu, ale zdażył przywyknąć do telefonów od klienta numer jeden o tak wczesnej porze.

- Wszystko już gotowe dla Joanne i Iriny. Prosiłbym cię tylko, abyś uzyskała od niej ostateczne potwierdzenie, że jest gotowa, to postaramy się zająć w ciągu dnia pana Pat-stona.

- Masz na myśli jakiś konkretny dzień?

- Czwartek. Jeśli potrzebuje więcej czasu, to ewentualnie piątek, ale staraj się ją do tego zniechęcić. Z każdym kolejnym dniem rośnie

możliwość, że się komuś wygada.

- Albo w ogóle zrezygnuje.

- Jeśli nie jest zdecydowana, to chciałbym, żeby jeszcze raz wszystko przemyślała.

- Zadzwoń do niej, jak tylko Patston wyjdzie.

Zwykle po ósmej już go nie ma.

- Tylko uważaj, skąd dzwonicz.

- Wiem.

- Tak, oczywiście. - Allbeury odłożył telefon.

- Będzie wystraszona - powiedziała Clare.

- No tak.

Siedzieli w kuchence na stołkach przy blacie. Zwykle Gare z przyjemnością jadła śniadanie, ale tego ranka jakoś nie miała apetytu i tylko skubała bez przekonania kawałek tosta.

- Dobrze się czujesz? - spytał Novak.

- Znakomicie.

Dopił do końca kawę i wstał.

- Muszę lecieć. - Pocałował ją w kark.

- Mike, skąd możemy wiedzieć, czy Robin na pewno zaopiekuje się nimi na dłuższą metę?

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie - odparł, wstawiając filiżankę do zlewu - to pewnie nigdy się tego nie dowiemy. - Zauważył nagle jej posępny wzrok i dodał: - Nie ma idealnych odpowiedzi, kochanie.

- Nie ma.

Zaniepokoił go ten wyraźny smutek w jej oczach.

- Masz dola?

- Nie, tylko jestem trochę zmęczona.

- Za dużo roboty? - Novak często myślał, że żona za dużo na siebie bierze. Ma na głowie agencję i jeszcze pomaga Nickowi Parry'emu, poświęcając mu ostatnio więcej czasu niż zwykle, bo jeden ze stałych opiekunów wyjechał do Londynu. Clare zawsze angażowała się we wszystko całą sobą, nie potrafiła nic robić połowicznie.

- Nie, skąd. - Wychyliła się, żeby sprawdzić godzinę

na zegarze piekarnika. - Czas już na ciebie.

Zanim Novak znalazł na dworcu King's Cross automat telefoniczny, który nie tylko łykał monety, ale także łączył, było już wpół do dziewiątej.

Włożył funtową monetę i wystukał numer.

- Halo?

Szorstki, męski głos - prawdopodobnie Patstona - zbił Novaka z tropu.

- Przepraszam, kolego - rzekł szybko - musiałem wybrać zły numer.

- To uważaj, co robisz - odparł tamten i się rozłączył.

Novak odszedł kilka kroków dalej, wyciągnął komórkę

i zadzwonił do Allbeury'ego.

- Mam nadzieję, że to tylko opóźnienie. Może ma kaca.

- To przecież u niego normalka.

- Więc może po prostu zasnął. Albo złapał grype?

- „Może” jest szerokie i głębokie.

- Chyba nie powinienem dzwonić teraz po raz drugi.

Mam się tam przejść i rzucić okiem?

- Byle szybko. Nie chcę przeciągać sprawy dłużej, niż to konieczne.

49

Za pięć dziewiąta Phyllis Eder, rowerzystka, która regularnie przemierzała Epping Forest ze swoim

żywym, lecz łagodnym springer spanielem Dirkiem, uwiązany na długiej smyczy do roweru, odbywała właśnie swą miłą poranną przejażdżkę, rozkoszując się widokami i zapachami jesieni, kiedy pies nagle zboczył ze ścieżki i tak mocno szarpnął smycz, że Phyllis walnęła rowerem o drzewo i spadła.

- Dirk!

Przekonawszy się po kilku chwilach, że nic wielkiego się nie stało, podniosła się na chwiejnych nogach i zaczęła

otrząpywać dres z liści i ziemi. Nie spuszczała przy tym wzroku z psa, który nadal uwiązany do smyczy, szczeakał głośno i kopał, wymachując ogonem.

- Dirk! - zawołała go znowu. - Przestań! Do nogi!

W ogóle jej nie usłuchał, tylko nadal szczeakał, rozgrze-bując łapami coś, co wyglądało na mały, pokryty liśćmi kopczyk.

Phyllis podniosła rower i podeszła bliżej.

- Co tam masz, Dirk?

Spaniel przestał kopać i spojrzał na nią wyczekująco.

Phyllis Eder pochyliła się niżej i zamarła.

To nie żaden kopczyk.

Nie ma mowy o pomyłce.

Pod warstwą liści i gałązek leżały zwłoki kobiety.

50

- Jest znacznie lepiej.

Te słowa Lizzie usłyszała, kiedy kwadrans po dziewiątej -znacznie później, niż zamierzała -

przebudziła się z głębokiego snu, a wypowiedział je Christopher. Przez ułamek sekundy mignęła jej w głowie myśl, że nie zapukał, jak to ostatnio miał w zwyczaju, a jeśli nawet, to tego nie usłyszała.

Zresztą teraz to i tak nie ma znaczenia.

Wstała, włożyła szlafrok i spojrzała na całkowicie ubranego męża - w garniturze, pod krawatem.

- Nie ma temperatury?

- Tylko parę kresek.

- Może jeszcze podskoczyć.

- Albo opaść. - Uśmiechnął się. - Lizzie, on już wraca do zdrowia.

Od nagłej ulgi osłabła niemal jak po ciosie, tak że musiała usiąść na brzegu łóżka.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi, zareagowałem tak samo - powiedział łagodnie.

Lizzie spojrzała mu w oczy.

- Zawsze tak mamy, co?

- I zawsze będziemy mieli.

Bez względu na to, jak długo to „zawsze” potrwa, Lizzie wiedziała, że nie musi nic mówić. Ilekroć Jack wracał do

zdrowia po kolejnej chorobie, czuli, jak przygniatający ich ciężar unosi się na chwilę, by niemal natychmiast opaść w jakimś zabobonnym lęku, który zdawał się narastać przy każdym, choćby niewielkim kryzysie. Każde wyzdrowienie traktowali jak mały cud i byli za niego nieskończenie wdzięczni. Żadne z nich nie potrafiło opanować tego lęku, bo każde potknięcie zbliżało ich coraz bardziej do krawędzi.

- Wszyscy już są po śniadaniu - oznajmił Christopher.

- Jejku, dziękuję.

- Aż przyjemnie było popatrzeć. Edward i Sophie w pełni odzyskali apetyt, ale nawet Jack zjadł

naleśnika.

- Rety... naleśniki!

- Na specjalne życzenie Edwarda. Nie mogłem mu odmówić.

- Z syropem klonowym?

- A jakże!

Lizzie wstała, czując nagły głód.

- Pewnie nic nie zostało?

- Schowałem ci kilka.

W takich chwilach jak ta Lizzie zapominała o wszystkich troskach.

Prawie wszystkich.

51

Najpierw zjawili się mundurowi, potem ci z Wydziału Kryminalnego - akurat kiedy pogoda się zmieniła i zaczął padać deszcz; cały teren odgrodzono taśmą i wówczas dopiero zjechała ekipa z Głównego Wydziału Śledczego w They-don Bois. Jego szefowa, komisarz Ann McGraw uczestniczyła w oględzinach razem z inspektorem Jimem Keenanem, który przypuszczalnie będzie prowadził śledztwo.

- Paskudztwo - powiedziała McGraw, kiedy stali w specjalnym namiocie, czekając na lekarza sądowego Simona Collinsa, który powinien stwierdzić zgon i dokonać wstęp-

nych oględzin, ale się spóźnił, gdyż jechał wprost z badania ofiary wypadku samochodowego.

Keenan, starszy od McGraw o co najmniej dekadę, o szpakowatej czuprynie i szczupłej, porytej bruzdami

twarży, spojrział na martwą kobietę z koszmarnymi ranami klatki piersiowej, brzucha i nade wszystko szyi, z upiorną zarówno w kolorze, jak grymasie twarzą. Chociaż już ponad rok pracował pod kierunkiem Ann McGraw i wiedział, jak bardzo szefowa ceni zimną krew, tym razem bał się, że nie przezwycięży fali mdłości podchodzących mu do gardła.

- Zostawiam ją w pańskich rękach, Jim -
powiedziała McGraw.

- Dziękuję pani.

Wynurzyli się oboje z namiotu tak samo ostrożnie, jak do niego weszli, zdjęli papierowe kombinezony i ochraniacze z butów, spakowali je do zbadania. Keenan odczekał, aż szefowa zniknie mu z oczu, i przez parę minut krążył dookoła ogrodzonego terenu, próbując dojść do ładu z głową i żołądkiem. W krótkim czasie dołączy do nich Collins, potem czeka ich kostnica, a miejscem zbrodni i zdejmowaniem odcisków palców zajmie się ekipa techniczna. Teraz jednak Keenan potrzebował kilku haustów prawdziwie świeżego powietrza, a tymczasem dochodził go wyłącznie zapach rozkładu z warstw suchych liści pod nogami. Jim Keenan lubił las z jego odgłosami, mrokiem i zapachami; przypominał mu szkolne wycieczki na łono natury z czasów, kiedy jako chłopiec mieszkał tuż za obrzeżami Croydon.

- Panie inspektorze?

Za dobre, by miało trwać. Keenan obrócił się i zobaczył młodego, przemoczonego konstabla, który miał za zadanie kontrolować, kto wchodzi i wychodzi z ogrodzonego terenu. Stał przed nim z niepewną miną, przestępując z nogi na nogę.

- Przepraszam, panie inspektorze, ale przyjechał doktor Collins.

- Już idę.

Keenan błyskawicznie wrócił do rzeczywistości z całą jej brzydota.

Simon Collins, żwawy mimo pogody i okoliczności, powiedział Keenanowi nieco więcej, niż ten zdążył sam zobaczyć, a mianowicie: denatka otrzymała cztery ciosy; sądząc po dużej ilości krwi na ziemi oraz wyglądu ciała i ubrania, zamordowano ją tam, gdzie została znaleziona, zgon nastąpił zaś przed około dwudziestu czterema godzinami, co jednak wymaga potwierdzenia.

- Tu mamy łut szczęścia - dodał, podnosząc delikatnie zakrwawioną dłoń ofiary.

- Naskórek pod paznokciami?

- Odrobina.

Keenan wiedział, że na razie nie ma co spekulować. Materiał pod paznokciami mógł pochodzić od denatki, jeśli rozdrapała sobie ranę, ale być może da się coś ugrać.

Nie wstrzymuj oddechu, Jim.

Udał się na kolejną przechadzkę, tym razem z wyostrzonymi wszystkimi zmysłami, mając mimo wszystko nadzieję, że może wzrok mu padnie na jakiś idealny dowód - najlepiej porzucone w panice narzędzie zbrodni z kompletem odcisków palców. Nawet doświadczeni detektywi miewają marzenia.

- Co powiedziała policja?

Kiedy Sandra po raz pierwszy zatelefonowała do warsztatu, Tony spławił ją, mówiąc, że ma klienta, ale teraz nie miał innego wyjścia, jak tylko się przyznać.

- Jeszcze do nich nie dzwoniłem.

- Dlaczego? - Sandra była przerażona. - Tony, przecież ona nie wróciła na noc. Musisz zgłosić zaginięcie!

- Nie upłynęła jeszcze cała doba.

- Nic mnie to nie obchodzi! Moja córka zaginęła i jeśli nie zgłosisz tego policji, sama to zrobię.

- Oni najwyżej pomyślą, żeśmy się pokłócili.

- A tak było?

- Nie, oczywiście, że nie.

- To czemu nie chcesz zadzwonić?

- Przecież obdzwoniłaś już szpitale, więc wiemy, że...

- Dzwoniłam tylko do Waltham General i Whipps Cross.

- A ile jeszcze szpitali w naszej okolicy przyjmuje rannych z wypadku? Powiedz, to zaraz tam zadzwonię.

- Naprawdę, Tony, zupełnie cię nie rozumiem. Gdyby nic jej się nie stało, to zadzwoniłaby, żeby się dowiedzieć o dziecko, prawda? - Zięc jej nie odpowiedział. - Nawet gdybyście mieli jakąś awanturę, o której wolisz nie mówić...

- Nie mieliśmy żadnej pieprzonej awantury, okej?

- Nie, wcale nie okej.

- No więc dobrze. To po prostu straszne, że nie dzwonię na pieprzoną policję, bo moja żona wściekła się i wyszła z domu...

- Tony, mógłbyś przestać kłąć? - poprosiła bardzo spokojnie Sandra.

- Taak. Jasne, przepraszam. Po prostu się martwię.

- Ja też.

- Wiem.
- To zadzwonisz na policję czy ja mam to zrobić?
Tony wziął głęboki oddech.
- Dobrze, zadzwonię.
- Na pewno?
- Sandro, skoro powiedziałem, to zadzwonię.
- W ogóle nie rozumiem, jak ty możesz pracować! Co ty jeszcze robisz w tym warsztacie, czemu nie jesteś w domu, czemu jej nie szukasz?
- Bo Jo tego ode mnie oczekuje. Muszę pracować, bo mamy rachunki do zapłacenia, słyszałaś o tym?
- Ale teraz zadzwonisz?
- Sandro, naprawdę zaczynasz mnie wkurzać!
- Dobrze już, dobrze. - I odłożyła telefon.

53

- Nadal nic - powiedział Novak Allbeury'emu za pięć dwunasta, siedząc w clio kilkaset metrów od domu Patsto-nów.

Już czwarty raz telefonował tego dnia, a Allbeury dawno poinformował swoje kontakty, że akcja się opóźni, bo są trudności ze sprowadzeniem Joanne i Iriny.

- Nikogo nie ma w domu - meldował Novak. - Ani śladu fiesty Joanne, wszystkie okna pozamykane, nie widać, żeby ktoś wchodził czy wychodził ani od frontu, ani od kuchni.

- Irina ciągle jest u babci?

- Tak, w Edmonton. Kiedy ostatni raz zaglądałem, Pat-ston dhubał w warsztacie przy starym fordzie

sierra. Robin, mam nadzieję, że przesadzam, ale nie podoba mi się to, co teraz czuję.

- Możesz się tam jeszcze pokręcić?

- Oczywiście.

Allbeury odłożył telefon i wyciągnął się w fotelu, wracając myślą do innej sprawy, która ostatnio nie dawała mu spokoju: do Lizzie Piper Wade.

Pięć lat wcześniej Adam Lerman, syn jego wspólnika, student ze smykałką do technik komputerowych i pasjonat Internetu, zainstalował mu w domu najnowocześniejszy komputer. Niestety, od tego czasu Lerman junior zdążył się przenieść do Los Angeles i chociaż był zobligowany do odpowiadania przez całą dobę na e-maile w sprawie aktualizacji oprogramowania i jakichkolwiek trudności, nie był to tak wygodny układ jak wtedy, gdy Allbeury mógł w każdej chwili wezwać go na miejsce.

Niemniej jednak sam Allbeury w ciągu całego tego czasu zyskał sporą wiedzę na temat pecetów, Internetu i wykorzystywania ich w pełni do swoich celów. Wprawdzie starał się oszczędzać swój czas i zbieranie materiałów zlecał zwykle agencji Novaka, ale teraz Mike miał co innego na głowie, a poza tym z tą akurat sprawą Allbeury wolał zmierzyć się osobiście.

54

W Patston Motors Tony pracował z głową (w której nadal go łupało mimo drugiej dawki paracetamolu,

popitej piwem w przerwie na lunch dziesięć minut wcześniej) pod maską ciągle tej samej sierry, kiedy pod warsztat podjechało niebieskie mondeo i wysiadło z niego dwóch mężczyzn.

Od razu odgadł, że są z policji. - Pan Patston? - spytał starszy z nich, szukając czegoś w kieszeni. - Tak.

Mężczyzna pokazał mu legitymację.

- Jestem inspektor Keenan, a to sierżant Reed.

Jesteśmy z Głównego Wydziału Śledczego z siedzibą w Theydon Bois.

Słowo „główny” wywołało u Tony'ego dziwny skurcz w żołądku.

- Czy chodzi o moją żonę? - Wytarł nerwowo ręce w kombinezon, popatrując to na jednego, to na drugiego z przybyłych. - Nie ma jej dopiero od wczoraj, więc chciałem...

- Wejdźmy lepiej do środka, panie Patston - przerwał mu łagodnie Keenan.

- A nie możemy porozmawiać tutaj?

- Lepiej będzie, jeśli wysłucha pan nas na siedząco

- rzekł Terry Reed, krępy, mocno zbudowany mężczyzna o ostrych jak u ptaka rysach.

- O Boże. - Tony zaczął się pocić. - Co...?

- Niestety, mamy dla pana złą wiadomość - powiedział ostrożnie Keenan.

- C-co się stało? - Tony poczuł, że nogi pod nim drżą.

- Proszę pana... Naprawdę wejdźmy do środka - przekonywał go sierżant Reed.

- Nie, powiedzcie mi tutaj! Na miłość boską, co się stało Jo?

- Dziś rano - zaczął Keenan - tuż przed dziewiątą w Epping Forest znaleziono zwłoki kobiety.

Przypuszczamy, że jest to pańska żona.

- Epping Forest? - Głos Tony'ego wzniósł się niemal do pisku z niedowierzania. - A co ona miałaby tam

robić? - Kręcił głową, uśmiechając się do obu mężczyzn. - Mylicie się, to nie może być Joanne.

- Tak się nieszczęśliwie składa, panie Patston, że raczej się nie mylimy - rzekł Keenan.

- Musi pan z nami pojechać. - Reed zrobił krok w stronę parterowego budynku, gdzie mieścił się kantorek. - Żeby dokonać identyfikacji.

Tony nie ruszył się z miejsca.

- Skoro jestem wam potrzebny, to znaczy, że nie macie pewności. - Wlepił wzrok w Keenana. - Co to? Jej torebka! O Boże.

- Przykro mi to mówić, ale znaleźliśmy ją przy zwłokach.

- Och...

- Będzie pan musiał pozamykać tu wszystko - zauważył Reed. - Chyba że ktoś mógłby pana zastąpić.

Tony oparł się o sierrę, drżąc na całym ciele.

- A co z moją córeczką? Jest teraz z babcią... - Oczy mu się zaszklily. - Z mamą Jo...

- Panie Patston, naprawdę bardzo mi przykro. - Na twarzy Keenana odmalowało się prawdziwe współczucie. - Ale w tej sytuacji po prostu musi pan jechać z nami. - Boże, Boże... - powtarzał w kółko Tony.

Mike Novak, który znów przejeżdżał wolniutko obok Patston Motors, zauważył Tony'ego, jak ten wsiada do ciemnoniebieskiego mondeo z dwoma mężczyznami - niemal na pewno z Wydziału Kryminalnego.

Podjechał do krawężnika i wyciągnął dla niepoznaki informator miejski. Kiedy samochód ruszył, Novak przepuścił dwa wozy, po czym włączył się także do ruchu.

55

O wpół do drugiej Mike Novak raz jeszcze zadzwonił do Allbeury'ego.

- Zła wiadomość, Robinie. Najgorsza, jak się wydaje.

- Mów.

- Policja zgarnęła Patstona i zabrała go do Wahham Forest.

- To szpital?

- Kostnica. Weszli kilka minut temu, czekam na zewnątrz.

Allbeury milczał.

- Rozumiem, że mam nie wchodzić?

- Absolutnie. Ale trzymaj się w pobliżu.

- Dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

- Dobrze, tylko uważaj, Mike. Naprawdę nie chcę, żeby policja wiedziała o moim zaangażowaniu.

- To się rozumie samo przez się.

W kostnicy Jim Keenan czekał cierpliwie, podczas gdy Tony Patston, praktycznie rzecz biorąc, w stanie głębokiego szoku siedział z głową między kolanami. Ręce świeżego wdowca drżały, a kiedy podniósł wreszcie wzrok, miał wilgotne, szkliste oczy i kredowobiałą twarz.

- Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę... - powtarzał.

- Bardzo mi przykro - rzekł Keenan.

- Czy wiecie...?

Keenan czekał, aż Patston odzyska panowanie nad sobą.

- Czy wiecie, kto jej to zrobił? - wykrztusił wreszcie Tony.

- Jeszcze nie. Ale się dowiemy.

Pojawił się sierżant Reed z filiżanką herbaty, ale Tony potrząsnął tylko głową.

- To może pan? - Reed podsunął filiżankę Keenanowi, ale ten ją zignorował

- Panie Patston - rzekł - niestety, musimy zadać panu kilka pytań, więc jeśli pan pozwoli...

- W porządku. Ale może u mnie w domu? Chcę zobaczyć córkę.

- Oczywiście, że ją pan zobaczy. Podaliśmy już policjanta do pańskiej teściowej. Chyba najlepiej będzie, jeśli pan z Iriną zatrzyma się tam na jakiś czas.

- Nie chcę.

- Będziemy musieli przeszukać pański dom... takie są procedury. Więc naprawdę łatwiej będzie dla wszystkich, a zwłaszcza dla dziecka, jeśli nie będziecie przy tym obecni.

- Słusznie. - Tony wciąż nie mógł się otrząsnąć z oszołomienia. - Ale po co chcecie przeszukiwać dom?

- Tak jak mówiłem. Rutynowo.

- Słusznie - powtórzył Tony i wstał. Był otępiały, ale wciąż jeszcze za mało.

Joanne. Jego żona... a jednocześnie już wcale nie żona.

W tej chwili najbardziej zdumiewał go fakt, że to, co przed chwilą powiedział policjantom, było prawdą: pragnął wręcz desperacko zobaczyć Irinę, poczuć ją w swych ramionach.

Jo by się ucieszyła.

Znów miał pod powiekami łzy.

Novak obserwował wychodzących z kostnicy. Na widok szarej twarzy Patstona zwalczył impuls, by znów zadzwonić do Allbeury'ego, i ruaszyl w bezpiecznej odległości za policyjnym wozem do Edmonton. Przed segmentem stał już drugi, oznakowany samochód. Zaparkował na tyle blisko, by widzieć wchodzących i wychodzących. Drzwi otworzyła policjantka i dwóch funkcjonariuszy w cywilu - być może z AMIT albo, jeśli Joanne przydarzyło się coś poza Waltham Forest, z Głównego Wydziału Śledczego z Theydon Bois lub Harlow. Nie zobaczył ani matki Joannę, ani córeczki. Musiały jednak być wewnątrz domu, czuł to. Niemal czuł też ich rozpacz.

~*~

- O Boże - westchnął Tony Patston, wchodząc do salonu, gdzie na sofie siedziała jego teściowa z Iriną.
- Och, Sandro, to takie...
Umilkł nagle, bo pokazała palcem na usta, uciszając go. Irina o niczym nie wie.
Jakoś udało mu się pozbierać i wyciągnąć rękę.
- Cześć, kochanie - zwrócił się do dziecka.
Irina się nie poruszyła.
Tony podszedł bliżej i ukląkł na dywan. Ujął rączkę dziecka i z całej siły starał się nie rozplakać.
- Już dobrze, malutka. Już wszystko dobrze. Tatuś jest przy tobie.
- Gdzie mamusia? - spytała Irina Sandrę.
- Wszystko w porządku - powtarzał Tony. - Tatuś tu jest. Zza jego pleców stojący w progu Jim Keenan spojrzał na Karen Dean, smukłą, ciemnowłosą dziewczynę, która siedziała przy Sandrze na sofie, odkąd przekazała jej złą wiadomość. Nie umknął jego

uwagi dziwny brak reakcji dziecka na słowa ojca.
Dobrze, że Dean tu jest, ona ma świetny kontakt z takimi maluchami.
Jim zdecydowanie lepiej radził sobie z babciami.

56

O wpół do czwartej w Marlow Christopher odebrał telefon od Jane Meredith: wieczorem przywożą do Beauchamp jakiś pilny przypadek.

- No nie wiem - zaczął, ale widząc, że Lizzie daje mu znaki, urwał. - Poczekaj chwilę, Jane, dobrze? Żona coś do mnie mówi.

- Tylko tyle, żebyś jechał, skoro jesteś potrzebny - powiedziała Lizzie. - Jack ma się już znacznie lepiej.

- Byłbym spokojniejszy, gdyby temperatura mu bardziej spadła.

- Gdyby Jack usłyszał, że splawiasz pacjenta, zrobiłby awanturę.

Christopher się uśmiechnął i znów przyłożył telefon do ucha.

- Już jadę, Jane.

Następny telefon, już po wyjeździe Christophera, był od Susan Blake.

- Możemy pogadać służbowo? - spytała, kiedy już omówiły sprawy rodziny, a zwłaszcza infekcji Jacka.

- Bo naprawdę musimy omówić kampanię dla „Czystej rozkoszy”.

- O cholera, to już?

- Zdecydowanie chcemy, żebyś wybrała się znów w trasę. Subskrypcje wyglądają wspaniale i teraz jest świetny moment, żeby zaostrzyć apetyty amatorom podróży kulinarnych.

- Kiedy będę potrzebna?

- W przyszły czwartek. Proszę, zgódź się!

Lizzie najpierw wpadła w panikę, ale po namyśle wyraziła zgodę.

- Oczywiście ze zwykłymi zastrzeżeniami.

- Wiem. Dzieci pierwsze, książki ostatnie.

- Nie ujęłabym tego w ten sposób.

- Ależ tak. Więc warunki te same, a start, powiedzmy, w Oksfordzie.

- Znakomicie.

57

Novak właśnie skończył rozmawiać z Allbeurym przez komórkę i wybrał #1, specjalny kod do Clare, żeby dać jej znać, co się dzieje, gdy nagle drzwi domu Patstonów się otworzyły i wyszedł z nich młodszy z dwóch cywilów, którzy wcześniej towarzyszyli Tony'emu. Szybkim krokiem zmierzał w stronę clio.

- Mike? - rozległ się głos Clare.

- Zadzwoń później - odparł Novak i wsunął telefon do uchwytu.

Policjant zastukał w szybę i gestem polecił ją opuścić. Widząc wahanie kierowcy, wyjął legitymację i przyłożył ją do okna.

Novak opuścił szybę. Policjant o bystrej, zdecydowanej twarzy pochylił się i przyjrzał Novakowi badawczo.

- Detektyw sierżant Reed. Wolno wiedzieć, kim pan jest i co tu robi?

- Zatrzymałem się, żeby zatelefonować. Nazywam się Michael Novak.

- Jakaś długa ta rozmowa - zauważył Reed.

Novak nic nie odpowiedział, myśląc głównie o tym, że Allbeury nie będzie zachwycony. Utrata koncentracji. Cholerny idiota, skłął się w duchu.

- Zechce pan wysiąść?

- Po co? - spytał Novak, absolutnie nienapastliwie.

- Mieliliśmy meldunek, że mężczyzna odpowiadający pańskiemu rysopisowi w samochodzie odpowiadającym z opisu temu tutaj kręci się po tej okolicy.

Novak zastanawiał się przez chwilę, czy ma poprosić o pozwolenie na telefon do Clare, czy raczej woli jej nie martwić swoją ewentualną „pomocą” policji.

To drugie.

Wysiadł z auta.

- Może zabierze pan telefon.

- Jak pan sobie życzy. - Novak wyjął komórkę z uchwytu.

- Kluczyki także.

- Dlaczego?

- Bo chcielibyśmy zamienić z panem słówko na posterunku, jeśli nie zgłasza pan sprzeciwu, więc na pewno zechce pan zamknąć przedtem samochód.

Novak spojrział w jego okrągłe, przenikliwe oczy.

- Nie zgłaszam sprzeciwu, ale chętnie poznałbym powód.

- A morderstwo panu wystarczy? - spytał detektyw sierżant Reed.

Tony'emu i Sandrze wreszcie udało się ułożyć Irinę do snu. Dziecko nie chciało zjeść podwieczorku, wytracone z równowagi ciągłą nieobecnością matki, obcymi ludźmi kręcącymi się po domu babci, a przede wszystkim atmosferą smutku i rozpacz.

- Tatusiu? - Irina po raz pierwszy od czasu powrotu Tony'ego zwróciła się do niego bezpośrednio. - Dlaczego nie ma mamusi?

Sandra rzuciła mu szybkie spojrzenie i zorientowała się, że zięć ledwie wstrzymuje łzy. Połykając swoje własne, postanowiła przyjść mu z pomocą.

- Mamusia nie może przyjść, kochanie - tłumaczyła łagodnie małej - ale chciałaby, żebyś teraz grzecznie zasnęła i żeby ci się przyśniło coś miłego.

- A co?

- Może świnka Wibly? - Sandra przypomniała sobie postać z ulubionej książeczki wnuczki.

Dziewczynka zachichotała cichutko.

- Rina lubi Wibly.

Świadomość, że to prawdopodobnie ostatnie przyjemne chwile w życiu Iriny na długi czas, niemal załamała dorosłych.

- Kocham cię, malutka - wykrztusiła Sandra, całując ją czule.

- Tatuś też cię kocha - wyszeptał z trudem Tony.

Policjanci w salonie zdawali się zdecydowanie za bardzo zadomowieni jak na gust Tony'ego.

- Konstabl Dean parzy w kuchni herbatę - powiedział przepaszająco Keenan. - Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, pani Finch?

- Nie. - Sandra opadła ciężko na fotel.

- Mówiła pani, że nie potrzebuje lekarza, ale...

- Nie, nie. Żadnych lekarzy, czuję się dobrze.

- Z całym szacunkiem - zaprotestował delikatnie Keenan - ale się z tym nie zgodzę.

- Nic mi nie jest.

- Ja też myślę, że ktoś cię powinien obejrzeć - wtrącił Tony. Jeszcze nigdy nie wydała mu się taka stara. - Może dadzą ci coś na sen.

Wiedział, że on sam w tej chwili potrzebował najbardziej cholernie mocnego drinka, może nawet całej kolejki drinków, która pomogłaby usunąć mu sprzed oczu widok z kostnicy.

Nie myśl o tym.

Karen Dean w granatowym kostiumie i białej bluzce, z ciemnymi włosami splecionymi w warkocz, zajrzała do pokoju, żeby zapytać, czy ma przynieść herbatę.

Keenan podziękował, następnie z jej pomocą namówił Sandrę

Finch do przejścia do kuchni. Chciał zostać sam na sam z Patstonem.

- No dobra, panie Patston, może teraz wrócimy do pytań, żeby mieć to już z głowy?

- Oczywiście, chętnie panu pomogę.

- Dziękuję. - Keenan zerknął na ustawioną na stole tacę. - Ale proszę nie zapominać o herbacie. Na pewno się panu przyda.

- Niczego mi nie trzeba. - Tony za nic nie poprosiłby o drinka.

- Dobrze, ale jeśli zmieni pan zdanie...

- Jeśli zmienię, to sobie sam naleję - nie wytrzymał Tony.

- Jasne.

W trakcie zadawanych pytań, mimo współczującego tonu, stało się oczywiste, że Jim Keenan chce się dowiedzieć jak najwięcej na temat ostatniej rozmowy małżonków. Wyraźnie go zdziwiło, że Tony nie przypomina sobie nazwiska koleżanki, z którą miała się spotkać jego żona.

- Nie wymieniła go nawet - tłumaczył jeszcze raz Tony.

- Powiedziała tylko, że to znajoma z biblioteki i że

zaprosiła ją na kawę.

- A nigdy przedtem o niej nie wspominała?

- Nie. - Tony wzruszył ramionami. - Ja nie jestem takim mężem, który musi wiedzieć o każdej pierdółce.

- Pierdółce... - powtórzył jak echo Keenan.

- To znaczy, nie tak chciałem...

- A jak?

- Nijak. Nie, to na nic. Nie dam rady, za dużo tego...

- W porządku, panie Patston - wycofał się Keenan.

- Jeszcze dosłownie parę pytań i dam panu spokój.

Nadal nie chce pan herbaty?

- Nie mogę na nią patrzeć. Ale... czegoś mocniejszego nie odmówiłbym. To chyba dozwolone?

- Czemu nie? - Keenan wykrzywił twarz w uśmiechu.

- To nie pan jest na służbie.

- A szkoda.

W barku Sandry nie było whisky, ale znalazła się butelka brandy. Pierwszy pałacy łyk, który Tony pociągnął umyślnie bardzo szybko, wycisnął mu z oczu łzy. Otarł je zaraz, dopił zawartość kieliszka, od razu nalał następny i usiadł.

- Do której biblioteki chodziła pańska żona? - spytał Keenan.

- Nie wiem. Chyba gdzieś blisko. - Tony spojrzał w stronę kuchni. - Jej mama będzie wiedziała.

Inspektor zastanawiał się przez chwilę.

- Czy był pan w domu, kiedy pańska żona wychodziła?

- Nie, śpieszyłem się do pracy.

- A jak się zachowywała, kiedy ją pan zostawił?

- Normalnie. Nic jej nie było.

- Pańska teściowa mówiła konstabl Dean, że musiał ją pan namawiać do tego spotkania.

- Taa. Powiedziałem, że dobrze jej to robi.

- Dlaczego pan tak powiedział? Czy coś jej dolegało?

- Nie, nic, już panu mówiłem.

- Ale takie słowa „dobrze ci to robi” sugerują, że

miała... ja wiem? Kiepski humor?

Tony pokręcił głową, potem wzruszył ramionami.

- Napięcie przedmiesiączkowe. Przypominam sobie, że coś takiego powiedziała na moją uwagę o muchach w nosie.

- Źle znosiła te dni?

- Niespecjalnie.

- Moja żona to miewa - wyznał inspektor, przewracając oczami. - Kocham ją, ale czasem daje mi do wiwatu.

- Joanne taka nie była.

- Więc nie wyglądała na zmartwioną ani przygnębioną, kiedy wychodził pan do pracy tamtego ranka?

- Nie, już panu mówiłem.

- Ale wspomniał pan o tym napięciu...

- To ona wspomniała.

- Po cóż miałyby mówić, skoro nie była to prawda?

- Nie wiem - odparł z rozpaczą Tony. - Może tak sobie, skąd mam wiedzieć? Nie wyglądała na zdenerwowaną, narzekała tylko, że nie może wyjść, bo ma prasowanie. Więc powiedziałem, żeby poszła, bo jej to dobrze zrobi. I koniec.

- Niestety, jeszcze nie. - Keenan widział, że Patston walczy ze łzami. Kilka spływało mu już po policzkach, jedna trafiła do kącika ust. - Więc nie pokłóciliście się?

- Co? Nie, oczywiście, że nie!

- Dlaczego „oczywiście”? Ludzie kłócą się czasem.

- My nie, w każdym razie nie tamtego ranka.

- Ale kiedy indziej tak?

- Oczywiście, każdemu się zdarza. Sam pan powiedział.

- Ale tamtego ranka nie? Nie padły żadne ostre słowa? - Keenan nie czekał na odpowiedź. - Nie wie pan o niczym (to może nie mieć nic wspólnego z panem), co doprowadziło ją do wyjścia z domu bez

zamiaru powrotu?

- Przecież nic takiego się nie stało - zauważył z goryczą Tony. - Nie?

- To oczywiście. W końcu znaleźliście ją... - Tym razem nie próbował hamować łez. Postawił szklanke na podłodze, zakrył twarz rękami i rozszlochał się na dobre. - O Boże, Boże... Jo...

- W porządku - rzekł Keenan.

- Co „w porządku”? Nic nie jest w porządku! - Tony odsłonił zaczerwienione policzki. - W ogóle nie rozumiem, dlaczego siedzi pan tutaj i zadaje mi te głupie pytania zamiast ścigać skurwiela, który jej to zrobił!

- Mnóstwo ludzi już się tym zajmuje - rzekł uspokajająco Keenan. - I każdy z nich stara się jak może, panie Pat-ston. Naprawdę bardzo mi przykro i rozumiem, że te pytania mogą się panu wydawać w tej chwili głupie, a nawet okrutne.

Tony pokiwał głową. Przez chwilę nie był w stanie przemówić.

- Ale - ciągnął inspektor - stanowią one istotną część naszego śledztwa. Nawet najdrobniejszy szczegół może okazać się nadzwyczaj ważny. Musimy wiedzieć, jak czuła się Joanne, kiedy widział ją pan ostatni raz, w jakim była humorze i tak dalej, gdyż te rzeczy mogły mieć wpływ na to, dokąd poszła, z kim się spotkała, co zrobiła. Powiedzmy, że bolała ją głowa, więc jeśli nie miała w domu tabletek, mogła pójść do apteki. A jeśli była w ponurym nastroju, to może wpadła do fryzjera albo postanowiła kupić sobie nową sukienkę?

- Poszła spotkać się z koleżanką - powtórzył zmęczonym głosem Tony. - Tą, która do niej dzwoniła. - Westchnął głęboko i dolał sobie brandy.

Drzwi się otworzyły i zajrzała Karen Dean.

- Przepraszam, inspektorze. Jest telefon do pana. Keenan wstał.

- Wybacz pan?

Tony pokiwał głową i w milczeniu rozciągnął na fotelu, zamykając oczy.

Inspektor wyszedł do holu.

- Samochód pani Patston znaleziono na parkingu w Hall Lane - poinformowała go cicho Dean. - To jest parking dla klientów obok supermarketu Sainsbury'ego w Chingford.

- Blisko biblioteki?

- Praktycznie naprzeciwko. Na pierwszy rzut oka nie zauważyliśmy nic szczególnego. - I po chwili dodała:

- Badanie odcisków palców na narzędziu zbrodni też nic nie dało.

Keenan pokiwał głową i już miał wrócić do salonu, ale się zatrzymał.

- Karen, chciałbym, żebyś pełniła rolę łącznika rodzinnego w tym przypadku, dobrze?

- Ale niech mnie pan nie odsuwa od samego śledztwa, jeśli to możliwe.

Keenan znów skinął głową.

- Zostawimy mundurowego przy domu Patstona, kiedy będziesz w terenie, ale chcę mieć w tobie łącznika.

W lekko skośnych bystrych oczach dziewczyny błysnęło rozczarowanie, ale także lęk, co u Keenana wzbudziło szczere współczucie.

- Oczywiście - odpowiedziała.

58

Dziesięć po piątej Clare zadzwoniła do Allbeury'ego,

żeby sprawdzić, czy prawnik wie, gdzie jest Novak.
- Oderwał się do mnie jakiś czas temu, ale nagle powiedział, że musi kończyć i zadzwoni później. Nie zrobił tego jednak, co jest do niego zupełnie niepodobne, a teraz ma wyłączony telefon, chociaż zwykle w takich wypadkach tylko go wycisza.
- Niestety, nie potrafię ci pomóc, Clare - odparł Allbeury. - Sam czekam na telefon od niego.
- Wiec jeśli do ciebie zadzwoni najpierw, to mu przy-
- Oczywiście.

- Morderstwo, powiada pan - rzekł Mike Novak do sierżanta Reeda, gdy ten wrócił do pokoju przesłuchań w siedzibie Głównego Wydziału Śledczego w Theydon Bois z dwoma plastikowymi kubkami kawy. - Kogo zamordowano?

- Co pan robił na tej ulicy? - Reed postawił kawę przed Novakiem i zdjął wieczko z własnej. - Miała być czarna bez cukru, tak?

Novak zrozumiał, że się nie wykręci. Byle nie za dużo.

- Czy to Joanne Patston? - spytał.

- Zna pan panią Patston?

- Widziałem się z nią raz. Krótko.

- Dlaczego siedział pan pod domem jej matki?

- Czy Joannę Patston została zamordowana?

Sierżant Reed przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Tak - przyznał wreszcie.

- Rany! - Stała mu przed oczami nerwowa kobieta, wieszająca koszule męża na sznurku, i jej córeczka z czerwoną piłką. - Dobry Boże...

Czy to jej mąż? Miał na końcu języka to pytanie, chciał je zadać, żeby nie tracić czasu, ale Allbeury wolał się nie zdradzać przed policją ze swą działalnością, jeśli nie jest to absolutnie potrzebne.

- Muszę zadzwonić - rzekł. - Do mojego klienta.
- Klienta? - zainteresował się policjant.
- Jestem prywatnym detektywem - wyjaśnił Novak i dodał po chwili: - Wykonywałem zlecenie.
- Kto jest pańskim klientem?

Novak nie cierpiał utarczek słownych z policją, ale nie miał wyboru.

- Chyba nie jestem aresztowany, co?
- A powinien pan być?
- Nie. Dlatego byłbym wdzięczny za parę minut przerwy, abym mógł zatelefonować.
- Proszę bardzo.

Novak wyjął i włączył swój telefon.

- Ale na osobności - zwrócił się do Reeda.
- Niech pan nie przeciąga struny - odparł tamten, ale wstał.

Novak zaczekał, aż znajdzie się sam w pokoju, zobaczył, że miał kilka nieodebranych połączeń, zignorował je i natychmiast wybrał numer Allbeury'ego.

Prawnik od razu odebrał.

- Co się dzieje, Mike?

Novak przekazał mu wiadomość.

- Zamordowana?! Boże Wszechmogący...
- No wiem. - Novak czekał na jakieś wskazówki. - Chodzi o to, że...

- Co im powiedziałaś?

- Nic. Że prowadzę dochodzenie i muszę zatelefonować do klienta. - W słuchawce zapadła cisza. - Nie miałem wyboru, Robin, bardzo mi przykro.

- Tym się teraz nie przejmuj. - Allbeury już się przedstawiał. - Mike, nie ściągaj sobie na głowę kłopotów z mojego powodu. Powiedz prawdę. - Zastanawiał się przez chwilę nad doborem słów. - A mianowicie, że pani Patston była nieszczęśliwa w małżeństwie i poprosiła mnie o pomoc, dlatego kazałem ci

prowadzić obserwację. Jak zwykle: jestem specjalistą od rozwodów, ale to poza protokołem.

- A jeśli zechcą więcej?

- Nie musisz mówić nic więcej. Jeśli zechcą, mogą zwrócić się do mnie, a ja natychmiast się z nimi skontaktuję.

Drzwi się otworzyły i wszedł Reed.

- Właśnie wrócił sierżant Reed - oznajmił Novak.

- Spokojnie, Mike - rzekł Allbeury. - I dowiedz się, czego możesz.

- Dobrze. Robin, czy mógłbyś zawiadomić Clare, że tu jestem?

Skończył rozmowę, wyłączył telefon i powtórzył siedzącemu naprzeciwko Reedowi wszystko, o co prosił go Allbeury.

- Więc to panią Patston pan śledził?

- Nie tyle śledziłem, ile jej szukałem. Najpierw w domu, potem u matki.

- Czy ona chciała rozwodu?

- Nie znam szczegółów.

- Ale pański klient jest adwokatem od rozwodów?

- Tak, ale przyjmuje też inne sprawy, jak sądzę.

- Sądzi pan. - Reed milczał przez chwilę. - Przedtem pan mówił, że pani Patston prosiła o pomoc.

- Tak mi powiedział pan Allbeury.

- A kiedy pan się z nią spotkał?

- Poszedłem tam tylko po to, żeby ją umówić.

- Czemu nie przez telefon? Novak wzruszył ramionami.

- Przejeżdżałem w pobliżu, wydało mi się, że tak będzie prościej. I przyjemniej.

- Widział pan samą panią Patston czy także jej męża?

- Tylko ją. No i córeczkę. Biedactwo...

- Tak - zgodził się Reed. - Więc nie wie pan, czemu ta pani była nieszczęśliwa? Użył pan tego słowa, czyż

nie?

Novak już miał potwierdzić swoją ignorancję, ale nagle przypomniał sobie tę scenę. Jak miło, jak bezbrinnie wyglądała Joanne, kiedy tak wieszała koszule! Potem przybiegła do niej córeczka i przytuliła się mocno do swojej mamy... tej mamy, która odeszła na zawsze. Policja tak czy inaczej dowie się o sprawkach Tony'ego Patstona, a jeśli on, Mike, nie wskaże im chociaż właściwego tropu...

- Wiem tylko tyle, że w grę wchodziła możliwość przemocy w rodzinie... ale bez żadnych dowodów.

- Przeciwno pani Patston? - W ptasich oczach sierżanta pojawił się błysk.

- Nie, przeciwno dziecku.

Novak spał się w sobie, obawiając się następnych pytań ze względu na Clare, no i na Maureen Donnelly jako źródło informacji. Nie uśmiechała mu się myśl o ściągnięciu kłopotów na głowę pielęgniarki o dobrym sercu tylko dlatego, że nie trzymał gęby na kłódkę.

Nie wspominając o Robinie. W końcu nie po raz pierwszy mordują mu klientkę, prawda? I Novak nie wiedział, co (jeśli w ogóle) ma z tym wszystkim zrobić. Teraz marzył tylko o tym, żeby zakończyć tę rozmowę i uciekać stąd najszybciej, jak się da.

- A komu się przypisuje stosowanie przemocy wobec Iriny Patston? - spytał Reed.

- Jej ojcu. Mężowi Joanne. Dlatego kręciłem się w pobliżu. Chciałem mieć oko na sytuację.

- Wchodził pan do domu Patstonów?

- Nigdy.

- Jak długo prowadził pan inwigilację?

- To nie była tak naprawdę inwigilacja.

- Więc jak by pan to nazwał?

- Może pilnowaniem?

- Jak długo?

- Od wczoraj rano.

- Dlaczego akurat od wczoraj?
 - Bo mój klient chciał się skontaktować z panią Patston, a wyglądało, że nie ma jej w domu. Po prostu się o nią martwił.
 - O dziecko też?
 - Tak.
 - Czy zgłaszał pan komuś tę domniemaną przemoc?
 - Jeszcze nie.
 - A pański klient... - Reed zerknął do notatek - pan Allbeury, składał jakiś meldunek?
 - Nie wiem. To mogło być jakieś nieporozumienie.
 - Ale teraz na to nie wygląda, co?
- Novak nie odpowiedział; znów stanęła mu przed oczami Joanne Patston.
- Kto zwrócił uwagę pańskiego klienta na tę domniemaną przemoc?
 - Nie wiem - skłamał z pełną premedytacją Novak, świadom, że robi to po raz pierwszy.
 - Na pewno?
 - Tak. Bardzo mi przykro.

przypadek nr 6/220770
PIPER-WADE E.
analiza/ocena X
zawieszono
akcja
rozwiązano

59

- Jak się pani czuje?

Jim Keenan, wywołany z salonu przez Karen Dean, żeby wysłuchać raportu od sierżanta Reeda, zobaczył po powrocie, że Patston wyszedł do ogródka. Uznawszy to za odpowiedni moment na przerwę w przesłuchaniu, powędrował do kuchni, gdzie przy stole siedziała Sandra Finch.

W świetle padającym z okien ogródek był nawet w mroku doskonale widoczny, więc gdyby Patston próbował dać nogę przez płot, zostałby natychmiast zauważony, jeśli nie przez Keenana, to przez Dean.

- Wiem, że to głupie pytanie, pani Finch - sumitował się szczerze inspektor - ale nie sądzę, aby ktoś z nas kiedykolwiek nauczył się, co trzeba mówić w takiej chwili.

- To nie może być łatwe - przyznała uprzejmie Sandra. Była bardzo blada, ale dość opanowana. Oczywiście

Keenan wiedział, że ten spokój jest pozorny, gdyż prawda nie dotarła jeszcze do niej w pełni, a poza tym kobieta musiała się liczyć z obecnością dziecka.

- Kiedy pani uzna, że nadszedł czas, by powiedzieć Irinie o matce, być może przyda się pani jakieś wsparcie. W takich sytuacjach świetnie się sprawdza Karen, to znaczy konstabl Dean.

Karen Dean zostawiła czajnik, który właśnie napełniała, i podeszła do stołu.

- Nie będę się wtrącać - zapewniła - jeśli pani sobie nie życzy, pani Finch.

- Sandra, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - powiedziała zboląta matka.

- Proszę bardzo.

- Mogę usiąść? - spytał Keenan. - Chciałbym pogadać z panią chwilę.

- Czemu nie? Przecież chcę pomóc, prawda? Keenan zerknął na sufit.

- Czy Irina dobrze sypia?

- Nie jestem pewna. Chyba tak.

- To śliczna dziewczynka.

Kobieta uśmiechnęła się i zaraz łzy jej napłynęły do oczu.

- Wie pan, oni ją adoptowali. Miała wtedy trzy miesiące i była sierotą. Z Rumunii.

- Irina... - Keenan nagle zrozumiał, skąd to egzotyczne imię i czarne oczy. - Co za cudowny postępek - rzekł z podziwem.

Sandra pokiwała głową. Nie udało się jej powstrzymać łez i musiała sięgnąć po chusteczkę.

- Joannę długo na nią czekała - rzekła po chwili, ocierając twarz. - Strasznie chciała mieć dziecko, ale okazało się, że nie mogą.

- Adopcja to poważna decyzja dla większości małżeństw. Wiem, że zwłaszcza ojcom trudno jest wychowywać dziecko innego mężczyzny.

Karen Dean podeszła znów do czajnika. Dzięki temu znalazła się bliżej okna.

- Nie powiedziałabym, że mój...

- Czego by pani nie powiedziała? - dopytywał się łagodnie Keenan.

Ściszyła głos.

- Chciałam powiedzieć, że nigdy nie podejrzewałam mojego zięcia o nadmiar instynktów ojcowskich, ale w kwestii adopcji całkowicie popierał Joanne. -

Kręciła ze

smutkiem głową, przywołując wspomnienia. -

Oglądali program na temat tamtejszych sierot i

potem tylko to jedno mieli w głowie.

- Musiało być im niełatwo. - Dean wrzuciła torebki herbaty do biało-niebieskiego dzbanka.

- Owszem - przyznała Sandra. - Joanne niewiele o tym mówiła, była przesadna, bała się, żeby nie zapeszyć. Ale wciąż powtarzała, że Tony nie daje za wygraną. Minęło cztery i pół roku, odkąd przywieźli Irinę do domu. - Głos jej uwiązł w gardle. - Joanne wariowała ze szczęścia... Była taką fantastyczną matką!

Po raz pierwszy rozszłochała się na dobre. Ukryła twarz w dłoniach, jak przedtem Patston, ramiona jej drgały.

Na górze Irina zapłakała także - zupełnie jakby obudzili ją wybuch rozpacz babci.

Sandra podniosła głowę i zerwała się na nogi.

Złapała garść chusteczek i szybko osuszyła twarz.

- Lepiej tam pójdę. - Wytarła twarz, wrzuciła mokre chusteczki do pojemnika na śmieci i w tym momencie zobaczyła, jak Tony w ogródku kopie nerwowo brzeg trawnika. - On się strasznie denerwuje, jak Irina płacze.

- Naprawdę? - zdziwiła się Karen. - Przecież wszystkie dzieci płaczą.

- Oczywiście. - Sandra znieruchomiała, nasłuchując, ale z góry nie dobiegał żaden dźwięk. - Joanne nigdy o tym nie mówiła, ale bardzo pilnowała, żeby nie zostawiać płaczącej Iriny samej. Zawsze dawała jej wtedy butelkę albo brała na ręce, a przecież nic by się nie stało, jakby zostawiła ją na chwilę, prawda?

- Czy Tony wpadał wtedy w złość? - spytał ostrożnie Keenan.

- Ja tam nic nie wiem. - Sandra wyraźnie się zaniepokoiła. - Pójdę już na górę.

- Ależ nie powiedziała pani nic złego, proszę się nie martwić.

- Wcale się nie martwię - odparła, nadal

skrępowana.

- Teraz najważniejsze jest, żeby powiedziała nam pani absolutnie wszystko, co mogłoby nam pomóc w ustaleniu, co się przydarzyło Joanne. I dlaczego.

Sandra Finch wyraźnie zmieniła się na twarzy; pobladła jeszcze mocniej i oczy rozszerzyły się jej z przerażenia.

- Chyba nie sugerujecie, że Tony...

- Nikt niczego nie sugeruje, pani Finch. To tylko rutynowe pytania, które pomogą nam dotrzeć do sedna sprawy.

- Jak pan może używać takich słów?! Moja córka, matka tej małej dziewczynki została zamordowana. Jak można mówić o jakiejś rutynie?

60

Kiedy Novak wpadł do mieszkania krótko po siódmej, zastał Clare na nogach i od razu poznał po jej twarzy, że żona już wie.

- Robin mi powiedział. Dzwonił, żeby przekazać mi wiadomość od ciebie i po jego głosie zorientowałam się, że coś jest nie tak.

- Chciałem sam ci powiedzieć - zmartwił się Novak.

- On też nie od razu się wygadał, musiałam to z niego wyciągać.

- W tym jesteś naprawdę dobra. - Novak wziął ją w ramiona.

- Biedna kobieta! - Clare wybuchnęła płaczem. - I ta dziewczynka...

- Nic jej nie będzie - kłamliwie zapewnił ją mąż.
- Ale ona nadal jest zagrożona! - zauważyła Clare stłumionym przez jego marynarkę głosem. - Przecież nadal mieszka z tym potworem!
- Babcia się nią opiekuje. Postąpiłaby sensownie, gdyby się do nich przeprowadziła. - Novak cofnął się, żeby spojrzeć jej w oczy. - A po tym, co powiedziałem pewnej niezwykle bystrej policjantce, możemy być pewni, że Tony Patston będzie pod bardzo czujną obserwacją.
- A co takiego jej powiedziałaś? - Clare otarła oczy.
- Tyle, ile trzeba. - Novak sięgnął do kieszeni po chusteczkę. - Nie wspomniałem ani o tobie, ani o Maureen, ani nawet o szpitalu. Tylko że Joanne była bardzo nieszczęśliwa i istnieje podejrzenie przemocy przeciw dziecku ze strony Patstona.
- To dobrze. Gdyby nie Maureen, sama poszłabym na policję, i to w tej chwili.
- Nie ma takiej potrzeby, kochanie. Dotrą tam i bez ciebie.

Pobrano odciski palców zarówno od Tony'go, jak od Sandry. Patston wolał dać do badania na DNA raczej włos niż wymaz z jamy ustnej - wszystko to w celu eliminacji, jak zapewnił ich Keenan. Ale wkrótce potem świadomość, że kilka kilometrów dalej ekipa policyjna przeszukuje mu dom, zaczęła mocno Patstonowi ciążyć.

- Chcę jechać do domu - powiedział Keenanowi w kuchni, kiedy Sandra poszła na górę do Iriny. - Czy nie wystarczy tego koszmaru? Czy naprawdę muszę tu sterczeć, kiedy obcy ludzie cholera wie po co przewracają mi dom do góry nogami?
- Zapewniam pana - Keenan nadal przemawiał łagodnie że wszyscy oni z wielkim respektem

traktują pańską własność. Jak już wspomniałem, to nasze rutynowe obowiązki.

- Czy podejrzewanie męża także należy do rutyny? Zawsze się o tym czyta, ale gdy padnie na ciebie, to całkiem co innego.

- Rzeczywiście, w tego rodzaju przypadkach staramy się najpierw wykluczyć bliskich krewnych i znajomych ofiary. Traktujemy to jak normalną procedurę.

- Jo nie miała żadnych znajomych czy koleżanek. A ponieważ chyba nie podejrzewacie jej matki, więc zostaje tylko ja, prawda? - Tony znów zaczął płakać. O Boże, Boże, co za koszmar! Dopiero co straciłem żonę i zamiast zostawić mnie w spokoju z moją żałobą, każą mi walczyć z takim gównem!

- Przykro mi, panie Patston - ciągnął niewzruszony Keenan. - Zapewniam pana, że absolutnie nie jest naszym zamiarem prześladowanie niewinnego człowieka, który...

- Ale wy mnie nie uważacie za niewinnego! - wybuchnął Tony. - Mam rację?

- Niechże pan usiądzie na chwilę. Może napije się pan herbaty?

Tony opadł na kuchenne krzesło i wlepił wzrok w inspektora.

- Wy myślicie, że ja to zrobiłem, tak? Że zamordowałem własną żonę?

W środę, krótko po wpół do dziewiątej Helen Shipley pożywiała się przy biurku pączkiem przed spotkaniem z Trevorem Kirbym, który następnie był umówiony w Vic-torii, kiedy do jej pokoju wszedł Geoff Gregory.

- Właśnie usłyszałem coś, co może cię zainteresować. Shipley oblizwała palce z cukru i mając wciąż pełne usta, podniosła tylko brwi.

- Na temat morderstwa w Epping Forest - dodał Gregory.

- Co to takiego?

- Podobno przyglądają się pilnie mężowi, ale...

- Ale co?

- Ale innego gościa zaciągnięto wczoraj do Theydon Bois za to, że się kręcił koło domu ofiary.

- Na miłość boską, Geoff!

- Prywatny detektyw. Niejaki Novak.

- O kurczę!

Siedząc w czarnym skórzanym fotelu, w błękitnym gabinecie na wschodnim końcu apartamentu Allbeury'ego, Novak myślał, że nigdy jeszcze nie widział prawnika w tak posepnym nastroju.

- Wiem, to moja wina, że dałem się zgarnąć, ale Clare tak sobie wzięła do serca tę dziewczynkę, która straciła matkę, i...

- A ty wolałeś, żeby trzymała się od tego z daleka.

- Oczywiście, chciałem im pomóc przycisnąć tego skunksa - męża czy kogo innego, ale Clare tylko przekażą ła wiadomość i...

- Rozumiem sytuację - przerwał mu znowu Allbeury.

- I nie widzę żadnego pożytku z wciągania Clare czy jej przyjaciółki. Poza tym policja już sprawdza szpitalną kartę Iriny, więc...-Wziął złote pióro i zaczął obracać je w palcach. - Jedyne strzęp dobrej

wieści w tym cholernym zamieszaniu jest taki, że skoro już wiedzą o zagrożonym dziecku, to szybko dojdą do Patstona.

- A jeśli to nie on? Może ta jego przemoc wobec Iriny nie ma z tym nic wspólnego i teraz z powodu moich zeznań policja nie będzie szukać innego sprawcy?

- Oni nie są głupi Milce. Kto jak kto, ale ty chyba wiesz najlepiej.

- To tylko ludzie. Lubią widzieć wyniki.

- Przy odrobinie szczęścia Patston załamie się i przyzna.

Novak spochmurniał i nic nie odpowiedział.

- Zresztą - ciągnął Allbeury - świat się nie zawali, jeśli przyjrzą się trochę facetowi, który bije czteroletnią córeczkę. - Wstał, podszedł do panoramicznego okna za granitowym biurkiem i zapatrzył się na rzekę. - Szczerze mówiąc, mam własne powody, dla których wolałbym, aby Patstonowi udowodniono winę, i to szybko. Nie życzę sobie zbyt wielu pytań na temat tego, jak zamierzałem pomóc Joanne.

- Cholera, to wszystko przeze mnie!

- Nie mogłeś wiedzieć, że zaparkowałeś samochód w samym środku śledztwa w sprawie morderstwa. - Allbeury odwrócił się i znowu usiadł. - Tu nie chodzi tylko o mnie, Mike. W tę operację zaangażowało się parę innych osób.

- Doceniam to.

- Nie pouczam cię, co masz powiedzieć, kiedy do ciebie

zapukają, to twoja sprawa, ale gdyby przyszli też do mnie, moja odpowiedź będzie zupełnie prosta.

Joanne, gdy się z nią spotkałem, nie była jeszcze zdecydowana i bała się rozwodu. Ja, jak

powiedziałeś, martwiłem się, że nie mogę się z nią skontaktować, więc poprosiłem, abyś sprawdził, co się dzieje.

Novak zdecydował się w końcu poruszyć temat, który cały czas nie dawał mu spokoju.

- A jeśli przypomną sobie twoje powiązania ze sprawą Lynne Bolsover?

Ta myśl nie umknęła także uwagi Allbeury'ego.

- W stosownym czasie się tym zajmę. Jeśli będzie trzeba.

Shiplej - nie spuszczaając oka z zegara na ścianie - rozmawiała przez telefon z detektyw konstabl Pat Hughes

z Theydon Bois na temat ewentualnego powiązania między zbrodnią w Epping Forest i morderstwem Lynne Bolsover.

- Dwa nieszczęśliwe małżeństwa i jeden prywatny detektyw pracujący dla prawnika od rozwodów - podsumowała Hughes. - To wygląda na coś więcej niż przypadek.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś poruszyła to w rozmowie ze swoim inspektorem. Powiedz mu, że pewne elementy w sprawie Bolsover niepokoją mnie od samego początku - powiedziała Shiplej.

- Tam, zdaje się, oskarżono męża.

- Właśnie.

62

- Już mi lepiej, mamuś.

Kiedy Jack tak ją nazywał, Lizzie wiedziała, że ma w tym jakiś interes.

- Chciałbym wrócić do szkoły.

- Może jutro.

- Ale ja już dziś jestem zdrowy. Ed i Sophie poszli.
 - U nich przeziębienie zaczęło się wcześniej.
 - Aha, czyli zgadzasz się, że to tylko przeziębienie?
- Lizzie przyjrzała mu się uważnie.
- Zaczynasz mnie łapać za słówka.
 - Ale sama widzisz, że moje na wierzchu!
 - Jutro.

Jack westchnął.

Christopher, który spędził samotną noc w domu przy Holland Park, przyjechał do kliniki o dziewiątej piętnaście, zobaczył, że Jane jeszcze nie ma, za to po korytarzu przed jego gabinetem kręci się Alicia Morgan, szefowa administracji.

- Dzień dobry, Alicio. - Christopher zdjął wysłużony tweedowy kapelusz à la Rex Harrison. - Czekasz na mnie?

- Niestety. - Wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

- Coś złego? - Otworzył drzwi, puścił ją przodem, wdychając mgiełkę dyskretnych perfum, odłożył teczkę i spojrzał wyczekująco.

- Mieliliśmy drobną lukę w zabezpieczeniach komputerowych.

Christopher zmarszczył brwi.

- To przecież twoja działka? - Zdjął burberry.

- Tak, oczywiście. - Wciąż ten niepokój w oczach i zmarszczka między idealnie wyskubanymi brwiami.

-Uruchomiłam już wszystkie wymagane procedury, ale...

Ta pauza zirytowała Christophera, który miał nadzieję na wypicie w spokoju filiżanki kawy i telefon do Jacka przed pierwszą rinoplastyką.

- Wykrztuś to wreszcie, Alicio.

Alicia Morgan, nieprzywykła do takiego tonu, zadarła podbródek.

- Zawracam ci głowę tylko dlatego, że ktoś nieuprawniony uzyskał dostęp do pliku z historią choroby pani Wade.

- Do pliku Lizzie? - zdumiał się Christopher. - Na pewno?
 - Niestety, tak. Podjęłam już wszelkie kroki w granicach rozsądku, aby coś takiego więcej się nie powtórzyło.
 - Jak to „w granicach rozsądku”?
 - Chodzi mi tylko o to... zawsze istnieje możliwość, że jakiś niesamowicie cwany haker... oczywiście nie ma najmniejszego powodu, dla którego mieliby się włamywać do naszych plików, chyba że leżałaby u nas jakaś gwiazda albo znany piłkarz...
 - Nic mi nie wiadomo o piłkarzach - rzekł cierpko Christopher - natomiast w Beauchamp z pewnością zdarzają się wielkie nazwiska. Może już zapomniałaś, Alicio, ale moja żona jest także powszechnie znaną osobą.
 - Dlatego pomyślałam, że może zechcesz zatrudnić specjalistyczną firmę. Kogoś, kto zapewniłby nam najlepszą ochronę danych.
- Christopher obszedł powoli swoje wielkie mahoniowe biurko i usiadł.
- Ile plików innych pacjentów zostało naruszonych?
 - Żaden. - Alicia lekko poróżowiała. - Dlatego wydało mi się to takie dziwne. Wszystkie naruszone pliki są powiązane z oddziałami, które miały coś wspólnego z pobytem twojej żony.
 - Jakimi oddziałami? - Jego irytacja rosła z każdą sekundą.
 - Anestezjologia, rekonwalescencja, opieka pielęgniarska.,.
 - Tak, w porządku - przerwał jej niecierpliwie. - Już wszystko jasne.
 - Zastanawiałam się, czy nie zechcesz zadzwonić na policję?
 - Och, nie.
- Zrobiła zdziwioną minę.
- Przecież to naruszenie dóbr osobistych,

pogwałcenie prywatności... Za dawnych czasów, jeśli ktoś włamał się do kartoteki...

- Tak, rozumiem, o co ci chodzi.
- Więc co chciałbyś, żebym zrobiła?
- Może się zastanowię nad tą firmą od zabezpieczeń.
- Nie policja?
- Nie. Widzisz, muszę myśleć o Lizzie. Dopiero niedawno doszła do siebie po tym wszystkim, a to mogłoby ją zdenerwować. - Zmusił się do uśmiechu.
- Lada dzień ma wyjść jej nowa książka, potem czeka ją trasa promocyjna, trochę za dużo tego.
- Tak, masz rację. - Alicia zastanawiała się przez chwilę. - A może to jakiś pismak bez skrupułów miał nadzieję na sensację dnia? - Alicia pokręciła nieskazitelną ufryzowaną głową. - Skoro tak, to pewnie czekał go srogi zawód.
- Faktycznie, nie miał co czytać. Tam są same nudy.
- I dzięki Bogu.
- Rzeczywiście - zgodził się z nią Christopher.

63

Dla Sandry ta noc była nie do wytrzymania. W końcu położyła się do łóżka, zadowolona z chwili samotności. Wiedząc, że Irina śpi kamiennym snem, mogła przynajmniej odrzucić groteskę udawanej normalności, do której czuła się przymuszona. Ale mimo skrajnego wyczerpania, wypoczynek nie wchodził w rachubę. Leżała więc, przeżywając

kolejno fakty, które przytłaczały ją takim ciężarem, że czuła się rozdarta na kawałki. Sen, kiedy wreszcie ją dopadł, był płytki i niespokojny; obudziła się przejęta grozą, z bijącym mocno sercem. Rzeczywistość znów zamknęła ją w swych kleszczach. Joanne nie było i już nigdy jej nie będzie.

Przeszukiwanie domu w Chingford Hatch wyraźnie dobiegło końca, więc w porze lunchu mogli wrócić. Irina uszczęśliwiona powrotem zaczęła od pierwszej chwili biegać po domu. Sandra i Tony, dzieląc wspólny ból, teraz, w domu bez Joannę jeszcze silniejszy, zdawali sobie sprawę, jak krótko potrwa ta radość, bo przecież tej, której dziecko szukało w każdym kącie, nie było. I przynajmniej tym razem Tony wręcz czekał na płacz córki, gotów ją pocieszać, ale kiedy Irina ostatecznie przyszła do salonu, gdzie siedzieli, zwróciła się od razu do babci.

- Trzeba będzie jej powiedzieć - przekonywał Tony Sandrę jeszcze w Edmonton.

- Wiem.

- A może - zapytał zupełnie jak dziecko potrzebujące aprobaty dorosłych - odłożymy to jeszcze?

Im dłużej, tym lepiej, myślała Sandra. Dziesięć, dwadzieścia lat...

- Czemu nie? - odpowiedziała ostrożnie.

Ten moment nastąpi już wkrótce. W nocy wyobrażała sobie, jak to będzie, starając się wymyślić najlepszy sposób, ale nie istniał dobry sposób zawiadomienia czteroletniej dziewczynki, że jej matka nie żyje, a cóż dopiero, że została zamordowana.

- Nie chcę, żeby o tym wiedziała - mówiła do Karen Dean wcześniej, we wtorek wieczorem. - Nie chcę jej informować, jak jej mama zginęła, dopóki nie będzie

to absolutnie konieczne.

- Rozumiem panią - odrzekła łagodnie przystojna policjantka - ale pewnego dnia usłyszy o tym od kogoś niepowołanego, na przykład w szkole, i wtedy zniesie to o wiele gorzej.

Sandra milczała przez chwilę.

- Ona jeszcze nie chodzi do szkoły.

- Miałam na myśli przedszkole.

- Do przedszkola także nie.

- Naprawdę? - W lekko skośnych oczach Dean błysnęło zaskoczenie.

- Tak, sama tego nie rozumiałam, ale Joannę chciała jak najdłużej trzymać ją przy sobie. - Stale obecne pod powiekami łzy zaczęły znów zagrażać. - Może... - odwróciła głowę, próbując się opanować - może miała jakieś przeczucie.

- Nie sądzę. Ale tak czy inaczej Irinie miło będzie dowiedzieć się kiedyś, jak bardzo mama ją kochała.

- Jeśli ją zapamięta. - Był to jeden z licznych koszma-

rów, które zaczęły nawiedzać Sandrę. - Ile pani zapamiętała z tak wczesnego dzieciństwa?

- Nie wiem dokładnie, ale coś tam pamiętam.

- Bo ja prawie nic.

- Ale przecież - zauważyła Karen - na pewno będzie pani podtrzymywać w niej pamięć o matce? Tak samo jej tata...

- Tak - odparła słabo Sandra. - Ale nie zawsze się to udaje, prawda?

- Nic użytecznego nie znaleźliśmy w torebce ofiary

- meldował sierżant Reed Jimowi Keenanowi podczas pierwszej porannej narady roboczej w Theydon Bois.

- Z zewnątrz wytarta dokładnie, a w środku są tylko odciski samej Joanne - na portmonetce, puderniczce i szmince

- oraz kilka zamazanych, prawdopodobnie jej

córeczki.

- A w kalendarzyku?

- Też nic.

- Sprawdzamy wszystkie zapisane numery telefonów i adresy - dodała Karen Dean.

- Od sąsiadów też niczego nie uzyskaliśmy - ciągnął Reed. - Ci najbliżsi, podobno zaprzyjaźnieni, mają dopiero za miesiąc wrócić z Cypru, nikt nie zna ich tamtejszego adresu. Chce pan, żebyśmy ich namierzyli?

- Nie było ich tutaj w czasie zbrodni, więc na razie sobie odpuśćmy. - Keenan spojrział na Dean. - CRIS i CRI-MINT* sprawdzone? Opieka społeczna?

- Brak danych. I na Patstona też nic nie ma od czasu tamtej sprawy o napaść z uszkodzeniem ciała.

- Jest jedna rzecz - przypomniał sobie Reed. - Miała przy sobie paszport.

** CRIS - Crime Report Information System, System Informacyjny Przestępstw Kryminalnych, CRIMINT - Criminal Intelligence, Wywiad Kryminalny.*

- Ktoś sprawdził linie lotnicze, biura podróży i tak dalej? - spytał Keenan.

- Jestem w trakcie - odrzekła Pat Hughes, młoda gorliwa policjantka, która nigdy nie stosowała makijażu i upi-nała wymykające się jasne włosy w rodzaj staromodnego koka. - Na razie nic nie znalazłam.

- Tylko jej paszport? - spytał Keenan Reeda. - A Iriny nie?

- Nie. I w domu też go nie było.

- Sprawdzę aplikacje, panie inspektorze. - Hughes zrobiła notatkę. - Najwyraźniej jeszcze nie dotarli do fiesty.

Keenan kręcił głową.

- A materiał filmowy z kamer w bibliotece?

- Z tym niestety jest problem, panie inspektorze. Wewnątrz było włamanie, a zewnętrzne uszkodzili wandalami.

- No super.

- Wybieram się zaraz do Waltham General - zapowiedziała Dean. - Sprawdzę karty Iriny i Joanne, przy okazji pogadam z ludźmi. Opieka społeczna nie ma ich w swoim rejestrze.

Reed wertował jakieś papiery.

- Sfinalizowaliśmy sprawę z ochroną danych i wystąpiliśmy do telekomunikacji o szczegóły na temat domu i firmy Patston Motors.

Keenan zajął się teraz raportem patologów.

- Doktor Collins mówi, że Joanne zmarła tam, gdzie ją znaleziono. Cztery rany klute, pierwsza w tętnicę szyjną... - Rozejrzał się po pokoju. - Ta tętnica jest ukryta dość głęboko, więc sprawca albo uderzał z wyjątkową siłą, albo być może, znał się na anatomii.

- Zerknął do raportu. - Oznacza to także, że pierwsza rana wystarczała, by spowodować śmierć i w tej sytuacji pozostałe były zbyteczne.

- Czyli szukamy szaleńca? - spytał Reed.

- Albo kogoś ogarniętego furia - zasugerowała Dean.

- Czy ludzie czasem nie uderzają na oślep, bo po pro-

stu są zbyt wystraszeni, by przestać? - snuła domysły Hughes.

- Z przebitej tętnicy krew sika jak z fontanny - zauważył cierpko Reed. - Czego tu się bać?

- Może sprawca przestraszył się swojego czynu - zasugerował Keenan i skinął głową w stronę Hughes. - Po prostu nie potrafił się już powstrzymać.

- Ale on od razu trafił w dziesiątkę. - Reed chciał koniecznie zdobyć przewagę nad młodą policjantką. - A najbardziej rozwścieczeni napastnicy zwykli uderzać na oślep.

- To jednak nie wyklucza trafienia za pierwszym ra-

zem, Terry. - Keenan podniósł raport, żeby przeciąć bezcelowe spekulacje. - Przejdźmy do toksykologii. Pani Pat-ston miała we krwi dostatecznie dużo benzodiazepiny, by czuć się bardzo senna, ale raczej zachowała przytomność. Trzeba skontaktować się z lekarzem rodzinnym.

- Zrobi się... - Reed szperał w swoich notatkach. - W szafce w łazience nie było żadnych prochów.

- Poruszę ten temat w następnej pogawędce z Patsto-nem. Karen - zwrócił się do Dean - co ze świadkami?

- Nie mamy na razie żadnych wiarygodnych.

- Jest jeszcze sprawa tego telefonu - przypomniała Pat Keenanowi. - Od detektyw inspektor Shipley z AMIT NW.

- Shipley jedzie dziś ze mną na rozmówkę z Robinem Allbeurym - powiedział Keenan Reedowi czterdzieści minut później w swoim gabinecie, obskurnym pomieszczeniu uczłowieczonym tylko trochę dzięki rodzinnym fotografiom i trzem doniczkom czerwonych pelargonii na parapecie.

- A kiedy spotka się pan z Patstonem?

- Później, niech trochę skruszeje.

- Nie dojrzał jeszcze do zapudłowania?

- Najpierw musisz mi dostarczyć coś solidniejszego.

- Przecież już wiemy, że to brutal.

- Gówno wiemy.

- Miał już jedną sprawę o napaść.

- Dawno temu.

- Ale po pijaku. I wiemy, że nadal pije.

- To jeszcze o wiele za mało. Jeśli Karen się poszczęści w Waltham General, to trochę się posuniemy, ale jeśli coś tam było na rzeczy, to raczej służby socjalne by o tym wiedziały. - Keenan poskrobał się w ucho. - A przy obecnym stanie

śledztwa nie możemy go zamknąć nawet za bicie dziecka, a co dopiero za morderstwo żony.

- Ale to on, prawda? - Reed z uporem maniaka próbował przekonać samego siebie. - Mamy ten paszport. Może wersja Patstona jest w jakimś stopniu prawdziwa. Może naprawdę miała spotkać się z koleżanką, ale on zobaczył, że zabiera paszport, doszedł do wniosku, że żona chce od niego odejść, i zabił ją w złości. - Skrzywił się. - No tak, tylko ona umarła w tym cholernym lasku.

- I nafaszerowana prochami.

- Może on je w nią wmusił, a potem wsadził w samochód i wywiózł.

- On mi nie wygląda na takiego, co by to wymyślił. To typ, który najpierw wali na oślep, a potem roni krokodyle łzy. - Zamilkł na chwilę. - Tak czy inaczej, zapominamy obaj, że ona naprawdę wyszła wtedy z domu i zostawiła Irinę u Sandry Finch.

- Mogła jednak planować odejście od Patstona - zauważył Reed - tylko nie tego dnia. Może chciała zostawić też dziecko...

- Z nim? Ani na chwilę!

- A może zawsze nosiła przy sobie paszport. Żeby być w każdej chwili gotowa do ucieczki. Albo bała się, że mąż jej ten paszport zabierze. - Po namyśle dodał: - Jak pan myśli, czy zdecydowałyby się oskarżyć męża o znęcanie się nad dzieckiem?

- To już prędzej. Chociaż... Pani Finch mówi, że Patston robi się... nerwowy, kiedy Irina płacze, co prawdopodobnie następuje, kiedy sobie z nią nie radzi. Więc chyba musiał rozumieć, że gdy Joanne umrze, będzie miał cały czas dziecko na karku.

- Namietność nie rządzi się logiką. Podobnie jak zazdrość czy furia.

- Te prozki wskazują na premedytację.

- Ale może nie jakąś długofalową...

- To nie wystarczy.

Dwaj mężczyźni siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. Na zewnątrz, za zamkniętymi oknami, przesuwał się w obie strony strumień pojazdów, ciężarówki ostro hamowały, zniecierpliwieni kierowcy naciskali klaksony.

- A może dotrzemy do Zespołu Ochrony Dziecka, żebyśmy mogli porozmawiać z Iriną? - zapytał Reed.

- Jeszcze nie. - Bruzdy na twarzy Keenana pogłębiły się nieco. - Wolałbym na razie uważnie ją obserwować i dalej grzebać w jej otoczeniu. Mała nadal nie ma pojęcia, co się stało z jej mamą, i nie chciałbym, żeby to od nas się dowiedziała. Z pewnością nie wyczułem, by usłyszała albo zobaczyła coś niepokojącego.

- Przypuszczam, że chociaż trzeba nadal chronić ją przed Patstonem, nie musimy się specjalnie martwić, dopóki czuwa nad nią babcia, a my też kręcimy się po domu.

- Jak Karen skończy załatwiać sprawy w szpitalu, chcę, żeby tam zaraz wróciła - polecił Keenan. - A kiedy skończy dyżur, niech ktoś stanie przed wejściem dla ochrony.

- Tak jest!

64

Tuż przed lunchem Lizzie wreszcie znalazła chwilę, by sprawdzić pocztę elektroniczną. Czekał tam na nią proponowany program trasy promocyjnej „Czystej rozkoszy” i wiadomość od Andrew France'a.

Najpierw zadzwoniła do Susan.

- To jest super, ale trochę mnie przeraża.

- Tylko do Edynburga i z powrotem - wyjaśniła Susan. - Niezupełnie to, do czego ostatnio przywykłaś.

Lizzie przemknął przed oczami grill na Kefalonii, ale zaraz odsunęła od siebie ten obraz.

- Wygląda niesamowicie, pod warunkiem że będziesz przy mnie.

Za nic bym tego nie opuściła. Oczywiście schemat może ulec zmianie, bo to dopiero za tydzień, ale czy ogólnie ci odpowiada?

Lizzie przejrzała wydrukowane strony.

- Zaczynamy od Oksfordu... super!

- Zauważ, że w środku masz przerwę, żebyś mogła spędzić trochę czasu z rodziną.

Owszem, Lizzie to zauważyła, podziękowała Susan wylewnie i pogadała z nią jeszcze kilka minut.

Następnie połączyła się z bezpośrednim numerem Andrew.

- Jak dobrze, że cię złapałam - powiedziała, gdy podniósł słuchawkę. - Już myślałam, że wyszedłeś na lunch.

- Jem kanapkę przy biurku. Rodzina w porządku?

- Jak najlepszym - odparła, nie wdając się w szczegóły. - Co masz do mnie, Andrew?

- Czas pogadać o drugiej części „Podróży kulinarnych”.

- O Boże.

- Jak wiesz, Vicuna pogodziła się z twoją rezygnacją, ale ludzie z Food and Drink upierają się, żebyś podpisała aneks do kontraktu.

- Jakiego rodzaju aneks? - Lizzie poczuła niepokój.

- Chcą gwarancji, że wyłączysz naturalne katastrofy i inne poważne nieprzewidziane trudności, dokończysz filmowanie.

- Co to znaczy „poważne”?

- Nie wchodźmy w to teraz, Lizzie.
- Chyba jednak powinniśmy - zaprotestowała. - To, co dla mnie jest poważne, dla nich może być drobiazgiem. To sprawa Richarda Ardena?
- Nawet tak nie myśl! Przypuszczam, że ich prawników, ale nie musimy się specjalnie przejmować.
- Ty może nie musisz, ale ja tak. - Lizzie przestraszyła się i zdenerwowała. - Wiedzą przecież o moich zobowiązaniach, wiedzieli od samego początku. Zdawało mi się, że Richard po wypadku doskonale rozumiał, że muszę wyjechać.
- Oczywiście, że rozumiał. - Andrew wpadł w uspokajający ton. - Ale teraz prawnicy powiadają, że zarówno on, jak jego zwierzchnicy powinni doprowadzić do twojego powrotu i wznowienia produkcji, gdy tylko minie początkowy kryzys.
- Richard wiedział, że to niemożliwe.
- Trudno to udowodnić, moja droga - tłumaczył agent. - Zresztą nie ma takiej potrzeby, ponieważ nikt nie grozi nam skutkami prawnymi ani nawet nie zachowuje się nieładnie.
- Mam nadzieję!
- Na razie zakładają, że skoro Edward jest pod opieką Christophera, nie ma potrzeby...
- Ach, więc o to im chodzi? - przerwała mu Lizzie. - O gwarancję, że na czas kręcenia pokazów przestanę być matką? Jeśli tak, to natychmiast wycofuję się ze wszystkiego i koniec.
- Lizzie, nie denerwuj się tak...
- Zaliczkę też mogę im oddać, proszę bardzo.
- Przemysł to jeszcze, dobrze? - Nie!
- Szczerze mówiąc, rozkładanie ich na łopatki nie jest najlepszym posunięciem z punktu widzenia przyszłości.
- To fatalnie.
- Lizzie, ty się źle czujesz?

- Nigdy nie byłam w lepszej formie.

65

- Może powinniśmy się zwrócić do telewizji - powiedziała Sandra do Karen Dean, która przygotowywała kanapki na lunch: z szynką dla dorosłych, z masłem orzechowym dla Iriny - tak jak ci, którzy poszukują świadków?

- Tak się robi, gdy zaginie dziecko, prawda? - dodał Tony, siedząc przy kuchennym stole obok teściowej.

- I kiedy... - Sandra nie dokończyła.

Irina, która pomagała Karen smarować chleb, pokazała babci umazane masłem ręczki.

- Rina brudna.

- Jesteś za duża, żeby mówić jak dzidzius - upomniał ja ojciec.

Sandra rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Chodź, kochanie, zaraz to zmyjemy.

Wyciągnęła rękę do małej i pomogła jej stanąć przy zlewie na czerwonym plastikowym schodku, który Joanne kupiła specjalnie w tym celu. Potem odkręciła kran, wycisnęła dziecku na dłonie trochę mydła w płynie i patrzyła, jak sobie radzi.

- Na pewno warto spróbować wszystkiego - powiedziała cicho do policjantki.

- Może powinna pani porozmawiać o tym z inspektorem Keenanem.

- Moglibyśmy pogadać o tym ogromie miłości, który włożyli w starania o dziecko.

Słowa „adopcja” unikali taktownie w obecności Iriny, podobnie jak „morderstwo” czy „zabójstwo”.

- Nie poruszałbym tego tematu - rzekł Tony. - To sprawa osobista.

- Już! - zawołała Irina.

Sandra pomogła jej zejść i dała ręcznik.

- Sama się do nich zgłoszę, jeśli ty nie chcesz - powiedziała ostro do Tony'ego. - Nie cofnę się przed niczym, żeby znaleźć tego, co nam to zrobił.

Myślałam, że ty też. - Siedzący przy stole Tony zaczął płakać. Nawet nie ukrył twarzy w dłoniach, pozwolił, by łzy płynęły mu po policzkach.

- Na miłość boską! - syknęła Sandra. - Skoro ja potrafię się opanować, to czemu i ty nie możesz?

- Dlaczego tatuś płacze? - spytała Irina.

- Bo jest mu smutno, kochanie - odpowiedziała łagodnie Sandra, zerkając bezradnie na Dean. - Wszyscy jesteśmy smutni.

- Bo nie ma mamusi?

- Tak, kochanie. - Teraz i Sandrze zwilgotniały oczy.

- Chcę do mamusi.

Karen Dean patrzyła, jak czarne oczy dziecka zaczynają napełniać się łzami. Nie pozostało jej nic innego, jak przyłączyć się do ich rozpacz.

66

- Wszystko u was w porządku? - spytał Christopher przez telefon tuż po drugiej.

- Tak - odparła Lizzie - jeśli nie liczyć faktu, że się totalnie zbłąźniłam przed ludźmi z Food and Drink.

- Opowiedziała mu krótko, co się wydarzyło.
- Miałaś absolutną rację - rzekł Christopher. - Nie będą cię terroryzować.
 - Nie jestem taka pewna. Chyba wystraszyłam trochę Andrew i założę się, że nie przekaże im tego, co powiedziałam, bez kolejnej rozmowy ze mną.
 - Ja powiedziałbym im dokładnie to samo.
 - Bo ty i tak uważasz, że powinnam siedzieć w domu z dziećmi - odparła chłodno Lizzie.
 - To śmieszne.
 - Tak, masz rację: śmieszne.
 - Może mam swoje wady, ale...
 - Może?
 - No więc dobrze: mam wady. Wielkie, niewybaczalne, straszliwe, z których świetnie zdaję sobie sprawę.
 - Nie jestem w nastroju do sarkazmu.
 - A ja nie jestem w nastroju do znoszenia ataków.
 - Trudno - ucięła Lizzie i odłożyła słuchawkę.

67

- Dzwonił Robin - powiedział Novak do Gare, kiedy wróciła do agencji po kilku godzinach spędzonych u Nicka Parry'ego. - O piątej spodziewa się wizyty Jima Keenana, inspektora z Theydon Bois.
 - A z tobą ten inspektor nie chce się zobaczyć?
 - Na razie nie.
- Poszedł za nią do mikroskopijnej kuchenki i kiedy napełniała czajnik, pocałował ją w kark. Zwykle po czymś takim, nawet w trakcie pracy, Clare

reagowała serdecznością, ale tym razem tylko włączyła czajnik.

- Nic ci nie dolega ? - zainteresował się Novak.

- Tylko odrobina zmęczenia. - Odkręciła wieczko słoika z herbatą i wrzuciła torebkę do kubka. - Nie spałam dziś za dobrze.

- Masz prawo czuć się zdenerwowana - przekonywał ją Novak łagodnie. - Wiem, że martwisz się o tę dziewczynkę.

- A ty nie? - Clare odwróciła się tak gwałtownie, że jej kręcone włosy zatańczyły wokół twarzy.

- Oczywiście, że tak. - Novaka zaskoczyło oskarżenie wypisane na jej twarzy. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Ty drżysz, kochanie.

- Nieprawda.

- Chodź, usiądź tutaj.

- Robię herbatę.

- Ja to dokończę w minutę. - Poprowadził ją w stronę sofy. - No siadaj i opowiedz, co się dzieje.

Usiadła.

- Nic się nie dzieje.

- Z Nickiem wszystko w porządku? - Tak.

Novak usłyszał bulgotanie wody i poszedł zaparzyć herbatę. Potem przyniósł ją do biurowego pokoju i usiadł przy żonie.

- Wsypałem trochę cukru. Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- Nie potrzebuję cukru.

- Potrzebujesz energii. Od pewnego czasu wyglądasz na zmęczoną, dlatego wiem, że nie chodzi tylko o Patsto-nów. I zdawało mi się, że mamy umowę na temat dzielenia się myślami.

- Okej - powiedziała nagle.

- Co - okej?

- Podzielę się z tobą myślami.

Mówiła spokojnie, ale z takim napięciem w głosie, że Novak aż się przeraził.

- To znaczy?

- Jestem w ciąży.

Novak poczuł się tak, jakby mu ktoś umysł rozłupał na pół - w jednej części fajerwerki, w drugiej błędzenie po omacku w ciemności.

- Ależ to cudownie!

- Naprawdę?

W tym momencie zrozumiał - już zły na siebie, wręcz wściekły, za swoją tępotę, niewrażliwość - że oczywiście wszelką radość, jaką Clare mogłaby odczuwać, przysłaniały wspomnienia ostatniego razu.

- O Boże, przepraszam...

Clare popatrzyła na niego dziwnie.

- Rozumiesz? - spytała ostrożnie.

- Jasne! - Novak wyciągnął ręce i ucieszył się, że pozwoliła się objąć. - Wiem, jak się czułaś, jak sam się czułem, na miłość boską, nie zapomnę tego do końca życia.

- Och, Mike, przepraszam!

Odsunął się nieco i zobaczył w jej oczach łzy.

- Nie mów tak, naprawdę nie masz mnie za co przepraszać. - Odsunął się jeszcze trochę i położył dłoń na jej płaskim brzuchu.

- Dziecko... - szepnął.

- Jesteś szczęśliwy?

- No chyba!

- A ja się boję.

- Wiem.

- Powiedz, że wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście, że będzie dobrze.

- Przecież tego nie wiesz.

- Wiem. Naprawdę w to wierzę.

- Oby Bóg cię wysłuchał.

Amen, pomyślał, ale tego nie wypowiedział, ponieważ dopiero co przyznał, że ma całkowitą pewność, i nie chciał jej umniejszać poprzez

dodatkowe zabezpieczenia. Jeśli Clare teraz czegoś potrzebowała, to przede wszystkim jego przekonania.

Ciemny zamęt w jego głowie rozproszył się i jego miejsce zajęła wschodząca nadzieja.

- Nasze dziecko...

68

Jeśli Robin Allbeury nie był zachwycony ponowną wizytą Helen Shipley, która wymógłszy na nadinspektorze Kirbym, by ten pozwolił jej odłożyć na razie na bok sprawę narkotykową i stos roboty papierkowej, zjawiła się w Shed Tower w towarzystwie Jima Keenana, to nie dał tego po sobie poznać.

- Nie dziwi pana mój widok? - spytała, kiedy prawnik, ubrany w szary kaszmirowy sweter i grafitowe wełniane spodnie, wprowadził ich do salonu z bajkowym widokiem.

- Niestety, niespecjalnie. W świetle powiązań tych dwóch kobiet z moją osobą, oczekiwałem nawet tej wizyty.

- Potrafi pan wyjaśnić te powiązania? - spytał Keenan.

- Proszę się rozgościć. - Allbeury wskazał im sofę i fotele.

Shipley od razu podeszła do ustawionego przy szklanych drzwiach teleskopu.

- Jeśli ma pani chęć spojrzeć, proszę się nie krępować - zachęcił ją gospodarz.

- Nie, dziękuję.

Keenan usiadł posłusznie na sofie.

- Więc co to za powiązanie?

- Nie mogę tego wyjaśnić - odparł Allbeury. - Chociaż zapewniam pana, że gdybym nawet przez chwilę dostrzegł w tym coś więcej niż czysty przypadek albo gdyby mój

łącznik miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią tych pań, czułbym się jeszcze bardziej zdruzgotany.

Shipley usiadła na fotelu najbliższym Keenana. Ku swojej irytacji, zauważyła, że kiedy założyła nogę na nogę, rajstopy puściły jej w dwóch miejscach.

Czemu, do licha, nie włożyła spodni?

- Napiją się państwo kawy? - spytał Allbeury. -

Chociaż pani inspektor chyba woli herbatę, prawda?

- Ja w ogóle dziękuję za wszystko.

- Ja także - dodał Keenan. Poczekał, aż prawnik usiadzie, i dopiero wtedy zadał kolejne pytanie: -

Skąd pewność, że pański łącznik nie ma z tym nic wspólnego?

- Naturalnie długo się nad tym zastanawiałem. I doszedłem do wniosku, że owszem, istnieje możliwość, iż mężowie obu kobiet dowiedzieli się o ich kontaktach z prawnikiem. To mogło ich dostatecznie rozwścieczyć, by stali się zdolni do zbrodni.

- Może tak właśnie się stało - zauważyła Shipley.

Allbeury był sceptycznie nastawiony.

- Ale w obu przypadkach? To mało prawdopodobne. Shipley nie odpowiedziała.

Prawniki przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym zwrócił się do Keenana.

- Więc czym właściwie mogę panu służyć, nadinspektorze?

- Po pierwsze, chciałbym, żeby pan sobie przypomniał, co pan robił w czasie, kiedy popełniono obie zbrodnie. A po drugie, proszę nam

wyczerpująco opowiedzieć o wszystkich powiązaniach z ofiarami.

- W pierwszej sprawie będę musiał zajrzeć do rozkładu moich zajęć w komputerze. A co do drugiej, to opowiedziałem już inspektor Shipley o swoim spotkaniu z Lynne Bol-sover.

Shipley i tym razem się nie odezwała.

- Z tego, co wiem od inspektor Shipley - odparł łącznik miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią tych pań, czułbym się jeszcze bardziej zdruzgotany.

Shipley usiadła na fotelu najbliższym Keenana. Ku swojej irytacji, zauważyła, że kiedy założyła nogę na nogę, rajstopy puściły jej w dwóch miejscach.

Czemu, do licha, nie włożyła spodni?

- Napiją się państwo kawy? - spytał Allbeury. -

Chociaż pani inspektor chyba woli herbatę, prawda?

- Ja w ogóle dziękuję za wszystko.

- Ja także - dodał Keenan. Poczekał, aż prawnik usiadzie, i dopiero wtedy zadał kolejne pytanie: -

Skąd pewność, że pański łącznik nie ma z tym nic wspólnego?

- Naturalnie długo się nad tym zastanawiałem. I doszedłem do wniosku, że owszem, istnieje możliwość, iż mężowie obu kobiet dowiedzieli się o ich kontaktach z prawnikiem. To mogło ich dostatecznie rozwścieczyć, by stali się zdolni do zbrodni.

- Może tak właśnie się stało - zauważyła Shipley.

Allbeury był sceptycznie nastawiony.

- Ale w obu przypadkach? To mało prawdopodobne. Shipley nie odpowiedziała.

Prawnikiem przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym zwrócił się do Keenana.

- Więc czym właściwie mogę panu służyć, nadinspektorze?

- Po pierwsze, chciałbym, żeby pan sobie przypomniał, co pan robił w czasie, kiedy

popelniono obie zbrodnie. A po drugie, proszę nam wyczerpująco opowiedzieć o wszystkich powiązaniach z ofiarami.

- W pierwszej sprawie będę musiał zajrzeć do rozkładu moich zajęć w komputerze. A co do drugiej, to opowiedziałem już inspektor Shipley o swoim spotkaniu z Lynne Bol-sover.

Shipley i tym razem się nie odezwała.

- Z tego, co wiem od inspektor Shipley - odparł Keenan - zaproponował pan pani Bolsover coś w rodzaju darmowej pomocy prawnej, ale poza legalnym systemem postępowania w takich przypadkach.

- Zgadza się. Ale ona odrzuciła moją ofertę.

- Prawdopodobnie z jej punktu widzenia wyglądało to zbyt zawile. Bo przecież wystarczyłoby, żeby się zgłosiła do Ośrodka Porad Obywatelskich albo znalazła w książce telefonicznej kancelarię, która oferuje pierwszą poradę za darmo.

- Ale nic takiego nie zrobiła - zauważył spokojnie Allbeury. - I o to właśnie chodzi. Pani Bolsover tak bała się męża, że wolała nie ryzykować takiej wizyty.

- Wspomniał pan o szlaku ucieczkowym - podpowiedziała Shipley.

Allbeury zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba miałem na myśli to, że wiele nieszczęśliwych kobiet po prostu nie dostrzega drogi wyjścia.

- Bo nie mają pieniędzy - dodał Keenan. Allbeury pokiwał głową.

- O to zwykle potykają się na samym wstępie.

- Więc na czym miała polegać pańska pomoc dla Lyn-ne Bolsover? - spytała Shipley. - Założywszy, że przyjęłaby pańską ofertę.

- Nie mogę na to odpowiedzieć.

- Nie może pan czy nie chce? Allbeury uśmiechnął się.

- Nie mogę, pani inspektor. Każdy przypadek jest inny. Moja ewentualna pomoc czy rada dla pani Bolsover zależałaby od jej specyficznej sytuacji czy potrzeb.

- A co z potrzebami Joanne Patston? - spytał Keenan, wychylając się nieco do przodu.

- Bardzo mi przykro, ale i tutaj nie na wiele się państwu przydam. Z panią Patston spotkałem się tylko raz w miejscowej bibliotece.

- Tej przy Hall Lane?

- Tak jest. Przeprowadziła z sobą córeczkę i rozmawia-

liśmy, kiedy mała oglądała książeczki. Matka cały czas miała ją na oku.

- A o czym rozmawialiście?

- Pani Patston bała się o Irinę, ponieważ jej mąż małą bił. Rozmawialiśmy o tym, a także jak mógłbym jej pomóc w uwolnieniu się od małżeństwa.

- No właśnie: jak? Rozwód?

- Rozwód nie oznaczałby pełnego zerwania. Proces by się przeciągał, poza tym istniałoby ryzyko, że doprowadzony do ostateczności mąż stałby się jeszcze bardziej niebezpieczny.

- Mogłaby wnieść o zakaz kontaktów - zasugerowała Shipley.

- Oczywiście, tylko nie wiem, czy dałaby sobie radę z wszystkimi konsekwencjami. No i jak pani wiadomo, tacy ludzie nie zawsze stosują się do zakazów.

- Dlaczego nie złożyła doniesienia na policji? - spytał Keenan.

- Bo się bała.

- A skąd pan się o niej dowiedział? - zainteresowała się Shipley. - Z jeszcze jednego anonimowego źródła?

- Tak, ale tym razem nie z listu - kłamał Allbeury, patrząc Keenanowi prosto w oczy. - Dostałem

wiadomość telefoniczną.

- Oczywiście numer nie do wyśledzenia?
 - Nawet nie próbowałem go ustalić. Bardziej mnie zainteresował podmiot.
 - Czyli Joanne Patston?
 - I zagrożenie jej dziecka.
 - Dlaczego nie zgłosił pan tego zagrożenia?
 - Chciałem, żeby pani Patston mi zaufała.
- Zawiadomienie służb socjalnych czy policji mogłoby tylko pogorszyć sytuację jej i dziecka.
- I rzeczywiście zaufała panu? - spytał Keenan.
 - Myślę, że była tego bliska.
 - Ale więcej jej pan nie widział? - dopytywała Shipley. - Nie.
 - A rozmawiał pan z nią?
 - Po spotkaniu w bibliotece już nie.
 - A Michael Novak?
 - On rozmawiał z nią potem dwa razy.
 - O czym?
 - Zbierała się do podjęcia decyzji.
 - W jakiej sprawie?
 - Czy mam jej pomóc uwolnić się od małżeństwa.
 - Nadal pan nie wspomina - zauważył Keenan - jaki rodzaj wyjścia pan zaproponował.
 - Czekałem z tym na jej odpowiedź.
 - Ale musiał pan mieć w zanadrzu konkretne rozwiązanie - powiedziała Shipley.
 - Oczywiście.
 - Więc? - naciskał Keenan. Allbeury milczał przez chwilę.
 - Gdyby pani Patston zdecydowała się odejść, zrobiłbym wszystko, aby zgodziła się zamieszkać z córką w miejscu, gdzie obie byłyby bezpieczne.
 - Na dłuższą metę?
 - Tak. Nic innego nie wchodziłoby w rachubę.
 - Ale pan ciągle czekał na jej ostateczną odpowiedź?
 - spytał Keenan.

- Kiedy Mike Novak mi ją przekazał, pani Patston już nie żyła.

Zabrał ich do błękitnego gabinetu i pozwolił zaglądać sobie przez ramię, kiedy sprawdzał swój terminarz w komputerze, cofając się aż do dwudziestego lutego - dnia zaginięcia i śmierci Lynne Bolsover.

- W razie potrzeby - rzekł Allbeury - oba te poranne spotkania dadzą się zweryfikować.

- A to popołudniowe? - spytała stojąca po lewej stronie Shipley.

- To było z klientem, któremu zależy na dyskrecji. Zresztą on i tak jest teraz za granicą. - Podniósł na nią wzrok. - Miałem wrażenie, że John Bolsover siedzi w Bel-marsh i czeka na proces o morderstwo żony.

- To prawda.

Allbeury wrócił do swojego terminarza. Przewinął zapiski o osiem miesięcy wstecz, do października, i zerknął na Keenana, który stał z prawej strony krzesła.

- Poniedziałek - podpowiedział mu inspektor. - Siódmego.

- Kancelaria. - Allbeury odchylił się, żeby zobaczyli. - Allbeury, Lerman, Wren w Bedford Row. Jeśli zamierza pan sprawdzić, panie inspektorze, byłbym wdzięczny za dyskrecję.

- To się rozumie samo przez się.

- Spędził pan tam cały dzień? - spytała Shipley.

Allbeury spojrział na nią z leciutkim uśmiechem.

- Miałem mnóstwo spotkań w poniedziałek. Ktoś z młodszego personelu przyniósł mi kanapkę - nie pamiętam skąd, ale była z grubym plasterkiem szynki i znakomicie przyprawiona.

- Tak lekko pan o tym mówi - zauważyła Shipley - a

podobno tak pana przygnębiły oba te zabójstwa.

- Proszę mi wybaczyć. Chyba nie przywykłem do pytań o alibi, pani inspektor.

- Bardzo nam pan pomógł, panie Allbeury - zapewnił go Jim Keenan.

- Naprawdę?

- Tak sędzę. Prawnik wstał.

- Jeśli będę jeszcze do czegoś potrzebny, proszę dzwonić bez skrępowania.

- Nie omieszkamy - rzekła Shipley.

- Bardzo dziękuję.

- To oczywiście nie jest cała historia - powiedział Keenan, kiedy zjeżdżali błyszczącą windą.

- Łgał w żywe oczy - dodała Shipley, patrząc w kamerę.

- Raczej delikatnie mijał się z prawdą. Prawdopodobnie nie chce, byśmy wnikali zbyt głęboko w jego sprawy, ale raczej nie ma nic wspólnego z morderstwami.

- Lubi go pan? - spytała Shipley z ciekawością.

Drzwi się otworzyły. Minęli portiera i z marmurowego

holu wyszli na biegnący wzdłuż rzeki chodnik, gdzie dał lodowaty wiatr.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że go nie lubię.

Przynajmniej nie tak bardzo jak pani.

- Nie chodzi mi tylko o niego. Cały ten układ wydaje mi się podejrzany. - Z St Saviour Dock i Butler's Wharf skręcili razem w boczną ulicę, gdzie zostawia samochody. - Choćby Novak, który być może służy za stręczyciela facetowi z Shad Tower... A już na pewno nie wierzę w żadne przypadki.

- One się zdarzają. - Keenan szukał w kieszeni kluczyków. - Logicznie rzecz biorąc, gdyby Allbeury chciał kogoś zabić, to prędzej mężów.

- Może - Shipley wyjęła swoje klucze z torby - on pogardza kobietami, które uważa za zbyt słabe, by mogły wystąpić w swojej obronie.

- Niewykluczone.

Najpierw podeszli do jej mimmorrisa.

- Ale pan w to nie wierzy, co?

- Raczej nie. - Wiatr wzdymał płaszcz Keenana. - Już pani mówiłem: moja drużyna obstawia Patstona.

Shipley zaryła obcasem w chodnik.

- Przepraszam - rzekł Keenan.

- Czy będę mogła obejrzeć sprawozdanie z sekcji Joanne? - spytała nagle.

- Jutro je pani przefaksuję.

- Nie wraca pan teraz do biura? Keenan uśmiechnął się znowu.

- Wyślę faks, jak tylko tam dotrę.

69

Christopher, który znowu nocował w domu przy Holland Park, nie mógł się pozbyć myśli o włamaniu do komputera w Beauchamp.

Nietypowa dla Lizzie napastliwość podczas wcześniejszej rozmowy telefonicznej wzmogła jeszcze bardziej jego niepokój. Zaczynał się zastanawiać, czy ewentualny haker (jeśli to właściwe słowo) nie szukał czasem podstaw do wytoczenia sprawy rozwodowej.

Kolejnych podstaw, skorygował sam siebie z przykrością. Przecież z pewnością Lizzie miała już aż nadto dowodów.

Tak czy inaczej, świadomość, że żona - zwykle prostolinijna do bólu - mogłaby się uciec do tak podstępnych metod, budziła w nim żal i prawdę rzekłszy, złość.

Nalał sobie dużą szklanę malta.

Nie ma w tych plikach nic, co pomogłoby jej uzyskać rozwód, tego akurat był pewien. Tylko kolejne dowody troskliwości kochającego męża.

Tak, jest kochającym mężem, chociaż może nie do końca idealnym.

Za to jako ojciec nie ma sobie absolutnie nic do zarzucenia.

Wypił duży haust whisky i zadrżał. Na samą myśl, że Lizzie mogłaby rozważać coś takiego jak rozwód, robiło mu się niedobrze.

70

O dziewiątej wieczorem Shipley jadła w domu pałeczki z KFC i popijała je colą; po pracy wlała w siebie dwa piwa w towarzystwie Jacksona i Gregory'ego i gdyby miała do tego dodać kolejne, nie byłaby w stanie wysnuć sensownych wniosków z raportów, które leżały przed nią na niskim stoliku. Jim Keenan, zgodnie z obietnicą, przefaksował jej nie tylko sprawozdanie z sekcji, ale także z oględzin miejsca zbrodni.

- W sam raz na upojny wieczór - mruknęła do siebie. Wytarła ręce z tłuszczu i zabrała się do nowego raportu, przywołując w pamięci postać doktor Patel. Lektura raczej nie podniosła jej na duchu, zresztą

nie spodziewała się po niej czegoś specjalnie przydatnego. Wzmianka o znalezionym za paznokciami Joanne Patston naskórku, który okazał się jej własnym, musiała pogrzebać nadzieje tych z Theydon Bois. Poza tym między obydwoma zabójstwami więcej jest różnic niż podobieństw. Joanne Patston nafaszerowano przed śmiercią środkami uspokajającymi, natomiast sekcja Lynne Bolsover niczego takiego nie wykazała. Na ciele Lynne znaleziono ślady po wcześniejszym biciu, u Joanne Patston ich nie było. Jeśli kamień i szmata znalezione przez małą Kate Bolsover w garażu zostały tam podrzucone (w co sama Shipley dotąd wierzyła) przez zabójcę, nie stało się tak - przynajmniej na razie - w przypadku Joanne Patston.

- No dobra - szepnęła do siebie kilka minut później. Istniało jednak jedno uderzające podobieństwo.

Stephanie Patel napisała, że pierwszy cios wymierzony Bolsover mógł spowodować śmierć; według doktora Collinsa, Joanne Patston również zginęła już od pierwszej rany. A jednak w obydwu przypadkach mordercy zadawali następne ciosy: dwa u pierwszej, trzy u drugiej z ofiar.

Może niekoniecznie schemat, ale zawsze coś.

Shipley zrobiła stosowną notatkę i zabrała się do zgłębiania kolejnych, słabszych już paraleli. Obaj mężowie ze skłonnościami do przemocy, ale Patston kierował swą agresję głównie na dziecko. W obu napaściach brak wyraźnego podłoża seksualnego. W raporcie z oględzin miejsca zbrodni znalazła jeszcze jeden istotny szczegół, który porównała z poprzednim przypadkiem. Obydwa ciała były słabo ukryte.

- I co to oznacza? - mruknęła, dopijając colę.

Że zabójca chciał, by je odnaleziono? A może raczej nie umiał pochować ciał należycie.

Albo jest to prostu kolejny zbieg okoliczności. Obaj

zabójcy mogli się przestraszyć ewentualnych przechodniów.

Poza tym żadne podobieństwa się nie nasuwały. Z wyjątkiem, rzecz jasna, Allbeury'ego i Novaka.

71

Sandra zastanawiała się - pijąc jedną filiżankę herbaty po drugiej, zajmując się Iriną i gadając z Karen Dean (ostatnio doszła do wniosku, że łatwiej rozmawia się jej z Karen niż z własnym zięciem czy życzliwymi przyjaciółkami) - dlaczego Tony wyraźnie ucina wszelkie rozmowy na temat adopcji Iriny, skoro na początku wręcz się tym przechwalał.

Pytanie to wciąż na nowo leżało jej w głowie, toteż cały czas usilnie poszukiwała odpowiedzi, traktując te dociekania jako jedyny sposób na odsunięcie myśli od Joan-

ne i zachowanie sprawności umysłowej choćby ze względu na dziecko.

I nagle zrozumiała. A gdy to nastąpiło, nie mogła pojąć, dlaczego dotąd była aż tak ślepa.

Przez nieskończenie długi czas, starając się o pozwolenie na adopcję, Tony i Joanne nie mogli przebić się przez system, który wciąż ich odrzucał. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znalazło się wyjście i w ciągu zaledwie kilku miesięcy przywieźli Irinę do domu.

Sandra odczekała, aż wnuczka zaśnie, a Dean pójdzie do kuchni przygotowywać spaghetti na kolację, po czym ruszyła na poszukiwanie zięcia.

Tony w garażu grzebał pod maską samochodu.

- Jest już kolacja? - spytał, widząc teściową w bocznych drzwiach.

- Niedługo będzie. - Sandra zamknęła za sobą drzwi, nabrała powietrza i przeszła prosto do rzeczy. -

Tony, domyśliłam się, dlaczego tak dziwnie zachowywałeś się wobec policji i nie chciałeś ani rozmawiać o adopcji, ani zwrócić się do telewizji.

Wyprostował się z nieprzeniknioną, przypominającą maskę twarzą.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Ściszyła głos.

- Zdobyliście ją nielegalnie, tak?

- Sandro...

- Trzeba było mi powiedzieć! - wybuchnęła, chcąc mieć to wreszcie za sobą. - Przecież bym zrozumiała, jak mogliście myśleć inaczej? Pomogłabym wam, zrobiłabym wszystko...

- Na miłość boską - syknął Tony - nie drzyj się tak!

- Nic nie szkodzi. Karen jest w kuchni, Irina śpi, a ja mówię dostatecznie_cicho. Tony, zrozum, że możesz mi za-

ufać, nigdy nie zrobię nic, co...

- Kurde, zamknij się wreszcie! - Tony trzasnął maską, policzki mu płonęły. - Jeśli chcesz pomóc, to po prostu trzymaj gębę na kłódkę i nie poruszaj tego tematu. Bóg mi świadkiem, że do końca życia będę żałował tej cholernej sprawy!

Sandra wlepiała w niego wzrok.

- Ale chyba nie tego, że masz Irinę?

- Nie, jasne, że nie tego! Po prostu się zamknij i wysłuchaj mnie choć raz. - W oczach miał czystą rozpacz. - Zrozum, cały czas krąży mi to po głowie, już nie wiem, co mam robić... - Odwrócił się i rąbnął obu dłońmi w dach samochodu. - Zaczynam myśleć, żeby może powiedzieć im o Irinie, bo wtedy przynajmniej uwalą mnie tylko za nielegalną adopcję, a nie za morderstwo, co?

Sandrę zamurowało. Gapiała się w jego plecy, aż wreszcie Tony wyczuł jej spojrzenie i obrócił się ze zgrozą w oczach.

- Chyba nie myślisz, że... że to ja...

- Nie, skądże. - Sandra mówiła prawdę, ani przez chwilę nie wierzyła, że Tony mógł zabić Joanne. - Ale czy nie rozumiesz, że jeśli wyznasz im prawdę o Irinie, to nam ją odbiorą?

- Oczywiście, że rozumiem.

- I nic cię to nie obchodzi?

- A co to za różnica, przecież inaczej dostanę dożywocie za zabójstwo jej matki.

Drzwi się uchyliły i Karen Dean wsunęła głowę.

- Kolacja gotowa, a wy?

72

Shipley dotarta do Theydon Bois wczesnym rankiem we czwartek, mając nadzieję na kolejną pogawędkę z Keena-nem.

Wszedł dokładnie dziesięć minut po niej z torbą zawierającą pączek z dżemem i cappuccino.

- Gdybym wiedział, że pani przyjedzie, kupiłbym podwójne porcje.

- Przepraszam, że tak pana napadłam.

- Wcale mnie pani nie napadła.

Poczekala, aż znajdą się w biurze, przesunęła wzrokiem

po oprawionej fotografii ciemnowłosej kobiety, prawdopodobnie żony, oraz trójki dzieci w różnym wieku, z których żadne nie zdradzało podobieństwa

do chudego, wymizero-wanego detektywa. Keenan położył torbę ze śniadaniem na biurku i powiesił płaszcz przeciwdeszczowy.

- To pańskie? - spytała, czując, nie wiedzieć czemu, ukłucie zazdrości.

Keenan pokiwał głową z uśmiechem.

- Niestety, nie jestem aż takim dżentelmenem, żeby oddać pani swoje cappuccino, ale jeśli ma pani ochotę na kawę, to zaraz przyniosę filiżankę cieczy z maszyny.

- Nie trzeba, dziękuję.

Keenan zdjął plastikowe wieczko z kubka, upił trochę i otarł reszkę pianki z górnej wargi.

- Porównała pani raporty?

- Tak. - Przedstawiła mu sprawnie swoje analizy.

Keenan słuchał uważnie, a kiedy skończyła, zacisnął na chwilę wargi, zanim przemówił.

- Myślę... mam nadzieję, że nie jestem tępym gliniarzem, pani inspektor...

- Helen - przerwała mu. - Ale...?

- Ale w mojej sprawie na razie wszystko wskazuje na Patstona.

- Mimo braku oznak przemocy w domu i garażu, mimo miejsca zbrodni odległego o wiele kilometrów? Oraz faktu, że Joannę naprawdę wyszła, tak jak zapowiadała, i naprawdę zostawiła Irinę u matki?

- To nie znaczy, że nie spotkała się z Patstonem później. Mogła wpaść do warsztatu albo umówić się z nim na lunch. Miała przy sobie paszport, może jej powiedział, że chce zarezerwować wakacje?

- To jest naciągane.

- Wiem.

Zadzwoił telefon na biurku. Keenan odebrał go, słuchał przez kilka sekund, notując coś na kartce, wreszcie podziękował i się rozłączył.

- Kilka miesięcy temu lekarz rodzinny zapisał

Joannę diazepam - poinformował Shipley. - A ponieważ w domu nie znaleziono tabletek, musiała albo je skończyć wcześniej, albo wyrzucić. Chyba że Patston je pokruszył i wsypał jej do kawy albo soku.

- Zerknął w notatki. - Dotarliśmy do bibliotekarki i innej kobiety z South Chingford Library. Obie zapamiętały, że parę tygodni temu Joannę rozmawiała z jakimś mężczyzną, kiedy jej córeczka oglądała książki.

- Allbeury?

- W średnim wieku, dobrze ubrany, ciemne, siwiejące włosy. To potwierdza jego wersję.

- Nadal mu nie ufam.

- Przyjrzałem mu się dobrze od wczorajszego popołudnia, podobnie jak pani przedtem, w co nie wątpię. Facet wydaje się absolutnie czysty.

- A już przynajmniej nie ufam jego motywacjom.

- Ludzkie motywacje często wydają się dziwne dla innych. To jednak nie znaczy, że są psychopatami czy mor-dercami. - Keenan wzruszył ramionami - Może Robin All-beury naprawdę lubi pomagać kobietom bez żadnych ubocznych motywów.

- Może - zgodziła się bez przekonania Shipley.

Keenan rozwinął paczka i położył go na papierowej torbie.

Shipley pojęła aluzję.

- Zostawię pana w spokoju.

- A może słówko rady od starego wygi, który widział już to i owo?

- Nie zaszkodzi - odparta Shipley, wstając.

- Przeczucia bywają przydatne. Zawsze w nie wierzyłem. Ale tylko pod warunkiem, że nie dopuścimy, by prze-rodziły się w obsesje.

- Myśli pan, że mam obsesję na punkcie Allbeury'ego i Novaka?

Keenan podniósł wzrok; uznał, że pytanie było szczere. - Jeszcze niezupełnie.

73

Nick Parry zakończył żmudny proces brania prysznic i wycierania się, co w ostatnich dniach nauczył się wykonywać solo, chociaż przy pomocy Clare lub któregoś z opiekunów wszystko przebiegało znacznie łatwiej. Najgorsze upokorzenia dawno już miał za sobą, ale i tutaj dużo zależało od tego, kto mu akurat pomagał. Najbardziej odpowiadała mu pod każdym względem Clare Novak, częściowo dlatego, że była kompetentna i delikatna, przy najbardziej obrzydliwych procedurach rzeczowa, lecz taktowna, a częściowo - ponieważ zawsze wyczuwał, że lubi z nim przebywać i rozmawiać.

No i w masażach z użyciem olejków aromatycznych nikt nie mógł jej dorównać.

Teraz właśnie wykonywała taki masaż i chociaż posługiwała się dłońmi z profesjonalną powściągliwością, Parry nie umiał powstrzymać się od wspomnień innych fantastycznych masażu, jakie aplikowano mu w czasach, kiedy był jeszcze normalnym, aktywnym, dociekliwym facetem. Na swój sposób tego typu wspomnienia sprawiały mu piekielny ból, wbijając w otchłań depresji, ale już dawno doszedł do wniosku, że lepiej już mieć co wspominać, niż nigdy niczego takiego nie doświadczyć.

- No dalej, mów jeszcze o tej wczorajszej nocy.

- Rozluźnij się, Nick.

- Mów, bo inaczej mam robaczywe myśli.
- I tak je ciągle masz - odparła Clare lekkim tonem.
- Daj spokój, Novak, wiesz, że moje uszy są jak studnia.

Kilka minut wcześniej rzeczywiście zaczęła mu opowiadać, ale nagle urwała, czując, że jest niełojalna wobec Mi-ke'a, który zabrał ją wczoraj na kolację, bo koniecznie chciał uczcić radosną nowinę. Clare wolałaby upichcić coś w domu, ale mężowi zależało, aby wyzbyła się obaw związanych z wczesną ciążą. Po raz kolejny próbował ją przekonywać, że w tym, co się wydarzyło ostatnim razem, zawinił wyłącznie los - przecież gdyby on był wtedy w domu, wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Mówił, że to się już nie powtórzy - opowiadała Parry'emu. - Wszyscy nam wtedy wmawiali, że nie ma powodu przypuszczać, że znów się coś stanie. Obiecował, że teraz nie odstąpi mnie na krok, co prawdopodobnie doprowadzi mnie do szału.
- Szczęściara z ciebie.
- Wiem. - Clare wlała sobie na dłoń trochę olejku z kwiatu pomarańczy i pestek moreli. - Uważa, że powinnam lżej do tego podchodzić i mniej pracować.
- Ale ty kochasz pracę.
- Powiedział, że mam zredukować godziny, a nie rzucić pracę. - Clare umilkła i w skupieniu wcierała mu olejek w łydkę.
- Chce, żebyś przestała tu przychodzić? Clare się uśmiechnęła.
- Owszem, zasugerował to.
- Może ma rację.
- Nie ma ani cienia racji i powiedziałam mu to.
- A on?
- Nic. - Zajęła się teraz drugą łydką. - On nigdy mnie do niczego nie zmusza.
- Ale...?
- Zapytałam go, czy też się nie boi. On myśli, że

chodziło mi tylko o dziecko.

- A to nieprawda, tak?

Clare pokręciła głową i przestała masować.

- Jest na tym świecie tyle innych powodów do obaw... wystarczy tylko zacząć myśleć.

- Chodzi ci o tę dziewczynkę, Irinę?

- Tak, między innymi o nią.

- I o jej matkę.

- Oczywiście.

- Biedaczka... - westchnął Parry.

74

Samochód Joanne nie przedstawiał sobą niczego ciekawego czy przydatnego, a w pozostałych punktach śledztwa nadal były luki, toteż odczekawszy do soboty, Keenan postanowił przypiec nieco pięty i tak już zdenerwowanemu Patstonowi. Zadzwonił do niego z rana i zapytał, czy Tony nie pofatygowaliby się do Theydon Bois na kolejną pogawędkę.

- Jakiego rodzaju pogawędkę? - spytał podejrzliwie Patston.

- Chcemy tylko wyjaśnić kilka punktów. Pod przyjaznym tonem Keenana kryło się coś, co zmroziło Tony'ego do szpiku kości.

- A gdybym tak kogoś z sobą przyprowadził...

- Na przykład kogo, panie Patston?

- Adwokata. Po prostu żeby miał oko na pewne sprawy. - Aż się spocił na myśl, jak to musiało zabrzmieć w uszach policjanta. - To nie jest tak, jak

pan przypuszcza - dodał szybko.

- Ależ proszę koniecznie przyjść z adwokatem - zgodził się gładko Keenan. - Woli pan przyjechać sam czy mamy pana przywieźć?

Tony wybrał pierwszą możliwość.

- To chyba nie potrwa długo? - spytał trzy godziny później w pokoju przesłuchań, siedząc naprzeciwko Keenana i Reeda.

Wcześniej przez ponad dziewięćdziesiąt minut przewracał gorączkowo żółte strony w poszukiwaniu całodobowo czynnych kancelarii, zanim udało mu się znaleźć adwokata, który w sobotni rano miał czas i chęć na spotkanie w Theydon Bois.

Richard Slattery, który teraz siedział przy nim, sprawiał dość solidne wrażenie, zwłaszcza pod względem postury, ale poza faktem, że zgodził się przyjechać niemal natychmiast i że policzył sobie za to słone honorarium, Tony nie wiedział nic o jego zawodowych kwalifikacjach.

Lepsze to niż nic. Miejmy nadzieję.

- Nie jest pan aresztowany, panie Patston - wyjaśnił Keenan. - Może pan w każdej chwili wyjść.

- W porządku - burknął Tony ze skurczonym żołądkiem. - Tylko...

- Ma pan prawo do adwokata z urzędu, ale najwraźniej sam pan o siebie zadbał - dodał Keenan, zerkając na Slattery'ego.

- Tylko nie chciałbym zostawiać córki na zbyt długo - dokończył Tony.

- Chyba jest pod opieką babci?

- Tak, ale cały czas martwi się o mamę.

Na stole stały plastikowe kubeczki z kawą. Slattery pił, chlepcząc jak mały kotek, co przy jego rozmiarach Tony'emu wydało się śmieszne. Ani Keenan, ani Reed nie tknęli jeszcze swoich, a Tony nie odważył się wziąć kubeczka w obawie, że ręka mu będzie drżała.

- Włączę teraz magnetofon - zapowiedział Keenan. Terry Reed rozpakował dwie kasety, włożył je do stojącego pod ścianą magnetofonu. Keenan uruchomił nagrywanie.

- Kocha pan swoją córeczkę, prawda? - spytał detektyw sierżant Reed.

- Jasne, że tak - odparł Tony, nie przestając zdumiewać się nowo odkrytym uczuciem do Iriny.

- Skoro pan kocha Irinę, to czemu ją pan bije? - spytał łagodnie Keenan.

- Nieprawda! - Tony poczerwieniał. - Kto tak mówi?

- Mamy powody, by wierzyć, że Irina co najmniej kilka razy została pobita pięścią albo i gorzej.

Obrażenia, jakie przy tym odniosła, okazały się na tyle poważne, że trzeba było przewieźć ją do szpitala Waltham General.

Richard Slattery wychylił się do przodu i wbijając swój wielki brzuch w krawędź stołu, spytał:

- Czy mógłbym zamienić z moim klientem słówko na osobności?

- Nie! - zaprotestował Tony, podnosząc nagle głos.

- Panie Patston...

- Nie! Nie mam nic do ukrycia!

Zawsze chlubił się umiejętnością wykorzystywania "złotej okazji", kiedy dyndała mu przed nosem, a wyglądało, że ta, która właśnie się pojawiła, będzie musiała wystarczyć na cholernie długo. Joanne, niech Bóg mu wybaczy, i tak już więcej nie ucierpi.

- Nigdy nie chciałem nic mówić - zaczął z niechętną miną. - Teraz też bym milczał, ale...

- O co chodzi, panie Patston? - przerwał mu Keenan. Tony czuł, że wszyscy go pilnie obserwują. Znow zaczął

się mocno pocić i rozboleła go głowa.

- To Joanne biła Irinę.

W pokoju zapadła cisza. Keenan zerknął na Reeda, Slattery zaś - wyczuwając lodowatą pogardę tak

namacał ją jak wymierzony z całej siły policzek, przyglądał się własnym dłoniom.

- Nie odnieśliśmy takiego wrażenia - odezwał się po chwili Terry Reed.

- Cóż - rzekł Tony - nie wyglądało na to.

- Słyszałem - ciągnął Reed - że pańska żona starała się

nie dopuszczać do płaczu Iriny, bo pan tego nie...

lubił. - Ostatnie słowo wymówił z wyraźnym wstrętem, zupełnie jakby cuchnęło.

- Bo ona chciała, żeby ludzie tak myśleli. - Patston czuł, jak natchnienie podpowiada mu właściwe repliki. Biedna Jo nie mogła niczemu zaprzeczyć, a przecież nikt poza nią nie widział, żeby tknął Irinę choćby palcem. - Może nawet sama chciała w to wierzyć, bo prawda tak ją przerażała?

- Jaka prawda konkretnie? - spytał cicho Keenan.

- Taka, że Joanne nie radziła sobie tak dobrze, jak to z pozoru wyglądało. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy w związku z adopcją, okazało się, że nie jest tak dobrą matką, jaką być chciała.

- Ale o czym pan właściwie mówi? Że pańska żona wpadała w złość, kiedy Irina płakała?

- Tak było.

- A jednak Joanne robiła, co w jej mocy, by cały czas mieć córkę przy sobie.

- Przecież nie mówię, że jej nie kochała. Ona po prostu sobie nie radziła. - Tony wodził wzrokiem po swoim audytorium. - Wiedziała, jak bardzo się denerwowałem, kiedy biła dziecko. Nie macie pojęcia, jak mi przykro to mówić, kiedy biedna Jo...

- Łzy znowu napłynęły mu do oczu. Nie wiedział, czy jest bardziej dumny czy zawstydzony z powodu tego przedstawienia, ale niewątpliwie było dobre i co ważniejsze - konieczne.

- Spokojnie, panie Patston - rzekł Keenan. - Mamy dużo czasu.

- Zamierzałem na zawsze utrzymać to w tajemnicy - krygował się Tony. - Chciałem pomóc jej to przezwyciężyć. I wolałbym, żeby Sandra się o tym nie dowiedziała, bo po co ma się trać? Ale Joanne potrafiła czasem porządnie się wkurzyć, zwłaszcza w pewnych dniach cyklu... ale o tym już wspominałem?

- Właściwie mówił pan coś wręcz przeciwnego - zauważył Keenan, zerkając w notatki. - Że wcale nie znosiła tak źle napięcia przedmiesiączkowego. Ale podobno skarżyła się na nie tego ostatniego ranka. Więc jak było naprawdę?

Tony stropił się nieco.

- No niedobrze było - wyznał, robiąc skruszoną minę. - Nie chciałem, żebyście wiedzieli, i dlatego... - Nagle odzyskał pewność siebie. - Rozumiecie, chodziło mi o jej dobre imię.

- Bardzo to chwalebne.

Reed wychylił się do przodu. W jego przenikliwych oczach błysnęła podejrzliwość.

- Mówił pan, że Joanne wiedziała, jak bardzo się pan denerwował, widząc, jak ona bije dziecko.

- Oczywiście, że wiedziała. Po prostu coś się we mnie ścisnęło, kiedy Irina płakała, bo wiedziałem, co za chwilę nastąpi i...

- A nie próbował pan jej powstrzymać?

- Oczywiście, że próbowałem.

Znów zapadła cisza.

- I to właśnie wydarzyło się tamtego dnia? - spytał Keenan.

- Co? Kiedy?

- Tego ostatniego ranka. Przed wyjściem Joannę.

Czy wtedy próbował pan nie dopuścić do bicia dziecka?

- Nie. - Pewność siebie zniknęła z szybkością wody spływającej po wyciągnięciu zatyczki. - Nie, wtedy nie.

- Może to była ta ostatnia kropla? Nagle uświadomił pan sobie, że musi ją zabić?

Tony'emu żołądek podszedł do gardła. Zrozumiał, że wpadł we własne sidła.

- Chwileczkę - powiedział, zerkając z ukosa na Slatte-ry'ego, który siedział w milczeniu. - To jakiś obłąd. Co to ma wspólnego z morderstwem? Po prostu wyjaśniałem sprawę krzywdzenia Iriny i tyle.

- Ale jeśli nawet zabił pan żonę - teraz Keenan wychylił się do przodu i z napięciem w twarzy przemawiał łagodnie, niemal zachęcająco - to w świetle tego, co nam pan opowiedział, byłoby to zrozumiałe.

- Nie zrobiłem tego - odparł Tony, nie odrywając wzroku od kręcących się taśm.

- Widok krzywdzonego dziecka doprowadziłby każdego kochającego tatusia do kresu wytrzymałości

- dodał Reed, również wychylony do przodu.

- Obaj przekręćcie moje słowa! - Tony wodził z desperacją wzrokiem od jednego policjanta do drugiego, by wreszcie zwrócić się do Slattery'go, sterczącego obok jak bezużyteczna góra mięsa. - Nie mam nic wspólnego z zabójstwem Joannę, ja ją kochałem i nigdy przenigdy nie tknąłem jej palcem, nigdy nie pragnąłem jej śmierci ani przez sekundę! Keenan odchylił się z powrotem na oparcie. Jego uśmiech był teraz nacechowany niemal księżowskim współczuciem.

- Spokojnie, Tony. Przemyśl sobie to wszystko i podejmij właściwą decyzję, póki jeszcze możesz.

- Właściwą decyzję? - powtórzył jak echo Tony. - Boże...

Znów wodził oczami po twarzach wszystkich zebranych, czując, że żołądek zmienia mu się w bryłę lodu. Teraz już nie miał wyboru.

- Okej - rzekł, wciągając głęboko powietrze. - Okej. Powiem wam o czymś, chociaż dotąd wychodziłem ze

skóry, żeby zachować to w sekrecie.

Musiał przerwać. Otarł wierzchem dłoni oczy, bo znów zaczęło mu się zbierać na płacz, ale nie miał już czasu na dziecinne wykręty, chciał wreszcie wyrzucić to z siebie, zanim wszystko mu się wymknie spod kontroli.

- Już dobrze, Tony - uspokajał go dobrotliwie Keenan. - Mamy czas.

Tony opuścił rękę z powrotem na kolano.

- Nie, nie. To nie tak. Tu nie chodzi o Joanne, tylko o coś zupełnie innego.

- Panie Patston - ożywił się nagle Richard Slattery.

- Myślę, że przerwa...

- Nie - uciał Tony. - Nie będzie żadnych przerw ani krążeń po opłotkach. - Znów zaczął się silnie pocić i drżeć.

- Naprawdę radziłbym...

- Nie! - Tony usiadł prosto i skupił wzrok na Keenanie.

- Musicie mnie wreszcie wysłuchać, bo kiedy skończę, zrozumiecie, dlaczego się tak beznadziejnie zachowuję. Bóg mi świadkiem, że trudno mi się pozbierać po śmierci Jo, ale teraz boję się utracić także dziecko. Po prostu umieram ze strachu!

- Czemu miałby pan stracić Irinę? Bo ją pan bił?

- Nie! - ryknął Tony. - To nie ma z tym nic wspólnego, chociaż i tak to nieprawda, przysięgam! - Patrzył w mizerną, napiętą twarz detektywa, łapiąc rozpaczliwie oddech. - Tu chodzi o sposób adopcji! Keenan zeskanował sobie mentalnie fakty, które dostarczyła mu Pat Hughes na temat adopcji Iriny, po czym błyskawicznie przeniósł uwagę na ludzki wrak po drugiej stronie stołu.

- Myśmy ją... kupili! - wyrzucił z siebie Tony. - Nie mogliśmy dostać dziecka w inny sposób, a Jo tak strasznie chciała być matką... Zrobiłem to dla niej z miłości, bo ją tak bardzo kochałem, że zrobiłbym

dosłownie wszystko! I nigdy w życiu nie mógłbym jej skrzywdzić, rozumiecie? Nigdy!

75

W sobotnie popołudnie w salonie apartamentu w Shad Tower, rozparty wygodnie na skórzanej, robionej na zamówienie sofie, Robin Allbeury, pstrykając pilotem, zlokalizował na satelicie kanał Food and Drink i program, który wcześniej wytypował do obejrzenia.

Na ekranie ukazało się kuchenne studio, a w nim ona -nadzwyczaj ujmująca w białej bawełnianej bluzce, dopasowanych dżinsach i fartuszką w białoniebieskie paski, z facetem w idiotycznym kitlu obok. Włosy miała nieco inne - dłuższe, może odrobinę jaśniejsze, chociaż mogły się tylko takimi wydawać w ostrym oświetleniu. Trochę młodsza, sądząc z okolicy oczu - jeszcze jeden dowód, że to powtórka programu nagranych kilka lat wcześniej. Co nie znaczy, że teraz wygląda starzej.

Roześmiała się z czegoś, co ten facet powiedział. Śmiech zmienił ją w prawdziwą piękność. Przez tych kilka sekund była bardziej rozluźniona, prawdziwie beztroska, dopiero potem to wrażenie odpłynęło, a powróciła tamta, inna twarz. Twarz, która deklarowała, że wszystko idzie gładko, że Lizzie Piper świetnie sobie radzi ze wszystkimi, narzuconymi przez życie wyzwaniem, chociaż gdyby ją przycisnąć, przyznałaby się może do pewnych trudności. Taką właśnie twarz prezentowała Lizzie

podczas obiadu w ubiegłym tygodniu.

Twarz, która go wtedy tak zafascynowała. Która fascynowała go nadal.

Allbeury wyłączył pilotem dźwięk, zerknął na zegarek. Ciekawe, czy Wade'owie spędzają weekend w Marlow czy przy Holland Park.

Sprawdź.

Zamierzał odczekać nieco dłużej - przynajmniej kilka dni - zanim zadzwoni znowu. Był bowiem z zasady człowiekiem cierpliwym.

Z kilkoma znacznymi wyjątkami.

Z których pierwsze miejsce należało zdecydowanie do Lizzie.

Allbeury odłożył pilota, sprawdził w palmtopie numer do Marlow i od razu się połączył.

- Halo? - odezwał się jej głos.

- Lizzie, tu Robin Allbeury. Wyraźnie się ucieszyła.

- O, cześć. Jak miło cię słyszeć!

- Dobry moment czy zły? Ale i tak nie będę cię przetrzymywał.

- Nie szkodzi, mam czas.

Wyobraził sobie, jak Lizzie rozsiada się wygodnie przy telefonie, może z psem na kolanach... Na miłość boską!

- Mam nadzieję - zaczął z lekkim ożywieniem - że przyjmiecie z Christopherem moje zaproszenie na obiad w najbliższym czasie. Może w przyszłym tygodniu, ewentualnie następnym?

- Oczywiście, z przyjemnością. Tylko pod koniec następnego tygodnia ma wyjść moja nowa książka i wydawcy wysyłają mnie w trasę.

- Szkoda. - Allbeury dobrze ukrył rozczarowanie. - A zaraz po powrocie pewnie będziesz wykończona.

- Prawdopodobnie - zgodziła się Lizzie. - Z tego, co zapamiętałam, w środku trasy przewidziany jest dwudniowy

pobyt w Londynie, więc jeśli przypadkiem nasze

wolne godziny zbiegną się w czasie, moglibyśmy spotkać się przy jakiejś kawie.
- Albo zaprosiłbym cię na odpężającą szklaneczkę po którymś spotkaniu.

~*~

W swoim domowym gabinecie Lizzie odpowiedziała, że to byłoby wspaniale, podała mu numer komórki, po czym odłożyła słuchawkę i wyciągnęła się wygodnie w fotelu.

Myśl o spotkaniu w cztery oczy (bo pewnie na tym się skończy, jako że Christopher zaplanował wszystko tak, aby w czasie jej nieobecności być przynajmniej przez jakiś czas w Marlow z dziećmi) wydała się jej całkiem pociągającą

Uważaj, Lizzie.

Wróciła myślą do tamtego obiadu. Czy rzeczywiście odczuła w jakimś momencie, że Allbeury z nią flirtuje? Nie, bez względu na to, co mówi Susan, nic takiego sobie nie przypominała. Zresztą sama tym bardziej nie miała głowy do takich spraw - za bardzo pochłaniały ją choroby dzieci.

A jednak zachowała w pamięci Robina Allbeury'ego jako przystojnego mężczyznę o dużym uroku osobistym.

Zdaniem Susan, Lizzie wpadła mu w oko.

Boże, tylko tego jeszcze brakowało!

Uważaj, przestrzegła się w duchu.

W środę rano Sandra przy kuchennym telefonie w domu córki udawała, że słucha wynurzeń swojej sąsiadki Lilian West na temat zbliżającej się operacji prostaty u męża.

- Lilian, muszę iść.

Usłyszała ruch w dużym pokoju i domyśliła się, że to raczej konstabl Dean niż Tony idzie otworzyć drzwi; ostatnio stało się rutyną, że jej zięć tkwił z posępną miną w fotelu, pozwalając innym zajmować się domowymi sprawami. Sandra wiedziała, że to nie lenistwo, mogła teraz wyczytać z jego oczu ustawiczny strach i dostatecznie do brze знаła to uczucie, widziała je też we własnych oczach ilekroć zerknęła w lustro. Odkąd znaleziono Joanne, była taka pewna, że już naprawdę nie ma czego się bać, ale teraz, kiedy poznała prawdę o adopcji i wiedziała, że zna ją także policja, przeżywała taki sam strach przed utratą Iriny, jaki dzień po dniu musiało znosić jej nieszczęsne dziecko.

Strach przed dzwonkiem do drzwi.

Strach przed tym momentem.

Słyszała głosy przy drzwiach. Słyszała, jak Karen Dean wraca do dużego pokoju, mówi coś do Tony'ego, a on zaczyna krzyczeć.

Sandra otworzyła drzwi od kuchni i zadrżała.

W holu było pełno obcych - dwie kobiety, mężczyzna, gdzieś z tyłu takie inspektor Keenan, a z pokoju wychodziła właśnie konstabl Dean...

Potem usłyszała krzyk.

Krzyk Iriny - przeraźliwy, bez słów.

- Sandro, tak mi przykro... - Dean z zażenowaną miną pośpieszyła w jej stronę.

- Co to jest?! - Sandra przepchnęła się koło niej i zobaczyła, że kobieta o pomarańczowych włosach przyciska do siebie Irinę. - Co wy tu robicie?

- Daj spokój, Sandro. - Tony stał za plecami rudej z

kartką w rękę, bardzo blady. I nic nie robił, po prostu stał i patrzył, jak zabierają mu córkę.

- Muszą ją zabrać - tłumaczyła jej Dean, wyciągając rękę, by dotknąć jej ramienia.

- Nie!!! - Sandra rzuciła się do przodu z wyciągniętymi rękami. Próbowwała pochwycić dziecko, ale ruda uskokczyła w bok i zdesperowane palce babki zdołały uchwycić tylko rękaw jej płaszcza. - Oddajcie mi ją!

- Nic nie poradzisz, Sandro. - Dean miała mokre oczy.

- Oddawaj!

Irina patrzyła na nią wielkimi przerażonymi oczami. Z szoku i oszołomienia miała otwartą buzię, ale w tej akurat chwili nie krzyczała. Trzymająca ją kobieta obróciła się i zaczęła iść w stronę drzwi, a dziewczynka znów się rozkrzyczała.

- Nie! - wrzasnęła za nimi Sandra, machając na oślep rękami, łapiąc się za włosy. - Nie wolno im! Nie mogą! Powiedz im, że nie mogą!

- Mogą - rzekł cicho Tony.

Reszta ekipy w milczeniu ruszyła za koleżanką. Nie okazywali żadnych uczuć ani wobec krzyczącego dziecka, ani zrozpaczonej kobiety, która niedawno straciła jedyną córkę, a teraz, w tej chwili, także jedyną wnuczkę.

Sandra patrzyła za nimi przez chwilę, potem odwróciła się do pozostałych - Keenana ze ściągniętą, wymizerowaną twarzą i Karen Dean, która tylko zaciskała usta, unikając jej wzroku.

I jeszcze na Tony'ego, wciąż stojącego niczym kawał drewna.

- Ty skurwysynu! - rzuciła się na niego z pięściami, płacząc, tłukąc go gdzie popadnie. On jednak nadal stał nieruchomo z oczami utkwionymi w przestrzeń.

- Ty głupi, egoistyczny skurwysynu!

- Pani Finch - odezwał się łagodnie Keenan. - Może

byśmy...

- Jak mogłeś pozwolić ją zabrać?! - Paznokcie Sandry dosięgły policzka zięcia; trysnęła krew. - Jak mogłeś to zrobić?

- Ja nic nie zrobiłem - wykrztusił w końcu Tony, nadal nie ruszając się z miejsca. - To prawo.

Wiedzieliśmy, że tak się musi skończyć.

Karen Dean podeszła do Sandry od tyłu i położyła jej ręce na ramionach. Ale już nie musiała powstrzymywać zdesperowanej kobiety. Cała siła, cały zapał do walki opuściły ją nagle, a ręce zwisły bezwładnie po bokach.

Tony Patston, który wypuszczony za kaucją po swym sobotnim wyznaniu, dreptał od tej pory w miejscu i niemal nie mógł oddychać, a cóż dopiero podejmować jakieś działania, nie patrzył już w przestrzeń za plecami teściowej.

Patrzył na Keenana.

Na Keenana, który wystąpił naprzód i zaczął do niego mówić:

- Anthony Patston...

Sandra słyszała wprawdzie niski, monotony głos inspektora, ale jeśli słyszała słowa, skierowane do jej zięcia, którego twarz z czerwonej zrobiła się nagle blada jak ściana, to i tak nie była w stanie pojąć ich sensu.

Przez cały czas słyszała tylko przeraźliwe krzyki jedyne dziecko zamordowanej córki. Pomyślała, że będą rozbrzmiewać w jej uszach do końca życia.

przypadek nr 6/220770

PIPER-WADE E.

analiza/ocena

zawieszono X

akcja

rozwiązano

Trasa Lizzie rozpoczęła się o piątej rano w czwartek. Najpierw zjawiała się Susan z zaczerwienionymi oczami, żeby zawieźć ją z Marlow do Oksfordu na pierwszy tego dnia radiowy wywiad, potem miało być podpisywanie książek w Waterstones i lunch z „Oxford Mail”. Stamtąd do Cheltenham do „Gloucester Echo” i samo Gloucester z kolejnym wywiadem radiowym. Następnie jeszcze dwie sesje podpisywania, przejazd do Bristolu na drinki z „Western Daily Press” i kolacja z „Evening Post” w hotelu Marriott, gdzie przewidziano nocleg. Rano wczesna pobudka i występ w telewizji śniadaniowej. W piątek po szóstej trzydziści, wymęczona, ale w poczuciu miłego odprężenia, jakie zawsze dawał jej ten hotel, Lizzie weszła do Savoyu i skierowała się po schodach do American Bar, gdzie przy narożnym stoliku czekał na nią Robin Allbeury.

- Wyglądasz na zmęczoną. - Pocałował ją w policzek i podsunął fotel. - Oczywiście ślicznie, ale jednak... I pewnie jesteś głodna? - spytał, siadając także.

- Głodna - tak - przyznała Lizzie. - Śliczna - zdecydowanie nie.

- Wybacz, ale się z tobą nie zgodzę. - Obserwował, jak siada i rozgląda się wokoło. - Trochę skołowana, co? Co powiesz na kieliszek czegoś tutaj, a potem poszlibyśmy

gdzieś indziej na spokojną kolację? - Dostrzegł wahanie na jej twarzy. - Gdzieś, gdzie mogłabyś po prostu paść i nie musiałabyś uważać na każde

słowo.

- Bardzo kuszące, pod warunkiem że nie do późna. Su-san zerwała mnie z łóżka o świcie do telewizji. - Zobaczyła, że Allbeury zmarszczył brwi. - Coś nie tak?

- Może powinienem zaprosić także Susan. Lizzie pokręciła głową.

- Ona marzy tylko o powrocie do domu. Pamiętaj, że dla niej to nie jest wolny weekend.

- A jednak powinienem o tym pomyśleć.

- Susan tak łatwo się nie obraża.

Wypili po kieliszku szampana, a potem Allbeury wywiózł ją z miasta do przytulnej restauracji przy bocznej ulicy w West Hampstead, prowadzonej przez dwóch gościnnych panów, wyraźnie starych znajomych prawnika.

- W ogóle nie musisz nic mówić, chyba że sama zechcesz - powiedział Allbeury po złożeniu zamówienia.

- A ja mogę albo gadać bez końca, albo także milczeć, jak wolisz.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby dla odmiany trochę posłuchać.

- Pewien adwokat sądowy mówił mi, jak bardzo męczące są publiczne występy.

- Nigdy nie chciałeś być obrońcą sądowym? Mogłabym wyobrazić sobie ciebie w tej roli.

- W todzie i peruce? O, nie!

- To czemu wybrałeś sprawy małżeńskie?

- Bo mnie to interesuje.

- Ale teraz już trochę mniej? - Lizzie przypomniała sobie, że podczas kolacji w ich domu Allbeury przyznał się do rezygnacji z pełnego etatu w kancelarii.

Przytaknął.

- Potrzebuję więcej czasu na inne sprawy.
- Intrygujące. Uśmiechnął się.
- Nie tak bardzo.
- Przepraszam, nie chciałam być wścibska.
- Po prostu się zainteresowałam, to miło z twojej strony. Przyniesiono pierwsze danie - zupę-krem z kalafiorów, którą Lizzie spałaszowała, jakby nie jadła od tygodnia. Potem z niemal równym zapałem zajęła się filetem z frytkami, przez co nie mogła za dużo mówić. Już po raz kolejny nie uszło jej uwagi, że Allbeury, który zamówił dobrego burgunda, sam nie pije, tylko obserwuje ją z uśmiechem.
- Czy mam musztardę na policzku?
- Przepraszam. Gapiłem się na ciebie?
- Nie szkodzi. To jest o wiele za dobre, by mnie cokolwiek obchodziło.
- To dobrze. - Umilkł na chwilę. - Jak tam Christopher?
- Świetnie. Robi za męża domowego w Marlow, podczas gdy ja raczę się winem i różnymi frykasami w knajpach całego kraju.
- To bardzo godne pochwały.
- Oczywiście ma do pomocy Gilly. No i musi jeszcze doglądać swoich pacjentów w jednym z lokalnych szpitali.
- Więc nie zajmuje się tylko pilnowaniem dzieci? Usłyszała w tym pytaniu leciutką nutkę ironii i poczuła się w obowiązku wystąpić w obronie męża.
- Nie miałby nic przeciwko temu. Chociaż Edward, nasz najstarszy, na pewno by się oburzył, słysząc, że wymaga pilnowania. Allbeury pokiwał głową, zapytał jeszcze o Jacka i Sophie, po czym zadał jeszcze kilka inteligentnych pytań na temat DMD, na które Lizzie odpowiedziała

bez skrępowania. W sumie uznała ów wieczór za najbardziej odprężający od niepamiętnych czasów. Allbeury opowiedział jej nieco więcej o swojej praktyce i wspólnikach, podkreślając, że w miarę możliwości stara się zawsze pracować z ludźmi, których lubi, a przynajmniej szanuje. Na przykład z pewnym niewymienionym z nazwiska wspólnikiem rozstał się, gdyż tamten gotów był pójść na rękę klientowi, który okazał się przestępcą. Ale - dodał zaraz z uśmiechem - dzięki temu doświadczeniu poznał swego obecnego ulubionego współpracownika, młodego prywatnego detektywa nazwiskiem Novak, który wraz z żoną prowadzi własną agencję. - Mili ludzie - rzekł.

Dopiero pod koniec wieczoru, w drodze do domu przy Holland Park, Lizzie zdała sobie sprawę, jak zręcznie Allbeury wyciągnął z niej fakty, opinie, a nawet, do pewnego stopnia, odczucia, nie mówiąc o sobie prawie nic znaczącego.

Ona już ma męża, który jest uroczy i szarmancki. Męża, z którym jest nadal tylko ze względu na dzieci. A Robin Allbeury - jak uznała ponownie, zerkając na niego z boku w czasie jazdy - jest naprawdę niesamowicie przystojny.

Uważaj, Lizzie.

I znów przestrzega samą siebie. Zatrzymał jaguara przed domem i wyłączył silnik.

- A więc za kilka dni wracasz, tak?

Nagle poczuła się jak nastolatka żegnająca się z chłopakiem po pierwszej randce przed domem rodziców. Nie - randce.

- Tak - odparła dość sucho - ale najpierw czeka mnie Manchester, Leeds, York, Newcastle, Glasgow, Edynburg... no i jeszcze Kraina Jezior. - Podniosła torbę z podłogi. -A po tym wszystkim będę się nadawała tylko do całkowitej kasacji.

- W takim razie będziesz potrzebowała przyjaciela,

który da się skasować razem z tobą - zauważył Allbeury. -A na wypadek gdyby ci została jakaś kropla siły, mam nadzieję, że zapamiętasz mój numer telefonu.

78

Keenan zjadł niedzielny rostbef i yorkshirski pudding - dzieło żony, zagrał w nogę z chłopakami i poprzytulał córeczkę, ale przez cały czas miał przed oczami małą adoptowaną (tak naprawdę wcale nieadoptowaną) dziewczynkę, którą wynosiła z domu obca jej osoba. Na samą myśl, że mógł w jakikolwiek sposób przyczynić się do tego, robiło mu się niedobrze. Czuł się zupełnie bezużyteczny, wiedział, że to wszystko było okropne i niewłaściwe, a on nie potrafił znaleźć uczciwego wyjścia z sytuacji. Chciał powiedzieć tej biednej Sandrze Finch, że postara się jej pomóc ze wszystkich sił, i rzeczywiście zamierzał poruszyć niebo i ziemię, tylko co by to dało? Na pewno nie zmieniłoby niczego w kwestii dziewczynki.

- Przynajmniej Irinie nie grozi już nic ze strony Patsto-na - zauważył Terry Reed. Patston znów wrócił do domu; jedyny zarzut przeciwko niemu dotyczył adopcji. Próbowali teraz dotrzeć do rodziny Georgiu, sąsiadów Patstonów, którzy przebywali na Cyprze, w nadziei, że rzucają nieco światła na stosunki między Tonym a Joanne, ale na razie nic z tego nie wyszło.

Reed chciał dobrze. Wszyscy chcieli dobrze, ale źle się do tego zabrali.

Patrząc teraz na własne dzieci, Keenan miał ochotę walić pięścią w ścianę.

Shiplej powoli zaczynała rozumieć, że obsesja jest właściwą diagnozą stanu, który ją dręczy.

Bez względu na siłę swoich przeczuć, zawsze dotąd potrafiła rozpoznać, kiedy sprawa była przesadzona, nawet jeśli okazało się, że nie miała racji. Aż do tej chwili. Próbowwała, naprawdę próbowała pozbyć się tych myśli, a przynajmniej zepchnąć je do tyłu głowy i poświęcić całą uwagę przypadkowi narkotyków, ale Lynne Bolsover i Joanne Patston po prostu nie chciały się od niej odczepić. I właściwie miała pewne podstawy dla swojej irytacji, zważywszy, że obaj główni podejrzani byli łajdakami.

Dla swojej obsesji.

Tylko że pewien drobiazg, o którym napomknęła w rozmowie z Keenanem po wizycie u Allbeury'go, a który inspektor wtedy zlekceważył, nadal tkwił jej w tyle głowy, uwierał, przeszkadzał.

A jeśli kreujący się na obrońcę uciśnionych kobiet All-beury chce osiągnąć właśnie tych gnojków, ich mężów?

Zabija żony, ratując je w ten sposób od ich strasznej doli, po to, żeby pograżyć facetów?

Patston bił dziecko, nie żonę.

Obrońca uciśnionych kobiet i dzieci.

A może - Shiplej wróciła do tej myśli po kilku godzinach, dłubiąc machinalnie widelcem w jednoosobowej porcji rostbefu, kiedy omnibus „Eastendersów” przetaczał się z piskiem przez niedzielne popołudnie - takich skurwieli było więcej? I więcej niż dwie nieszczęśliwe żony?

- Boże! - powiedziała głośno, odsuwając talerz.

Znów przypomniała sobie broń, jaką posłużył się morderca pani Bolsover. I to, jak Kirby nazwał ją

paranoiczką, gdy powiedziała, że coś tu śmierdzi. Zresztą nikt nie chciał słuchać czegoś tak odjechanego. I bezpodstawnego. A bez oficjalnego wsparcia będzie niesamowicie ciężko przesiać stare sprawy morderstw żon w poszukiwaniu niewidzialnych powiązań z Robinem Allbeurym.

W takim razie pozostaje tylko jedno, zdecydowała Shipley, pakując swój obiad w starą plastikową torbę z Tesco. Zapytać go. I poszła się ubierać.

- Mogę być z panem szczerą, panie Allbeury?

- Byłbym bardzo wdzięczny.

Zatelefonowała wcześniej, by uprzedzić go, że musi zamienić z nim jeszcze kilka słów. Usłyszała coś w rodzaju westchnienia, ale potem prawnik ją zapewnił, że będzie mile widziana. Już w drodze do Shed Tower postanowiła sobie za wszelką cenę go sprowokować, wytrącić z tej wkurzającej chłodnej uprzejmości, może nawet dosięgnąć drugiej strony jego natury.

Jeśli oczywiście takowa istnieje, podpowiedział wewnętrzny głos przestrogi.

Usiedli na tarasie, za drzwiami salonu, który jak zobaczyła Shipley, ciągnął się przez całą długość apartamentu. Jak na środek października, było dość ciepło; Allbeury, ubrany w ciemne polo z krótkimi rękawami i dżinsy, saczył wodę mineralną.

- Nie rozumiem pana - zaczęła.

- A musi pani?

- Nie przepadam za łamigłówkami, których nie umiem rozwiązać. Pan jest właśnie jedną z nich.

- Każdy człowiek jest zagadką.

- Gdybyśmy nie mieli do czynienia z morderstwami

dwóch sympatycznych kobiet, guzik by mnie obchodziło rozgryzanie pana.

- To dlaczego proponuje pani, bym jej w tym pomógł? - Po raz pierwszy okazał cień irytacji. - Odpowiedziałem najlepiej, jak potrafiłem, na wszystkie pytania i pani, i inspektora Keenana. Ale pani wyraźnie mnie o coś podejrzewa... może nawet wiąże się to z tymi ohydnyimi zabójstwami. Nie mogę zrobić nic, poza zapewnieniem, że trudno o większą pomyłkę.

- Może pan znacznie więcej. Może pan mi powiedzieć, co naprawdę pan myśli... wyczuwa na temat Lynne Bolsover i Joanne Patston, a także wszystkich innych kobiet, którym przypuszczalnie tak bardzo próbował pan pomóc. - Obserwowała Allbeury'ego, który siedział w nienagannej pozie, irytująco spokojny. - I dlaczego tak bardzo panu na tym zależy.

- Mam swoje powody.

- To znaczy?

- Osobiste.

Shiplej pokręciła tylko głową.

- Przepraszam, że doprowadzam panią do rozpacz. Nie czerpię z tego przyjemności.

- A co pan czerpie z niesienia pomocy tym kobietom?

- Jeśli odniosę sukces, to wystarczy mi sama świadomość.

- Jaka jest pańska miara sukcesu?

- To zależy od indywidualnego przypadku. Shiplej się nie śpieszyło.

- W przypadku Lynne Bolsover odniósł pan sukces czy porażkę?

Allbeury zmarszczył brwi.

- Ponieważ z całą pewnością nie jest pani głupia, musi pani mieć bardzo poważny, niestety dla mnie

niezrozumiały, powód by zadać tak absurdalne pytanie.

- Panie Allbeury! Czy dla pana ten przypadek był sukcesem czy porażką?

- Oczywiście, że mi się nie powiodło.

- Mimo że człowiek, który doprowadził do tej tragedii, siedzi w więzieniu?

Prawnik nie odpowiedział.

- Niektórzy mogliby to uznać za rozwiązanie, jak sądzę?

- Nie mogę mówić za „niektórych”, ale na pewno nie nazwałbym tego w ten sposób.

- Bo Lynne musiała umrzeć, aby do tego doszło?

- Oczywiście.

- A co pan myśli o Johnie Bolsoverze albo o mężu Joanne Patston?

- Nigdy się nie zetknąłem z żadnym z nich.

- Ale pewnie uważa pan ich za godnych pogardy?

- Prawdopodobnie.

Shiplej wstała, podeszła do teleskopu, ale przy parapecie obróciła się twarzą do swego gospodarza. Wciąż siedział z nogą na nodze, i nie spuszczać z niej wzroku, z całkowitym spokojem czekał na następne pytanie. Za jej plecami, piętnaście pieter niżej, ludzie spacerowali nad rzeką, a strumienie pojazdów mknęły w obu kierunkach przez Tamizę. Wiedziała, że jej czas się kończy. Nie uzyskała nic, ab-solutnie nic. Rzut na taśmę.

- Nadal nie wiem, czy jest pan prawdziwym altruistą czy bardzo złym człowiekiem.

- Otóż to. - Allbeury wstał. - Niektórzy prawnicy uwielbiają takie gierki, ale nie ja - rzekł zimno. - Zostawiam to takim jak pani.

- To znaczy jakim?

- Nie ośmielę się zgadywać.

- Czy zamierza pan złożyć na mnie skargę za molestowanie?

- Nie planowałem tego.
- Przypuszczam, że większość ludzi na pana miejscu to właśnie by zrobiła.
- Ma pani na myśli ludzi niewinnych?

79

W poniedziałek po południu Lizzie z radością uczestniczyła w jednej z najmilszych imprez, wymyślonych przez Susan. W kuchni uroczej francuskiej restauracji sprzedawcy większości księgarń w mieście przystąpili do konkursu, w którym każdy z nich miał za zadanie przygotować swoje ulubione dania według przepisów z „Czystej rozkoszy”. Lizzie była w doskonałym nastroju. Od Christophera i Gilly napływały same dobre wiadomości, a do końca trasy zostały jeszcze tylko Glasgow i Edynburg, po czym mieli zawrócić z powrotem na południe, do Krainy Jezior. We wtorek po południu Allbeury uznał, że nie jest w stanie skupić się nad pracą przy Bedford Row, toteż odpuścił sobie i wrócił do domu. O wpół do piątej siedział przy komputerze w gabinecie przyległym do sypialni i robił coś, na co pozwalał sobie niezwykle rzadko.

Rozmyślał.

Wcale nie na temat niedzielnej natrętnej i obraźliwej wizyty Helen Shipley. I tak nie miał wpływu na jej opinię o sobie.

Rozmyślał o dwóch innych sprawach. Pierwsza dotyczyła Lizzie. A ściślej rzecz biorąc, Christophera

Wade'a.

Jeśli gdzieś kryje się gówno, wystarczy kopać dostatecznie głęboko, użyć właściwych narzędzi oraz ludzi -i ma się wszelkie szanse je odnaleźć. Więc Allbeury kopał. I znalazł.

Christopher Edward Julian Wade w wieku szesnastu lat trafił pod sąd za posiadanie kokainy. Dwa lata później został aresztowany i ostrzeżony za zaczepianie prostytutek w King's Cross.

A teraz druga sprawa.

Komputer właśnie wysiadł mu dwa razy z rzędu, przedtem zaś - najpierw wczoraj, a potem dziś rano - pokazał całą serię dziwnych, niewytłumaczalnych błędów w systemie.

Właściwie nie wiedział, co sprawiło, że usterki komputera wydały mu się takie dziwne, w przeciwieństwie do tych banalnych. Mógł nauczyć się sporo od młodego Adama Lermana i od tej pory nadal się uczył, ale wiedzę All-beury'ego na temat wewnętrznego życia owej zadziwiającej skrzynki cudów można określić jako balansowanie na łąbku od szpilki.

Z drugiej strony, instynkty, zdobyte na przestrzeni wie-lu lat, nauczyły go zaufania. I te właśnie instynkty zaczynały go teraz nękać w sposób, który uznał za niepokojący.

Na tyle niepokojący, że postanowił zadzwonić do Adama do Los Angeles, w nadziei, że zastanie go w domu.

- Chyba nie za wcześnie, co?

Dobre wychowanie kazało młodemu człowiekowi wybełkotać, że bynajmniej.

- Mam wrażenie, że jakiś haker majstruje mi przy kompie. Muszę wiedzieć, czy mam rację, a jeśli tak, to kim

on jest

- A co tak naprawdę się dzieje? Ktoś cię szpieguje?

Ma dostęp do twoich plików? Nawiasem mówiąc, bardzo trudno to wysledzić.

- To super. Dokładnie nie wiem, na czym to polega, wiem tylko, że coś nie gra.
- Pamiętaj, że hakerzy zwykle traktują swoje akcje jako wyzwanie, swego rodzaju rozrywkę. - Adam wyraźnie już oprzytomniał i z przyjemnością oddał się swemu ulubionemu tematowi. - Tych, co robią to w złych zamiarach, nazywamy krakerami.
- Skoro tak wolisz...
- Wolę. Słuchaj, znam faceta, który może ci pomóc
- W Londynie?
- Prawie na pewno.
- Sam do niego zadzwonisz czy ja mam to zrobić?
- Zadzwonię. Gdyby był wolny, to kiedy chcesz go zobaczyć?
- Jak najszybciej.
- Gdybym się nie odezwał, możesz przyjąć, że zgłosi się do ciebie w ciągu jutrzejszego dnia. - I po chwili dodał: - To twój domowy komp, nie biurowy?

Allbeury potwierdził i wyraził swą głęboką wdzięczność.

- Ten facet wygląda na z lekka nawiedzonego - uprzedził go jeszcze Adam - ale wierz mi, to geniusz. I chociaż decyzja oczywiście należy do ciebie, możesz mu całkowicie zaufać.
- Skoro to taki geniusz, skąd wiesz, że znajdzie dla mnie czas?
- Bo on mnie kocha.

W środę do południa Lizzie miała już za sobą wywiad z jednym z ulubionych nadawców Alekssem Dicksonem z Radio Clyde i dwie pośpieszne sesje podpisywania książek w Glasgow, po czym wsiadła z Susan do pociągu do Edynburga, by spotkać się tam przy lunchu z Johnem Gibsonem z „Evening News”.

I właśnie wtedy zadzwonił na jej komórkę Christopher: Jack złapał kolejnego wirusa i jest w dość kiepskim stanie.

- Nie martw się - powiedziała Susan, gdy tylko o tym usłyszała. - W każdym razie nie o sprawy książki.

Zawie-

ziemy cię z powrotem tak szybko, na ile to leży w ludzkiej mocy.

Lizzie siedziała naprzeciwko i patrzyła w okno niewidzącym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że chociaż złapiemy Johna. Nie chciałabym, żeby tam siedział nadaremnie.

- Przynajmniej będzie siedział w Caley - zauważyła Susan. - I jest na tyle kochany, że gdy pozna powód, na pewno się nie pogiewa.

- Tak... Dziękuję. - Lizzie zabrakło słów na dalszą rozmowę.

- Dzwonię do biura. - Susan już przyciskała do ucha telefon. - Im łatwiej będzie zorganizować przeloty i odwołać imprezy.

- Znowu... - Lizzie odwróciła się od okna. - Znow wszystko spada na ciebie!

- To nie twoja wina. - Susan podniosła palec na znak, że ma połączenie, i zaczęła mówić.

Lizzie odchyliła się na oparcie i zamknęła oczy. Wiedziała, że Christopher nigdy nie wszcząłby alarmu, gdyby nie miał poważnego powodu do obaw.

Najbardziej zmartwiła się tym, że gdy zapytała, czy Jack chce z nią rozmawiać, okazało się, że śpi.

- Śpi czy tak z nim źle? - zapytała, a Christopher przypomniał jej oschle, że gdy chodzi o zdrowie Jacka, zawsze mogła mu ufać.

A jednak wiedziała także, że ponieważ była w Szkocji, mąż mógł uznać za bezcelowe napędzanie jej jeszcze większego stracha niż do tej pory.

- Lecisz o piętnastej piętnaście - powiedziała Susan. Lizzie otworzyła oczy i spojrzała ze smutkiem na przyjaciółkę.

- Tak mi przykro...

- Nie waż się przeproszać!

Dotarłszy do domu, Lizzie dowiedziała się, że Angela już jedzie, aby pomóc Gilły i podnieść na duchu pozostałe dzieci, gdyż Christopher z Hildą Kapar załatwili Jackowi łóżko w prywatnym szpitalu koło Windsora, gdzie przebywał już kilka razy przedtem.

- No mów - szepnęła Lizzie do Christophera, kiedy już uściskała Edwarda i przytuliła Sophie, ale zanim poszła na górę do Jacka.

- Wszystko w porządku - odrzekł stanowczo Christopher - Ten szpital to tylko ze względów bezpieczeństwa. Jack potrzebuje płynów, antybiotyków i monitorowania, ale Hilda jest absolutnie przekonana, że za dwa dni będzie mógł wrócić do domu

- Mówiłeś o wirusie. Co to za jeden?

- Jack ma zaczerwienione gardło i paskudnie kaszle... No, trochę z nim gorzej niż poprzednio.

- Rozmawiałeś z kimś z centrum?

- Tak. Chyba uznają, że zachowaliśmy się rozsądnie. Lizzie ruszyła w stronę schodów, ale nagle się zatrzymała.

- Po co wzywałeś mamę?

- Nie wzywałem. Angela zadzwoniła zaraz po telefonie od Jane, która zawiadomiła mnie o

poważnym przypadku oparzenia, a ja poprosiłem ją o przekazanie wiadomości.

- Ale? - Lizzie była zmęczona, wystraszona i poirytowana. - Christopherze, ty chcesz tam jechać, tak?

- Jack coś zwęszył i właściwie mnie zmusił.

- To jedź, do cholery!

Obróciła się na pięcie i pobiegła po schodach do pokoju Jacka.

- Cześć, mammo!

- Cześć!

Pochyliła się, żeby go pocałować.

- Uważaj, bo podłapiesz wirusa.

- Nigdy nie łapię twoich wirusów.

Usiadła na brzegu łóżka i przyjrzała mu się uważnie.

Był blady, miał wypieki, Lizzie usłyszała też lekkie poświstywanie, ale poza tym wyglądał normalnie.

- Naprawdę chciałem, żeby tata pojechał do kliniki

- przekonywał ją z zapalem. - Przecież jeśli jakiś biedak go potrzebuje, tata powinien tam być.

- A ja sądzę, że ciebie powinien stawiać na pierwszym miejscu.

- Może gdybym był naprawdę chory - zgodził się Jack

- ale to przecież takie nic...

- Twój ojciec nie jest jedynym chirurgiem w tej klinice.

- Ale za to najlepszym.

Lizzie zobaczyła w jego oczach nieugiętość.

- Czy naprawdę jesteś pewien, że ja ci nie wystarczy.

- No słowo honoru! - Jack zmusił się do uśmiechu. -

Może nie jesteś wystrzałowym chirurgiem, ale też masz swoje zalety... póki nie zaczniesz gderać.

- To idę powiedzieć mu, żeby jechał.

- Fajnie.

- A ty Jacku Wade, jesteś jeden na sto milionów.

Allbeury wrócił do domu, gdzie w błękitnym gabinecie od rana pracował nad jego komputerem Winston Cook, młody człowiek, polecony mu przez Adama Lermana. Rzeczywiście był bardzo młody - przystojny, czarny chłopak z postawionymi na żel włosami, zielonym cieniem na powiekach, niewzruszenie przekonany o swych zdolnościach.

- Jeśli ktoś się włamał do pańskiego komputera - obwieścił na wstępie - to z pewnością go namierzę, no, chyba że to jakiś guru.

Nawet gdyby Adam nie wyśpiewywał hymnów pochwalnych na jego temat, Allbeury i tak uznałby Cooka za godnego zaufania.

- Jadłeś lunch? - spytał.

- Ten facet z dołu posłał kogoś po Big Maca. Zjadłem go sobie na balkonie, chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

- Skądże znowu. Chociaż, jak powiedziałem, moja lodówka należy do ciebie.

- Ma pan niesamowity widok - zauważył Winston.

- A jak idzie robota?

- Wolno, ale do przodu.

- A przynajmniej odciąłeś gnojowi dostęp? Cook pokręcił głową.

- Nie wyśledzę go, jeśli zamknę wszystkie drzwi. - Popatrzył na prawnika, dostrzegł jego zawód. - To taka przynęta... trzeba ich zachęcić, żeby wracali, wtedy ich namierzemy.

- No jest w tym jakiś sens - przyznał Allbeury i spojrział na zegarek. - Czy nie powinieneś już kończyć na dzisiaj?

- Pewnie, już niedługo.

Allbeury go zostawił i wszedł do salonu, żeby przygotować sobie drinka.

I pomyśleć - jak ostatnio miał w zwyczaju - o Lizzie. Jest teraz w trasie, z dala od domu... i Wade'a. Co

oznacza, że dawny amator prostytutek i kokainy ma pod opieką troje bezbronnych dzieci. Allbeury poczuł się niemal fizycznie chory, gdy sobie to uświadomił. Lizzie wydawała się przekonana, że jej mąż w roli ojca jest wzorem cnót wszelkich, więc przynajmniej pod tym względem wszystko gra. Prawdopodobnie. Ale myśl o Lizzie, która po powrocie z trasy wchodzi do łóżka amatora prostytutek, przyprawiała Allbeury'ego o dygot.

Nie twoja rzecz.

Ciekawe, czy ona wie o przeszłości Wade'a.

81

W czwartek po południu szpitalny konsultant, prowadzący przypadek Jacka, powiedział Lizzie, że jego zdaniem, chłopca trzeba przewieźć albo do Radcliffe, albo do Hammersmith, gdzie zajęliby się nim specjaliści.

- Wybrałam Hammersmith, jeśli znajdzie się miejsce

- relacjonowała Lizzie przez telefon Angeli - bo

Christopher jest już w Londynie.

- A jak się czuje Jack?

- Oddycha trochę gorzej, ale daje sobie radę, więc nie martw się za bardzo.

- Przyganiał kocioł garnkowi...

- Czy Christopher telefonował? Bo nie ma go w Beau-champ, a Jane nic nie wie, co jest zupełnie do niej niepodobne.

- Nie odzywał się do nas, kochanie, ale gdy tylko zadzwoni, wszystko mu przekażę i powiem, żeby się z

tobą skontaktował. - Angela wzięła głęboki oddech, starając się zachować spokój ze względu na córkę. - Kiedy wyjeżdżacie z Windsoru?

- Za dwie godziny. - Lizzie próbowała ze wszystkich sił uporządkować myśli. - Mogą mi kazać wyłączyć komórkę w czasie jazdy, więc przekaż

Christopherowi także i to, dobrze?

- Na pewno będzie na was czekał w Hammersmith.

- Dzięki za wszystko, mamó. I ucałuj dzieci ode mnie.

- Mocno ściskamy was oboje.

Jadąc z Jackiem ambulansem, Lizzie czuła, jak jej pozorny spokój rozpada się na kawałki wobec wyczuwalnej, niezwyklej u jej syna nerwowości i coraz częstszych świstów. A jednak po przybyciu do Hammersmith i uporaniu się ze wstępnymi formalnościami, ułożony w łóżku Jack powiedział jej (mimo nieobecności i choćby znaku życia od ojca), że wcale nie musi przy nim siedzieć.

- Oczywiście, że się stąd nie ruszę.

- Nie ma takiej potrzeby. Możesz spokojnie wrócić na Holland Park.

- Wiem, że mogę, ale wolę zostać.

- Przecież, do cholery, nie umieram!

- Nigdy tego nie powiedziałam - odparła Lizzie, czując, jak żołądek się jej skręca.

- To czemu chcesz, żeby mnie wszyscy traktowali jak dzidziusia?

- Nikomu to przez myśl nie przeszło - oburzyła się Lizzie.

- Gdyby tatuś tu był, zrozumiałby, co ja czuję! Na to zabrakło jej odpowiedzi.

- Wygrałeś - rzekła w końcu. - Idę.

Kiedy wysiadała z taksówki, w oknach się nie świeciło i w domu nie widać było znaku życia, chociaż przynajmniej ze skrzynki na listy nie wystawały gazety, a na progu nie stały butelki z mlekiem.

Lizzie z westchnieniem sięgnęła do kieszeni po klucz i włożyła go do zamka, zbyt już wyczerpana i zajęta myślami o Jacku, by zastanawiać się, gdzie może być Christopher.

Weszła do ciemnego holu, zapaliła światło, zamknęła frontowe drzwi na zasuwę i ruszyła wolno w stronę kuchni.

Jeszcze w drodze miała chęć na herbatę z czekoladowymi ciasteczkami, a nade wszystko czymś mocniejszym.

Dźwięk, który jak przypuszczała, dobiegał z salonu, był słaby, ale i tak sprawił, że zatrzymała się w pół kroku i zaczęła nasłuchiwać.

Po chwili usłyszała go znowu.

Jakby cichy jęk.

Oprzytomniała w jednej chwili. Bardziej oszołomiona, niż wystraszona, otworzyła drzwi.

W salonie nie paliło się światło, ale zasłony były zaciągnięte. Oczy Lizzie dość szybko przystosowały się do mroku i wtedy zobaczyła, że na sofie poruszył się jakiś kształt.

Nacisnęła wyłącznik i zabłysło światło.

- Boże! - wykrzyknęła. - Co ci się stało? Christopher siedział czy raczej pólleżał w końcu sofy.

Obok zobaczyła prawie pustą butelkę Johnniego Walkera i fiolkę z aspiryną.

- Lizzie... - wybełkotał.

Twarz miał okropnie posiniaczoną, jedno oko czarne jak u pandy i przymknięte, w kącikach ust rozmazaną, skrzepłą krew.

- Christopher, co się stało?

- Niech to szlag... - wyszeptał.

Zanim podeszła do sofy, aby mu pomóc, zanim się w ogóle odezwał, wiedziała, że to nie był zwykły wypadek, tylko coś bardzo złego.

- Powiedz mi, proszę.

- O Boże, Lizzie... - Podniósł się nieco zbyt gwałtownie i butelka po whisky potoczyła się z poduszki na dywan. - O kurczę, jak to boli...

Stała nieruchomo kilka kroków przed sofą.

- Mógłbym ci nakłamać - wymamrotał - że miałem wypadek samochodowy, ale wtedy zapytałabyś o policję, więc równie dobrze mogę wyświadczać się teraz. - Wargi mu drgały.

Usiadła na fotelu, daleko od niego.

- Alfons spuścił mi manto... - ciągnął, unikając jej wzroku. - Za to, co zrobiłem jednej z jego dziewczyn. Lizzie zakręciło się w głowie i dostała mdłości

- Straciłem moją Lizzie - Christopher podniósł ręce teatralnym gestem - więc co miałem robić? Wróciłem na stare śmieci, do dziwek. - Wstał z wysiłkiem i spojrzał na nią z góry. - I co zamierzasz z tym zrobić, skoro już wiesz? Coś najgorszego?

Patrzyła na niego w milczeniu przez kilka sekund, potem pokręciła wolno głową i skierowała wzrok w stronę pustego, ciemnego kominka.

- Najbardziej ze wszystkiego chciałabym skończyć z tym raz na zawsze. Kazać ci się wynieść i nigdy więcej nie zbliżać do mnie ani do naszych dzieci... - Urwała, bo nagle osłabła.

- Lizzie? - Postąpił krok w jej stronę. - Dobrze się czujesz?

- Nie waż się do mnie zbliżać! Oczywiście, że nie czuję się dobrze, ty cholerny durniu! I wcale nie dlatego, że ktoś cię sprzął na kwaśne jabłko, Bóg mi świadkiem, żałuję, że nie postarali się lepiej.

- Wcale tak nie myślisz. - Christopher ponownie opadł na sofę.

- Jack jest w szpitalu.

- Wiem.
- Ale nie w Windsorze! W Hammersmith. - Podeszła do kominka i oparła się ręką o półkę. - Wiedziałbyś o tym, gdybyś... - Potrząsnęła głową.
- Dlaczego? - Głos Christophera za jej plecami był teraz ostrzejszy. - Dlaczego go przenieśli? Lizzie, co się stało?
- Obróciła się wolno, zobaczyła grozę na jego twarzy, teraz kredowobiałej na tle siniaków. Wiedziała, że naprawdę się przestraszył.
- Nie panikuj. Trochę gorzej oddycha, ale ogólnie nie jest tak źle. Martwili się, że w wypadku pogorszenia mogliby sobie nie poradzić, a ja wybrałam Hammersmith, bo ty tu byłeś.
- To czemu nie jesteś przy nim? Fala gniewu uderzyła z całą mocą.
- Bo Jack mnie tam nie chciał. Boi się, że uznają go za dzidziusia! - Razem z furją wstąpiła w nią siła. - Powiedział, że ty byś go zrozumiał.
- O cholera. - Christopher zaczął się podnosić, ale po chwili opadł z powrotem na sofę. - On nie może zobaczyć mnie w takim stanie. Boże, co ja zrobiłem?
- Oczy wezbrały mu łzami. - Lizzie, co teraz będzie? Nie możesz mu powiedzieć, po prostu nie możesz!
- Wcale nie mam zamiaru nic mówić ani jemu, ani pozostałym dzieciom... pamiętasz je?
- Lizzie, proszę!
- I wyraźnie nie jest to odpowiednia chwila do dysku-sji nad rozwodem czy separacją. Christopher ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.
- Na miłość boską! - Lizzie nie kryła obrzydzenia. - Twój dziesięcioletni syn ma więcej odwagi niż ty! Odślonił na chwilę zalaną łzami twarz.
- Wiem, że to planowałaś. Wiedziałem to od chwili, gdy Alicia mnie zawiadomiła, że ktoś włamał się do moich plików w komputerze.
- Nie wiem, do czego pijesz, i nic mnie to nie

obchodzi - Wzięła głęboki oddech. - Chciałam zaparzyć herbatę, ale chyba zasłużyłam na coś mocniejszego. - Zerknęła na butelkę na dywanie. - Jeśli coś tam zostało.

Christopher nie odpowiedział, więc podeszła do barku i wyjęła butelkę Glenfiddicha. Nalała sobie pojedynczą porcję, wiedząc, że nie wolno jej przesadzić; w każdej chwili mogą zadzwonić ze szpitala.

- Potrzebujesz lekarza? - spytała szorstko. Upiła łyk i poczuła, że odzyskuje panowanie nad sytuacją.

- Nie, niczego mi nie złamali.

- To chyba mógłbyś się już położyć, nie sądzisz?

- A co z Jackiem? - spytał żałośnie.

- Zadzwonię tam niedługo i się dowiem. Może już śpi, wtedy przynajmniej uniknę odpowiedzi na pytania, czemu nie możesz z nim rozmawiać.

- Rozmawiać chyba mogę? - Podniósł na nią zboląły wzrok.

- Nie, dopóki nie wytrzeźwiejesz i nie odzyskasz normalnego głosu. I zrób coś z tą gębą, posmaruj czymś albo co, bo inaczej jeszcze długo go nie zobaczysz.

- Och, Lizzie... Tak mi przykro! Upiła kolejny łyk.

- Idź do diabła!

82

Kiedy Clare zawiadomiła Novaka, że zamierza wziąć wolny dzień, zaskoczyło go to i przestraszyło. Zanim wyszła, wypytał ją, czy na pewno wszystko jest w

porządku, czy nie potrzebuje lekarza i czy nie chce, żeby został z nią w domu.

- Tak, nie i nie - odpowiedziała, rozdrażniona, ale wyraźnie z lekkim sercem. - Po prostu mam ochotę wziąć wolne, przecież sam mnie do tego namawiałeś, czyż nie?

Ponieważ była to prawda, Novak spełnił jej prośbę, zasiadł w agencji i spędził większość dnia na płaceniu rachunków, które napływały z zastraszającą szybkością i opiewały na wyższe kwoty niż ich faktury wychodzące, świadom, że teraz, kiedy oczekują dziecka, muszą za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni.

Nim minęło południe, dzwonił do żony dwa razy, ale za drugim razem omal nie odgryzła mu głowy: dlaczego nie daje jej spokoju? No więc dał jej spokój aż do czwartej i wtedy nie zastał jej w domu.

Spróbował na komórkę, ale ją wyłączyła. Przez jakiś czas odchodził od zmysłów, wyobrażając sobie wszystkie rodzaje wypadków, w końcu wrócił do domu (pustego) i denerwował się dalej, dopóki po dziewiątej Clare nie dotarła z powrotem.

- Gdzieś ty się podziewała, do diabła? - wybuchnął, gdy już sprawdził, że nic jej nie dolega.

- Byłam u Nicka.

- U Nicka Parry'ego? - spytał z niedowierzaniem

- Słyszałeś. - Zaczęła zdejmować płaszcz.

- Miałaś mieć wolna!

- Skończyłeś się wydzierać?

Novak tak osłabł z gniewu i nagłej ulgi, że ai się oparł o ścianę.

- Tak. Przepraszam, że się uniosłem, ale już zaczynałem wariować.

- Ależ dlaczego? - zdziwiła się szczerze.

- Bo nie wiedziałem, gdzie jesteś, a miałaś wyłączoną komórkę.

- W ogóle jej nie zabrałam. - Clare weszła do kuchni.
 - Nick zatelefonował w porze lunchu, był strasznie wkurzony, a ja się nudziłam. Wiedziałam, że się wściekniesz, jeśli zmienię zdanie i wrócę do agencji, więc wolałam pójść do niego.
- Gniew zdążył już się ulotnić i teraz Novak czuł się przede wszystkim zawstydzony.
- Przepraszam - powtórzył. - Wiem, że czasem doprowadzam cię do szału.
 - Ostatnio wręcz non stop.
 - Naprawdę nie chciałem...
 - Wiem. - Clare wzięła czajnik, zakręciła nim, żeby sprawdzić, czy jest woda, po czym go włączyła. - Jak jestem u Nicka, to przynajmniej nie myślę o różnych sprawach.
 - W przeciwieństwie do mnie.
 - W przeciwieństwie do ciebie.

83

Christopher spał przez jakiś czas w swoim pokoju, Liz-zie zaś skontaktowała się z pielęgniarką na oddziale Jacka i dowiedziała się, że synek też spokojnie śpi. Potem przypomniała sobie, że powinna sprawdzić pocztę głosową w komórce, i znalazła wiadomość od Robina, który pytał, jak przebiega trasa, i wyrażał nadzieję, że Lizzie będzie miała po powrocie dość siły, by spotkać się z nim na drinku. - I ewentualnie na kolacji, jeśli tylko zechcesz - dodał Lizzie odsłuchiwała wszystkie wiadomości, zadzwoniła jeszcze raz do domu i

porozmawiała najpierw z matką, potem z Gilly, z Sophie, która absolutnie nie chciała iść spać, dopóki nie usłyszy najnowszych wieści o Jacku, wreszcie na koniec z Edwardem.

- Z tatą wszystko w porządku? - spytał, gdy już dowiedział się wszystkiego o bracie.

- Tak, tylko jest zmęczony i wcześniej się położył.

- Uściskaj go ode mnie.

- Jasne.

Następnie połączyła się z Susan, podziękowała jej znów za to, że jest taką oddaną przyjaciółką, poprosiła o wytłumaczenie jej przed Howardem i w ogóle wszystkimi w Vi-cunie, obiecała też solennie nadrobić swoje nieprofesjonalne zachowanie. Susan w odpowiedzi zauważyła, że wprawdzie „Czysta rozkosz” jest naprawdę dobrą książką, ale to jednak tylko książka i nie może być ważniejsza od zdrowia Jacka.

Pożegnawszy przyjaciółkę, Lizzie przygotowała sobie filiżankę gorącej czekolady, zabrała ją do salonu, a potem wybrała numer Allbeury'ego.

- Jaka miła niespodzianka! - wykrzyknął, słysząc jej głos. - Co się stało?

Co za intuicja, przemknęło jej przez głowę. Opowiedział mu, co się wydarzyło, i zrobiło się jej ciepło na sercu, gdy wyczuła jego serdeczną troskę o Jacka i współczucie z powodu gwałtownego skrócenia trasy.

- Czy mógłbym zamienić słówko z Christopherem? - spytał z taką swobodą, jakby byli starymi przyjaciółmi i zwykli odbywać regularne pogawędki.

- Położył się dziś wcześniej.

- Nic tak nie odbiera człowiekowi sił jak choroba dziecka - zauważył Allbeury.

Z jego tonu można by wnioskować, że mówi z własnego doświadczenia. Może ma siostrzeńców czy siostrzenice? Lizzie nie po raz pierwszy przekonała się, jak w gruncie rzeczy niewiele o nim wie.

- Nie będę cię trzymał dłużej - rzekł na zakończenie
- ale gdybyś czegoś potrzebowała, to proszę, nie wahaj się do mnie zadzwonić. O każdej porze.

Podziękowała, pożegnała się i odłożyła telefon.

- Kto to był?

Podniosła wzrok i zobaczyła Christophera, który w nieco lepszym, ale nadal okropnym, stanie stał w progu w białym płaszczu kąpielowym.

- Odpowiadałam na różne telefony. Ten był od Robina Allbeury'ego.

- Czego on chciał od ciebie?

- Myślał, że wciąż jestem w trasie, pytał, jak mi idzie.

- Umilkła na chwilę. - Wiesz, że jedliśmy razem obiad w zeszłym tygodniu.

- Jak milutko.

- Co ma znaczyć ten ton? - Oburzenie wróciło.

- Kolacja z adwokatem od rozwodów...

- Chciał zaprosić nas oboje, ale ciebie nie było!

Czemu ja się przed tobą tłumaczę?

- Przepraszam. - Christopher nadal stał w drzwiach.

- Co mu powiedziałaś?

- Teraz? Że Jack zachorował, to chyba oczywiste.

- Nic więcej?

- Oczywiście, że nie.

- Dziękuję.

- Nie zrobiłam tego ze względu na ciebie.

Rano okazało się, że Jack zareagował dobrze na nowe antybiotyki, a sińce Christophera zrobiły się fioletowo-zielono-czarne. Uzgodnili z Lizzie historyjkę o napadzie rabunkowym, chociaż gdy Jack usłyszał ją przez telefon, nie chciał uwierzyć, że ojciec jest cały i zdrowy, póki nie zobaczy go na własne oczy. Christopher poprosił Lizzie, by jeszcze raz przemyślała sprawę.

- Teraz myśli, że mnie napadnięto, więc wszystko

będzie grało... najwyżej się trochę przejmie.

- Nic nie będzie grało, bo to nieprawda. Nawet jeśli cię nie obchodzi, że okłamiesz własne dziecko, to gdy tylko pokażesz się w szpitalu, wszyscy zaczną cię wypytywać o szczegóły, o policję i...

W porządku - poddał się Christopher. - Dopięłaś swego. Ale Jack był taki zmartwiony, że mnie nie zobaczy...

- A czyja to wina?

84

Chociaż Allbeury ucieszył się z telefonu od Lizzie, jednak z jego punktu widzenia rozmowa okazała się niezadowolająca: trwała za krótko i za bardzo go zdenerwowała.

Lizzie wythumaczyła mu powód napięcia w swoim głosie. Jack trafił do szpitala, a ona, co naturalne, bardzo się o niego bała. A jednak Allbeury wyczuwał jeszcze jakąś inną przyczynę, co najmniej równie ważną, jak obawa o syna.

Wade. To był klucz do wszystkiego.

Christopher, wspaniały ojciec, amator prostytutek. Po tym wszystkim Allbeury długo nie mógł zasnąć, a kiedy wreszcie sen go zmorzył, przyśniła mu się ona. Wszystko w tym śnie było abstrakcyjne i niewyraźne, z wyjątkiem jej twarzy i boleśnie przenikliwego sopranu śpiewającego jakąś arię

operową.

Wprawilo go to w jeszcze większy niepokój, bo zaczął nabierać pewności, że Lizzie potrzebuje pomocy. Takiej, jaką miał zwyczaj oferować kobietom. Ale one mu się raczej nie śniły.

85

Christopher wrócił do Marlow w poniedziałek razem z Lizzie i Jackiem. Siniaki nie wyglądały już tak fatalnie, a historyjka o napadzie, zgodnie z przewidywaniami, bardzo chłopca poruszyła, kiedy mógł w końcu zobaczyć ojca na własne oczy. Widmo tracheotomii znów się na jakiś czas oddaliło i wdzięczność Lizzie za ten dar niebios wzięła górę nad obrzydzeniem do męża, którego wciąż musiała znosić u swego boku.

- Tato, a ty im oddałeś? - chciał wiedzieć Edward.
 - Próbowałem.
 - Lepiej tego nie robić - ostrzegła Lizzie starszego syna. - Trzeba oddać wszystko, czego chcą, bo najważniejsze jest bezpieczeństwo.
 - Ale lepiej dorwać tych gnojków - wtrącił Jack.
 - Uważaj na język - upomniał go Christopher.
 - A jak mam ich nazwać?
 - Założę się, że ich nie złapali - rzekł Edward.
 - Raczej nie - zgodził się Christopher.
 - Tatusiu, bardzo cię bolało? - zapytała Sophie.
 - Bolało, kochanie, ale teraz, gdy jestem z wami, prawie nic już nie czuję.
- Natomiast Lizzie czuła obrzydzenie. Wiedziała, że

tym razem nie potrafi mu już wybaczyć. Bez względu na to, jak cudownie opiekował się dziećmi, jak bardzo one wszystkie wierzyły w swojego idealnego tatuśka, dla niej był po prostu skończony.

- Biedny Christopher - uzalila się na jego widok Ange-la, która zgodnie z planem miała tego wieczoru wyjechać. - Co za potworność go spotkała!

- Rzeczywiście potworność - przyznała Lizzie.

- Dla niego to znacznie gorsze niż dla kogoś z nas. My w razie choroby czy jakichś obrażeń zawsze możemy liczyć na jego opiekę, a ten biedak nie ma nikogo. - Uśmiechnęła się do córki. - W każdym razie nikogo tej klasy, co on sam.

- Aha.

- Z tobą wszystko w porządku? - zaniepokoiła się nagle Angela. - Głupie pytanie, jak na to, co przeszłaś. Na pewno mogę jechać? Bo chętnie zostanę trochę dłużej.

- Nie ma potrzeby. - Lizzie z determinacją przybrała dziarski wyraz twarzy. - William za tobą tęskni, a ja mam tu Gilly do pomocy.

- Ejże? - Angela położyła jej dłoń na ramieniu. - Nadal jestem twoją mamą, Lizzie. Przede mną nie musisz udawać silniejszej, niż jesteś. - Wiem, że nie muszę.

~*~

Przez kilka następnych dni Christopher w obecności dzieci trzymał się dostatecznie dobrze, ale gdy były poza domem - w szkole czy u kolegów - albo spały, popadał w coraz większe przygnębienie.

- Byłabym ci wdzięczna - powiedziała mu Lizzie w środę - gdybyś starał się nieco bardziej przy Gilly. Jej się tak łatwo nie oszuka, dobrze wie, że coś jest nie w porządku.

- Myśli, że to skutki napadu.
- Proszę cię tylko o odrobinę wysiłku.
- Och, przecież się staram. Nawet nie wiesz, jaki to wysiłek.
- Pewnie mam ci dziękować?

W czwartek przypadało święto Halloween Gilly wyszła na imprezę, a Christopher i Lizzie spędzili z dziećmi wieczór w udekorowanym świecami i dyniami salonie Jack nie mógł jeszcze wyruszyć na obchód sąsiadów z hasłem „cukierek albo psikus”, więc reszta rodzeństwa także postanowiła zostać w domu i opowiadać sobie historie o duchach- Christopher poszedł się położyć wcześniej niż Lizzie, która posiedziała sobie jeszcze godzinę w spokoju, po czym sprawdziła, czy dzieci są już w łóżkach, i dopiero wtedy sama udała się na spoczynek. Było dobrze po północy, gdy usłyszała pukanie. Żadne z dzieci nigdy nie pukało, więc mogłaby to być albo Gilly - po powrocie z imprezy - albo Christopher.

Zapaliła lampkę i podciągnęła kołdrę.

- Tak?

Stał w drzwiach, ubrany w czarny jedwabny szlafrok. - O co chodzi, Christopherze? Od razu zrozumiała, że nie ma to nic wspólnego z dziećmi - w takim wypadku by załomotał albo wpadł bez pukania. Miał tę swoją nową minę zbitego psa, zupełnie jakby wypisał sobie na czole „ulituj się nade mną”, ona czuła do niego już tylko pogardę.

- Skończyły mi się tabletki przeciwbólowe.
- Zdawało mi się, że masz ich całe tony.
- Najwyraźniej za mało.
- No dobrze.

Wstała, włożyła szlafrok i weszła do łazienki.

Otworzyła szafkę, wyjęła opakowanie nurofenu...

Nagle usłyszała za sobą jego kroki.

Obróciła się błyskawicznie i zobaczyła go w drzwiach

łazienki.

- Już je wyjęłam.

- Nie trzeba.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Co robisz? - Strach uderzył natychmiast, z całą siłą. - Otwórz te drzwi!

- Nie bój się. - W dobrze oświetlonej łazience jego szare oczy wydawały się jaśniejsze niż zwykle na tle ciemnych siniaków. - Jak ty cudownie pachniesz...

Lizzie zrobiła krok w prawo i sprytnie przemknęła do drzwi, w obawie, że Christopher spróbuje je zablokować. Udało się jej złapać klamkę i wyjść z łazienki. Poczowała się trochę głupio.

- Tabletki? - Christopher już był w sypialni i wyciągał rękę.

- Proszę. - Wcisnęła mu pakiecik, ale upadł jej na podłogę.

Christopher spuścił wzrok.

- Niestety, nie bardzo mogę się schylać.

Lizzie bez słowa podniosła tabletki i stanowczym ruchem wcisnęła mu je do ręki.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Zrobił trzy kroki w stronę drzwi - zamkniętych teraz; musiał je zamknąć, gdy weszła do łazienki - i nagle się zatrzymał.

Obrócił się do niej twarzą.

- Popatrz na mnie!

- Idź do łóżka, Christopher.

- Nie na twarz...

Zerknęła odruchowo i zobaczyła to, na czym mu zależało. Ogarnęła ją furia.

- Wynocha! - Podeszła do niego i walnęła go w pierś.

- Wynocha z mojego pokoju! - Minęła go i sięgnęła do klamki.

- Mówiłem ci! - Chwycił ją za ramię i przytrzymał.

- Nie chcę stąd iść!
- Puszczaj! - syknęła. - Puść mnie w tej chwili albo zacznę krzyczeć!
- Nie, nie zaczniesz. - Na wykrzywionej twarzy Christo-phera błąkał się uśmieszek.
- Chcesz się przekonać?
Szarpnął jej rękę w dół, do swojego krocza
- Nie waż się! - Lizzie wyrwała mu rękę i uderzyła go znowu, tym razem silniej. Christopher wpadł tyłem na drzwi z głośnym hukiem.
- Suka - syknął, krzywiąc się z bólu.
- Wyjdź stąd!
- Nie tym razem.
Pozbierał się i ruszył na nią; Lizzie cofnęła się, zobaczyła jego rozszerzone źrenice i przypomniała sobie, co stało się poprzednim razem. Nagle uświadomiła sobie, że musiała być jednocześnie szalona i bezgranicznie głupia, jeśli wyobrażała sobie, iż potrafi nad tym zapanować, żyć z tym, nawet dla dobra dzieci.
- Lizzie... Potrzebuję odrobiny odprężenia.
- To sobie poszukaj gdzie indziej. Na ulicy czy gdzie tam chcesz.
- Wciąż jesteś moją żoną - rzekł, próbując ją złapać nagłym ruchem.
- Już niedługo.
Rozglądała się za czymś, co mogłaby wykorzystać jako broń, ale zauważyła tylko książkę i nocną lampkę - zbyt ciężką; mimo że wściekła i i wystraszona, wiedziała, że nie zrobiłaby tego dzieciom.
- Nie proszę o zbyt wiele - znów do niej podszedł. Lizzie złapała książkę i uderzyła go w ramię.
- Suka!
Pchnął ją, aż się zatoczyła na nocny stolik, a potem, zanim zdążyła odzyskać równowagę, uderzył mocno w brzuch. Tym razem upadła na łóżko.

- Nie! - powiedziała, starając się nie krzyżeć. -

Christopher, przestań!

Zdarł z siebie szlafrok, jak ktoś, kto płonie z gorąca, i ukląkł na łóżku. Lizzie próbowała przeturlać się na drugą stronę, ale ją chwycił, jedną ręką przygwoździł do matera-

ca, a drugą podciągnął jej koszulę. Potem wsunął jej kolano między uda i podniósł prawą rękę.

- Tatusiu, co ty wyprawiasz?! Głos Jacka zmroził ich oboje.

Christopher puścił ręce Lizzie, zwlókł się z łóżka i podniósł szlafrok z podłogi.

- Wszystko w porządku - rzekł.

Lizzie wciąż czuła ból, poza tym była roztrzęsiona i kręciło się jej w głowie, ale na widok syna, siedzącego na wózku w drzwiach sypialni, z rozszerzonymi ze zgrozy oczami, omal nie pękło jej serce. Ostatkiem sił próbowała usiąść i opuścić koszulę.

- Jack, wracaj do siebie - poprosiła drżącym głosem.

- Kochanie, proszę...

- Nie - odparł chłopiec i wjechał dalej. - Co wyście robili? - zwrócił się do ojca, hamując przed nim gwałtownie.

- Co robiłeś mojej mamie?!

- Spokojnie, Jack. - Nieposiniaczona część twarzy Christophera miała kolor popiołu. Próbował nieporadnie zawiązać sobie pasek.

- Ty świntuchu! Ty obrzydliwy świntuchu!

- Już dobrze. - Lizzie zaczęła wstawać z łóżka. - Nic mi nie jest, synku.

Jack nawet na nią nie spojrział.

- Jak mogłeś? - spytał już znacznie ciszej. - Jak mogłeś zrobić coś takiego?

Christopher wyciągnął do niego drżącą rękę.

- Daj spokój, synu. Nic nie rozumiesz, jesteś na to za młody...

Jack najechał wózkiem na nogi ojca Ryk, jaki wyrwał mu się przy tym z piersi, był wyrazem najczystsze go żalu i rozpacz y. Christopher zawył z bólu i rzucił się w lewo, próbując uciec.

Jack cofnął wózek o kilka kroków, a potem z takim samym rykiem natarł ponownie, tym razem trafiając ojca stalowym rogiem w prawe kolano.

- Jack, na miłość boską! - Christopher zgiął się z bólu i osunął na podłogę.

- Jack, proszę! - zawołała z płaczem Lizzie. - Jack, syneczku, przestań!

W drzwiach pojawił się Edward, jeszcze półprzytomny ze snu.

- Jack! - wykrzyknął ze zgrozą. - Co ty wyprawiasz, do diabła?

- Jego zapytaj - odparł brat, znowu cofając wózek.

- On oszalał - jęknął Christopher, obejmując obolałą nogę.

Lizzie w jednej chwili obeschły łzy.

- Edwardzie, proszę, dopilnuj, żeby Sophie nie wyszła z pokoju.

- Ale co tu się stało?

- Edwardzie, idź do Sophie. W tej chwili!

Jack zawahał się na chwilę i ponownie zaatakował ojca.

Christopher znowu wrzasnął. A Edward uciekł.

Następne godziny prawie zupełnie zatarły się w pamięci Lizzie, która tylko częściowo panowała nad sytuacją. Kiedy Jack osunął się wreszcie,

kompletnie wyczerpany, na oparcie swego wózka, Christopher wyszedł chwiejnym krokiem z sypialni, ubrał się i opuścił dom. Edward wrócił z pokoju Sophie, by zameldować, że dziewczynka przespała jakimś cudem cały ten nocny koszmar.

Przystanął niepewnie w progu sypialni matki, prawie

nie patrząc na Jacka, który wciąż siedział z zamkniętymi oczami w wózku pod ścianą i nie odzywał się do nikogo. Lizzie poszła do jego pokoju, ściągnęła z łóżka koc i owinęła nim drżącego na całym ciele syna.

- Jak myślisz? Czy Jackowi nic nie będzie? - spytał Edward cicho.

- Chyba nie...

Edward nadal nie wchodził do środka, jakby obawiał się, że w ten sposób uzyska dostęp do tajemnicy wywołującej takie koszmary. W swoim czasie, myślała smutno Lizzie, chłopak zacznie zadawać więcej pytań, będzie chciał wiedzieć, co zrobił ojciec, że doprowadził do takiej furii spokojnego, kochanego braciszka, ale teraz wyraźnie wolał, by oszczędzono mu całej prawdy.

- A co z tobą? - spytał.

- Nic mi nie jest, kochanie. Jeszcze jedno kłamstwo do kompletu.

- Idź spać, Edwardzie - powiedziała synowi. - Jeśli potrafisz.

- Na pewno?

- Oczywiście.

Dopiero wtedy wszedł do środka i nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, zbliżył się szybko do matki, cmoknął ją nerwowo w policzek i ruszył z powrotem do drzwi.

- Gdybyś mnie potrzebowała...

- To cię zawołam - obiecała. - Dobranoc.

- ...branoc, Jack - rzucił od progu. Brat mu nie odpowiedział.

Wkrótce zjawiała się Gilly. Weszła na schody, zobaczyła otwarte drzwi pokoju Lizzie i ją samą, siedzącą na dywanie przy wózku Jacka. Trzymała go za rękę, ale chłopiec patrzył w ścianę, nie ruszał się i

nie reagował.

- Co się stało?

Lizzie obróciła się do niej z ledwie skrywaną rozpaczą na twarzy.

- Mieliśmy pewne problemy.

Jack po raz pierwszy drgnął, otworzył oczy i ścisnął matkę za rękę.

- Nic mi nie jest, Gilly.

- Miło mi to słyszeć

Lizzie nie puszczała jego ręki.

- Co chciałbyś teraz robić? Może trochę odpoczniesz? Podać ci coś ciepłego do picia?

Spojrzał na nią po raz pierwszy, odkąd przestał taranować ojca wózkiem. W jego oczach ciągle odbijał się szok.

- Tak, chyba się położę... jeśli z tobą wszystko okej.

- Ależ tak. Zawieźć cię?

- Proszę.

Lizzie wstała i zerknęła na Gilly. Jeszcze jedna, która boi się wejść, jakby ten pokój podlegał kwarantannie albo emitował złe wibracje.

- Wszystko będzie dobrze, Gilly.

Dziewczyna pokiwała głową na znak, że zrozumiała.

- Zobaczymy się później.

Lizzie odczekała, aż Gilly zejdzie na dół i zniknie w kuchni, po czym skierowała wózek z Jackiem na korytarz.

- Chcesz, żebym z tobą została?

- Nic mi nie jest.

Pomogła mu się położyć, okryła go kocem.

- Chyba powinienem wziąć diazepam.

- Dobry pomysł.

- Tylko dlatego, że gdybym znów zachorował, to na nic bym się nie przydał - ani tobie, ani innym.

Oczy zapiekły ją od wstrzymywanych łez, ale postanowiła się nie dać: cholera, skoro on może, to i ja... Poszła po tabletkę. Dziesięcioletni Jack znał

zbyt wiele nazw przeróżnych medykamentów, był też dwa razy dojrzalszy niż niektórzy dwa razy starsi od niego, a teraz ją jeszcze za-wstydził.

- Powiesz Gilly? - zapytał, kiedy wróciła.

- Sama nie wiem. A ty jak sądzisz?

- To zależy od ciebie. Myślę...

- Co, kochany?

- Może lepiej, żeby nic nie wiedziała.

- W takim razie jej nie powiem.

Zawiadomiła opiekunkę, że była wielka awantura, że Jack się bardzo przejął i że wprawdzie Edward wie coś na ten temat, ale Sophie nic i ona, Lizzie, woli, aby tak zostało.

- Powiem jej, że ojciec musiał nagle wyjechać do Londynu.

- Jest do tego przyzwyczajona - zgodziła się z nią Gilly.

Nie zadawała więcej pytań, miała dar wrażliwości i nigdy nie wtykała nosa w cudze sprawy. Po prostu podała Lizzie gorącą słodką herbatę i posiedziała przy niej chwilę, kiedy ta starała się pić.

- Jestem bardzo zmęczona. Chyba pójdę na górę...

- Słusznie - poparła ją Gilly. - Gdybym była do czegoś potrzebna... bez względu na porę...

- Tak, tak. Dziękuję.

Weszła najpierw do Jacka, który spał jak kamień - czy to z wyczerpania, czy po tabletkach, ale dobre i to. Edward także, jak przypuszczała, wycofał się z tego wszystkiego w sen, Sophie zaś w ogóle cały czas spokojnie spała - jedyna z całego domu jeszcze nieskażona wiedzą, chociaż i to wkrótce się zmieni, będzie musiało się zmienić.

Potem spłynęło na Lizzie coś lekko zbliżonego do ulgi, gdyż nareszcie, nareszcie najgorsze się zdarzyło i nie musiała już okłamywać dzieci, że między nią a ich ojcem wszystko układa się dobrze.

Nagle znów zaatakowała ją przerażająco świeża

pamięć nocnych wypadków: Jack najeżdżający wózkiem na Christophera... wyraz twarzy chłopca i te koszmarnie ryki, jakie wydawał... kulący się na podłodze mąż...

To właśnie zapamięta sam Jack - wszystko to będzie widział, ilekroć zamknie oczy i nie tylko wtedy.

Oraz widok Christophera, który przyciska ją do łóżka, zadaje ból, krzywdzi.

Uczucie lekkiej ulgi wygasło. Pozostały jedynie wstyd, poczucie winy i ból.

I jeszcze straszliwy gniew.

Nie zamierzała spać do późna, prawdę rzekłszy, spodziewała się, że w ogóle ból nie da jej zasnąć, a o czwartej rano zacznie wszystko przeżywać na nowo.

Mimo to zasnęła dość szybko, a gdy się obudziła z okropnym uczuciem ponurej beznadziei i jeszcze większym bólem niż ten, i którym się kładła - było już po dziewiątej.

Włożyła szlafrok, weszła do łazienki (wciąż widziała tam jego), umyła twarz. Znów poczuła ból - może po ostatnim uderzeniu Christophera stało się coś złego z wewnętrznymi bliznami pooperacyjnymi?

Nie teraz, Lizzie.

Wyszła przez sypialnię na korytarz.

Dom był pusty i zaległa w nim ciężka cisza.

Gilly zostawiła na stole karteczkę: Zabrałam dzieci do szkoły. Jack mówił, że dobrze się czuje, i koniecznie chciał jechać.

Pierwsze żniwo tego dnia.

Podziękowała w duchu Gilly, a jeszcze goręcej Jackowi i Edwardowi za ich ogromną, niesamowitą odwagę.

Zaparzyła kawę i podeszła z nią - wolno, czując się jak staruszka - do kuchennego stołu. „Daily Mail” i „Independent” czekały na nią równo złożone, ale nawet do nich nie zajrzała.

Musiała z kimś pogadać.

Nie z Gilly, gdyż obiecała to Jackowi. Ani nie z Angela, która nigdy nie wyzbyła się wiary w świętość Christophera. Zastanawiała się nad jego bratem Guyem, ale byłoby okrucieństwem zmuszać go do opowiadania się po czyjejsz stronie.

Przyszła jej do głowy Hilda Kapur, szybko jednak z niej także zrezygnowała. Bała się uruchomienia mechanizmów Narodowej Służby Zdrowia, na wypadek gdyby lekarka czuła się w obowiązku złożyć raport w sprawie Christophera, powiększając cierpienia dzieci.

Lizzie wypłała trochę kawy i normalność tego codziennego rytuału nieco ją uspokoiła.

Robin Allbeury.

Jest prawnikiem... Nie, nie zamierzała rozmawiać z nim na gruncie zawodowym, ale jako prawnik przywykł do słuchania, doradzania i oczywiście dyskrecji. Praktycznie obcy człowiek - może to i lepiej, będzie bardziej obiektywny - a mimo to przyjaciel, bardziej jej niż Christophera, nawet jeśli to dzięki niemu się poznali.

Odstawiła filiżankę i poszła poszukać numeru.

Allbeury był w biurze, odebrał telefon natychmiast.

Powiedziała, że koniecznie musi z nim porozmawiać i że zależy jej na absolutnej dyskrecji.

- To się rozumie samo przez się. Gdzie teraz jesteś?

- Ciągle w Marlow, ale przyjadę do miasta.

- Jesteś pewna?

- Przyjadę do twojego biura. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- W takim razie czekam. Tylko jedź ostrożnie.

przypadek nr 6/220770

PIPER-WADE E.

analiza/ocena

zawieszono

akcja X

rozwiązano

86

Wsiadając do samochodu, Lizzie nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia jest wyczerpana. Dopiero gdy tuż przed dwunastą zaparkowała swoje coupe w Bedford Row, poczuła, że ledwie trzyma się na nogach.

Wyłącznie siła woli doprowadziła ją do recepcji kancelarii Allbeury, Lerman, Wren i umożliwiła przedstawienie się młodej kobiecie za biurkiem. Ledwie Lizzie dowlokła się do skórzanego fotela, pojawił się Allbeury. Wystarczyło mu jedno spojrzenie.

- Wychodzę - rzekł, obracając się do recepcjonistki. - Zechce pani przekazać innym?

- Oczywiście.

Następnie zwrócił się do Lizzie i zapytał cicho:

- Dasz radę dojść do mojego samochodu? Lizzie zmusiła się do uśmiechu.

- Dopiero co przyjechałam z Marlow.

- No właśnie.

Ujął ją mocno pod ramię i wyprowadził na zewnątrz, do zaparkowanego za rogiem budynku jaguara.

Zapiął jej osobiście pas, nie zważając na protesty, obszedł samochód dookoła i zasiadł za kierownicą.

- Potrzebujesz lekarza? - spytał. - Pozwolisz się zaprosić do mojego mieszkania czy wolisz jechać na Holland Park?

- Do ciebie - odrzekła bez wahania. - I raczej nie potrzebuję lekarza.

- Gdybyś zmieniła zdanie, wystarczy jedno słowo.

Nie umknęło jej uwagi, że nie zapytał, czy ma skontaktować się z Christopherem.

Winston Cook, który po przepracowaniu niecałego dnia zniknął na ponad tydzień i którego Allbeury uznał za straconego bezpowrotnie, objawił się tego ranka z historyjką o chorej siostrze. Prawnik z niejasnych dla siebie samego powodów postanowił w to uwierzyć.

Cook jeszcze siedział w błękitnym gabinecie, wpatrzony w ekran monitora, podczas gdy jego palce fruwały nad klawiaturą.

- Zaczyna mi coś wychodzić - oznajmił

Allbeury'emu, który zostawił Lizzie w odległym pokoju. - To już nie potrwa długo.

- Niestety, nie możesz teraz pracować. Muszę cię prosić, żebyś wyszedł.

- Nie mogę! Bo wszystko przepadnie!

- Jest u mnie ktoś, kto się źle czuje - wyjaśnił Allbeury.

- No i dobrze. Pan nie będzie wiedział, że ja tu jestem, nikt mnie nie usłyszy. - Popatrzył na niego błagalnie. - Już prawie skończyłem.

Allbeury uśmiechnął się mimo woli.

- Okej.

Wrócił do Lizzie, którą wprowadził do przytulnego, ale urządzonego z przepychem narożnego pokoju.

Na dwóch ścianach wisiały obrazy, pozostałe wypełniały panoramiczne okna. Siedziała, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Zostawię cię jeszcze na chwilę i pójde zaparzyć herbatę, dobrze? Mocną i z mnóstwem cukru, to dobre na szok.

- Doskonale. - Ciekawe, skąd wiedział, że jest w szoku, a nie na przykład choruje? - Dziękuję, Robin.

- Nie ruszaj się stąd.

- Nie mam zamiaru.
Opowiedziała mu wszystko od samego początku.
- Tak mi wstyd... Czuję jeszcze wiele innych rzeczy, ale wstyd jest pierwszy na liście.
- Bo nie odeszłaś wcześniej? - Tak.
- Zostałaś ze względu na dzieci.
- Oczywiście.
- A zwłaszcza Jacka.
- Tak... Tylko co w ten sposób osiągnęłam? Allbeury namyślał się przez chwilę.
- Dzieci wszystkiego nie wiedzą?
- Nie. Jack wie tyle, ile zobaczył dziś w nocy, a Edward tylko to, co brat zechciał mu powiedzieć. Sophie, dzięki Bo-gu, nie ma o niczym pojęcia.
- Nie muszą wiedzieć wszystkiego. Chyba że ci na tym zależy, w co, znając cię, wątpię.
- Naprawdę? - zaciekała się Lizzie. - Naprawdę mnie znasz?
- Myślę, że wystarczająco, by mieć pewność w kilku sprawach.
- Jakich?
- Jesteś cudowną matką. I znacznie bardziej lojalną żoną, niż twój mąż na to zasługuje. - Zobaczył, że oczy jej zwilgotniały, i obserwował, jak walczy, by się nie rozplakać - A poza tym jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znam. - Umilkł na chwilę, - Chociaż może wolałabyś, żebym tego nie mówił.
- W tej chwili sama nie wiem, czego chcę - odrzekła słabym głosem.
- A ja wiem: spać. Jeśli wolno mi sądzić, tego właśnie potrzebujesz teraz najbardziej.
Wprowadził ją do gościnnego pokoju, utrzymanego w tonacji kości słoniowej. Wszystkie obrazy przedstawiały tu pastelowe kwiaty i ogrody.
- Za tymi drzwiami jest łazienka. A tu masz telefon... gdybyś go potrzebowała - wskazał nocny stolik. -

Będę w pobliżu, więc jeśli zechcesz mnie widzieć, wystarczy albo zawołać, albo wyjrzeć, jak wolisz.

- Jesteś taki dobry...
- Wcale nie. Chcę tylko, żebyś się czuła bezpieczna.
- To już się stało.
- Śpij dobrze. - Ruszył do drzwi.

Budzik na nocnym stoliku wskazywał 14.10.

- Mogę nastawić go na czwartą? - spytała Lizzie. - Muszę porozmawiać z dziećmi, jak wrócą ze szkoły.
- Oczywiście.

Winston Cook chodził po błękitnym gabinecie w stanie wielkiej ekscytacji.

- Mam już to wszystko! Mówiłem, że jestem blisko.
- To super. - Allbeury miał głowę zbyt nabitą Lizzie, by go to obchodziło. - Zechciej z łaski swojej napisać mi raport i zostawić rachunek. Jeśli wszystko będzie w porządku, to jutro się rozliczymy.
- Mogę panu przysłać ten rachunek. Facet, ja ci ufam!
- Świetnie. Dziękuję, Winstonie.
- Ale chyba musi pan jeszcze rzucić na to okiem...
- Teraz nie mam czasu.
- Ale naprawdę pan musi - nie ustępował Cook. - Adres IP, który wyszedł tu na jaw, należy moim zdaniem do osoby, którą świetnie pan zna. I jeśli się nie mylę - a ja nigdy się nie mylę, proszę zapytać Adama - to ten ktoś od dłuższego czasu podgląda pańskie pliki.
- Kto? - Allbeury przesunął gniewnie ręką po włosach.
- Proszę spojrzeć.

Zapłacił Cookowi gotówką o dwadzieścia procent więcej, niż tamten żądał, odprowadził go do drzwi, a potem cichutko sprawdził, co się dzieje z jego gościem.

Lizzie spała jak kamień. Leżąc na boku, ze zmarszczonym czołem, wyglądała trochę jak dziecko w trakcie męczącego snu.

Allbeury patrzył na nią przez dłuższą chwilę, podciągnął nieco wyżej kołdrę, a potem wyjął z kieszeni oprawny w skórę notatnik i pióro. Napisał kilka słów, oparł karteczkę o budzik, tak żeby od razu rzuciła się jej w oczy, i cicho wyszedł.

Prywatną windą zjechał do podziemnego garażu. Siedząc przez kilka minut w jaguarze, rozważał to, co pokazał mu Winston Cook, następnie wyjął z portfela wizytówkę, wybrał na komórce jeden z numerów i wyjechał ze swego miejsca na poziom ulicy.

- Wiadomość dla detektyw inspektor Shipley od Robina Allbeury'ego.

Kiedy wyjeżdżał z budynku, wciąż nie przestawał mówić.

Zajęty prowadzeniem samochodu, nie zorientował się, że po drugiej stronie ulicy ktoś ukryty za drzwiami bacznie go obserwuje.

87

Zakończywszy sesję kanałowego leczenia zęba u dentysty w Chalk Farm, Shipley wsiadła do swojego starego mini, skąd zadzwoniła do biura i usłyszała od Ally King, że Robin Allbeury zostawił jej wiadomość.

- Kazał ci powiedzieć, że to pilne. Znieczulona

szczęka Shipley zaczynała mrowieć.

- Chce się i tobą spotkać - ciągnęła King. - Gdzie?
King podała jej adres.

- Potrzebne ci wsparcie?

- Nie, dziękuję.

Shipley uruchomiła silnik, wrzuciła bieg i nacisnęła pedał gazu.

88

Za kwadrans trzecia Novak nadal siedział sam w agencji przy starożytnym radiu, nastawionym na program Radio 4, bardziej dla towarzystwa niż przyjemności, gdy nagle drzwi się otworzyły i wkroczył Allbeury.

- Cześć, Robin! - Novak sięgnął do wyłącznika. - Nie spodziewałem się...

Allbeury bez słowa obszedł biurko, pochylił się i wyrwał ze ściany główną wtyczkę komputera.

- Co u diabła...? - Novak zerwał się na nogi ze zdumieniem na twarzy.

Allbeury owinał sobie sznur wokół nadgarstka i pięści, odepchnął Novaka na bok i jednym celnym uderzeniem rozwalil ekran monitora.

- Jezu Chryste! Robin, co ty wyprawiasz?

Prawnik rozwinął sznur, pozwolił mu spaść na podłogę i ruszył w stronę nieskazitelnego biurka Clare.

- No tego już za wiele! - Novak zagroził mu drogę. - Co cię opętało?

Allbeury obrzucił go twardym lodowatym spojrze-

niem.

- Mam do ciebie tylko jedno pytanie.

- Ty - do mnie?

- Po coś mnie szpiegował, skurwielu?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

Drzwi otworzyły się znowu i Novak błyskawicznie się obrócił. Miał przed sobą obcego wysokiego mężczyznę w średnim wieku, którego twarz ze świeżymi śladami pobicia wydała mu się dziwnie znajoma. Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, przybysz ruszył prosto na Allbeu-ry'ego.

- Ty gnoju! - wrzasnął i tak go walnął w klatkę piersiową, że prawnik wpadł na ścianę przy biurku Clare.

- Co tu się dzieje? - spytał Novak.

- Dobrze pytanie. - Allbeury odzyskał równowagę i otrzepał marynarkę. - Co ty tu robisz, Wade?

- Przyszedłem ci powiedzieć - odrzekł bełkotliwym głosem przybysz - żebyś, do kurwy nędzy, odwalił się od mojej żony!

Novak odsunął się od obu mężczyzn i wrócił do swojego częściowo zrujnowanego biurka.

- Nie wiem, co tu jest grane - zwrócił się do Waée'a, który sądząc po dzikim wyrazie oczu za okularami, wyglądał na pijanego albo naćpanego - ale proszę natychmiast wyjść z mojego biura, bo inaczej dzwonię po policję.

- A dzwoń se, gdzie zechcesz, mam to gdzieś! - odparł Christopher.

- Może rzeczywiście wyjdźmy z tym na zewnątrz - zaproponował Allbeury, który już zdążył nieco ochłonać. - Chyba że chcesz, aby pan Novak dowiedział się, jakiego rodzaju męża ma Lizzie?

- Ty świni! - Christopher natarł znów na niego, ale nie trafił i tylko zrzucił na podłogę lampę z biurka Clare. Tym razem Allbeury postanowił zareagować. Chwycił go pewnym ruchem za ramię i odepchnął

tak, że Wade padł jak długi.

- Na miłość boską, Robin! - wrzasnął Novak.

Shipley zobaczyła jaguara nieprawidłowo zaparkowanego w wąskiej, brukowanej uliczce i lśniące bmw praktycznie siedzące mu na ogonie. Sama wysiadła ze swego mini kilka kroków za obydwoma wozami.

Przez otwarte frontowe drzwi weszła do budynku i ruszyła na górę po schodach.

Odgłosy bójki słyhać było przez dwa piętra.

Na ostatnich dwóch kondygnacjach przyśpieszyła kroku, przystanąła na chwilę przed drzwiami, za którymi Novak coś wrzeszczał, po czym weszła do środka.

Mężczyzna, którego nie rozpoznała, nacierał na Robina Allbeury'ego, krzycząc jakieś niezrozumiałe słowa, aż w końcu obaj upadli na podłogę, gdzie zmagali się dalej, podczas gdy Novak próbował ich rozdzielić.

- Jasna cholera! - wyrwało się Shipley.

- Nie stój tak - zawołał Novak z podłogi.

Obcy z pokiereszowaną twarzą darł się cały czas, kiedy chwyciła go za ramiona i ściągnęła z Allbeury'ego. Potem zamachnął się na nią i wtedy zobaczyła, że jest wysoki jak wieża.

- Jest pan aresztowany! - wysapała.

- Jejku, pani inspektor! - odezwał się Allbeury, gdy ciężar Wade'a przestał go przygniatać. - Pani wycucie czasu poprawia się z każdym dniem!

Christopher, ślepy z wściekłości i odurzony narkotykami, zadał kolejny cios Shipley, tym razem w plecy, że aż krzyknęła z gniewu i bólu. Novak złapał go za rękaw, ale Wade mu się wyrwał i wybiegł przez otwarte drzwi.

- O nie, nic z tego! - Shipley dogoniła go na szczycie schodów, chwyciła za ramię i wykręciwszy je do tyłu, założyła mu półnelsona.

- Suka! - ryknął Wade i wyrwał się znowu. Wiedziała, że do tego dojdzie, zanim jeszcze się stało. Wiedziała, że traci równowagę, chociaż nie powinno mu pójść tak łatwo, ale wciąż była nafaszerowana pieprzoną nowokainą czy co tam teraz stosują, i po prostu nogi się pod nią ugięły. Próbowwała uchwycić się najpierw samego napastnika, a potem poręczy i żelaznej klatki windy, ale nic jej nie zatrzymało... Dopiero kamienna posadzka podestu na półpiętrze.

89

- Gdzie jest mama? - spytał Edward na widok Gilly za kierownicą zaparkowanego przed szkołą range rovera.

- W Londynie.

Gilly poczuła skurcz w żołądku, gdy spojrzała najpierw na Edwarda, a potem na Jacka, do którego nadal nic nie docierało. To samo pytanie zadał jej pół godziny wcześniej, kiedy odbierała go razem z Sophie z ich szkoły. Dziewczynka zapytała, kiedy Lizzie wróci, i przyjęła odpowiedź do wiadomości, przyzwyczajona do ciągłych rozjazdów swoich rodziców. Natomiast Jack popatrzył na Gilly przez sekundę, po czym odwrócił wzrok i umilkł.

- A późno wróci? - chciał wiedzieć Edward.

- Jeszcze nie wiem - odparła Gilly.

- Mam lekcje do odrabiania ~ rzekł Edward, gdy tylko weszli do domu.
- Może jakiś podwieczorek? - zaproponowała Gilly.
- Nie jestem głodny. - I poszedł na górę.
- Na kolację są kotlety - krzyknęła za nim Gilly.
- Świetnie, dzięki.
- Mam zadana matkę - powiedziała Sophie do Jacka. - Pomożesz mi?
- Później.

Począł, aż siostra zaniesie plecak na górę, i spojrzał na Gilly.

- Rozmawiałaś z mamą? - spytał cicho.
- Jeszcze nie. Wyjechała przed moim powrotem ze szkolnej rundy.
- To skąd wiesz, że jest w Londynie?
- Zostawiła karteczkę.

Poszła ją odszukać dla Jacka i sprawdzić wiadomości, ale nie było żadnych.

- Na pewno zadzwoni później, zresztą może jest już w drodze.

Jack miał nieprzeniknioną twarz, zdradzały go tylko ręce zaciśnięte w pięści.

Gilly nabrała powietrza.

- Chcesz, żebym spróbowała znaleźć ojca? - Nie.

Gilly zmusiła się do uśmiechu.

- To może napijesz się herbaty?
- A gdyby zadzwonił - dodał Jack - to nie chcę z nim rozmawiać, okej?
- Okej.
- Pójdę się teraz położyć.
- Nic ci nie jest, Jack?

Zaprzeczył ruchem głowy i skierował wózek do windy. Nagle się zatrzymał.

- Ale koniecznie chcę pogadać z mamą. Jeśli zadzwoni.
- Oczywiście, obiecuję.

90

Christopher przemknął bokiem koło leżącej Shipley, zbiegł, zataczając się, z następnych dwóch kondygnacji i zniknął na ulicy.

- Wezwałem karetkę - rzekł Novak, stojąc na górze, do Allbeury'ego, który klęczał przy nieprzytomnej policjantce.

- Nie potrzebuję żadnej karetki - odezwała się nagle.

- Po prostu pomóżcie mi wstać.

- Proszę się nie ruszać - polecił jej Allbeury. - Pani kostka...

- Niech mi pan pomoże. - Zaczęła dźwigać się z podłogi,

ale zaraz wyrwał się jej okrzyk bólu. - O kurde! A niech to szlag!

- Nic pani nie będzie. - Allbeury ostrożnie ujął jej dłoń.

Novak zszedł do nich z płaszczem nieprzemakalnym.

- Musi robić za koc, bo nie mam nic lepszego. - Przykucnął z drugiej strony i delikatnie okrył leżącą.

- Kim, do diabła, był ten wariat? - spytała, wściekła na swoją bezbronność.

- Po prostu ktoś, kto chyba mnie nie lubi - odrzekł Allbeury. - Powinna pani z nim sympatyzować.

- Punkt dla pana.

- To mąż Lizzie Piper, prawda? - spytał Novak prawni-

ka, pojąwszy wcześniej, czemu twarz Wade'a wydała

mu się znajoma. - Ten chirurg?

- Lizzie Piper to ta od kuchni? - zaciekawiała się Shipley.

Uśmiech Allbeury'ego nie miał nic wspólnego z wesołością.

- Ta sama.

- Niech pan jej powie ode mnie, że mogła wybrać lepiej.

- Nie omieszkam.

Shipley obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem, po czym zwróciła się do Novaka:

- Mogę cię o coś poprosić? Filiżankę herbaty! Ten płaszcz to trochę za mało.

- Nie ma sprawy. - Novak wyraźnie się ucieszył, że ma coś do roboty.

Poczekwała, aż odejdzie, i zwróciła się ściszone głosem do prawnika:

- Jak rozumiem, pańska wiadomość miała związek z morderstwami? - Poruszyła nogą i znów się skrzywiła.

- Proszę się tym teraz nie przejmować.

- Muszę to wiedzieć! Miałam rację, tak? Jest powiązanie?

Umysł Allbeury'ego pracował na pełnych obrotach, starając się pozlepić z sobą fakty, których dużo wcześniej nie byłby w stanie z sobą połączyć.

- Allbeury! - ponagliła go Shipley. - Nie myślę się, prawda?

- Nie. Zaczynam podejrzewać, że nie.

Wlepiała w niego wzrok, starając się odczytać z miny, o co mu chodzi. W tej chwili z biura na górze wyszedł Novak, więc tylko ruchem warg zaczęła zadawać kolejne pytanie.

- Mocna i słodka! - Novak podał jej ostrożnie kubek.

- Uwaga, jest bardzo gorąca.

Allbeury pomyślał o Lizzie. Miał nadzieję, że wciąż śpi.

I nagle włos mu się zjeżył: ostatni kawałeczek łami-
główki wskoczył na swoje miejsce.
Podnosząc kubek do ust, Shipley uchwyciła wyraz
jego oczu. Zerknęła w drugą stronę, na Novaka.
- Gdzie ta cholerna karetka? - spytała.

91

Christopher, który utknął w korku na Embankment, wiedział, że nie jest w stanie prowadzić samochodu, ale ponieważ zdołał się wreszcie przebić przez gęstą watę w głowie, był także świadom, że zostało mu niewiele możliwości.

Dopiero co zepchnął ze schodów oficera policji. Spa-
prał totalnie i nieodwołalnie całą sprawę z Lizzie. A
najgorsze ze wszystkiego, że na zawsze zniszczył
sвій wizerunek w oczach ukochanego Jacka.

Prawdopodobnie teraz pozostałe dzieci też już znają
prawdę, ale Jack... och, Boże, to Jack go przecież
najbardziej potrzebował.

Potrzebował.

To przeszłość. Teraz wszystko skończone.

Ktoś za nim nacisnął klakson. Christopher zamrugał
oczami i zobaczył, że strumień samochodów przed
nim ruszył z miejsca.

Podniósł prawą dłoń w przeproszającym geście i
ruszył także.

Czeka go już tylko hańba, wstyd, może nawet
więzienie i izolacja.

Pozostał mu tylko jeden wybór: rodzaju śmierci. Na

szczęście przynajmniej w tym względzie może wybierać.

Ale jeśli nie zdecyduje się szybko, to go znajdą, zatrzymają i zrujną także i tę możliwość.

92

Lizzie wyrwał z głębokiego snu nagły dźwięk.

Brzęczenie.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po pogrążonym w półmroku nieznanym pokoju. W pierwszej chwili była zdezorientowana, ale zaraz sobie wszystko przypomniała... tak, wszystko. Usiadła na łóżku i zaczęła majstrować przy budziku.

Brzęczenie nie ustawało. Dobiegało nie z tego pokoju, z pewnej odległości.

- Robin! - zawołała.

Odgarnęła kołdrę, zobaczyła karteczkę opartą o budzik i zapaliła lampkę.

Musiałem wyjść - niedługo wracam. Częstuj się wszystkim, na co masz ochotę - uściski - Robin.

Lizzie znalazła buty i poszła szukać źródła dźwięku. Idąc korytarzem, zapalała lampy i oglądała kolejne piękne obrazy.

W holu przy windzie zobaczyła wideofon - to on tak brzęczał.

Podniosła słuchawkę, spojrzała na ekranik i zobaczyła czarno-biały obraz młodej kobiety o kręconych włosach. Nacisnęła guzik.

- Tak?

- Czy pani Wade? - spytała tamta głosem o lekkim

szkockim akcencie.

- To ja - odpowiedziała nieco zaskoczona Lizzie.
- Wiem od Robina, że pani tu jest. Czyżbym panią obudziła?
- Owszem. Proszę wejść.
- Nie mam czasu. Musi pani pójść ze mną.
- Nie rozumiem.
- Był wypadek. Robin jest ranny.
- O mój Boże! Jakiego rodzaju wypadek? - Lizzie zawahała się lekko. - Przepraszam, ale nie wiem, kim pani jest. Nie mogę tak po prostu...
- Nazywam się Clare Novak. Jestem przyjaciółką Robi-
na i naprawdę bardzo proszę, niech pani zaraz zejdzie^ on wciąż o panią pyta.
Niepokój Lizzie wzrastał - próbowała odzyskać zdrowy rozsądek.
- Gdzie on jest? W szpitalu?
- To niedaleko. Proszę zejść, dojdziemy tam pieszo.
- Ale...
- Proszę! Robin pani potrzebuje! Lizzie pomyślała o jego wielkiej dobroci.
- Zaraz będę.

93

Kiedy ambulans dojechał do New Smithfield i Shipley zniesiono na dół, sanitariusze zapytali, czy Allbeury albo Novak pojechaliby do St Thomas.

- Chyba policja chciałaby zamienić słówko z którymś

z panów.

- Ja jestem policja - odezwała się Shipley.

- Nie szkodzi, kochaneczko - rzekł sanitariusz uprzejmie, jakby uważał, że poszkodowana ma urojenia.

- Naprawdę jest - poparł ją Novak. - To detektyw inspektor.

Allbeury pochylił się i tui przy jej uchu powiedział miękko:

- Przyjadę później do szpitala i przysięgam, że powiem wszystko, co mi wiadomo. Ale teraz Mike i ja musimy już iść. Naprawdę musimy.

Shipley spojrzała mu w oczy. Poczowała, że ta sama siła, która od kilku miesięcy trzymała tego człowieka w centrum jej podejrzeń, zmusza ją nagle do zmiany kierunku i popycha do wspólnego z nim biegu.

- To idźcie.

~*~

Allbeury poczekał, aż ambulans zniknie mu z oczu, i zwrócił się do Novaka:

- Mike, musimy znaleźć Clare.

Novak wytrzeszczył oczy, przywołując w pamięci jego niezrozumiałe wtargnięcie do agencji, zanim jeszcze Wade i Shipley zdominowali scenę.

- Hakerstwo, a właściwie krakerstwo. - Grzebał w kieszeni, szukając kluczyków. - Ale z tym musimy poczekać, póki nie odnajdziemy Clare.

- Jeśli ktoś ma jej szukać, to tylko ja.

- Ale razem ze mną.

- Pokpiłeś sprawę - rzekł Novak, obracając się tyłem.

Allbeury chwycił go za ramię.

- Posłuchaj mnie, Mike. Po prostu posłuchaj.

- Puść.

- Najpierw mnie wysłuchasz.

- Puść moje ramię! Allbeury ustąpił.

- Przypuszczam, a właściwie mam pewność, że Clare wpadła w wielkie kłopoty.
- Jakiego rodzaju kłopoty?
- A nie możemy po prostu jej znaleźć? - spytał z naciskiem prawnik. - Bo jeśli się nie pośpieszymy, Mike, to strach pomyśleć, co będzie.

94

Kiedy Lizzie i Clare wydostały się z Shed Tower, ramiona Tower Bridge* były podniesione. Lizzie usłyszała, że jej towarzysze wyrwało się przekleństwo, ale zanim przeszły szybkim krokiem przez kładkę dla pieszych nad St Saviour, okrążyły Design Muzeum i przez Shad Thames dotarły do schodów, starając się nie poślizgnąć na kocich łbach, wysoki statek zdążył już przepłynąć i most po paru minutach opuszczono.

- Nie lepiej wziąć taksówkę? - zapytała Lizzie, próbując przeniknąć wzrokiem most. - Dokąd my właściwie idziemy?

- A widzi tu pani jakąś wolną? - odparła zrzędlawie Clare.

Lizzie rozejrzała się, już znowu kompletnie wykończona, ale wszystkie czarne taksówki miały powylączone znaki świetlne.

- Przepraszam, ale nie mogę tak szybko chodzić. Clare ujęła ją pod ramię.

- Pomogę pani.

Lizzie nie przepadała za tak bliskim kontaktem fizycznym z obcymi osobami, ale nie zaprotestowała.

Na

** Tower Bridge jest mostem zwodzonym, który podnosi się, aby przepuścić przepływające Tamizą statki.*

silnym wietrze, wśród mnóstwa przechodniów i pojazdów czuła się na tyle słabo, że naprawdę potrzebowała pomocy.

- Czemu pani po prostu nie zadzwoniła, zamiast po mnie przychodzić?

- Bałam się, że pani nie odbierze, a wolałam nie zostawiać wiadomości na sekretarce.

Oprócz wielkiego zmęczenia Lizzie nagle poczuła lęk. Czy to mądre z jej strony, że tak daje się prowadzić nie wiadomo gdzie tej silnej kobiecie, która może i naprawdę przyjaźni się z Robinem, ale dla niej jest osobą zupełnie obcą? Wszystko na nią napierało jednocześnie: co z Christopherem i Jackiem? I nawet nie zadzwoniła do dzieci...

Były już po drugiej stronie mostu i przechodziły na światłach na East Smithfield. Ulicę szczelnie wypełniały samochody i tłumy przechodniów. Lizzie czuła się zdez-

orientowana na tym obcym dla siebie terytorium, poza tym przytłaczała ją bliskość Clare, która wciąż trzymała jej ramię w żelaznym uścisku. - Daleko jeszcze? - spytała, tracąc oddech. - Nie, nie bardzo. - Ciągłe nie wiem, co się wydarzyło.

- Martwi się pani, prawda?

- Oczywiście, że się martwię.

- Nic mu nie będzie. Jestem pielęgniarką, zaopiekowa-

łam się nim. Lizzie uwolniła ramię i przystanąła. -

Co się stało? - Clare zatrzymała się także i obrzuciła ją spojrzeniem. - Muszę zwolnić. - Lizzie próbowała wyrównać oddech. Czuła, że musi zapanować nad

tym wszystkim. - W porządku, oczywiście. - Proszę mi powiedzieć, co zaszło.

- Pobili się...

- Pobili? - Lizzie zamrugła oczami. - Kto z kim?

- Skoro musi pani wiedzieć... Robin z moim mężem Mi-
kiem.

Lizzie odczekała chwilę. Z całą pewnością słyszała nazwisko Mike Novak... chyba od Robina, ale w związku z czym?

- Możemy już iść? - zapytała Clare.

Trójka zagadanych przechodniów - mężczyzna z dwiema kobietami - przeszła obok nich, i ich normalność podniosła nieco Lizzie na duchu.

- Tak, nic mi nie jest.

- Tylko nie chciałabym go zostawiać zbyt długo samego - tłumaczyła Clare. - Mam na myśli Robina.

- Uśmiechnęła się wyrozumiale. - Chyba nie czuje się pani najlepiej? Może jednak przyjmie pani moje ramię?

- Nie, wszystko w porządku - odrzekła Lizzie, ruszając naprzód.

- Wiele osób krępuje zbyt bliski kontakt cielesny z obcymi - zauważyła Clare, dotrzymując jej kroku. - Wiem

o tym z pielęgniarskiego doświadczenia.

Wydłużyła nieco krok i Lizzie musiała przyśpieszyć.

Oslabienie, jakie na nią spadło, było czymś zaskakującym, zwykle miała w sobie całe pokłady energii, i teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, przyszło jej na myśl, że może już nigdy nie wróci do formy sprzed operacji.

Operacja! Ogarnęła ją fala mdłości.

- Przypuszczam, że Robin musi być mocno zdenerwowany...

- Dlaczego oni się bili? - przerwała jej Lizzie.

- ...wiem, że ma słabość do pani, szczerze mówiąc, dlatego postanowiłam panią sprowadzić, bo może zechce pani wysłuchać i nie wniesie skargi na Mike'a... - Clare skrzyła w lewo. Szła teraz bardzo szybko; Lizzie zdążyła odczytać nazwę ulicy: Dock Street. - Mike jest taki dobry! - Clare wciąż gadała jak nakręcona. - Tak bardzo go potrzebuję, zwłaszcza teraz, bo spodziewam się dziecka, dlatego tak mi zależy na pani pomocy...
- Jest pani w ciąży?
- Tak. Nasze pierwsze dziecko zmarło. Lizzie od razu zmiętkło serce.
- Tak mi przykro...
- Więc teraz pani rozumie?
- Trochę. - Lizzie usiłowała być taktowna. - Jeśli mogę w jakiś sposób pomóc, to chętnie, ale nie rozumiem, áemu Robin miałby mnie słuchać. Przecież ledwie się znamy.
- No, to nie może być prawda. Bo inaczej nie spałaby pani w jego mieszkaniu, mam rację?

95

- Spróbuj jeszcze raz pod swój numer - powiedział All-beury, przebijając się przez korki na Kingsway.
- Nie chcę dzwonić, ona może spać - odrzekł pojednawczo Novak.
Wolał też nie podjeżdżać jaguarem, tylko odebrać elio z parkingu, ale w końcu niepokój o Clare wziął górę nad urazą do prawnika i Novak dał się

przekonać, że nie ma czasu do stracenia.

- Powtarzam po raz ostatni: przykro mi z powodu twojego komputera.

- Gównu mnie obchodzi komputer, po prostu chcę zrozumieć, co za diabeł cię opętał i co Shipley z tym drugim psycholem robili w moim biurze.

- Za to też cię przepraszam. - Allbeury wdepnął z całej siły hamulec i błysnął z irytacją światłami na ciężarówkę, która wepchnęła się przed jaguara. - Wszystko ci wytłumaczę, ale później, teraz naprawdę nie mogę, okej?

- Nie. Wcale nie okej.

Allbeury pokręcił głową i oderwał myśli od rozgniewanego towarzysza. Odkąd wyjechali z agencji, dzwonił już do swojego mieszkania dwa razy, ale oczywiście odebrał automat i chociaż wykrzykiwał imię Lizzie kilka razy (na wypadek gdyby jeszcze spała), nie podniosła słuchawki. Nie odsłuchiwała tej wiadomości, bo z pewnością nie należała do osób, które odbierają cudze telefony.

- Nie ma stąd jakichś skrótów? - spytał Novaka.

- Nie, tym razem nie da rady.

Allbeury przestawił swój umysł na inne tory, starając się uniknąć pokusy, by dodać dwa do dwóch i otrzymać tysiąc. Nawet teraz nie miał całkowitej pewności, czy to nie Novak majstrował przy jego komputerze. Wprawdzie gość się zaklinał, że nie wie, co tu jest grane, ale to nic nie znaczyło, podobnie jak fakt, iż Allbeury naprawdę go lubił.

Zerknął na swego pasażera, który siedział z zaciśniętymi ustami, wyraźnie bardzo spięty.

Z prawej strony pojawiła się nagle luka w strumieniu pojazdów. Allbeury spojrział w boczne lusterko, wdepnął pedał gazu i natychmiast ją wypełnił.

Nadal nic mu to nie dało.

- Już prawie jesteśmy - powiedziała Clare.
 - Dzięki Bogu - westchnęła Lizzie. Nagle zobaczyła znak ślepej uliczki, ciemny, wąski zaułek i cofnęła się odruchowo.
 - Wszystko w porządku - uśmiechnęła się Clare. - To właśnie tutaj.
- Lizzie rozglądała się po zaparkowanych ciasno samochodach w poszukiwaniu jaguara.
- Jest na parkingu. - Clare zdawała się czytać w jej myślach.
- Dotarli do budynku z tabliczką Novak Investigations Ltd. - i Lizzie natychmiast sobie przypomniała, skąd zna to nazwisko: Robin wymienił je w czasie obiadu w West Hampstead. Prywatny detektyw z żoną, którzy razem prowadzili agencję - „mili ludzie”, jak ich określił.
- To wasza agencja, tak?
 - Zgadza się.
 - A mówiła pani, że jest pielęgniarką?
 - Byłam. I nadal jestem, ale na zlecenie. - Clare otworzyła drzwi. - Dom trochę zaniedbany, niestety, i schody strome, więc proszę patrzeć pod nogi. I rzeczywiście. Mimo złego oświetlenia Lizzie zobaczyła brudne białe ściany, przestronną, archaiczną klatkę windy z tabliczką „NIECZYNNNA” i kłódką przyczepioną do staroświeckiej bramki, która po otwarciu składała się w

harmonijkę.

- Lepiej pójdę przodem - powiedziała Clare. - Proszę się nie śpieszyć.

Wykończonej Lizzie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Minęły pierwsze piętro - ciche, z pozamykanymi drzwiami, z zakurzoną paczką opartą o ścianę obok książki telefonicznej - potem drugie i trzecie - tak samo raczej niezamieszkałe, pod czwartym Lizzie już kompletnie brakowało tchu.

- Przepraszam za te schody - zawołała z góry Clare - Można się do nich przyzwyczaić.

- Pani może, ale ja na pewno nie.

Na ostatnim piętrze było jaśniej, na jedynych drzwiach nie wisiała żadna tabliczka ani logo agencji. Clare zatrzymała się na chwilę.

- Co się stało? - spytała Lizzie, wciąż z trudem łapiąc oddech.

- Nic - odparta Clare. - Mam nadzieję.

Pchnęła niezamknięte na zamek drzwi i weszła do środka.

97

- Nie ma jej tu.

Oświadczenie Novaka po powrocie do salonu małego mieszkanka przy Lamb's Conduit Street wprowadziło Allbeu-ry'ego w stan alarmu.

-I nie zostawiła wiadomości? Żadnej karteczki?

- Nie. Zresztą nie miała powodu. Tak samo nie

musiała siedzieć tu cały dzień tylko dlatego, że nie przyszła do biura.

- Więc gdzie mogłaby być?

- Gdziekolwiek.

- „Gdziekolwiek” to mało przydatne z punktu widzenia szukającego.

- To znaczy, gdybym zechciał jej szukać.

- Uwierz mi na słowo. Naprawdę musisz znaleźć Clare.

- Kurwa, przestań mi to powtarzać, tylko wytłumacz po co.

- Dobrze. Ale lepiej usiądź.

- Po prostu gadaj! - Novak jednak usiadł.

Allbeury stał nadal, świadom, że idąc za głosem instynktu, który co prawda nigdy go jeszcze nie zawiódł, mocno ryzykuje. Ale śledztwo Winstona Cooka doprowadziło go do Novak Investigations, a w agencji pracowały dwie osoby o tym nazwisku, przy czym Mike zawsze wychwalał smykałkę Clare do komputera.

- Według mnie - zaczął wolno - chociaż naprawdę nie rozumiem dlaczego, Clare mogła włamać się do mojego

systemu komputerowego. -Zobaczył, że Novak gwałtownie

czerwienieje. - Prawdopodobnie włamała się do moich plików na twardym dysku. Jest hakerką... krakerką.

- Ty gnoju! - ryknął Novak, zrywając się na równe nogi. - Ty parszywy kawałku gówna! Wmawiasz mi, że Clare ma kłopoty, straszysz mnie tak, że mało nie wykorkowałem, a wszystko po to, żeby przyjechać tutaj i oskarżać ją o takie totalne bzdury!

Allbeury czekał, aż Novak się na niego zamachnie, gotów na przyjęcie ciosu, choćby dlatego, że dobrze rozumiał jego oburzenie. Zresztą gniew detektywa najlepiej świadczył o jego niewinności.

Novak jednak nie zaatakował go, po prostu stał, kipiąc ze złości.

- Bardzo mi przykro, Mike, ale niestety mam dowody... Bóg mi świadkiem, że wolałbym ich nie mieć.

- Jakie dowody?

- I jestem przekonany, że inspektor Shipley też dojdzie do kilku wniosków, gdy tylko poskleją jej głowę.

- Co Shipley ma do tego? - Strach i niepewność w oczach Novaka mieszały się z chęcią protestu.

- Czy wiesz, gdzie Clare może być?

- Odpowiedz mi na pytania. Jaki masz dowód i co ma do tego Shipley?

- Zatrudniłem eksperta, żeby sprawdził mi kompa. To przyjaciel Adama Lermana. Wyśledził krakera w tej agencji... Mike, czy masz pojęcie, gdzie jest Clare? Po prostu sam z nią pogadasz... czy razem pogadamy, może będziemy mogli jej pomóc.

- Bo tak ci świetnie idzie pomoc kobietom w opałach?

Obrazy, które dręczyły Allbeury'ego od dłuższego czasu - Lynne Bolsover i Joanne Patston - stały się jeszcze wyraźniejsze, przeszywając go dreszczem. Wypchnął je z głowy.

- Musisz ją znaleźć, Mike - powtórzył błagalnie.

W oczach Novaka coś zamigotało, ale zaraz zgasło.

- Co? - spytał Allbeury. - Mike, o co chodzi? Novak odczekał chwilę.

- Ona ma pacjenta... Allbeury też sobie przypomniał.

- Tego paraplegika?

- Tak. Nazywa się Nick Parry.

- Zadzwoń do niego. Sprawdź, czy jej tam nie ma. - I widząc niepewność w oczach Novaka, dodał: -

Przynajmniej będziesz wiedział, że jest bezpieczna.

- Nie będę jej wypytywał przez telefon.

- Jasne.

Novak zrobił półobrót, ale nagle znieruchomiał.

- Nick Parry grywa w Internecie w szachy i pokera. Clare mówiła, że on traktuje kompa jak przyjaciela.
- Sprawdź, czy ona tam jest.
- Może to jego robota? - Błysk nadziei w oczach.
- A może nauczył Clare paru sztuczek.
- Nie, na pewno było inaczej - dowodził Novak z zapalem. - Młody facet na wózku... Nudzi się po całych dniach... On bardziej do tego pasuje niż Clare.
- Po prostu zadzwoń.

98

Wszedłszy do biura za Clare Novak, Lizzie zobaczyła na podłodze przewróconą lampę, a na biurku rozbity monitor. No tak, bójka z pewnością się odbyła.

- Gdzie oni są? - spytała z napięciem w głosie. Osłabienie niemal minęło, ustępując miejsca nowemu uciskowi w żołądku, rozpoznanemu jako strach.

- Nie wiem - odparła niepewnie Clare. Minęła oba biurka, sofę i niski stolik, podeszła do drzwi za rzędem szaf na akta, otworzyła je i pokręciła głową. - Nie rozumiem, co tu się dzieje.

Zawróciła, obeszła wolno pokój, nagle mijając Lizzie, zmarszczyła brwi i wybiegła na klatkę schodową.

Lizzie usłyszała zgrzyt metalu.

- O Boże! - dobiegł ją głos Clare.

- Co się stało? - Podeszła szybko do drzwi. Bramka windy była otwarta. Przy odsłoniętym szybie

stała Clare.

- Niech pani sama zobaczy.

Lizzie serce skoczyło do gardła. Wyszła na klatkę i na widok zszokowanej twarzy Clare obleciał ją jeszcze większy strach.

- Proszę spojrzeć - namawiała ją Clare. - Tylko ostrożnie.

Lizzie zbliżyła się do ciemnego, pustego szybu windy, uchwyciła się rączki żelaznej bramki, już bez kłódki, i pochyliła ostrożnie nad krawędzią.

Pchnięcie w plecy było gwałtowne i zdecydowane.

Krzyknęła. Tracąc grunt pod nogami, poczuła przyływ paniki, a jednocześnie zastrzyk adrenaliny na tyle skuteczny, że resztką sił uczepiła się bramki. Kolejne pchnięcie, tym razem w ramiona.

- Boże! Co pani robi!?

- Pomagam. - Clare zaczęła odczepiać palce Lizzie od bramki.

- Clare, nie!

Złapała napastniczkę za rękę i wykręciła ją, aż Clare zawyła z bólu. Przez chwilę Lizzie myślała, że wygra, ale nagle Clare się wyrwała, a ona sama zawisła całym ciężarem na bramce, rozciągając harmonijkę. Prawa noga straciła punkt oparcia i teraz Lizzie trzymała się tylko na rękach.

- Clare, na miłość boską, pomóż!

- Przecież mówiłam. Właśnie ci pomagam.

Clare dźwignęła bramkę do pionu, przytrzymując palce Lizzie wczepione w harmonijkę.

- Jeszcze tylko raz - powiedziała, nie bacząc na krzyk ofiary.

I rzeczywiście pchnęła jeszcze raz.

Lizzie runęła w ciemność, daremnie szukając na ścianie punktu oparcia dla poranionych palców.

Nagle zawadziła nogą o coś twardego, szorstkiego i spadła na dach windy dwa piętra niżej, tracąc przytomność.

99

- Parry mówi, że jej tam nie ma - rzekł Novak, odkładając telefon.

- Wierzysz mu?

- Chyba tak. Sam nie wiem. - Usiadł na sofie. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie w sprawie Shipley. Czemu miałoby ją interesować, że ktoś włamuje się do twojego kompa?

Allbeury zwlekał z odpowiedzią częściowo dla dobra Novaka. Ale także dlatego, że coś innego przyszło mu nagle do głowy.

- Shipley mogłoby to obchodzić z kilku przyczyn - rzeki wolno. - Głównie z powodu moich plików na temat Lynne Bolsover i Joanne Patston.

Novak milczał przez chwilę i nagle znów wezbrała w nim furia.

- Nie gadaj głupstw.

Allbeury nie odpowiedział; umysł pracował mu na zwolnionych obrotach.

- Co to za pierdolone dowcipy? - nalegał Novak.

Prawnik nie słuchał, zajęty wyteżaniem pamięci.

Inne pliki na twardym dysku. Na temat Lizzie i Christo-

phera Wade'a.

I jeszcze notatki w kalendarzu: obiad w mieszkaniu Wade'ów, drinki z Lizzie w Savoyu.

Poza tym... Lizzie Piper była ofiarą przemocy domowej, podobnie jak Lynne Bolsover i Joanne

Patston.

- O Boże!

- Co teraz? - Novak kręcił głową z niesmakiem. - Co jeszcze wymyślisz? Co według ciebie, Clare jeszcze zrobiła? Wstąpiła do pieprzonej mafii?

Allbeury wyjął z kieszeni komórkę i znów wybrał domowy numer. Usłyszał włączający się automat i przerwał połączenie.

- Wychodzimy.

- Nigdzie nie idę - zaprotestował Novak.

- Musisz pójść ze mną. W tej chwili!

- Nie płacisz mi teraz za usługi, Robin. Allbeury wziął kluczyki.

- Mike, kochasz Clare?

- Nie zadawaj mi takich głupich pytań, popaprańcu! Prawnik już był przy drzwiach.

- Jeśli naprawdę ją kochasz, to lepiej chodź!

100

Lizzie ocknęła się oszołomiona, półprzytomna z bólu. W ciemności.

Niezupełnej jednak; z góry dochodziło słabe światło. I jakiś dziwny dźwięk.

W ułamku sekundy wszystko wróciło znowu, napędzając ją przerażeniem. Tamta kobieta...

wariatka... zepchnęła ją do szybu windy. To nie był wypadek, o nie! Zrobiła to z pełną premedytacją, z zimną krwią.

Znowu ten dźwięk.

Lizzie zaczęła podnosić głowę ku światłu, ale nagle

przestraszyła się, że może sobie uszkodzić kręgosłup.

Uważaj, co robisz, Lizzie.

Leżała na boku na twardej, zimnej podłodze z grubym czarnym kablem przy twarzy.

Ostrożnie poruszyła dłońmi - bardzo ją piekły, były spuchnięte i wiedziała dlaczego: ta szalona kobieta przy-trzasnęła je bramką. Lewa ręka, skrzycona, wepchnięta pod żebra też bolała - pewnie ją złamała. Ból w dole brzucha minął... złamane kości będą boleć przy każdym ruchu, przynajmniej miała czucie w ramie-niu i dłoniach. W nogach i stopach także - były pewnie po-siniaczone, poranione, ale nie złamane. I co najważniejsze, kręgosłup chyba jest cały.

Dzięki Ci, Boże.

Dźwięk się znowu odezwał: jakby słaby jęk. Clare, Lizzie przesunęła się nieco, starając się nie krzyknąć z bólu. Stalowa podłoga skrzypnęła pod jej ciężarem i za-kołysała się lekko... Nie, to nie podłoga, tylko wierzch windy... Mimo woli wyrwał się jej cichy okrzyk.

- Oooch...

To nie jej głos. To Clare, tam na górze. Lizzie ostrożnie uniosła twarz.

W smudze światła z półotwartej bramki dwa piętra wyżej zobaczyła wlepione w siebie oczy prześladowczym, która klęczała, trzymając się za brzuch.

- Jeszcze żyjesz? - spytała dziwnym głosem Clare. Lizzie oblizwała suche wargi.

- Pómóż mi..

- Po co miałabym ci pomagać? - spytała Clare i nagle wciągnęła gwałtownie powietrze, krzywiąc się z bólu.

-Ojej... - jęknęła zduszonym głosem. - To dziecko...

Właśnie je tracę.

Przez ten wysiłek, pomyślała Lizzie. Przez szarpanie

się z bramką. I spychanie jej do szybu. Dziecko w niczym nie zawiniło...

- Clare, pomóż mi się wydostać. - Lizzie sama nie mogła uwierzyć w swą zimną krew. - Wtedy ja pomogę tobie.

Odpowiedział jej głuchy jęk.

- Clare, posłuchaj! Zadzwoń po karetkę! - lizzie poczuła na czole krople potu. Nagle zrobiło się jej słabo z bólu - Clare, proszę... Jeśli zaraz zadzwonisz, może uda się uratować dziecko!

Dwa piętra wyżej, na krawędzi szybu Clare zaczęła się śmiać.

Dźwięk rozsadzał Lizzie głowę, niemal pozbawiając ją przytomności.

- Clare, proszę! Ktoś ci musi pomóc!

- Nie potrzebuję pomocy. Ty także jej nie otrzymasz, przynajmniej nie ode mnie.

- Dlaczego? - Lizzie już w chwili, gdy zadała to pytanie, wiedziała, jakie jest głupie. Przecież to Clare ją zepchnęła, mocowała się z nią, póki Lizzie nie spadła. A jednak ogromnie zależało jej na odpowiedzi - Dlaczego, Clare?

- Już przedtem zabijałam... - odparła tamta.

W ciemności szybu do piersi Lizzie wkradła się kolejna fala strachu i już tam została.

- ...takie kobiety jak ty - dodała Clare.

- Przecież mnie nie znasz!

- Ale sporo o tobie wiem.

- Co mianowicie? - spytała w oszołomieniu Lizzie.

- Wiem, jaki jest twój mąż.

Strach podpełzł jeszcze wyżej, rozlewając się po całym ciele.

- Skąd możesz to wiedzieć? - wyrwało się Lizzie pytanie, zanim zdążyła pomyśleć.

- Zapytaj swojego przyjaciela - odparła Clare. - Zapytaj Robina.

- Dlaczego Robina? - Niepewność przytłumiła na

chwilę strach. - Nic nie rozumiem.

- Poprzednim razem byłam dokładniejsza. Miałam czas wszystko zaplanować, zrobić to, jak należy, ze względu na dzieci. Bo widzisz, mnie chodzi przede wszystkim o dzieci.

Słowo „dzieci” podziało na Lizzie jak cios siekierą.

- Co masz na myśli? - Chciała usiąść, ale ból ją porażał i bała się, że zemdleje. - Co mają do tego dzieci?

Clare jęknęła, bo znowu chwycił ją skurcz. Lizzie zgrzytnęła zębami.

- Clare!

Nie było odpowiedzi.

- Clare! - Przyływ paniki ścisnął ją znów za gardło. Czowała się coraz słabiej, kręciło się jej w głowie. -

Clare, zadzwoń po pomoc! Dla swojego dziecka!

- Mówiłam ci już - głos Clare stwardniał jeszcze bardziej. - Nie trzeba mi żadnej pomocy.

101

Allbeury spojrział na Novaka, skulonego na miejscu pasażera, z zaciśniętymi pięściami i nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Siedzieli znów w jaguarze, tkwiącym w piątkowym popołudniowym korku.

- Pieprz się! - odwarknął Novak.

- Kurde, Mike, dorośnij wreszcie! - Po raz pierwszy Allbeury naprawdę się rozgniewał - Może mi nie wierzysz, ale naprawdę próbuję pomóc!

- To mi powiedz, dokąd, u diabła, jedziemy i po cholere?
- Najpierw zrób to, o cię proszę, a potem ci powiem. - Wziął milczenie Novaka za zgodę. - Weź moją komórkę i znajdź mi pewien numer... powinien być w spisie.
- Novak wyjął telefon z uchwytu.
- Nazwisko?
- Shad Tower. Chcę rozmawiać z portierem. Novak odnalazł spis telefonów.
- Może być też zapisany pod „portier”. Detektyw przewinał zapisane alfabetycznie nazwiska.
- Nie ma.
- To spróbuj pod 192, może jest w spisie. - Samochody ruszyły z miejsca. - Albo daj spokój, dotrzemy tam, zanim znajdziesz.
- Mogę spróbować.
- Powiedziałem: daj spokój. Novak trzasnął telefonem w uchwyt.
- No to teraz gadaj, co ci chodzi po głowie. Allbeury błysnął światłami i nacisnął klakson.
- I po jaką cholere - ciągnął Novak - jedziemy do Shad Tower?

102

Helen Shipley, unieruchomiona w mocno niewygodnej pozycji na wózku w korytarzu szpitala St Thomas, czekała na rentgen nogi, wściekła jak cholera.

Że też akurat teraz!

Powinłam zawiadomić Keenana.

Tyle że Shipley miała pomysł - w tych okolicznościach dość ekstrawagancki i z pewnością zakrawający na ironię losu - że w tym akurat momencie Robin Allbeury wykonuje lepszą robotę niż ona i Keenan razem wzięci

Była po służbie, kiedy to wszystko się zaczęło z Bóg jej świadkiem, że Keenan tak naprawdę nie chciał jej słuchać.

No przecież ma rację, nie? Przynajmniej częściowo.

Przechodząca obok pielęgniarka spytała:

- Okej, kochaneczko?

- Czy mogłabym dostać.-, - zaczęła Shipley, ale pielęgniarka już była daleko. - ...telefon?

Wkurwiona na maksa.

103

Lizzie obudziła się ze złego, bolesnego snu, czy może raczej, jak przypuszczała, kolejnego omdlenia.

Clare.

Spojrzała szybko w górę i zobaczyła tylko prostokąt światła dwa piętra wyżej.

Nikogo w nim nie było. Poszła. Wszędzie panowała głucha cisza. Ani żywej duszy.

Lizzie przyjrzała się grubym kablom, które zwisały obok; przez chwilę myślała, żeby się o nie oprzeć, ale po-

tem, idąc za głosem instynktu, wręcz się od nich odsunęła. Ból dłoni i ramienia przyprawiał ją niemal

o mdłości, a winda pod jej ciężarem jęknęła jak stare zreumatyzowane zwierzę.

Leż cicho i czekaj.

Zastanawiała się, jak długo potrwa, zanim ktoś przyjdzie... może Robin? Ale Clare mówiła, że jest ranny. Clare zepchnęła cię do szybu.

Ale może Robin naprawdę jest ranny, może i jemu Clare coś zrobiła?

„Wiem, jaki jest twój mąż” - to jej słowa. A kiedy Lizzie zapytała, skąd wie, Clare kazała jej zwrócić się do Robina.

„Zabijałam już przedtem”.

„Ze względu na dzieci”.

Jack! I Edward, i Sophie... A zaraz potem szokująca prawda o jej małżeństwie... Lizzie zaczęła rozdzierająco szlochać.

Dopóki winda znów nie zaskrzypiała. To przywołało ją do rozsądku.

104

Christopher był w swoim gabinecie w domu przy Holland Park.

Kilka minut wcześniej dzwonił telefon, ale Christopher nie odebrał, zdając się na automat. Nie sprawdził też, czy ma jakieś inne wiadomości, bo go to już nie interesowało. Zakłóciłby sobie tylko niepotrzebnie tok myślenia, który w tej chwili był bardzo wyrazisty.

Zgromadził już wszystko, czego potrzebował: dobra

kombinacja, taka, która w przyjemny sposób przeniesie go tam, dokąd zmierza. Prawdopodobnie przyjemniejszy, niż na to zasłużył, chociaż nigdy nie rozumiał, po co niektórzy ludzie torturują się w drodze do niebytu.

Z drugiej strony, postanowił nie robić tego tutaj - wprawdzie miałyby pełen komfort, ale jego żona i dzieci zapewne będą nadal mieszkać w tym miejscu; nie chciał nikomu z nich narzucać tego rodzaju skojarzeń, których nie da się wykorzenić.

Zrobiłem już dosyć... nadal robię... wystarczy im aż nadto i bez tego.

Poza tym zawsze istniała możliwość, że ktoś - policja albo sama Lizzie czy Allbeury, teraz, po owej strasznej porażce w tym ponurym biurze - może go tutaj szukać, a on nie zamierzał dopuścić, by mu przeszkodzone.

Napisał już listy do Edwarda i Sophie, zdobył się nawet na zawstydzająco krótki, całkowicie nieadekwatny list z wyrazami żalu i miłości do Lizzie.

Pozostał mu jeszcze ten najtrudniejszy.

Niech ci się ani przez sekundę nie wydaje - pisał do Jacka - że postąpiłeś źle, napadając na mnie w taki sposób. Nawet kiedy taranowałeś mnie z tym rozwścieczonym wyrazem twarzy, byłem z Ciebie dumny, podziwiałem Cię za siłę i odwagę, jaką zawsze w sobie miałeś.

Chcę, żebyś nadal pomagał innym opiekować się Mamą, dopóki tylko będziesz mógł, a potem, kiedy sprawy przybiorą gorszy obrót, pozwolili jej zaopiekować się Tobą. Nie walcz z nią za bardzo, postaraj się ułatwić jej to wszystko.

Wiem, że ze mnie okropny tchórz, ale nie jestem ani w przybliżeniu taki dzielny jak Ty i próbuję w końcu zachować się odpowiednio dla dobra Was wszystkich.

Przez wiele lat robiłem różne złe rzeczy, popełniłem też wiele głupstw i prawdopodobnie musiałbym stanąć przed sądem, a potem może pójść do więzienia. Znając Twoje dobre, wspaniałomyślne serce, wiem, że może po pewnym czasie zdobyłbyś się na przebaczenie, może nawet zechciałbyś wspierać mnie w sądzie czy odwiedzać w więzieniu, a tego nie mógłbym znieść, za wielki ze mnie egoista. W przeciwieństwie do Twojej cudownej Matki, która już wiele lat temu mogła doprowadzić do ukarania mnie, a jednak przy mnie wytrwała.

Wy wszyscy, moje najdroższe Dzieci, ale Ty przede wszystkim, mój dzielny Synu, nauczyliście mnie bardzo wiele. Żałuję z całego serca, ale nie mogę dłużej z Wami zostać. Zawsze będę Cię kochał i modłę się, abyś z czasem spróbował nie myśleć o mnie zbyt ile. Jeśli jednak nie potrafisz mi wybaczyć, zrozumieć i to, gdyż zaprzepaściłem wszelkie prawo, by oczekiwać czegoś innego.

Podpisał list, zapieczętował kopertę, już nieco spokojniejszy, ale nagłe wycie syren na ulicy przestraszyło go

tak, że upuścił list i pióro. Zastygł w bezruchu i czekał, pó-

ki dźwięk nie ucichł w oddali

Jeszcze nie po niego, ale czas płynął.

Drżenie dopadło go znowu, kiedy wszedł do gabinetu Lizzie, żeby położyć wszystkie koperty na jej biurku.

Chciał, żeby to ona znalazła je pierwsza.

Wziął swoją kolekcję pigulek, ulubione fotografie Liz-zie i dzieci, po czym opuścił mieszkanie.

105

Clare doszła do rzeki.

Siedziała na ławce tuż nad wodą, kilka kroków od restauracji przy Butler's Wharf.

Było zimniej, niż się spodziewała. Czuła się bardzo zmęczona, a szybki marsz w ciemności przez most i koło Shad Tower niemal ją wykończył, ale wiedziała z grubsza, dokąd chce się dostać, żeby potem siedzieć i czekać.

Aż ją znajdą.

Albo aż to się skończy.

Obojętne, co najpierw.

Próbowała nie zwracać uwagi na ból, zagłuszyć go oddychaniem. Patrzyła w rzekę, wyobrażając sobie ciemność pod lustrem wody.

Czuła, że cieknie z niej krew. Niech cieknie! Teraz już ani śmiech, ani łzy...

Niech się dzieje, co chce.

106

- Szlag by to trafił! - Allbeury stał w swoim salonie w Shad Tower. - Dokąd ona poszła? Żadnej kartki czy wiadomości!

- A ty nic, tylko byś szukał karteczek, co? - przyciął mu Novak. - Z wyjaśnieniami.

Allbeury go zignorował. Myślał intensywnie, gdzie

jeszcze może być Lizzie. Dzwonił już i do domu przy Holland Park, i w Marlow, gdzie nakłamał Gilly, że to nic ważnego.

Przypomniał sobie Susan Blake, ale zaraz zrezygnował z tego pomysłu. Podszedł do domofonu i porozmawiał z portierem.

- Przykro mi - usłyszał. - Dopiero objąłem dyżur, ale jeśli to pilne, odszukam Dermota.

- Bardzo pilne. Proszę do mnie oddzwonić. - Wziął głęboki oddech, próbując się opanować. Na zwykle tak przyjaznej twarzy Novaka wciąż malował się gniew i strach. - Siadaj, Mike.

Novak poruszył przecząco głową, ale w końcu przycupnął na sofie z miną boksera przed walką.

- Drinka? - Nie.

- Kawy?

- Nie.

Allbeury obejrzał się na domofon, potem zerknął na zegarek. Prawie siódma! Gdzie ona jest, do cholery? Zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, wyglądając przez szklane drzwi w półmrok bez konkretnego celu.

Nagle się zatrzymał. Stał tak przez chwilę w ciszy, po czym wypadł na taras, złapał teleskop i skierował go w dół, następnie w lewo, na kładkę dla pieszych z nierdzewnej stali nad St Saviour Dock, prowadząc obiektyw wzdłuż chodnika.

Jest!

Wycelował lunetę na drobną figurkę i poprawił ostrość. Na ławce przy Butler's Wharf, przed Gastrodome siedziała jakaś kobieta.

- Clare! - krzyknął.

W pokoju Novak skoczył na równe nogi.

- Tam! - pokazał mu Allbeury.

Obaj mężczyźni wybiegli z mieszkania.

Mimo bólu ramienia i palców Lizzie udało się skulić z podciągniętymi kolanami, które objęła zdrowym ramieniem. Czuła narastający chłód. I strach. Próbowała sobie tłumaczyć, że nie ma się czego bać, bo najgorsze już się stało - spadła z dwóch pięter w głąb szybu i przeżyła. Teraz pozostało tylko czekać, aż nadejdzie pomoc. Jeśli nadejdzie.

Dzieci

Clare powiedziała, że robiła to dla dzieci
Zabijała.

Ale dzieci Lizzie były bezpieczne pod opieką Gilly, a Christopher - gdziekolwiek jest - nie wróci już do Marlow po ostatniej nocy. Natomiast Clare Novak z pewnością nie opuściła Londynu. Jest chora, prawdopodobnie poroniła, więc raczej nie stanowi zagrożenia dla Jacka, Edwarda i Sophie.

A jeśli nikt się nie zjawi?

To niemożliwe, powtarzała sobie z uporem.

Wmawianie sobie czegoś innego to po prostu użalanie się nad sobą. Mike Novak pracuje w tym budynku i chociaż jest piątkowy wieczór, w agencji został taki bałagan, że na pewno w ciągu weekendu ktoś się pokaże. Ktokolwiek - jeśli nie Novak czy Robin, to może sprzątaczką, policja...

Albo Clare.

Novak pierwszy dotarł do Clare. Usiadł przy niej i w milczeniu objął ją łagodnie opiekuńczym ramieniem. W świetle lampy zobaczył krople potu na jej twarzy, ale mimo to wyczuł, jak żona drży.

- Zmarzłaś. - Zdjął skórzaną kurtkę i narzucił jej na ramiona.

Próbowała się uśmiechnąć, ale skurcz wykrzywił jej twarz.

W tym momencie poraziła go prawda.

- Dziecko? - spytał, walcząc z falą paniki.

Nie odpowiedziała, tylko zaczęła się kiwać z bólu.

Novak obejrzał się na Allbeury'ego, który czekał z tyłu.

- Możesz zadzwonić po karetkę? Zostawiłem gdzieś telefon...

- Za chwilę.

- Już! Wejdź do tej knajpy...

- Chwileczkę. - Allbeury obszedł ławkę i usiadł z drugiej strony Clare. - Gdzie jest Lizzie?

- Robin, ona musi jechać do szpitala! - Novak przytulił ją mocniej.

Clare uśmiechała się znowu.

- Gdzie ona jest? - nalegał Allbeury.

- Zostaw ją, skurwysynu! - krzyknął na niego Novak.

- Sprowadź jakąś pomoc!

Clare obróciła głowę w jego stronę.

- Lizzie jest w biurze.

- Jakim biurze?

- Naszym.

Allbeury wstał, wyjął komórkę i wystukał 999.

- Zawiadomię ich po drodze do samochodu - rzekł, odchodząc.

Novak obejrzał się na Shad Tower, błyszczący w ciemności wieżowiec, przy którym przerobione na mieszkania magazyny wydawały się dziwnie pomniejszone. Potem skierował wzrok na Tower Bridge z nieruchomym rzędem świateł stojących zderzak w zderzak aut.

- Szybciej będzie piechotą - krzyknął.

Allbeury podniósł rękę na znak zgody, skręcił w Curlew Street i zniknął.

109

Jim Keenan dotarł do szpitala St Thomas tylko dziesięć minut wcześniej - przypadek zrzucił, że kiedy Shipley do niego zadzwoniła, detektyw był bardzo blisko, na stacji Waterloo. Właśnie wypuszczono ją z rentgena i chociaż zalała go całym potokiem bezładnych zdań, starał się ze wszystkich sił wydobyć z nich jakiś sens.

- Trochę wolniej, dobra? Na razie wiem, że ktoś ze-pchnął cię ze schodów...

- A ty się wreszcie skup! - przerwała mu niecierpliwie. - On się nazywa Christopher Wade, ale to teraz nieważne.

- Napaść na oficera policji jest dostatecznie ważna.

- Ale nie w tej chwili.

- Więc o czym ty właściwie mówisz? Że Allbeury ma związek z zabójstwami, ale niebezpośrednio?

- Mówię, że on próbował mi coś powiedzieć tak, aby Novak nie słyszał. Moim zdaniem Allbeury uważa, że Novak, a może także jego żona, ma coś na sumieniu.

- Więc nadal chodzi tylko o podejrzenia?
 - Chyba tak, z tym że teraz już nie tylko moje, także All-beury'ego. Gdybyś widział jego minę, od razu byś zrozumiał, że dzieje się coś bardzo złego... coś nowego, rozumiesz?
- Wstawili ją do boksu, dali środek przeciwbólowy i powieki zaczęły jej opadać.
- Czy „coś złego” oznacza, że ktoś jest w niebezpieczeństwie? - naciskał Keenan, zanim zapadła w sen,
 - Możliwe. I gdybym nie wylądowała tu z tą cholerną nogą, pojechałabym w te pędy do mieszkania Novaka, potem z powrotem do agencji i jeśli nikogo bym tam nie zastała, ruszyłabym znów tropem Allbeury'ego.
- Keenan wyjął notatnik.
- Adresy!
- Oczy Shipley już się zamykały.
- Teraz... twoja kolej. To świństwo zaczyna działać... Tak miło dzwoni w uszach i...
- Keenan położył jej dłoń na ramieniu.
- Adresy, Helen.

110

- Zabierzemy cię do środka - powiedział Novak do Clare. - W ciepłe miejsce.
- Nie.
- Tu jest za zimno. - Wstał i próbował ją pociągnąć za sobą.
- Nie! Chcę zostać.

- No dobrze - ustąpił, przyciskając ją ciaśniej do siebie. - Zaraz przyjedzie karetka. Zobaczysz - przemawiał łagodnie - wszystko będzie dobrze, i z tobą, i z naszym ma-luszkim, nie masz się czego bać, okej, najdroższa?

- Z dzieckiem nie będzie dobrze.

- Ależ tak, kochanie. O nic się nie martw.

- Dziecko umiera. Może już umarło. A ja wcale się nie martwię, Mike, bo tego właśnie chciałam.

No nie, chyba się przesłyszał. Ale Clare nagle się zaśmiała.

To obłąd, rzekł sobie i uczepił się tej opcji. Ale ten śmiech... Taki ochrypliwy, szorstki...

- To prawda, Mike. - Zerknęła na niego przelotnie. - Zrobiłam to specjalnie, tak samo jak poprzednim razem, kiedy zabiłam naszego synka.

- Wcale go nie zabiłaś. Sto razy ci mówiłem, że to nie twoja wina.

- Owszem, moja. - Uczepiła się palcami jego koszuli jak dziecko spódnicy matki. - Nasz synek nie umarł tak po prostu, nie miał problemów z oddychaniem, w każdym razie nie takie, jak myślałaś...

- Clare, kochanie, przestań! - Wykręcił się do tyłu i nie wypuszczając jej z ramion, wypatrywał w wąskiej uliczce błyskającego na niebiesko światła, chociaż nie słyszał jeszcze syren.

- Cały czas miałam nadzieję, że on sam umrze...

Modliłam się o poronienie...

Poczuł w żyłach cały ciemny ziąb rzeki. Obrócił się do niej wolno.

- ...ale nie nastąpiło - ciągnęła Clare - więc sama musiałam się tym zająć.

Odsunął się, ale wciąż zaciskała palce na jego koszuli.

- Tak mi przykro - mówiła bez cienia żalu w głosie. - Naprawdę mi przykro, ale już pora, żebyś się dowiedział, nie sądzisz?

W pierwszej chwili pomyślał, chciał wierzyć, że zwariował, że to wszystko jest jakimś sennym koszmarem albo że miał rację kilka minut temu: może to ona wpadła w obłąd.

Ale poznał po oczach - zimnych, niemających nic wspólnego z Clare, którą znalazł i kochał od lat - że mówi prawdę.

Allbeury przebiegł wzdłuż Shad Thames, minął Chef School*, galerię rzeźby, Pizza Express, browar Anchor Brew-house i przeskakując po trzy stopnie naraz, przedostał się na most. Nie zwalniając ani na chwilę kroku, przeprawił się na drugą stronę rzeki. Tam też taksówki ani śladu, a korki wcale nie mniejsze... I jeszcze ta ulica, East Smith-field, kto by pomyślał, że jest taka długa, chociaż prawdę rzekłszy, nigdy nie chodził pieszo z Shad Tower do agencji. Spojrzał na drugi brzeg; ciekawe, czy karetka już przyjechała? I co się stało z Clare?

* *Szkoła Szefów Kuchni.*

Nareszcie Dock Street! Skręcił w lewo, z trudem łapiąc oddech.

Jeszcze tylko parę kroków.

- Lizzie Piper powiedziała, że chce mi pomóc uratować nasze dziecko - wyjaśniła Clare Novakowi.

- To bardzo miłe z jej strony, gdy wziąć pod uwagę, jak z nią postąpiłam.

Chwycił ją kolejny, jeszcze silniejszy skurcz; śmiała się teraz i płakała, kołysząc się w przód i w tył, obejmując się ramionami.

- Na miłość boską, Clare! Pozwól mi zaprowadzić cię

gdzieś pod dach!

- Nie. Nie tak to sobie zaplanowałam - ciągnęła. - Nie tak jak z tamtymi.

Ostatnie słowa zawisły na chwilę w zimnym, nocnym powietrzu, tuż poza granicami zrozumienia Novakà.

- Tamtymi? - powtórzy! bezradnie, zmrożony tym, co usłyszał.

- Nie udało się - mówiła, cały czas się kołysząc - bo nie miałam dość czasu, by wszystko zaplanować.

Ale i tak idzie

nie najgorzej. Teraz Robin ją znajdzie, będzie próbował uratować, ale winda nie wytrzyma ciężaru ich obojga...

- Winda - powtórzył jak echo Novak.

- Nasza winda.

- Nasza winda nie działa - zauważył głupio. - Od lat jest przeznaczona do likwidacji.

- I bardzo słusznie. Ona wisi dosłownie na włosku, w każdej chwili może spaść.

111

Lizzie usłyszała jakiś dźwięk... skrzypnięcie drzwi - jedno, drugie - na dole. Serce skoczyło jej z radości, poczuła, jak stara winda zadygotała... i znowu zastygła.

Kroki na schodach.

Czyje?

~ lizzie?

Głos Robina.

Dzięki Bogu!

- Robin, jestem uwięziona! - krzyknęła. - W szybie windy!

- O Boże!

Lizzie po raz pierwszy uśmiechnęła się, zapominając natychmiast o bólu i strachu.

- Musisz bardzo uważać! Na najwyższym piętrze jest otwarta bramka, a ja siedzę dwa piętra niżej, na daszku windy.

- Boże Wszechmogący!

Po chwili w otwartej bramce na górze zobaczyła jego twarz i ramiona.

- Uważaj - upomniała go znowu.

- Szkoda, że ciebie nikt nie przestrzegł. Wargi Lizzie drgnęły w uśmiechu.

- Jak się dowiedziałeś, że tu jestem?

- Clare Novak mi powiedziała.

- To ona mnie zepchnęła. Przyznała się do innych zabójstw... - Lizzie zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać.

- Wiedziała o Christopherze, o tym, jakim jest mężem...

- Słowa płynęły teraz niepowstrzymanym potokiem. - A kiedy zapytałam, skąd wie, kazała mi zapytać ciebie...

Allbeury milczał.

- Dlaczego tak powiedziała, Robin? Rozmawiałeś z nią o tym?

- Oczywiście, że nie. Lizzie, jesteś ranna?

- Nie tak bardzo, jak mi się zdawało. - Nabrała tchu.

- Teraz, jak już jesteś, czuję się lepiej.

- Dzięki Bogu i za to - rzekł, ogarniając wzrokiem scenę. - Pewnie nie dasz rady wspiąć się po linie?

- To kabel, nie lina. I wygląda dość niepewnie, nie mam do niego zaufania.

- Hmm.

- Robin, dlaczego Clare to powiedziała? - Lizzie czuła, że nie może tego odpuścić, musi wiedzieć już

teraz, w tej chwili, czy ten człowiek jest godzien zaufania czy nie. - Skąd wiedziała o Christopherze?

- Mogła znaleźć pewne informacje... bardzo niewiele... w moim komputerze. Włamała się do moich plików. Prawdopodobnie także tych dotyczących innych osób.

Lizzie przypomniała sobie mgliście coś, co powiedział jej Christopher po tym, jak został pobity przez alfonsa. Że ktoś włamał się do komputera w klinice Beau-champ.

- O Boże! - westchnęła, czując, że tonie. Zerknęła w górę, ale twarz Allbeury'ego zniknęła.

- Robin, nie odchodź! - krzyknęła w panice.

- Nie odchodzę. Zastanawiam się, jak po ciebie zejść.

- Nie możesz tego zrobić! Winda ledwie się trzyma, na pewno nie udźwignie nas obojga!

- Oczywiście, że udźwignie! Może jest trochę zdezelowana, ale przeznaczono ją do przewozu zarówno ludzi, jak

(brak jednego zdania, wyszło nie do odczytania :/)

- I co teraz zrobisz? - Głos Clare był coraz słabszy. - Twoja żona się wykrwawia, dziecko umiera...

- Przestań, Clare.

- Twój przyjaciel Robin nadstawia karku za tę żalostną kobietę, która w ogóle nie zasługuje, by żyć...

Novak wlepił w nią wzrok, nie wierząc własnym uszom. Wstał z ławki, czując, że ma galarete zamiast nóg.

- Gdzie ta pieprzona karetka?

- Ale może oboje wyjdą z tego cało... - Clare znów się zaczęła kołysać. - Może winda się nie roztrzaska, a jeśli nawet, to przecież nie jest wieżowiec... Więc pewnie nic im nie będzie, chyba że stalowa lina popęka i porazi ich prąd...

- Przecież jest wyłączony!

- Może i tak... Chyba że przed wyjściem go włączyłam...

112

Keenan dopiero co dotarł na Lamb's Conduit Street i rozglądał się za adresem Novakow. Uznał, że nie zaszkodzi zabezpieczyć się na dwie strony i pójść wskazanym przez Shipley tropem, ale osobiście, bo nie zamierzał wystawiać się na pośmiewisko.

To ten budynek.

Odnalazł numer mieszkania i zadzwonił. Brak odpowiedzi.

Wybrał inny numer, potem następny. - Kto tam? - spytał męski głos.

- Policja, prosze mnie wpuścić. Tylko do budynku, nie

do pańskiego mieszkania.

Po sekundzie rozległ się cichy trzask i drzwi się otworzyły.

Novakowie mieszkali na pierwszym piętrze. Keenan zadzwonił, potem zapukał. Nie ma podstaw do wyważania drzwi. Zajrzał jeszcze przez szparę na listy, nasłuchiwał przez chwilę. Nic

- Jedyne, co możemy bezpiecznie zrobić, to zadzwonić po straż pożarną - powiedziała Lizzie.
- I tak miałem ten zamiar - odparł Allbeury.
- A jak już będziesz z nimi rozmawiał, to nie od rzeczy będzie ściągnąć jakiegoś lekarza, bo chyba mam złamaną lewą rękę.
- Czemu od razu nie powiedziałaś?! - Na górze znów ukazała się jego głowa. - Kurczę, Lizzie, mówiłaś, że nic ci nie jest!
- Tak się ucieszyłam na twój widok - odrzekła, czując się głupio - że zupełnie zapomniałam!
- Lewa ręka, tak? - upewnił się jeszcze. - Żebym mógł im od razu powiedzieć...
- I kilka palców.. - Clare przytrzasnęła mi je bramką.
- Boże! - Allbeury wystukał 999.

Clare w końcu przestała mówić, nie śmiała się też więcej, tylko nagle osunęła się bokiem na ławkę.

- Clare! - Novak złapał ją za nadgarstek. - Clare! Obejrzał się na restaurację, na jasno oświetlony All Bar One i imponujący fronton Pont de la Tour; może jednak przenieść ją tam?

Nie, lepiej nie ruszać jej z miejsca.

Podjąwszy tę decyzję, skłął w duchu ekipę pogotowia i po raz kolejny Allbeury'ego, zdjął z ramion Clare kurtkę, ułożył jej nogi na ławce, pod osłoną dużej skrzynki z kwiatami, i przykrył ją znowu.

- Idę wezwać pomoc - powiedział głośno i wyraźnie. - Nie możemy dłużej czekać.

Odpowiedział mu słaby jęk.

- Postaram się jak najprędzej wrócić.

Nie zważając na łzy ciekące mu po twarzy, ruszył

biegiem do najbliższego baru. Wpadł prosto w normalność - do jasnego, tętniącego muzyką wnętrza - i ogarnął wzrokiem długi bar, daremnie szukając telefonu.

- Potrzebuję pomocy - oznajmił głośno zebrany. Wszyscy zwrócili na niego oczy - kelnerka niosąca butelki, goście pijący przy barze, siedzący na obitych skórą kanapkach, i ci przy długich stołach.

- Potrzebny mi telefon.

- Proszę pana! - Kelner ruszył spieszenie w jego stronę. - Jak możemy panu pomóc?

- Niech pan zadzwoni po pogotowie. - Novak stłumił chęć pchnięcia mężczyzny w stronę telefonu — Moja żona tam na ławce... właśnie traci dziecko...

W tym momencie ponad gwar głosów i muzykę przebił się ten upragniony dźwięk.

Syrena.

114

- Teraz to już długo nie potrwa.

Allbeury siedział przy otwartej bramce, próbując podtrzymać Lizzie na duchu. Parę minut wcześniej rzucił jej marynarkę, bo skarżyła się na zimno, i nawet to nieznaczne obciążenie sprawiło, że winda się przesunęła, a Lizzie jeszcze bardziej wystraszyła. On sam też coraz bardziej denerwował się jej stanem, wiedząc, że poza własnymi przejściami, wykańczał ją brak kontaktu z domem. Allbeury poinformował ją wprawdzie, że rozmawiał wcześniej z Gilly i że z dziećmi wszystko w porządku (tego

jednak nie był
na sto procent pewien), obiecał zadzwonić jeszcze
raz
w jej imieniu pod jakimkolwiek pretekstem, ale
zdaniem Lizzie zarówno Jack, jak Edward nie dadzą
się zbyć bajeczkami i będą sobie wyobrażać straszne
rzeczy.

- Nie mogę tylko zrozumieć... - zaczęła i urwała.
- Czego nie możesz zrozumieć?
- Dlaczego ktoś taki jak Clare... Nazwałeś ją miłą
osobą, pamiętasz? Wtedy, przy obiedzie...
- Pamiętam.
- Co ją zmusiło do takich postępów? Co się jej
przydarzyło?
- Spróbuj nie myśleć teraz o Clare.
- Jak mogę nie myśleć? To przez nią wpadłam w
takie bagno. - Czuła, że ręka jej puchnie, a palce
coraz bardziej
drętwieją, i to był jeszcze jeden powód do rozmowy o
Clare, bo dzięki temu mogła nie myśleć o bólu.
- Czy jest aż tak źle?
- Nie tak bardzo. Tylko mów do mnie.
- O czym?
- O Clare i jej...

Uciszył ją nowy dźwięk z góry. Jakby rozdzierania...?

- Co to było? - spytała po chwili zduszonym głosem.
- Nie wiem - odparł niepewnie Ałbeury.

Winda zadygotała i Lizzie wyrwał się bezwiedny
okrzyk.

- Nie ruszałam się, Robin, naprawdę! Nawet nie
drgnęłam!

On już był na nogach.

- Co chcesz zrobić? - spytała nerwowo.
- Idę czegoś poszukać Czegoś, co da się spuścić na
dół, rodzaju pasa ratunkowego, który by cię
utrzymał.
- Na wypadek gdyby to wszystko runęło?

- Nic nie runie, tylko się nie ruszaj.
- Tu się nie będę spierać. - I widząc, że znów zniknął, dodała: - Tylko mów do mnie, proszę!
- Dobrze! - odkrzyknął z daleka.

W biurze od ich wyjścia nic się nie zmieniło.

Allbeury przypomniał sobie nagle, że obiecał Shipley pojechać z nią do St Thomas, ale to będzie jeszcze musiało poczekać.

- Robin, co ty tam robisz?

- Rozglądam się!

Spojrzał na rozbity komputer, pokręcił głową, potem rzuciły mu się w oczy kable. Mocne, ale niezbyt długie... może gdyby je związał z tymi od drukarki i telefonu, i jeszcze jakimiś innymi?

- Wytrzymaj, Lizzie, coś tu mam, ale to chwilę potrwa. Po prostu wytrzymaj!

- To niezbyt odpowiednie słowo - usłyszał w odpowiedzi.

O ósmej piętnaście Keenan tkwił w korku nieopodal Fenchurch Street. Nie miał pojęcia, co do cholery działo się dziś w tym mieście, a może to on uległ wpływowi przewrażliwienia Helen Shipley, ale teraz jego własny nos mu podpowiadał, że jeśli się natychmiast nie ruszy, to stanie się coś naprawdę niedobrego.

Dopiero zaczął się zastanawiać, czy nie postąpił źle, próbując rozwikłać to wszystko na własną rękę. Może powinien jednak zwerbować kogoś z miejscowych do pomocy? Ale w tym momencie stał się cud, ulica się odblokowała i Keenan wreszcie mógł nacisnąć pedał gazu.

- Nie mogę pojechać teraz z tobą.

Stojąc na Curlew Street, Novak widział miny dwóch

sa-

sariuszy, kiedy powiedział to do Clare, którą właśnie umieścili w karetce. Domyślał się, że uznali go za bezduszną świnię, Clare, z twarzą częściowo zasłoniętą maską tlenową, otworzyła znów oczy, ale nie próbowała się odezwać. - Postaram się dotrzeć jak najszybciej - obiecał. Kiedy zamykano drzwi karetki, patrzyła mu prosto w oczy, a Novak miał ochotę wyc.

Zamiast tego odwrócił się i zaczął biec

115

Allbeury'emu ręce się trzęsły z napięcia i wysiłku, ale w końcu powiązał wszystkie węzły; pracował przy samym szybie, rozmawiając cały czas z Lizzie, informując ją o tym, co robi. Teraz jednak wrócił do biura w poszukiwaniu czegoś solidniejszego niż on sam, do czego mógłby przyczepić koniec prowizorycznej liny.

- Szafy na akta są ciężkie - krzyczał do Lizzie - ale stoją trochę daleko, poza tym i tak pewnie by się przewróciły.

- A drzwi do biura? - zaproponowała Lizzie, zadowolona, że może zająć czymś myśli i wspólnie z nim zastanawiać

się nad wyjściem z sytuacji. - Muszą być dość solidne. Wszedł, żeby się przyjrzeć.

- Nie jestem pewien zawiasów.

- Słusznie...

- Chyba muszę posłużyć się własnym ciężarem, niech tylko znajdę jakiś punkt zaczepienia. Zresztą i tak nic się nie stanie, straż pożarna powinna być lada moment.

Znalazł koniec kabla i obwiązał się nim w pasie. Rozumiał, że gdyby uciekł się do tego sposobu, kabel wpiłby mu się przez koszulę w ciało, no cóż, trudno.

Winda zaskrzypiała znowu i Lizzie mimo woli wyrwał się cichy okrzyk.

- No dobra - rzekł AUbeury, przykucając nad krawędzią szybu. - Spuszczę to teraz na dół. Przyczepiłem na

końcu mój pasek, będzie na ciebie pasował, bo wyciąłem kilka dodatkowych dziurek.

- Ale i tak muszę się podciągnąć, prawda? Przykro mi, ale jedną ręką nie dam rady.

- Boże, jaki ze mnie dureń! - wykrzyknął Allbeury. - Oczywiście, że nie dasz rady. - Wstał i zaczął rozwiązywać linę, którą się opasał. - Nie szkodzi, poczekaj jeszcze chwilę.

Lina z kabla opadła ciężko na podłogę. Allbeury zabrał się do odczepiania paska, co nie było łatwe przy obciążeniu całym nieporęcznym zwojem. Spocił się mocno i kłął pod nosem, że trwa to tak długo.

- Jak idzie? - usłyszał z dołu głos Lizzie.

- Robię coś w rodzaju pętli. Przy odrobinie szczęścia założysz ją przez głowę i ramiona, a jeśli jeszcze zawiąże dobrze ten węzeł... Zmarszczył czoło w skupieniu. - Mam nadzieję, że zaciśnie się automatycznie w razie potrzeby.

- Gdyby winda spadła - dokończyła myśl Lizzie.

- Zamknij się!

- Byłeś kiedyś skautem?

Lizzie przypomniała sobie, że Jack wyraził kiedyś chęć przystąpienia do tego ruchu, bo usłyszał, jak Edward o tym mówi. Następnego dnia Edward

zmienił zdanie i zarówno Lizzie, jak Christopher domyślili się, że po prostu nie chciał, by młodszy brat czuł się wykluczony. Lizzie uśmiechnęła się na to wspomnienie i odruchowo podniosła prawą rękę, by otrzeć łzy, ale opuchnięte palce za bardzo ją bolały.

- Pytałam, czy byłeś skautem.

- Ciii...

Teraz i ona to usłyszała.

Kroki na schodach i stłumione przekleństwo.

- To oni?

- Tutaj! - krzyknął Allbeury. - Ostatnie piętro, tylko szybko!

- Żeby ta cholerna winda chodziła!

Allbeury rozpoznał głos, zanim zobaczył człowieka.

- O, inspektor Keenan! Miałem nadzieję, że straż pożarna, ale dobre i to...

- Wielkie dzięki - rzekł Keenan, wchodząc na podest i wlepiając wzrok w kable u stóp Allbeury'ego.

- A to co za cholerstwo?

- W skrócie: w szybie windy jest kobieta z połamanymi palcami i ręką.

- Prawdopodobnie połamanymi - poprawiła go Lizzie.

- Jasny gwint!

- Zgadzam się.

- To Lizzie Piper - wyjaśnił Allbeury. Keenan poskrobał się w głowę.

- Ta od gotowania?

- Tak jest - przyznała Lizzie. Policjant podszedł chwiejnie do szybu.

- Humor, jak widzę, dopisuje?

- W zasadzie nic mi nie jest. Żeby jeszcze ta winda przestała dygotać.

- O kurczę.

- Pewnie jest w lepszym stanie, niż się wydaje - rzekł Allbeury - ale na wszelki wypadek...

Keenan zerknął na kable.

- Chciał pan to tam spuścić? Niezła myśl.

- Jak obaj będziemy robić za kotwice, może się uda. Keenan pokiwał głową.

- Na ulicach dziś straszne korki. Pewnie dlatego nie ma jeszcze straży. - Pochylił się, żeby sprawdzić, czy Allbeury ma dobrze zabezpieczony pasek. - Rozumiem, że Novaków tu nie ma?

- Kiedy ich ostatni raz widziałem, siedzieli nad rzeką w pobliżu mojego domu. Do pańskiej wiadomości: to Clare Novak zepchnęła tam Lizzie.

- Podobno zabiła parę innych osób - dodała Lizzie. - Powiedziała mi o tym.

- Ale to chyba nie ona zrzuciła ze schodów inspektor Shipley? - spytał Novak, przetrawiając usłyszaną informację.

- Z jakich schodów? - nie zrozumiała Lizzie.

- To nie ma z nami nic wspólnego - wtrącił Allbeury, przykładając palec do warg.

Keenan skinął głową na znak, że rozumie.

- Potem panu wyjaśnię - szepnął mu Allbeury. - A co z inspektorem Shipley?

- Ma złamaną nogę. - Keenan sprawdzał węzły. - Jest w St Thomas.

- Kto to jest inspektor Shipley? - dopytywała się Lizzie. Winda skrzypnęła złowieszczo.

- Moglibyście się pośpieszyć?

- Jeszcze chwila.

- Niech pan się cofnie - polecił Keenan Allbeury'emu. - Proszę stanąć po drugiej stronie drzwi i dobrze zaczepić się o coś nogami - Śledził każdy ruch prawnika. - Niech pan da mi znak, jak będzie gotowy.

Allbeury zniknął w biurze, wlokąc za sobą kabel.

- Gotów! - krzyknął po chwili.

- Dobra! - Keenan znów podszedł do szybu. - Lizzie, próbuję to spuścić, okej?

Uchwycił się z całej siły bramki, stanął w rozkroku

niezbyt blisko krawędzi i opuścił ostrożnie podobną do lassa pętlę. Osunęła się z głośnym zgrzytem.

- Coś nie tak? - zawołał Allbeury.

- Nic, nic - uspokoił go Keenan. - Okazała się cięższa, niż myślałem.

- W porządku, Lizzie?

- Jak dotąd.

Spojrzała w górę na kołyszący się kabel.

- Da pani radę założyć to na siebie?

- Nie wiem... Spróbuję.

- Allbeury, jak zabezpieczenie?

- Okej z tej strony. Keenan opuścił niżej kabel.

- Wystarczy - powiedziała Lizzie. - Zobaczę, czy dosięgnę. Może najpierw wsunę nadgarstki...

Podniosła prawą rękę i zaraz krzyknęła z bólu i strachu, bo winda znów poruszyła się i zaskrzypiała.

- Rusza się! - zawołała.

Nagle wszyscy usłyszeli zupełnie inny dźwięk.

Trzask otwieranych drzwi, tupot nóg na schodach.

- Nie ruszać kabli! - ryknął Mike Novak. Wszyscy zamarli ze zgrozy.

- Są pod prądem!

W oddali rozległ się z początku cichy, potem z każdą sekundą głośniejszy - jakże upragniony jęk syren.

116

Jak się później dowiedzieli, prąd nie był jednak włączony.

To tylko Clare, już u kresu sił, po raz ostatni przekręciła nóż w piersi Novaka. Lizzie, którą straż

pożarna dość łatwo wyciągnęła z szybu, zabrano do szpitala St Thomas w stanie takiej euforii z powodu ocalenia życia, że przez jakiś czas nawet nie czuła bólu. Allbeury siedział przy niej w karetku i cały czas trzymał ją za rękę.

Keenan wiozł Novaka do szpitala, w którym leżała Clare. Rozmawiając z nim w czasie jazdy, próbował uporządkować sobie w głowie fakty, żeby móc je następnie przekazać ze względną jasnością chłopakom z miejscowej policji. - To przez chorobę - przekonywał go Novak. - Clare, którą znałem, nigdy by nikogo nie skrzywdziła... - Urwał na chwilę. - Jest pielęgniarką, najłagodniejszą istotą, jaką znam.

- Opowiedziała panu o tym? Novak przytaknął.

- A co konkretnie powiedziała?

- O przyjaciółce Robina Lizzie. Że próbowała ją zranić.

- To Lizzie Piper... pani Wade - rzekł Keenan.

Przynajmniej jedna niejasna sprawa, którą rozwikłał mu Allbeury.

- I jeszcze te inne...

- Tak. - Keenan starał się być bardzo delikatny. -

Przyznała się pani Wade także do tamtych zabójstw. Mógł sobie najwyżej wyobrazić, co przeżywał Novak, słysząc to potwierdzenie z jego ust. Ciekawe, ile sam wiedział... pewnie bardzo niewiele, i nie jest to właściwa chwila do wywierania nacisku. Wszystko i tak niebawem wyjdzie na jaw.

- Pójdę dowiedzieć się czegoś o pańskiej żonie - rzekł, kiedy dojechali do szpitala.

Wrócił dość szybko, usiadł koło zdruzgotanego mężczyzny i dołożył mu świeżą porcję bólu:

- Straciła dziecko. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Gdzie jest teraz?

- Na sali operacyjnej. Powiedzieli, że nic jej już nie grozi.

Novak pokiwał głową.

Novakowi pozwolono zobaczyć Clare na sali pooperacyjnej. Wpuszczono go tam w pierwszej kolejności, zanim wkroczyła zaalarmowana przez Keenana policja z formalnym nakazem aresztowania pod zarzutem usiłowania morderstwa Elizabeth Wade.

Była blada jak ściana.

- Clare? - Przykrył jej dłoń swoją, a ona jej nie odtrąciła, tylko leżała bardzo cicho, nie patrząc na męża. - Powiedzieli mi o dziecku...

Nadal patrzyła w sufit.

- Tak mi przykro - wyszeptał.

Zdawało mu się, że poruszyła nieznacznie głową, ale potem znów znieruchomiała.

- Clare, ja cię wciąż kocham! - powiedział z rozpaczą. Dopiero teraz zwróciła na niego oczy bez wyrazu.

- To przestań.

Allbeury został przy Lizzie na izbie przyjęć, poczekał, aż prześwietła jej rękę, a potem usiadł przy niej w boksie i znów czekał, tym razem na wynik. Gdy poczuła się na si-

łach, dał jej swoją komórkę, żeby mogła zadzwonić do Gilly. Lizzie kazała jej powiedzieć dzieciom, że miała drobny wypadek, ale już nic jej nie jest, i że rano z nimi porozmawia.

- Posłucha j mnie teraz - rzekł Allbeury, kiedy skończyła. Opowiedział jej o Christopherze: o tym, jak śledził go

w drodze do agencji, o jego straszliwym, niekontrolowanym ataku furii, o tym, jak zrzucił ze schodów Helen Shi-pley i uciekł.

- Chciałem z tym poczekać, aż zadzwonisz do domu,

na wypadek gdyby któreś z dzieci zapytało cię o ojca, bo ty w ogóle nie umiesz kłamać. Chociaż - uśmiechnął się - po tym, jak nazwałaś ten koszmar „drobnym wypadkiem”, nie jestem już tego taki pewien.

- Praktyka! - westchnęła ciężko Lizzie. - Całe lata praktyki...

117

Jeszcze tej samej nocy Christophera znalazł dentysta, który po wieczorze spędzonym poza domem odbierał swój samochód z wielopiętrowego garażu pod Cavendish Street.

Lizzie nie zawiadomiono o śmierci męża aż do rana, kiedy to ponownie zatelefonowała do Gilly, przyznając się do złamanej ręki i kilku palców oraz tego, że leży w St Thomas. Od razu jej się wydało, że głos Gilly brzmi jakoś dziwnie, ale potem do telefonu podszedł Edward, po nim Sophie i Jack, który musiał usłyszeć na własne uszy, że wszystko jest w absolutnym porządku, i ostatecznie Gilly wypadła jej z głowy.

To Angela przekazała jej wiadomość. Siedziała teraz przy córce, gotowa służyć jej chusteczkami, ale Lizzie, choć przybladła, zachowała kamienną twarz.

- Lepiej wyrzucić to z siebie, jeśli potrafisz - powiedziała jej matka, nauczona wieloletnim doświadczeniem.

- Spodziewam się, że potrafię - odparła Lizzie.

- Jak do tego dojrzejesz. - Angela miała czerwone

oczy. Lizzie pokiwała w milczeniu głową.

- Oczywiście dzieci jeszcze nie wiedzą.

- Rzeczywiście nie wiedzą, rozmawiałam już z nimi.

- Pomyślałyśmy z Gilly - ciągnęła Angela, zaniepokojona jej chłodnym spokojem - że sama im zechcesz powiedzieć... To znaczy, nie żebyś chciała, głupio mówię.

- Rozumiem, o co ci chodzi, mammo.

- Bo wiesz... Leżysz tutaj, a nie można za długo zwlekać, bo i tak się wyda. Gilly zachowuje się wspaniale, stara się ich zająć, nie włącza telewizora, nie dopuszcza do komputera, a w gazetach jeszcze nic nie ma, dzięki Bogu...

- Zaraz do nich pojedę - zdecydowała się Lizzie.

- Nie możesz! Spójrz tylko na siebie! - Angela namyślała się przez chwilę. - Może bym ja przywiozła je do miasta?

- Nie. Absolutnie nie.

Chirurg nie był zachwycony, ale ostatecznie ustąpił i podpisał jej zgodę na opuszczenie szpitala. Uprzedził ją po ojcowsku, że jeśli nawet w tej chwili znajdzie dość siły ze względu na dzieci, to po pewnym czasie koszmar, przez który przeszła, zbierze i tak swoje żniwo.

Robin Allbeury przyjechał z bukietem, kiedy czekała na prywatny ambulans, którego wynajęcie doradził jej chirurg.

- Dobry Boże! - wykrzyknął, usłyszawszy o śmierci Christophera.

Lizzie dostrzegła w jego oczach coś w rodzaju poczucia winy.

- To nie twoja wina - powiedziała niemal szorstko. - Nie waż się tak myśleć ani przez chwilę!

- On tam przyjechał za mną - wyjaśnił jej cicho Allbeury. - Sprawa z inspektorem Shipley to czysty

przypadek, on musiał być...

- Nie zrobił tego z jej powodu - przerwała mu Lizzie. - I na pewno nie z twojego. - Odwróciła twarz. - Ty wiesz najlepiej ze wszystkich, dlaczego tak postąpił. Przez kilka sekund siedzieli w milczeniu.
- Gdybyś czegoś potrzebowała... O każdej porze dnia
- Zrobiłeś już dla mnie więcej niż dosyć.
- Nic mi o tym nie wiadomo.

118

Zarówno Angela, jak Gilly były pod ręką, kiedy Lizzie przekazywała wiadomość dzieciom.

Każde z nich zareagowało inaczej. Sophie szlochała, obnosząc jawnie swój żal, dawała się przytulać i pocieszać, a jednak kilka razy, jak zupełnie małe dziecko, domagała się zapewniania, że to wszystko nieprawda i tatuś jednak wróci do domu. Edward, chociaż totalnie zgnębiony, starał się być dzielny, znajdując jeśli nie pociechę, to przynajmniej pozór opanowania w gniewnym odtrącaniu uścisków matki.

Jack w kompletnym milczeniu pojechał do swojego po-koju i nie ruszał się stamtąd przez wiele godzin. Kiedy Lizzie, Angela lub Gilly zaglądały do niego, nie złościł się na nie, ale też nie płakał. Po prostu tkwił nieruchomo na wózku.

W niedzielę wieczorem Angela natknęła się w końcu w ogrodzie na płaczącą Lizzie.

- No i bardzo dobrze - rzekła cicho.
 - Ja nie płaczę nad sobą, mamó. Ani przez Christophera.
 - Chodzi ci o dzieci, tak?
 - No właśnie...
- Matka wyciągnęła ręce i Lizzie pozwoliła się objąć.
- Nie wiem, czy Jack to wytrzyma.
 - Myślę, że tak - powiedziała Angela. - On jest naprawdę niezwykły.

~*~

Listy zostały znalezione dopiero po kilku dniach. Lizzie biła się z myślami, czy ma oddać dzieciom te adresowane do nich, bo dla Edwarda i Jacka, a może też dla Sophie, stanowiłyby wyraźny dowód na to, że ich ojciec popełnił samobójstwo, fakt, który na razie był poddawany dyskusji.

- Tego już za wiele - powiedziała Lizzie do Angeli.
 - Chłopcy chyba z grubsza już wiedzą...
 - To za duże obciążenie. Trzeba wymyślić coś bardziej wiarygodnego.
 - Czyli kolejne kłamstwa - zauważyła Angela bez potępienia w głosie. - I tak cię wkrótce dopadną. Sophie najpierw bała się nawet dotknąć listu. Poprosiła matkę o przeczytanie, potem wyrwała go Lizzie z ręki i uciekła z płaczem do swojego pokoju.
 - Sam nie wiem, czy chcę go już przeczytać - zastanawiał się nieco później Edward.
 - Zrobisz to, jak będziesz gotów - odrzekła Lizzie. - To zależy tylko od ciebie.
 - A ty swój przeczytałaś? - Tak.
 - Był okropny?
 - Nie, wcale. Pełen miłości, i - Jak tata...
- Jack, który przerwał już swą dobrowolną izolację, odnalazł Lizzie w gabinecie i oddał jej swój list.
- Może ci to pomoże - rzekł.

- Na pewno tego chcesz? Czy nie jest nazbyt osobisty?

- Chyba chciałbym, żebyś go przeczytała. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Łzy znów popłynęły jej z oczu, kiedy czytała, trzymając arkusik w dwóch palcach.

- Piękny list, prawda? - powiedziała na koniec - Tylko bardzo, bardzo smutny. Tobie pomógł?

- Trochę.

wyczuła, że wreszcie chciał z nią porozmawiać.

- Strasznie to trudne, co? Jack pokiwał głową.

- To wszystko razem...

Wiedziała, że wspomina ostatnią noc, i czekała na dalszy ciąg.

- Wciąż mam wrażenie... - znów urwał.

- Jakie, kochany?

- Że to moja wina.

- Ależ skąd! - wykrzyknęła z oburzeniem.

- Przecież odszedł przede mną. - Słowa z trudem przechodziły mu przez usta. - To ja go zmusiłem. - Zamknął oczy. Spod rzęs pociekły mu łzy. - Gdybym tak na niego nie napadł...

Cały gniew Lizzie na męża wrócił ze zdwojoną siłą.

- Nie, Jack, rozumiesz? Absolutnie nie! Otworzył oczy

- Ale taka jest prawda.

- Nie! - W tej chwili znienawidziła Gare Novak za to, że nie mogła przytulić syna, gdy najbardziej tego potrzebował. - Jack, musisz mnie wysłuchać, musisz uwierzyć!

- I ty mnie nie obwiniasz?

- Jak mogłabym cię obwiniać za to, żeś mnie bronił?

- Wzięła do ręki list. - Nawet twój ojciec był dumny z twego postępu... Wiedział, że masz rację.

- Ale to tylko dlatego, że taki jestem... - Spojrzał na

swoje unieruchomione nogi.

- Powiedz, że tak nie myślisz, proszę! - Czuła, że cały ból zbija się w piekącą kulę w jej piersi - Jack, przecież wiesz, że to nieprawda!

- W końcu przyznał, że tak nie myśli - opowiadała później Lizzie Angeli. - Ale nie wiem, czy nie dlatego, żeby mi sprawić przyjemność. Wiesz, mam wrażenie, że on chce zrozumieć, co naprawdę stało się tamtej nocy.

- I nie tylko tamtej... - zauważyła cicho Angela, wciąż zdruzgotana tym, co Lizzie po tylu latach wyznała jej na temat rzekomo idealnego zięcia.

- Tego mu nie powiem. Ani teraz, ani w ogóle.

- A Edwardowi?

- On chyba nie chce wiedzieć.

- A jeśli?

- Nie wiem... Może jeśli sam mnie zapyta, jak będzie starszy. - Umilkła na chwilę. - Jack ma tylko dziesięć lat. Bóg wie, że już odebrano mu tak wiele, a w przyszłości czeka go jeszcze mnóstwo cierpienia.

- Wiem.

- I prędzej szlag mnie trafi, jeśli dopuszczę, by okradziono go i z tego ostatniego kawałeczka dzieciństwa! Zgadzasz się ze mną?

- Oczywiście, masz rację.

119

Pogrzeb Christophera odbył się w trzeci poniedziałek listopada. Dzień wstał mglisty, ale późnym popołudniem niebo się przeczyszcilo i zapanowała

niemal idealna jesienna pogoda. Uroczystość była skromna i kameralna, ale wzruszająca, dzięki staraniom Lizzie i Guya Wade'a, w porozumieniu z dziećmi. „Wszystkie jasne i piękne sprawy” wybrała Sophie, „Jerusalem” - Jack, który wiedział, jak ojciec kochał tę pieśń, czytanie wziął na siebie Guy, natomiast Edward poprosił o „Funeral Blues” z filmu „Cztery wesela i pogrzeb”, bo razem z ojcem, słuchając go, płakali.

- Chyba zorganizujecie później nabożeństwo żałobne.

- spytała już w domu Dalia Weinberg.

- Jeszcze nie wiem - odrzekła Lizzie.

- Myślę, że będziesz musiała. Tyle osób chciałoby uczcić jego pamięć...

- Trudno, poczekają. - Guy przyszedł Lizzie z pomocą.

- Wszystko zależy od dzieci.

Kiedy wreszcie Lizzie uznała, że nadszedł czas, by szwagier poznał słabości swego brata, Guy stanął murem po jej stronie.

- Pamiętam, raz opowiadał - przypomniał sobie pewnego popołudnia, gdy Moira miała w Londynie próbę przed koncertem - o jakiejś rozróbie narkotykowej na uczelni.

Ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że ma z tym poważny problem.

- To jest wciąż jeszcze tylko przypuszczenie?

- Niczego nie wiem na pewno - rzekł Guy. - Słuchaj, Lizzie, przecież on naprawdę kochał ciebie i dzieci. Zadawanie ci bólu musiało być dla niego straszne.

- Może byłoby lepiej, gdybym wcześniej od niego odeszła.

- Nie sądzę, by to zniósł. Zresztą oboje wiemy, czemu postanowiłaś zostać.

- Teraz jednak dzieci i tak będą musiały żyć bez niego.

- To jego wina, Lizzie. Na pewno nie twoja.
- Wiem.
- Wierzysz w to, prawda?
- Czasami - odparła z uśmiechem.

Dziesięć dni po pogrzebie, w porze lunchu, gdy dzieci były w szkole, odwiedził ją Allbeury. Inni złożyli wizyty wcześniej: Susan Blake, Howard Dunn, Shellowie, paru przyjaciół dzieci, a także w sprawie służbowej Jim Keenan.

Allbeury czekał aż do tej pory.

Rozmawiali przez jakiś czas w salonie, pełnym wspomnień po Christopherze, na temat dzieci i o tym, jak sobie radzą. Lizzie powiedziała, że w ten weekend przypadają jedenaste urodziny Jacka; Allbeury przyznał, że nie potrafi sobie wyobrazić, jak chłopiec to wytrzyma.

- To będzie koszmar - zgodziła się Lizzie.
- A ty jak się miewasz?
- Nie jest mi łatwo - odparła, podnosząc zagipsowaną rękę.
- A z innymi sprawami?
- Staram się myśleć o dzieciach, to mi pomaga.

Zapytał potem, czego się dowiedziała na temat Clare Novak i tego, co działo się, zanim ta wepchnęła ją do szybu.

- Niewiele, bo mogłabym świadczyć przeciw niej... gdyby w ogóle doszło do procesu. Był u mnie inspektor Keenan z jakąś panią detektyw.

- Helen Shipley?

- Nie, nie miała złamanej nogi.

Lime wiedziała, oczywiście, jak blisko otarła się o śmierć, a także poznała trochę szczegółów na temat dwóch pozostałych ofiar przypisywanych Clare Novak. Wiedziała też, choć niewiele, o powiązaniach Allbeury'ego z tamtymi kobietami.

- Inspektor Keenan mówił, że próbowałaś im pomóc.
- Dużo im to dało.

- Podobno obie miały mężów ze skłonnościami do przemocy.

- Owszem.

Tak jak ja, pomyślała, nie wypowiadając tego na głos.

- Podobno chciałeś im pomóc w ucieczce? Keenan z wielkim uznaniem wyrażał się o twojej działalności. Ciszę w pokoju zakłócało tylko tykanie zegara na kominku.

- Robin, dlaczego to robisz? - Wiedziała, że musi poznać odpowiedź, jeśli ich przyjaźń ma przetrwać. - Czemu tak ci na tym zależy?

Siedział w milczeniu jeszcze przez chwilę, po czym nabrał tchu.

- Wiele osób zadawało mi już to pytanie przez całe lata. Ale tobie pierwszej na nie odpowiem.

Czekała.

- Kiedy miałem dwanaście lat, moja matka popełniła samobójstwo. Bo nie widziała innego rozwiązania. Myślała, że nie znajdzie pomocy, bo wszyscy uważali ojca za porządnego człowieka, chociaż nim nie był. Nikt by nie uwierzył, że może czuć się nieszczęśliwa, a tymczasem nie miała własnego życia, żadnych widoków na karierę zawodową, nie mówiąc o pieniądzach. I żadnej drogi ucieczki.

Lizzie wciąż milczała.

- Opisała mi to wszystko w liście, a ja odniosłem wrażenie, że chciała, abym jej pomógł, powstrzymał ją jakoś...

- Jak mogłeś jej pomóc? Miałeś tylko dwanaście lat!

- Teraz to wiem, ale nie wtedy... Odbiło się to oczywiście na moim życiu, może nawet powstrzymało mnie przed małżeństwem. Dzięki Bogu, nie jestem taki jak ojciec, ale boję się, czy gdzieś głęboko nie tkwi we mnie ta jego zdolność do zadawania bólu. -

Wzruszył ramionami. - Owszem, zrobiłem trochę dobrego. W wiele lat po śmierci matki odniosłem

sukces i zacząłem zarabiać więcej, niż potrzebuję. Nauczyłem się też paru rzeczy na temat władzy i wpływów i w końcu uznałem, że moja pozycja pozwala na pomoc kobietom w sytuacji matki. Lizzie dopiero po kilku sekundach zdecydowała się dodać:

- Takim jak ja.
- Pod jednym względem może trochę takim jak ty.
- Czy dlatego się ze mną zaprzyjaźniłeś? Myślałeś, że mogłabym szukać sposobu ucieczki?
- Owszem, myślałem o tym. Ale nie to mnie w tobie pociągało.
- A tak było? Coś cię we mnie pociągało?
- I to bardzo mocno.
- A twoim zdaniem, dlaczego tkwiłam w tym małżeństwie? Co na ten temat myślisz? - Lizzie potarła palcami skroń, czując narastający ból głowy. - Przecież mam dość własnych pieniędzy, by się usamodzielnic. Mogłam odejść.
- Zostałaś ze względu na dzieci.
- No tak. I widzę, do czego to je doprowadziło.
- Nie mogłaś tego wiedzieć.
- Nie mogłam? - wykrzyknęła z żalem. - Gare Novak powiedziała mi, że zabijała „takie jak ja”, czyż nie o to jej właśnie chodziło?
- Clare jest ciężko chora. Ma poważne zaburzenia.
- Oczywiście - zgodziła się Lizzie. - Ale czy nie było jasne od początku, że nasze dzieci prędzej czy później do-wiedzą się prawdy o ojcu, i nie pomogą tu żadne kłamstwa?
- Może. Ale ty tylko chciałaś je chronić przed bólem, póki to było możliwe.
- Myślę, że byłam okropnym tchórzem.

Z ostatnimi pytaniami poczekała, aż wyszli do holu i All-beury zaczął się żegnać.

- Robin, czemu te nasze sprawy znalazły się w twoim komputerze? Chodzi mi o te, które przechwyciła Clare Novak.

- Zebrałem trochę informacji - odparł po prostu - bo cię polubiłem i zaintrygowałaś mnie. Jestem ciekawy z natury i chciałem dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. A potem uświadomiłem sobie, że się o ciebie martwię. Naprawdę nie było w tym żadnych złych pobudek.

- A co z Christopherem?

- To co innego. Wyczułem, że coś jest nie tak z wami obojgiem, i szczerze mówiąc, nagle przestałem mu ufać.

Była zbyt wstrząśnięta, by się odezwać.

- Przepraszam, Lizzie. Wiem, że gdybym nie wścibiał nosa w wasze sprawy, Clare nie wiedziałaby nawet o twoim istnieniu.

Musiała jeszcze chwilę odczekać.

- A powiedziałbyś mi o tym, gdybym cię nie zapytała?

- Tak sądzę... w stosownej chwili. - Uśmiechnął się leciutko, złośliwie. - Może tylko dlatego, że i tak prawdopodobnie wszystko by się wydało.

- Przynajmniej szczerze!

- Podejrzewam, Lizzie, że gdybym nie był z tobą szczerzy, nie miałbym szans na długotrwałą przyjaźń. Spojrzała mu prosto w oczy.

- W tym masz całkowitą rację.

Allbeury poszedł odwiedzić Shipley - wciąż na zwolnieniu lekarskim; zaniósł jej kwiaty i zrobiło mu się ciepło na sercu, gdy je przyjęła z miłym uśmiechem. Patrzył z niejakim wzruszeniem, gdy kuśtykała, wyraźnie skrepowana, po małym mieszkanku, szukając w lekkim bałaganie odpowiedniego wazonu. Przy dzbanku herbaty i paluszkach czekoladowych dowiedział się, że John Bol-sover został wypuszczony z aresztu i mimo najszczerzych chęci siostry Lynne i Shipley, raczej nie uda się go wsadzić za prawdziwe przestępstwa, jakich dopuścił się wobec żony.

- Z tego, co wiem, dali mu tam niezły wycisk.

- To słaba pociecha dla siostry Lynne - zauważył Allbeury.

- Mówi, że zamierza mieć oko na dzieci, ale według jej własnych zeznań, podobno nigdy nie tknął ich nawet palcem.

Zapytał, co jej wiadomo w sprawie Clare Novak.

- To dlatego pan przyszedł? - domyśliła się Shipley. - Zastanawiałam się nad tym.

- Niezupełnie. Przyznam, że polubiłem nasze utarczki słowne, pani wyraźną niechęć wobec mojej osoby, a także pani nieustępliwość.

Shipley wzruszyła ramionami.

- Niewiele mogę panu powiedzieć o tej Novak.

Pewnie już pan wie, że badają ją teraz w Rampton*.

Jim Keenan może wiedzieć coś więcej, ale wątpię, czy pan to z niego wyciągnie.

Keenan rzeczywiście wiedział więcej, cały czas zresztą napływały do niego nowe informacje od specjalistów z działu informatyki w zakładzie medycyny sądowej. Wzięto tam pod lupę zarówno komputer należący do Novak Investigations, jak i ten Nicka Parry'ego. Pacjent Clare, który jak się okazało, z przyjemnością pomagał swojej opiekunce

we włamaniach do licznych systemów, traktując to jako wyzwanie, był teraz bardziej zagrożony wyrokiem za przestępstwa komputerowe niż Clare za morderstwa.

Keenan z czasem coraz mocniej skłaniał się do uznania Clare za niepokojąco chłodną kalkulację i sprawność działania przemawiały za czymś wręcz przeciwnym. Clare okazała się mistrzynią manipulacji, wykorzystując do swych celów Mike'a, agencję, a potem także jej klienta Robina Allbeury'ego (o którym napisała w pliku tekstowym zabezpieczonym hasłem, że być może jest on żerującym na kobietach zboczeńcem). Posłużyła się swymi zdolnościami w zwerbowaniu do pomocy Nicka Parry'go, samotnego kaleki z pasją do komputerów, a kiedy włamania do systemów przestały jej wystarczać, wyciągała fakty od Maureen Donnelly albo odwiedzała oddziały pogotowia, gdzie cieszyła się zaufaniem, i zbierała tam strzępki informacji na temat interesujących ją przypadków. „Przypadków”. Karen Dean na jednym z zebrań wyraźnie podkreśliła liczbę mnogą.

** Znany szpital psychiatryczny dla niebezpiecznych przestępców.*

- Czyli ofiar mogło być więcej - podsumował Terry Reed.

- Na pewno interesowała się nie tylko Patston i Bolso-ver - potwierdził Keenan.

Aż do czasu załamania komputer stał się jedynym powiernikiem Clare. W nim przechowywała szczegółowe, regularnie uzupełniane zapisy dotyczące swoich celów - „przypadków” (włącznie z Lizzie Wade), wszystkie starannie zaopatrzone w numery, które wydawały się częściowymi datami urodzenia. Wszystkim zarzucała „brak moralnej

odwagi", wszystkie miały brutalnych mężów, ale to one same, zdaniem Clare, były winne, gdyż trwały przy owych mężach, ciągle narażając dzieci, w obawie przed skutkami rozstania.

- A Lynne Bolsover mąż przemocą zmusił do aborcji
- dodał Keenan.

- Może - zastanawiała się Dean, biorąc pod uwagę mo-tywację, którą Helen Shipley przypisywała wcześniej All-beury'mu - wierzyła, że w ten sposób daje tym dzieciom jakąś szansę. Pozbawia je słabych matek, a potem usuwa z drogi ojców.

- Powinnaś być świrologiem - zauważył złośliwie Reed.

Nikt jak dotąd nie potrafił wydobyć na jaw głębszych motywów zbrodni. Malcolm Killin, ojciec Clare, zmęczony, stary człowiek, nie miał na podorędziu żadnych bajeczek

o rzekomej traumie, poza śmiercią swej żony we wczesnym dzieciństwie córki. Przejrzeli dokładnie historię jej załamania i depresji, przedwczesnego porzucenia zawodu

i przede wszystkim śmierci pierwszego dziecka.

Keenan odnalazł wyniki sekcji noworodka i odpis protokołu śledztwa w sprawie nagłej śmierci. Z obydwóch dokumentów wynikało, że to, co Clare wyznała Mike'owi na temat swojej winy, nie mogło być prawdą.

- Jak bardzo musiała go nienawidzić, skoro kłamała w takiej sprawie! - wykrzyknęła z obrzydzeniem Dean.

- Albo - rzekł Keenan - robiła co w jej mocy, żeby to on ją znienawidził.

- Co za pieprzony pasztet... - westchnął Reed.

- Co za straszna tragedia - sprostował Keenan.

Keenanowi nie dawała spokoju jeszcze inna

tragedia, koszmar, który raz po raz odtwarzał się w jego pamięci - małej Iriny Patston, odebranej Sandrze Finch.

Od tego dnia widział się kilka razy z matką Joannę. Tony Patston czekał na proces w sprawie o nielegalną adopcję, jego teczkę zaś dotyczącą prawdopodobnej przemocy wobec dziecka wysłano do prokuratury, ale żal Sandry pozostawał wciąż ten sam.

Błagała Keenana, by opowiedział jej wszystko, co może, na temat śmierci Joanne, i spełnił jej prośbę, ponieważ i tak prędzej czy później wszystko wypłynęłoby w sądzie.

Podzielił się też z nią nieoficjalnie paroma które uzyskano z komputera Clare Novak.

To Clare telefonowała do Joanne tego ostatniego dnia rano. Przedstawiła się jako współniczka Novaka i powiedziała, że Allbeury pilnie potrzebuje jej podpisu na jakichś dokumentach związanych z ucieczką. Joanne zdecydowała się zostawić córkę z Sandrą i poszła spotkać się z Clare na skwerku w Hall Lane koło biblioteki. Ta wmówiła jej, że bezpieczniej będzie, jeśli złoży swój podpis w zaciszu jej samochodu, z dala od przechodniów. Z przygotowanej uprzednio butelki nalała Joanne filiżankę kawy z diazepamem. Środek podziałał dość szybko, dzięki czemu Clare mogła przewieźć swą ofiarę do Epping Forest i zaciągnąć ją w miejsce, gdzie zabiła ją nożem, wykorzystując przy tym swą wiedzę z zakresu anatomii. Po pierwszym fachowym ciosie w tętnicę szyjną zadała jeszcze dla niepoznaki kilka następnych.

- Dziękuję, że pan mi o tym powiedział.
- Przykro mi, że nie mogę nic więcej dla pani zrobić.
- Owszem, może pan. prosze pomóc odzyskać Irinę.
- Nie sądzę, by mi się to udało.
- Na pewno ktoś mógłby znaleźć sposób! - Sandra

podniosła na niego udęczone oczy. - Jak mogą myśleć, że będzie jej lepiej u obcych ludzi albo co gorsza - w Rumunii?

- Tego nie wiem — odparł Kceenan.

121

Novak czuł się totalnie zdruzgotany i zagubiony - dosłownie i emocjonalnie.

Próbował normalnie funkcjonować, utrzymując agencję w ruchu, bo życzliwi ludzie wmawiali mu, że tego właśnie potrzebuje zarówno ze względów terapeutycznych, jak finansowych.

I może faktycznie praca okazałaby się jakimś remedium, gdyby wiedział, że robi coś naprawdę pożytecznego. Gdyby nie przyczynił się poprzez agencję, poprzez Robina Allbeury'ego, do śmierci dwóch niewinnych kobiet.

Gdyby za każdym wejściem do biura nie kłuł go w oczy widok pustego biurka Clare i jego własny nowiutki komputer, przypominając mu o wszystkim, co tam się wydarzyło.

Allbeury zapłacił Winstonowi Cookowi za odzyskanie wszystkich niezewidencjonowanych danych z ich starego twardego dysku. Obecność młodego człowieka w biurze odrywała nieco Novaka od złych myśli, ale chociaż Cook miał przed sobą całe tygodnie nudnej, skrupulatnej pracy, Novak zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia dobiegnie ona końca i znów zostanie sam. Będzie czekał, by Clare pozwoliła mu się odwiedzić, gdyż odkąd znalazła się w

areszcie, stanowczo się od niego odcięła. Większość ludzi pewnie by nie zrozumiała, po co w ogóle chce się z nią widzieć. Ale skąd mogli wiedzieć, że tam-
ta dziewczyna, którą poznał w pogotowiu, która pięć lat temu osobiście zszywała mu ranę, wrażliwa pielęgniarka, która odeszła z zawodu, bo nie mogła dzień w dzień patrzeć na ludzkie cierpienie, nie była żadną zbrodniarką! To nie ona robiła te wszystkie straszne rzeczy, nie ona z zimną krwią podrzuciła narzędzie zbrodni do garażu męża ofia-ry, a potem opisała to wszystko jasno i dokładnie w komputerze. Novak żałował, że nie potrafi jej znienawidzić. Może przyjdzie na to czas później, kiedy będzie musiał wytrzymać to, co ujawni sąd. Ale czy potrafi stawić czoło procesowi?
Jeśli jednak nabierze pewności, że dawna Clare nigdy już nie przebije się na powierzchnię przez otchłań toczącej ją nienawiści i udręki...
Tak, może wtedy potrafi ją znienawidzić.

122

Allbeury uświadomił sobie, że stanowczo zbyt wiele czasu zajmują mu każdego dnia myśli o Lizzie i jej dzieciach.
Raz zadzwonił do Susan Blake z pytaniem, czy się z nią widziała. Owszem spotkały się dwa razy, rozmawiają dość regularnie, ale Lizzie w najbliższym czasie zamierza pozostawać blisko domu.

- Nie może gotować jak należy, póki ma niesprawną rękę, i bardzo ją to wkurza.
- A co z pisaniem?
- Sama nie wiem - odrzekła Susan, - Wolę nie pytać, żeby nie czuła się pod presją, przynajmniej pod względem zawodowym.

Odczekał jeszcze tydzień i pojechał do Marlow. Powitała go z pewną rezerwą, ale - co odnotował z zadowoleniem - w miarę serdecznie. Miała teraz lżejszy gips, co trochę ułatwiało jej życie, i tylko dwa palce zabandażowane, ale sprawność rąk zdecydowanie wróciła.

W salonie stała już choinka, na kominku płonął ogień, wyżej, na półce leżały kartki świąteczne.

- W każdym razie trzymamy fason.
 - Jak sobie radzisz z zakupami prezentów? - spytał All-beury.
 - Jakoś... Dzięki mamie i Gilly. Gilly pojechała teraz z dziećmi, chyba właśnie do sklepów.
 - Jak one się miewają?
 - Trochę lepiej, ale oczywiście czeka je śledztwo.
 - Chyba nie będą ich przesłuchiwać? - Nie, ale będą wiedziały. Allbeury pokręcił głową.
 - O co ci chodzi? - zdziwiła się Lizzie.
 - Wszystko, co miałbym do powiedzenia, to tylko frazesy. - Masz na myśli elastyczność dzieci, rolę czasu i tak dalej?
 - Zamknę się już.
- Nie, nie. Zbyt wielką przyjemność mi sprawia widok mojego zbawcy.
- Wcale nim nie jestem. To nie ja cię uratowałem.
 - Ale próbowałeś.
 - Muszę ci coś wyznać.
 - Tak?

- Spytałaś mnie wtedy, czy byłem skautem. Otóż nie byłem.

Dopiero po chwili sobie przypomniała.

- Ach! Ten węzeł... Na wypadek gdyby winda spadła, tak?

- Mogłaś mieć szczęście.

- Czyli po prostu próbowałaś podtrzymać mnie na duchu?

- Siebie także.

Następnie przeszedł do głównego celu swej wizyty. - Był u mnie Jim Keenan. Nieoficjalnie poprosił mnie o pomoc.

- Jakiego rodzaju?

- Chodzi o Irinę Patston.

- Skąd wiedziałeś, że ta sprawa nie daje mi spokoju?

- Nie byłem pewien, ile o tym wiesz.

- Inspektor Keenan opowiedział mi całą historię.

- Kiedy?

- Wpadł tu w zeszłym tygodniu. - Uśmiechnęła się. - Jest bardzo miły, prawda?

- I dobrze wie, czego chce.

Jeszcze przed drugą wizytą Keenana Lizzie zaczęła odczuwać coś w rodzaju pokrewieństwa z obiema zamordowanymi kobietami, chociaż wcale ich nie знаła. Ale przypadek małej Iriny, co do którego istniała obawa, że przysłoni go groza innych koszmarnych wydarzeń, zaczął ją wręcz prześladować.

- A co, jego zdaniem, mógłbyś działać?

- Keenan ma nadzieję, że wymyślę jakieś nie do końca legalne hokus-pokus, dzięki któremu Irina wróci do babci.

- Ale to niemożliwe?

- No niestety nie. Lizzie odczekała chwilę.

- Robin, po co właściwie tu jesteś?

- Bo uważam, że to gratka dla mediów.
- Nie jestem dziennikarką.
- Ale występujesz w telewizji. I piszesz. Uniosła rękę.
- Jeszcze niewiele mogę.
- Dwoma palcami chyba dasz sobie radę z klawiaturą?
- Może nawet nie tylko dwoma - zgodziła się, poruszając dłonią.
- Przyda ci się dobry fizjoterapeuta.
- A co bym miała napisać?
- Ty tu jesteś najlepszym sędzią, nie uważasz?
- Sama nie wiem. List do członka parlamentu?
- I seria artykułów. Im więcej hałasu, tym lepiej.
- Myślałam, że zostawiasz to mnie? Pochylił się do przodu.
- Więc pomożesz?
- Oczywiście, że pomogę. A przynajmniej spróbuję popędzić im kota.
- Dzięki!
- Jeszcze nic nie zrobiłam. - Namyslała się przez chwilę. - Czy Irina na pewno jest jeszcze w kraju? Nie odesłali jej do Rumunii?
- Z tego, co mówi Keenan, nie są nawet na sto procent pewni, czy dziecko pochodzi z Rumunii. Tony Patston powiedział im wszystko, co mógł na temat kobiety, która sprzedawała im małą... może to mu coś pomoże w jego własnym procesie?
- Sprzedała... - powtórzyła jak echo Lizzie.
- Joanne Patston za wszelką cenę chciała być matką. Gdyby nie ten skurwiel Tony, dzieciak naprawdę miałby szczęście.
- Rozumiem, że babcia nie ma szans na adopcję?
- Jest za stara.
- A na rodzinę zastępczą?
- Właśnie to pani Finch sugerowała Keenanowi.
- No dobrze. To chyba najlepsze podejście, jak sądzisz?

- Ja zawsze się z tobą zgadzam.
- I też mi w tym pomożesz?
- Spróbuj mnie powstrzymać!

123

W wietrzny, ale słoneczny dzień kwietniowy, trzy miesiące po tym, jak przypadek Iriny Patston trafił na pierwsze strony gazet wskutek pierwszego z serii artykułów Liz-zie, krępą, lecz małą jak na swój wiek sześćioletnią dziewczynkę o dużych, prawie czarnych nieufnych oczach wprowadzono za rękę do jej nowego zastępczego domu.

Sandra Finch, której w ciągu ostatnich tygodni pozwolono kilka razy zobaczyć się z wnuczką, mimo wszystko wciąż nie mogła się wyzbyć lęku, czy Irina po tak wielkiej traumie wczesnego dzieciństwa nie pozostanie smutnym i nerwowym dzieckiem.

Niepotrzebnie się martwiła.

Hol domu udekorowano balonikami i kwiatami, czekały tam także niezliczone ilości pluszowych zabawek, nadesłanych przez czytelników „Expressu”, ale gdy tylko wzrok Iriny padł na kobietę, którą przez prawie całe życie nazywała babcią, nic więcej się dla niej nie liczyło.

- Babciu!

Sandra Finch wyciągnęła do niej rękę.

Przyjęcie, urządzone pod koniec następnego tygodnia przez gazetę, było mniejsze, niż zamierzano

z początku, ale Lizzie, ze względu na dobro dziewczynki, okazała się pod tym względem niewzruszona i edytor w końcu przynał jej rację.

- Nikt więcej nie dostanie zdjęć - obiecał.
- Z wyjątkiem rodziny - zastrzegła sobie Lizzie.
- To oczywiste.

Udział Lizzie i jej dzieci w przyjęciu rozumiał się sam przez się, gdyż wszyscy, a szczególnie Jack, zaangażowali się mocno w walkę o przekazanie Iriny z powrotem tam, gdzie przynależała.

Jim Keenan i Karen Dean nie skorzystali z zaproszeń; uznali, że ich obecność mogłaby u małego gościa honorowego przywołać bolesne wspomnienia. Tak samo postąpiła Anna Mellor, przyjaciółka Christophera, która od razu na początku kampanii Lizzie wystąpiła z ofertą znacznej pomocy, gdyż pamiętając wizytę Patstonów z dzieckiem, przypomniała sobie ze skruchą, jak bardzo męża kobiety denerwował płacz dziecka i jak sama go wyśmiała.

- Gdzie jest Robin? - spytał Lizzie Edward dwadzieścia minut po ich przybyciu.
- Nie wiem. Może coś mu wypadło.
- Przyjedzie - odezwał się Jack.

Lizzie zerknęła na niego, zdumiona przekonaniem w głosie syna,

- Ja tylko powiedziałem, że na pewno przyjedzie - powtórzył Jack.

Minutę później zabrzączał dzwonek u drzwi

- A nie mówiłem?

Sandra poszła otworzyć. Irina wciąż ją kurczowo ścisnęła za rękę.

Allbeury nie przyszedł sam. W ramionach trzymał szczeniaka - małego spanielka.

Irinie oczy powiększyły się do rozmiaru spodków.

- Jest twój, Irino - oświadczył Allbeury.
- Wiedziałaś, prawda? - spytała Lizzie Jacka z

wyrzutem. A potem obejrzała się na Allbeury'ego i
nie mogła się
nie uśmiechnąć.